



Oddałabyś przyjaciółom wszystko...  
A gdyby zapragnęli twojego dziecka?

# Drogie Maleństwo

—  —  
**JULIE COHEN**

JULIE COHEN

Drogie  
Małeństwo



Przełożyła Grażyna Smosna



**Annie, Ianowi i Kieranowi**

*Drogie Małeństwo,*

*Opowiem ci pewną historię.*

*Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze wierzyliśmy w marzenia, żyli sobie księżniczka i książę. Książę był przystojny i mądry, księżniczka piękna i dobra, oboje bardzo się kochali.*

*Pewnego dnia, kiedy będziesz starsze, możesz zapytać: czym jest miłość? Niektórzy twierdzą, że czystą magią. Inni, że biologią. W tym przypadku księżniczka i książę wydawali się stworzeni dla siebie. Trudno wytłumaczyć, dlaczego: on lubił piłkę nożną, a ona koncerty. Ona lubiła starocie, a on gadżety. Ich wspólne życie składało się z samych kompromisów. Może właśnie na tym polega „i żyli długo i szczęśliwie”.*

*Książę oświadczył się księżniczce. Dzień ich ślubu był cudowny, pełen srebra, złota, kwiatów i radości. Książę tańczył do piosenki Boogie Wonderland i prawie wywrócił weselny stół. Szkoda, że tego nie widziałeś. Chociaż, na swój sposób, Ty też tam byłeś – w myślach księżniczki i księcia, którzy już marzyli o Tobie: idealnym dziecku, które dopełni ich miłość.*

*Jednak mijały lata... a Ciebie wciąż nie było.*

*Trudno to nazwać bajką, prawda?*

## MAŁY SEKRET

Dzień przed tym, w którym powinna zrobić sobie test, Claire wyszła z budynku wydziału muzycznego, żeby upewnić się jeszcze raz. Jej zamszowe buty były wilgotne, kiedy przemierzała oszroniony trawnik, mijając szkolny zwierzynek. Dwóch chłopców z młodszej klasy zaglądało właśnie do świnek morskich, wypuszczając z ust obłoczki powietrza. Pomachała do chłopców i ruszyła w kierunku wąskiej ścieżki wiodącej do otaczającego szkołę lasu.

Grupa dziewcząt grała na boisku w hokeja. Kiedy tylko Claire weszła do lasu, przestała słyszeć ich radosne okrzyki. Zaciśnęła prawą dłoń na przedmiotach w swojej kieszeni i przyspieszyła kroku. Minęła rododendron, deptając wonne sosnowe igły, aż wreszcie dotarła do zardzewiałej żelaznej bramy nieopodal granic szkoły. Pchnęła bramę i weszła na cmentarz.

Uczniowie szkoły imienia Świętego Dominika rzadko tam zagląдали. Kiedy jeden jedyny raz Claire przyprowadziła na cmentarz szóstkę swoich podopiecznych w nadziei, że będzie to dla nich źródło inspiracji, wzruszyli tylko ramionami i przyznali, że od lat opowiadają sobie mrozące krew w żyłach historie na temat cmentarza zakonnicy. Krążyły wśród nich legendy o płaczącej damie i zwodniczej mgle, jednak w świetle dnia cmentarz nie był przerażający – promienie słońca sączyły się spomiędzy wierzchołków sosen i zalewały światłem szare nagrobki w wielu kolorach i kształtach. Niektóre z nich były bardzo stare, inne powstały niedawno. Chociaż w budynku szkoły od wielu lat nie mieszkały już zakonnice, na cmentarzu grzebano czasem siostry, które w tym właśnie miejscu rozpoczynały swoją służbę. Nowsze nagrobki, znajdujące się bliżej ogrodzenia, były niskie i granitowe. Przy jednym czy dwóch stały kosze z plastikowymi kwiatami.

Ruszyła w stronę środka cmentarza, gdzie napisy na pomnikach były ledwie widoczne. Nad jej głową zaświergotała sroka.

Claire była ubrana w wełnianą kurtkę. W lewej kieszeni miała telefon, zaś w prawej dwa przedmioty starannie owinięte papierem toaletowym. Zanim je wyjęła, rozejrzała się dookoła, choć wiedziała, że jest sama. Nawet duch zakonnicy nie widział, jak odpakuje testy ciężowe.

Widziała już na nich błękitne linie, które pojawiły się tuż po zrobieniu testu, lecz było to w toalecie dla personelu, przy kiepskim świetle. Nie miała pewności, czy nie są to tylko jej pobożne życzenia. Podniosła do oczu pierwszy test.

Wynik jednoznacznie pozytywny. Podobnie jak na drugim. Nie pomyliła się.

Osunęła się na trawę, nie zwracając uwagi na zimno i wilgoć. Nie mogła oderwać wzroku od leżących na jej kolanach testów.

Chciała od razu zadzwonić do Bena i mamy. Nie powinna jeszcze robić testu. Doszli z Benem do wniosku, że najrozsądniej będzie poczekać na badanie w klinice bezpłodności, czyli do następnego ranka.

Sęk w tym, że nie mogła się doczekać. Przez cały dzień w szkole, który upłynął jej na cierpliwym upominaniu siódmoklasistów, żeby się wreszcie skoncentrowali na próbach do wielkanocnego koncertu i zebraniu wydziałowym, myślała wyłącznie o jednym: małym embrionie, jej i Bena. Jedynym wystarczająco dobrym, żeby zostać umieszczonym w ciele Claire.

*Wytrzymaj, proszę* – pomyślała. Powtarzała to przez ostatnie dziesięć dni, odkąd w jej łonie umieszczono zarodek.

*Wytrzymaj.* Podczas jazdy samochodem, szczotkowania zębów, zmywania naczyń.

Wytrzymaj. I podczas kolacji z Benem. Była to jej pierwsza myśl po przebudzeniu i ostatnia przed zaśnięciem.

*Wytrzymaj i żyj. Chcę cię poznać.*

Nie wyjęła telefonu z kieszeni. Po tym wszystkim co przeszła, chciała zostać sama ze swoim sekretem, by upewnić się, że to prawda.

Delikatnie położyła dłonie na brzuchu.

– Witaj – powiedziała łagodnie.

Uniosła twarz i pozwoliła, by zimowe słońce ogrzało jej skórę.

– Tylko jedna? – Romily zmarszczyła brwi, spoglądając na dziewczynkę i jej matkę, które czekały przy bramie. – Myślałam, że zaprosisz więcej osób.

– Postanowiłam zaprosić tylko jedną przyjaciółkę – oznajmiła spokojnie Posie.

– A co się stało ze wszystkimi zaproszeniami, które zabrałaś do szkoły? Tymi z wydrukowaną mapką?

Posie otworzyła plecak, na dnie którego leżały pogniecione różowe koperty.

– Nie rozdałaś ich? Posie, poświęciłyśmy na to tyle czasu!

– Rozdałam jedno. – Wskazała ruchem głowy na dziewczynkę.

– Wydawało mi się, że Amber też zaprosisz.

– Ale jej nie zaprosiłam.

– W zeszłym tygodniu mówiłaś, że to twoja najlepsza przyjaciółka.

Posie zaczęła nucić pod nosem. Jej gęsta blond grzywka była zbyt długa i Romily nie widziała oczu córki. Zauważyła, że matka zaproszonej dziewczynki spogląda na zegarek, więc objęła Posie ramieniem i ruszyła przed siebie. Posie wzięła koleżankę za rękę i obie gdzieś pobiegły.

– Cześć. – Romily wyciągnęła dłoń na przywitanie. – Jestem Romily. Dziękuję, że pozwoliłaś swojej córce wziąć udział w przyjęciu urodzinowym Posie.

– Byłam trochę zaskoczona – przyznała druga matka. – Dowiedziałam się o nim dopiero wczoraj.

– Przykro mi. Posie twierdzi, że twoja córka będzie jedynym gościem, więc mogę ją zabrać naszym samochodem i odwieźć po podwieczorku. Wybieramy się do domu rodziców chrzestnych Posie, na przedmieściach Sonning. Jest większy od naszego mieszkania.

Romily widziała, że matka dziewczynki bije się z myślami: kilka godzin spokoju kontra niebezpieczeństwo związane z oddaniem córki w ręce nieznałomej kobiety. Mogła jej pokazać swój dowód osobisty. Ludzie z reguły obdarzali ją nieco większym zaufaniem na widok tytułu doktora przed nazwiskiem. Oczywiście tylko do momentu, w którym dowiadawali się, że ma doktorat w dziedzinie entomologii i większość życia zawodowego spędziła pośród martwych owadów.

– Mamo – odezwała się dziewczynka, podbiegając do matki – zaczyna padać.

– W porządku – powiedziała kobieta.

Pospiesznie wymieniły się z Romily numerami telefonów i adresami, dopełniając rytuału odpowiedzialnych rodziców, po czym pobiegła do samochodu po fotelik. Na widok zaniedbanego golfa Romily na jej twarzy ponownie odmalowała się niepewność.

– Jestem ostrożnym kierowcą – zapewniła Romily. – Po prostu dawno go nie myłam.

– Do zobaczenia o siódmej – powiedziała druga z kobiet, całując córkę w policzek i podała jej plastikową torebkę z prezentem dla Posie. – Bądź grzeczna.

Stojąc w popołudniowym korku, Romily zerknęła w lusterku na siedzącą na tylnym siedzeniu dziewczynkę. Koleżanka Posie była od niej drobniejsza, miała włosy porządnie uczesane w kucyki i związane różowymi wstążkami. Siedziała ze złożonymi rękami

i wyglądała przez okno, podczas gdy Posie cichutko śpiewała. Jej mundurek był starannie wyprasowany, a buty wypastowane na błysk. Romily nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej widziała tę dziewczynkę.

Nagle lunął deszcz i musiała się skoncentrować na pokonaniu zakorkowanej drogi i wyrwaniu się z miasta. Po wyjeździe z Brickham krajobraz stał się ciekawszy, chociaż przez okno samochodu widać było tylko smugi zieleni. Jej najlepszy przyjaciel, Ben, mieszkał z Claire, swoją żoną, na przedmieściach Sonning, w ślicznej wiosce nad Tamizą, pełnej krytych strzechą domków, zamieszkaną przez osoby dojeżdżające do pracy w Londynie. Dzięki długiej praktyce Romily z łatwością udało się skrócić w wąską dróżkę i zaparkować na zwirowym podjeździe obok należącego do Claire audi.

– Nie ma samochodu Bena – oznajmiła Posie.

– Niedługo przyjedzie – powiedziała Romily, która już wcześniej zauważyła ten brak. – Przysłał mi rano SMS-a.

– Chodźcie! – Posie wyskoczyła z samochodu, zanim Romily odpięła swój pas i puściła się biegiem w stronę frontowych drzwi kamiennego domu, uciekając przed deszczem.

Otworzyła drzwi bez pukania i wparowała do środka. Przyjaciółka dołączyła do niej, omijając kałużę, w którą Posie beztrąsko wdepnęła. Deszcz przemoczył rękawy kurtki Romily, która poszła za dziewczynkami, dźwigając pudło z rzeczami na przyjęcie.

W środku panowało przyjemne ciepło i wszędzie rozchodził się aromat świeżego ciasta.

– Ale ładny dom – odezwała się przyjaciółka Posie, spoglądając na odkryte krokwie, salon pełen miękkich kanap w kolorze kości słoniowej i fortepian. Z framug drzwi i żyrandoli zwisały różowe i fioletowe balony.

– Możesz położyć prezent tutaj – poinstruowała ją Posie, wskazując na stół. – Wolno nam się bawić w co tylko chcemy, ale najpierw musimy zdjąć buty. Romily, przyniesiesz zwierzątko z samochodu?

– To w samochodzie są jakieś zwierzątko? – Romily odstawiła pudło i zaczęła już zdejmować buty. Krople wody ściekały jej z włosów na kark.

– Tak, położyłam je rano na tylnym siedzeniu, bo też chciały uczestniczyć w przyjęciu. Są w torbie.

– W torbie – powtórzyła Romily, usiłując sobie przypomnieć, czy widziała w samochodzie jakąś torbę. Nie miała ochoty wracać po wymyśloną torbę pełną lampartów. Już raz się nabrała na podobny numer. – O jakie zwierzątko chodzi?

– No wiesz, Ritę, Lornę i Joego.

– Ach, tak. Posie, czy jesteś pewna, że nikt już nie przyjedzie?

– Właśnie dlatego przywiozłam zwierzątko.

– Witaj, moja śliczna solenizantko! – Claire pojawiła się w drzwiach do kuchni, przeszła przez salon i wyciągnęła ręce do Posie. – Przypomnij mi, ile dzisiaj kończysz lat?

Posie mocno objęła ją w pasie i pocałowała w policzek.

– Siedem.

– Ojej, jak mogłam zapomnieć? Cześć – zwróciła się do przyjaciółki Posie, która nieśmiało się do niej uśmiechnęła. – Jak masz na imię?

– Amelia.

– Chodźmy! – Posie pobiegła na górę, a koleżanka szybko do niej dołączyła. Claire odprowadziła je wzrokiem. Miała na sobie dopasowane spodnie i jedwabną bluzkę. Pierścionek z brylantem zaśnił na jej palcu, kiedy poprawiała blond włosy o miodowym odcieniu.

– Witaj.

– Cześć – odparła Romily, uświadamiając sobie, że jej włosy są wilgotne i nieuczesane,

a dzinsy mają postrzępione i na dodatek całkiem przemoczone nogawki. Podskakując na jednej nodze, zaczęła zakładać but. – Dziękuję, że zgodziłaś się na to przyjęcie i przystroiłaś dom balonami. Mówiłam Posie, że ty też miałaś dziś w szkole zajęcia, ale się uparła, a Ben powiedział...

– Cała przyjemność po mojej stronie. Ilu będzie gości?

– To już wszyscy.

– Myślałam, że zależy jej na dużym przyjęciu.

– Ja też. Czy... – Romily się zawahała.

– Ben musiał dziś pojechać na spotkanie do Londynu, ale obiecał, że zdąży na tort.

– Och, właśnie miałam zapytać, czy mogę pożyczyć parasolkę. – Skończyła zakładać buty i wskazała na zabytkowy stojak na parasole. – Posie zapomniała czegoś z samochodu.

– Jasne, wybierz którąś. Nastawię wodę.

Na zewnątrz lało jak z cebra i wiał silny wiatr, a Romily wybrała najprawdopodobniej jedyną zepsutą parasolkę z całego stojaka. Starła się ją trzymać prosto w drodze do golfa i podczas wyjmowania torby pełnej pluszowych zwierzątek. Kiedy zamykała drzwiczki, wydawało jej się, że słyszy chrzęst opon na podjeździe, lecz gdy podniosła wzrok, samochodu Bena wciąż nie było. Nie zjawili się też pozostali rodzice ze swoimi dziećmi. Powiew wiatru szarpnął parasolkę, wyrwijąc ją z dłoni Romily tak, że musiała ją gonić po nieskazitelnym trawniku, z torbą pełną pluszaków objającą się o nogi. Weszła do domu pobrudzona błotem, przemoknięta i jeszcze bardziej rozczochrana.

Niespiesznie zdjęła buty, poprawiła ubranie i włosy. Wyjęła zabawki z torby i postawiła je przy drzwiach, żeby po zejściu ze schodów Posie od razu je zobaczyła. Z oddali dobiegł ją dziewczęcy śmiech. Gdyby wiedziała, że Ben przyjedzie później, zostałyby dłużej w szkole lub przynajmniej wymyśliła kilka tematów do rozmowy.

Najbardziej niezręczne w przebywaniu sam na sam z Claire jest to, że ona wcale nie wydaje się skrępowana, pomyślała Romily, sadzając na podłodze Joego-żyrafę. Oznaczało to, że jedyną zażenowaną osobą była ona sama.

Podniosła wilgotne kartonowe pudło z kamiennej podłogi i ruszyła w swoich pasiastych skarpetkach do słodko pachnącej kuchni, mijając po drodze lśniące pianino i stylowo połączone z nowoczesnymi meblami antyki.

– Ciasto pachnie wspaniale – powiedziała szczerze.

– Dzięki! – Claire zakładała na czajnik dziergany ocieplacz. – Ciasto upiekłam wczoraj, ale włożyłam do pieca kilka herbatników.

– Nie mam pojęcia, jak ty to robisz – Romily postawiła pudło na postarzanym kuchennym stole. – Nie byłaś dzisiaj w pracy?

– Och, ciasto na herbatniki miałam już gotowe, w zamrażarce. Zrobiłam je w zeszłym tygodniu, bo wiedziałam, że dzisiaj nie będę miała czasu. – Claire pokręciła palcem przy czole, który to gest miał pewnie oznaczać lekkiego bzika.

Romily otworzyła pudełko.

– Przywiozłam mrożoną pizzę i frytki na podwieczorek, o wiele za dużo jak na dwie dziewczynki, trochę słodyczy i lemoniadę.

– Świetnie.

Nie w porównaniu z domowymi herbatnikami i ciastem, pomyślała Romily. Mimo to Claire przyjęła paczki z jedzeniem z wyraźnym entuzjazmem, po czym nalała jej filiżankę herbaty i dodała dwie łyżeczki cukru, dokładnie tyle, ile Romily lubiła. Ułożyła mrożone jedzenie na blachach i położyła na kuchence gotowe do upieczenia, po czym wysunęła krzesło naprzeciwko Romy i postawiła swój kubek na podkładce.



– A więc tylko jedna przyjaciółka Posie mogła przyjechać na przyjęcie?  
– Myślałam, że zaprosiła więcej osób. Przecież właśnie dlatego urządziłyśmy przyjęcie tutaj, a nie w naszym mieszkaniu. Dałam jej dwadzieścia zaproszeń. Wydawało mi się dziwne, że żadne z rodziców nie odpowiedziało, ale byłam zbyt zajęta, żeby to sprawdzić. Wiem, że jestem do niczego.

– Oczywiście, że nie.

Romily ciężko westchnęła.

– No cóż, przynajmniej będzie mniej zmywania.

– Zaplanowałaś jakieś zabawy na przyjęcie?

– Właściwie to nie. Myślałam, że dzieci same się czymś zajmą, wypiją herbatę, zjedzą tort, trochę pośpiewają i pojedą do domu. W którymś momencie Posie otworzy prezenty. Przywiozłam pinatę. – Wyjęła z dna pudełka papierowego konia wypełnionego słodyczami i prezent w kształcie książki. Oba przedmioty były pogniecione i lekko wilgotne od deszczu lub rozmrażających się frytek.

– Przygotowałam na górze trochę ubrań do przebieranek – powiedziała Claire. – Pomyślałam też, że może dziewczynki będą chciały pomalować sobie paznokcie?

– Mogą przy tym nabrudzić – zauważyła niepewnie Romily, rozglądając się po nieskazitelnie czystej kuchni.

– Nic nie szkodzi. Nie chciałam przygotowywać żadnych zabaw, na wypadek, gdybyś sama wszystko zaplanowała.

Romily usiłowała sobie przypomnieć przyjęcia, na których była ostatnio z Posie. Jedynym, które przyszło jej do głowy, było to w sali parafialnej, z dmuchanym zamkiem i mnóstwem wrzeszczących dzieciaków. Posie spędziła większość czasu pod stołem, udając, że reszta dzieci to ogry. Romily usiłowała ją stamtąd wywabić, ale niezbyt przekonująco, bo szczerze mówiąc sama myślała podobnie.

– Zobaczymy, jak wyjdzie – powiedziała. Claire kiwnęła głową i zapadła cisza.

Romily rozpaczliwie szukała jakiegoś tematu, niezwiązanego z tą kwestią. Bo gdyby Claire zamierzała coś powiedzieć na wiadomy temat, pewnie już by to zrobiła, prawda?

Czy Romily w ogóle powinna o tym wiedzieć? Czy Claire miała świadomość, że Ben jej powiedział?

Romily nie omawiała z Benem szczegółów ich prywatnego życia – mieli mnóstwo innych tematów – ale on i Claire stosowali in vitro tak długo, że trudno było o tym nie wspomnieć w rozmowie. Poza tym bardzo się całą sprawą ekscytował.

– No więc... – odezwała się wreszcie Romily – jak się czujesz? W szkole wszystko w porządku?

– Dobrze – odparła Claire. – W szkole też OK.

– To świetnie.

Na twarzy Claire pojawił się delikatny uśmiech, jakby coś ukrywała. Pewnie bawiło ją skrepowanie Romily. Może wiedziała, że Ben wtajemniczył przyjaciółkę w ich problem z poczęciem dziecka, ale o to też Romily nie mogła zapytać.

Zaczęła kreślić na stole kółka.

– Byłaś ostatnio na jakimś dobrym koncercie?

Posie wsunęła głowę do kuchni.

– Ciociu Claire, czy możemy podać zwierzątkom herbatę? I pożyczyć twój serwis?

– Oczywiście. Należę wam trochę soku do czajniczka. Chcecie zdjąć koc z kanapy i rozłożyć go na podłodze, jak na pikniku?

– Ambrozyjsko!

Posie zniknęła, a Claire roześmiała się tak szczerze i serdecznie, że Romily uważniej jej się przyjrzała. Wyglądała naprawdę dobrze, może nawet lepiej niż zwykle. Bił od niej blask. Romily słyszała, że u niektórych kobiet tak to właśnie wygląda.

– Ambrozyjsko – powtórzyła Claire. – Jej słownictwo poprawia się z dnia na dzień. Nie jestem pewna, czy moi jedenastoletni uczniowie znają to słowo.

– Posie dużo czyta – powiedziała Romily, chociaż Claire doskonale o tym wiedziała. Posie stanowiła główny temat ich rozmów.

– Pójdę po ten serwis. Czy możesz wbić świece w tort? – Claire wskazała na stojące na blacie ciasto. Tort wyglądał niesamowicie, był pokryty różowym lukrem i posypany delikatnymi różowymi płatkami.

– Jaki to smak?

– Upiekłam anielski tort z różanym lukrem.

Romily zdjęła z lukru jeden z płatków i spróbowała.

– Kandyzowane płatki róży? Chyba nie zrobiłaś ich sama, co?

– Róże bardzo nam obrodziły w ubiegłym roku. – Claire sprawnie nakładała ciepłe ciasteczka na talerz.

– Mam nadzieję, że sprawdziłaś je na obecność mszyc. – Romily wyjęła świeczkę z pudełka i umieściła ją w przypadkowym miejscu, blisko środka tortu. – Nieźle obrodziły w tym roku. Swoją drogą, ponoć nieźle smakują. Wydzielają spadź.

– Zapamiętam. Na swoje urodziny możesz upiec tort o smaku mszyc.

Claire wyszła z kuchni, pozostawiając Romily z wątpliwością, czy był to serdeczny żart, czy złośliwy przytyk.

Nie było tak, że Claire i Romily nic o sobie nie wiedziały. Znały się przecież od lat. Studiowały razem i często spotykały się w szerszym gronie. Z biegiem czasu ich studencka paczka podzieliła się na pary i dała się wciągnąć w wir dorosłego życia. Romily pewnie podtrzymałaby luźną znajomość z Claire tak jak z pozostałymi znajomymi ze studiów: zaglądałaby na jej profil na Facebooku i zamieniała parę słów na weselach. Pytałaby, co u niej nowego, kiwała uprzejmie głową i szła do kolejnej osoby.

Tylko że Claire była żoną Bena.

Romily umieściła świece na torcie, pewnie bardziej krzywo, niż zrobiłaby to Claire. Przez drzwi balkonowe zauważyła, że przestało padać, a zza chmur wyrzało kilka promieni słońca. Poszła do salonu. Dziewczynki siedziały na kocu wśród pluszowych zwierzątek, a Claire rozlewała różowy sok do kwiecistych porcelanowych filiżanek. Przyjaciółka Posie siedziała sztywno między pluszową żyrafą a lemurem, w narzuconym na ramiona jedwabnym szalu. Romily zauważyła, że Amelia całkiem dobrze prezentuje się w szkolnym mundurku, w przeciwieństwie do Posie, której bluza była za mała i wiecznie podjeżdżała do góry, odsłaniając rąbek koszuli. Jej córka dorobiła się na kolanie wielkiej dziury w rajstopach, a na głowę założyła większy niż ona sama słomkowy kapelusz ze wstążką.

– Lorna jest aktorką – opowiadała koleżance, wskazując na miękkiego pluszowego misia ubranego w strój baletnicy. – Występuje w znanej sztuce w Londynie. Joe jest astronautą, a Rita pracuje w stołówce, za to w wolnych chwilach trenuje słonie. A ty kim chcesz być?

– Może księżniczką?

– Księżniczki są nudne. Możesz być... arcyksięciem, a ja będę twoją żoną, arcyksiężną. Poczęstujesz się herbatnikiem, arcyksiężę?

Na dźwięk otwierania frontowych drzwi trzy damskie głowy uniosły się w radosnym oczekiwaniu. Posie zerwała się z podłogi.

– Ben! – zawołała, pędząc w jego stronę.

Miał na sobie ciemny garnitur i poluzowany krawat, a w rękach duże pudełko zapakowane w srebrny papier, tak duże, że sięgało mu piersi. Razem z nim do domu wleciało słońce, świeże powietrze i zapach deszczu. Jego brązowe włosy skręciły się od wilgoci.

– Hej, solenizantko! – krzyknął. – Mam dla ciebie prezent.

– I to duży! – zauważyła radośnie Posie. – Wow! – Uściskała go, a Ben zmierzwił jej włosy.

– Większy od ciebie, rybko. Cześć, Rom. – Ben pomachał Romily, przywitał się z przyjaciółką Posie, podszedł do Claire i ją pocałował. – Nie mogłem sobie odmówić podróży do Hamley's[1], ale droga powrotna metrem była katorgą.

Claire czule odwzajemniła pocałunek.

– Mięczak.

Posie zaczęła ciągnąć pudło na dywan, do miejsca, gdzie urządziła herbatkę.

– Co to takiego?

– Nie powiem.

– Niezależnie od tego, co to jest – odezwała się Romily – za nic w świecie nie zmieści się w naszym...

– Czy mogę już otworzyć? – zapytała Posie. – Proszę?

– Pomogę ci. – Ben podniósł pudło bez cienia wysiłku i zaniósł je na środek pokoju. – No dalej. Jest twój.

– Fantastycznie! – Posie zaczęła rozrywać srebrny papier, tym razem wyjątkowo nie starając się go oszczędzić. Amelia przyłączyła się do niej, zaglądając z ciekawością do środka. – Och, to zamek!

– Kupiłeś jej zamek – powiedziała cicho Romily, kiedy Ben pomagał Posie wyjąć z tekturowego pudełka domek dla lalek z wieżyczkami i różami pnącymi się po szarych kamieniach.

– Ma nawet lochy i sekretne przejście – zwrócił się Ben do Posie, która z piskiem wsuwała głowę do kolejnych pokoi.

– Epicki – powiedziała zduszonym głosem.

– Cieszę się, że ci się podoba, rybko.

– Jest cudowny! – Dziewczynka wysunęła głowę z zamku, ucałowała i wyściskała najpierw Bena, później Claire, po czym wróciła do swojej nowej zabawki.

– Misja skończona – odezwał się Ben. – Chyba już pora, żeby dorośli napili się piwa. – Poszedł do kuchni, zdejmując po drodze marynarkę, a Claire i Romily ruszyły za nim.

– Wielkie dzięki – odezwała się Romily – ale nie ma mowy, żeby ten zamek zmieścił się w naszym mieszkaniu. Są praktycznie tej samej wielkości.

– Posie może go trzymać tutaj. – Ben otworzył lodówkę i wyjął z niej dwie butelki piwa. Jedną podał Romily. – Nie mamy nic przeciwko, prawda, Claire?

– Oczywiście, że nie.

– Będzie się nim mogła bawić, kiedy nas odwiedzi. Tak chyba będzie lepiej. Dzieciaki szybko się nudzą zabawkami, które ciągle mają pod ręką.

Romily wątpiła w to, żeby Posie mogła się szybko znudzić akurat tą zabawką, ale tylko upiła łyk piwa, nic nie mówiąc. Co miała zrobić? Poprosić Bena, żeby oddał zamek do sklepu? Uwielbiał rozpieszczać swoją chrześnicę.

– Jak się czujesz? – zwrócił się Ben do żony. – Dobrze? Tak, jakbyś była w ciąży?

Claire przeniosła spojrzenie z Bena na Romily i z powrotem na męża.

– Czy nie sądzisz, że powinniśmy...

– Och, Romily o wszystkim wie. Nie zdołałem utrzymać języka za zębami. – Ujął dłoń

Claire. – Nie mogę się już doczekać jutra. Wreszcie będziemy mieli pewność. Dziś po południu zwróciłem się do jednej z klientek per „transfer jajeczka”.

– Ben!

– No, w ostatniej chwili ugryzłem się w język, ale byłem mocno rozkojarzony. – Ben pogłaskał żonę po rękę i ujął w dłonie jej twarz. – Jesteś pewna, że nie możemy wykonać testu teraz i skrócić naszych cierpień? Piętnaście godzin nie zrobi chyba wielkiej różnicy, prawda?

– Właściwie to zrobiłam test rano.

Ben popatrzył na nią w zdumieniu.

– I nic mi nie powiedziałaś? Złe wieści? A może wprost przeciwnie? Udało nam się? – Odstawił butelkę i padł na kolana przed Claire. – Powiedz mi!

– Przepraszam, Romily – odezwała się Claire nad głową Bena. – Mój mąż trochę dramatyzuje.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – odparła Romily.

– Claire – odezwał się Ben z podłogi i tym razem jego głos zabrzmiał poważnie.

– Test nie jest miarodajny – powiedziała Claire. – Pozostałości hormonów mogą dać fałszywy wynik. Powinniśmy poczekać na wyniki oficjalnego badania w klinice.

– OK, powinniśmy, ale ty tego nie zrobiłaś. Jaki był wynik?

– Pozytywny.

Ben wydał z siebie triumfalny okrzyk.

– I bardzo wyraźny – dodała Claire, a jej twarz się rozpromieniła. – Dziś rano zrobiłam w szkole dwa testy, a po południu trzeci. Wszystkie dały jednakowy wynik.

– Będziemy mieli dziecko! – Ben chwycił ją w ramiona i okręcił. Claire roześmiała się. Jej stopy śmignęły w powietrzu, mijając kuchenkę o centymetry.

– Wiele rzeczy może się jeszcze nie udać – powiedziała, ale Ben odchylił ją do tyłu i namiętnie pocałował, niczym bohater czarno-białego filmu.

Romily poczuła pod powiekami piekące łzy. Wcale nie musiała na nich patrzeć, jak stali razem w blasku słońca, które wpadało przez balkonowe okno. Widziała ten obrazek milion razy, a mimo to nie mogła od nich oderwać wzroku.

– Jak się czujesz? – szepnął Ben.

– Cudownie.

– Wyglądasz świetnie – odezwała się Romily. – Bije od ciebie blask. Już wcześniej zwróciłam na to uwagę.

Spojrzeli na Romily, jakby całkiem zapomnieli o jej obecności. Właściwie dlaczego mieliby pamiętać?

– Gratulacje – dodała.

Ben postawił Claire na ziemi i zwrócił się do przyjaciółki:

– Będę tatą!

Romily odpowiedziała mu uśmiechem.

– Gratulacje, tatuśku!

– Nadal mamy przed sobą długą drogę – powiedziała Claire. – Całe dziewięć miesięcy. I jutrzejsze oficjalne badanie, które może dać odmienny wynik.

– Tak się nie stanie. Tym razem wiemy, że zarodek jest silny i zdrowy. Nasze dziecko. – Ben szeroko rozłożył ramiona, jakby chciał nimi objąć kuchnię i cały świat. Jeśli szczęście Claire wydało się Romily piękne, szczęście Bena było oślepiające. – Zapomnijcie o piwie. Poszukam szampana. Możesz się napić, prawda, Claire? Odrobinę?

– Lepiej nie.

– W takim razie Romily i ja się napijemy.

- Przyjechałam samochodem.
- Zostań na noc!
- Muszę odwieźć do domu przyjaciółkę Posie.
- Amelię – podpowiedziała Claire.
- Właśnie.
- W takim razie spiję słodycz z ust mojej żony – powiedział Ben i ponownie wziął Claire w ramiona.

Tym razem Romily postanowiła nie patrzeć, jak się całują.

- Powiem dziewczynkom, żeby umyły ręce, bo zaraz będzie pizza – powiedziała.

Ben i Claire chyba jej nie usłyszeli, a kiedy weszła do pokoju, dziewczynki siedziały z głowami wsuniętymi do zamku i nawet na nią nie spojrzały. Poszła do łazienki, gdzie odkryła, że jej krótkie ciemne włosy przyliżały się po jednej stronie głowy i pewnie wyglądały tak, odkąd zmoczył ją deszcz.

Bez pośpiechu doprowadziła się do porządku, umyła ręce, nałożyła na nie trochę kremu Claire i na wszelki wypadek policzyła niebieskie kafelki wokół umywalki (było ich trzydzieści osiem). Dopiero po tym wróciła do córki.

Cichutko się do niej zakradła, wyciągając przed siebie ręce. Chciała zafundować Posie dodatkową porcję urodzinowych łaskotek.

- Dlaczego uczysz się w Crossmead, skoro mieszkasz tak daleko? – odezwała się Amelia.

– Och, powiedziałam mamie, że chcę tam chodzić do szkoły – rzuciła lekko Posie – ale mieszkam tutaj.

Romily zatrzymała się.

- W takim razie kim była ta pani, która odebrała cię ze szkoły? – zapytała Amelia.

– To Romily.

– Nie jest twoją mamą? Mojej mamie tak się wydawało.

– Nie, moimi rodzicami są Claire i Ben. To najlepsi rodzice na świecie.

Romily głośno zakasłała i Posie wysunęła głowę z domku dla lalek.

– Pizza gotowa – oznajmiła Romily. – Umyjcie ręce.

– OK! – Posie pobiegła do łazienki. Amelia poszła za nią, jeszcze bardziej zdezorientowana niż przedtem.

Romily przez dłuższą chwilę stała obok domku dla lalek, zanim dołączyła do przyjęcia w kuchni.

Po zjedzeniu frytek i odśpiewaniu „Sto lat”, po tym jak Posie zamknęła oczy, pomyślała życzenie – Romily chyba wiedziała, jakie – rozpakowała prezenty w postaci układanki oraz ilustrowanego egzemplarza „Po drugiej stronie lustra”, i gdy wreszcie podwiozły wciąż oszołomioną Amelię do domu, Romily popatrzyła na odbicie swojej córki we wstecznym lusterku samochodu i zapytała:

– Posie? Dlaczego powiedziałaś przyjaciółce, że nie jestem twoją mamą?

– Och – odparła Posie – tylko się bawiłyśmy.

Zamknęła oczy i wygodniej usadowiła się w fotelu, żeby się zdrzemnąć.

Romily jechała dalej, mijając światła lamp i inne samochody. Po chwili włączyła radio, dla towarzystwa.

---

[1] Brytyjska sieć sklepów z zabawkami (przytłum.).

## GORZKA SŁODYCZ

Claire obudziła się dwadzieścia pięć minut po szóstej, wyłączyła budzik, zanim zdążył zadzwonić i ponownie wsunęła rękę pod ciepłą kołdrę. Leżała przytulona plecami do Bena, którego kolana idealnie wpasowały się w zgięcie jej nóg, a oddech omiatał włosy na czubku jej głowy.

Wiedziała, że obudził się kilka chwil później, ponieważ położył dłoń na jej brzuchu. Rozłożył palce na koszuli nocnej Claire ogrzewając swoim dotykiem miejsce, w którym spało ich dziecko.

– Dzień dobry – szepnął – dla was obojga.

Claire uśmiechnęła się i przytuliła do jego piersi. Jej ciało pulsowało życiem.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytała.

– Umówiłem się na lunch z Kahnami, a później zamierzam im pokazać dom.

A ponieważ mamy Walentynki, wieczorem mógłbym zabrać żonę na kolację, jeśli się zgodzi.

– Z przyjemnością. Muszę iść do szkoły i postawić trochę ocen.

– W połowie semestru? Powinnaś spędzić dzień w łóżku. Przynajmniej raz w życiu masz ku temu dobry powód.

– Po południu wybieram się na przyjęcie z okazji narodzin dziecka Lacey.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

– Twoje będzie następne.

– Moja mama nie pochwała takich przyjęć. Twierdzi, że to amerykański wymysł.

– Twoja mama nie ma o tym pojęcia. – Musnął nosem jej szyję. – Kocham cię. Jesteś niesamowita.

– Ja też cię kocham. – Odwróciła się w ramionach Bena i przesunęła dłońmi po jego piersi. Nawet po wielu latach małżeństwa Claire zachwycała jego masywność i siła oraz poczucie bezpieczeństwa i opieka, jakie jej zapewniał. Ben przyciągnął żonę jeszcze bliżej.

– Chyba powinniśmy zrobić coś, żeby dziecko nie czuło się jak poczęte w próbówce – zamruczał, pocałował ją i się odsunął. – Claire?

– Nie chcę zrobić dziecku krzywdy.

– Doktor Wilson powiedział, że nam wolno, o ile zachowamy ostrożność.

– Chyba nie będę się potrafiła rozluźnić.

Ben nie obraził się ani się od niej nie odwrócił. Nadal trzymał Claire w ramionach, lecz mimo to dodała:

– Wiem, że od dawna nie mieliśmy normalnego życia erotycznego i nie mogliśmy się kochać wtedy, gdy przyszła nam na to ochota. Mnie też tego brakuje, ale wytrzymajmy jeszcze trochę, Ben.

– Tak, lepiej bądźmy ostrożni. – Pocałował ją w czoło, wstał z łóżka i założył szlafrok.

– Zapytamy lekarza podczas kolejnej wizyty.

– Jestem pewna, że niedługo wszystko wróci do normy.

– Wiesz, jak to mówią: czekanie wzmaga pożądanie. Nie wstawaj, przyniosę ci gorącą wody z cytryną.

– Dzięki – odparła Claire. Ben wyszedł z pokoju, a ona opadła z powrotem na poduszki.

– Masz dzieci?

Claire przesunęła się nieznacznie na kanapie Lacey, żeby spojrzeć w oczy kobiecie, która

zadała jej to pytanie. Nie знаła większości osób na przyjęciu. Dwie uczyły w tej samej szkole – Lacey zaczęła w ubiegłym roku uczyć geografii, jak na ironię zastępując inną nauczycielkę, która poszła na urlop macierzyński – lecz pozostałe były przyjaciółkami lub krewnymi Lacey. Wszystkie zaproszone kobiety siedziały w kółku, uszeregowane według znaków zodiaku; miało im to pomóc przełamać lody i lepiej się poznać.

– Nie – odparła Claire, starając się przywołać na twarz życzliwy uśmiech, jak zawsze wtedy, gdy słyszała to pytanie z ust nieznamym osoby. Tego dnia było jej znacznie łatwiej.

– Nic dziwnego, że masz taką piękną skórę! Sen dodaje urody. – Kobieta nachyliła się w jej stronę. Miała proste jak drut włosy i sińce pod oczami. – Powiedz mi, zdarza ci się chodzić do restauracji?

– Czasami.

Kobieta przeciągle westchnęła.

– Marzy mi się, żeby pójść do porządnej knajpy, z ładnymi sztuccami i jadłospisami, które nie są jednocześnie dziecięcymi kolorowanymi.

– A mnie podnieca nawet myśl o misce chipsów w sali zabaw – odezwała się kobieta siedząca obok Claire.

– Nic mi nie mów – powiedziała pierwsza. – Wiecie, jak Paul i ja uczciliśmy naszą rocznicę ślubu? Kubelkiem lodów w kinie, podczas filmu Disneya.

– Ja o naszej zapomniałam – włączyła się do rozmowy kobieta siedząca po przeciwnej stronie pokoju. – Harry i Abby mieli ospę wietrzną. Przypomniało mi się dwa dni później, ale nie warto już było robić zamieszania.

– Czy twój mąż kupuje ci kwiaty? – zwróciła się do Claire pierwsza z kobiet.

– Eee... czasami. – Kiedy rano zeszła na dół, na stole czekał na nią bukiet.

– Ja dostałam kwiaty w zeszłe Walentynki! – oznajmiła druga. – Ellie je zjadła. Musieliśmy z nią jechać na ostry dyżur. W tym roku nie dostałam żadnych kwiatów.

– Były trujące?

– Najbardziej martwiliśmy się o celofan. Nie robiła kupki przez trzy dni. Byliśmy przerażeni.

– Pewnego razu Alfie nie robił kupki przez bite dwa tygodnie! Nakarmiłam go taką ilością przetartych śliwek, że powaliłyby konia.

– Wszystko przed tobą – zwróciła się do Claire pierwsza z kobiet.

Lacey siedziała w przystrojonym kwiatami fotelu w słonecznym, zatłoczonym salonie swojego mieszkania, z dłońmi splecionymi na wystającym brzuchu. Uśmiechała się, jakby myśl o napychaniu niemowlęcia przetartymi śliwkami była najmiłą rzeczą pod słońcem.

Claire pomyślała, że pewnie tak właśnie jest.

– Wina? – matka Lacey, przemiła kobieta z jaskraworudymi włosami, krążyła po pokoju z butelką pinot grigio. Claire pokręciła głową i uniosła kieliszek pełen wody mineralnej. – Zrobiłaś piękne ciasto – pochwaliła ją matka Lacey – a do tego przepyszne. Nawet nie spróbowałaś?

– Dziękuję, właściwie nie jadam ciasta.

– Jesteś na diecie bezglutenowej? – zapytała pierwsza z kobiet. – Nic dziwnego, że masz taką figurę. Ja od samego patrzenia na chleb tyję trzy kilogramy.

– Po prostu staram się jeść zdrowo – odparła Claire – ale uwielbiam piec ciasta.

– Jak nazwiecie dziecko? – zwróciła się do Lacey któraś z koleżanek.

– Billy.

W pokoju rozległy się pełne aprobaty pomruki.

– Lubię proste imiona – odezwała się pierwsza z pań. – Zbyt wielu rodziców ulega



przejściowym modom. Jedna z dziewczynek w łóżku Alfiego ma na imię Fairybelle.

Kobiety zaczęły dyskutować o dziecięcych imionach: tych najpopularniejszych, tych, które na całe szczęście nie nadały swoim dzieciom oraz tych, którymi chętnie by je nazwały, gdyby ich pociechy były przeciwnej płci. Kobieta, której córka zjadła celofan, poszła do toalety, a Georgette, druga z nauczycielek uczących w Świętym Dominiku, zajęła jej miejsce obok Claire.

– Przykro mi – powiedziała. – Wszystkie gadają o dzieciach.

– Nic nie szkodzi, zdążyłam się przyzwyczaić. Poza tym to dzień Lacey. Wygląda ślicznie, prawda?

Obie popatrzyły na Lacey, która na ogół nie zwracała na siebie uwagi: lubiła piesze wycieczki, kemping i była dobrą nauczycielką.

Wyglądała cudownie.

– Mimo to – kontynuowała Georgette – myślę, że ludzie powinni sobie okazywać nieco więcej empatii. Nie każdy ma ochotę ciągle rozmawiać o dzieciach.

Sama miała dwójkę. Claire pamiętała, kiedy urodził się młodszy syn Georgette: mniej więcej w tym samym czasie Claire przechodziła trzeci i ostatni cykl in vitro finansowany przez służbę zdrowia, kolejne mieli już opłacać sami. Claire dostała zaproszenie na chrzciny z odręcznym dopiskiem: *Zrozumiem, jeśli nie będziesz chciała przebywać wśród dzieci.*

Claire nie poszła na chrzciny. Z obawy nie przed dziećmi, lecz przed „rozumieniem”.

Siedzące w pokoju kobiety skarżyły się na swoje życie, ale w gruncie rzeczy były szczęśliwe. Claire doskonale to wyczuwała z pozycji outsidera. Emanowały ciepłym, pęczniącym zadowoleniem. Obserwowała to za każdym razem, gdy w jednym miejscu zbierała się grupa kobiet z małymi dziećmi. Rozmowy kręciły się wokół drobnych poświęceń lub katastrof, nieszczęść i wyimaginowanych trosk, lecz ich celem nie była wymiana informacji, lecz nawiązanie przyjaźni, zaznaczenie wspólnego terytorium.

*Jesteśmy matkami. Walczymy z pieluszkami i lekami przeciwgorączkowymi. Patrzcie na nasze potomstwo i zielenieście z zazdrości.*

Prawdę mówiąc, Claire oddałaby wszystko, żeby upodobnić się do tych kobiet. Miała dosyć ostrego ukłucia bólu za każdym razem, gdy mijała plac zabaw. Dojmującej pustki podczas Bożego Narodzenia. Nie chciała już dłużej czuć się jak ofiara losu, miesiąc w miesiąc, jak w zegarku.

Co wcale nie oznaczało, że miała ochotę na ten temat rozmawiać albo być obiektem litości.

A teraz już nawet nie musiała.

– Właściwie mi to nie przeszkadza – powiedziała. – Jestem bardzo szczęśliwa.

Georgette szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

– O mój Boże, czy coś się stało? Jesteś...?

– Lacey będzie teraz otwierać prezenty – oznajmiła Claire, a Georgette skoncentrowała uwagę na głównym powodzie, dla którego się tu znalazły.

Claire przypomniała sobie przyjemne chwile spędzone w łóżku z Benem, zanim się obudził, kiedy wyobrażała sobie leżące razem z nimi małństwo. Potrafiła sobie wyobrazić ciepły i serdeczny wyraz twarzy Bena, gdy będzie obserwował Claire karmiącą ich dziecko. To im wynagrodzi niedostatki w życiu erotycznym w ciągu kilku ostatnich lat, kiedy musieli się przestawić z myślenia o seksie jako czymś przyjemnym na myślenie o nim jako czynności, dzięki której mieli spłodzić dziecko, tylko jakoś im to nie wychodziło.

Dawno temu, kiedy sądzili, że łatwo zajdzie w ciążę, rozmawiali na temat imion. Wtedy jeszcze robili wszystko, żeby nie mieć dzieci: Claire zaczęła przyjmować pigułkę, zanim

pierwszy raz poszli ze sobą do łóżka i na początku kazała Benowi dodatkowo zakładać prezerwatywę. Ben nazywał to „podwójną blokadą”. Leżeli razem w jego pojedynczym łóżku w akademiku, a później w ich pierwszym prawdziwym małżeńskim łóżu, i planowali rodzinę. Najpierw miał być chłopiec imieniem Owen, a później dziewczynka, Sophie, albo najpierw dziewczynka imieniem Olivia, a później chłopiec – Sid. Wówczas te imiona wydawały im się nowoczesne i jednocześnie tradycyjne. Teraz, po tylu latach, stały się zbyt popularne.

Jakiś czas temu przestali rozmawiać o imionach. Nie chcieli kusić losu. Wkrótce będą musieli wrócić do tego tematu. Claire podobało się imię jej ojca, Mark, jeśli urodzi się chłopiec, a dla dziewczynki Lucille, po babci Bena. Były to staroświeckie imiona, noszone przez ich krewnych.

A może zdecydują się na coś z zupełnie innej bajki: Fairybelle, Thumbelina, Batszeba dla dziewczynki lub Excalibur dla chłopca. Excalibur Herkules Lawrence.

Claire się uśmiechnęła. Żartowanie z imion wydawało jej się całkowicie bezpieczne.

– Jakie śliczne! – zawołała Lacey, wyjmując z torebki śpioszki. Jej matka wydała okrzyk zachwyty i puściła w obieg talerz z ciasteczkami. Claire poczuła ukłucie w podbrzuszu, obok pęcherza. Pewnie wypła za dużo wody.

– Co jej kupiłaś? – szepnęła Georgette.

– Album na zdjęcia. Przepraszam. – Wstała i wymknęła się z pokoju.

Droga do łazienki prowadziła przez sypialnię, w której przy małżeńskim łóżku stała już kołyska wyściełana miękkimi niebieskimi kocykami. Z sufitu zwisała karuzela złożona z pomarańczowych rybek; na tyle nisko, żeby dziecko dobrze ją widziało. Kiedy Claire weszła do pokoju, zabawka lekko się rozkołysała.

Ukłucie przerodziło się w skurcz, a później w ból. Claire przyłożyła rękę do brzucha. Lekarka kazała jej nie panikować, jeśli poczuje dziwne ukłucie czy skurcz. W jej ciele sporo się działo, ale wszystko było w jak najlepszym porządku. Dziecko tkwiło bezpiecznie w ciele Claire, odżywiane przez jej krew, dryfujące w wodach płodowych. Zaczepnęła powietrza, głęboko i spokojnie, tak jak uczono ją na zajęciach jogi, obserwując unoszącą się w powietrzu rybkę.

Ból stawał się coraz ostrzejszy i przeszywający, promieniował aż na dolną część pleców. Z gardła Claire wyrwał się jęk. Przycisnęła obydwie dłonie do brzucha.

Ledwie zdążyła do łazienki, nim zaczęło się krwawienie.

Claire siedziała wpatrując się w różową zasłonę od prysznicza, ale nie za długo, żeby nikt nie zauważył jej nieobecności. Później zaczęła działać. Odnalazła pod umywalką zapas podpasek Lacey i wzięła dwie – koleżanka na pewno nie miałaby nic przeciwko. Przykleiła jedną podpaskę do drugiej, po czym dwukrotnie spuściła wodę, umyła ręce i przyłożyła mokre palce do skroni. Na więcej nie mogła sobie pozwolić, jeśli nie chciała zniszczyć makijażu. Przechodząc przez sypialnię, starała się nie patrzeć w stronę kołyski i karuzeli. Podniosła torebkę z podłogi w przedpokoju, gdzie ją wcześniej zostawiła, i po chwili zawahania weszła do kuchni. Zastała w niej matkę Lacey, otwierającą kolejną butelkę wina.

– Przykro mi, ale muszę już iść – powiedziała Claire. Jej głos zabrzmiał zbyt głośno i nienaturalnie. – Nie chcę przeszkadzać Lacey podczas otwierania prezentów. Czy mogłabyś ją później ode mnie pożegnać?

Matka Lacey posłała jej zatroskane spojrzenie.

– Wszystko w porządku, moja droga?

– Tak, w jak najlepszym. Dzwonił Ben. Zgubił kluczyki do samochodu, więc muszę po niego pojechać.

– A to pech. Lacey na pewno będzie przykro, że musiałaś wcześniej wyjść. Zabierzesz

do domu trochę jedzenia?

– Nie, dziękuję.

Z salonu dobiegł ją szczebiot kobiet zachwycających się kolejnym rozpakowanym prezentem. Maleńkie ubranka i zabawki, miękkie i nieskalane.

– Jesteś pewna, że wszystko dobrze? Wyglądasz blado. Georgette powiedziała mi, że jesteś w ciąży.

– Georgette musiała mnie źle zrozumieć. – Claire zmusiła się do śmiechu. – Nie, po prostu jest mi przykro, że muszę opuścić przyjęcie. Przepróż Lacey w moim imieniu.

Uciekła do samochodu. Świeże powietrze zakłuło ją w oczy. Poza tym nie czuła nic.

Pojechała prosto do autostrady M4. Wyłączyła radio i wsłuchiwała się w dźwięk silnika. Nie była w stanie myśleć, na szczęście adres miała wpisany w nawigację, a ciało kierowało samochodem jakby bez udziału Claire. Przynajmniej z tym sobie radziło. Skręciła w odpowiedni zjazd, pokonywała podmiejskie drogi prowadzące wzdłuż żywoplotów i brała kolejne zakręty, posłuszna wskazówkom spokojnego, bezosobowego, elektronicznego głosu.

Dom Kahnów znajdował się poza granicami hrabstwa, w Oxfordshire. Claire skręciła w niedokończoną drogę, podskakując na koleinach i wybojach. Zastanawiała się, gdzie jest najbliższa drogeria. Potrzebowała więcej podpasek.

Dom okazał się metalowym szkieletem. Ben, ubrany w odblaskową kurtkę, pokazywał coś na iPadzie państwu Kahnom oraz ich najstarszemu synowi, który również miał na sobie ochronny strój. Cała trójka uśmiechała się, wyraźnie zadowolona z nowego domu, który zaprojektował dla nich Ben. Pozostała trójka dzieci grała w piłkę na polu przed domem.

Ben zauważył samochód Claire, przeprosił Kahnów i podszedł do niej. Otworzył drzwi i uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

– Co się stało?

– Chyba będziesz mnie musiał zawieźć do domu. – Głos jej się załamał.

– Claire? Co się dzieje? Dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Musiałam cię zobaczyć.

Kiedy już zatrzymała samochód, zabrakło jej sił, żeby z niego wysiąść. W środku czuła się bezpiecznie. Udało jej się jakoś prześlizgnąć nad skrzynią biegów i torebką z miejsca kierowcy na siedzenie pasażera. Z daleka dobiegł ją śmiech.

Ben wsiadł do samochodu i położył chłodną dłoń na czole żony.

– Jesteś blada jak płótno.

– Przepraszam – szepnęła.

Zamknęła oczy i zwinęła się na siedzeniu jak dziecko.

Około trzeciej w nocy Ben w końcu zasnął. Claire leżała przez chwilę w bezruchu, rozmyślając, aż wreszcie ból w dolnej części pleców stał się nieznośny. Wysunęła się z ramion męża, wstała i zażyła kilka tabletek przeciwbólowych. Nie musiała już uważać.

Na dole zaparzyła sobie filiżankę mocnej herbaty z mlekiem i cukrem. Odnalazła swojego laptopa i podpięła go do gniazdka w kuchni. Chciała czymś zająć ręce, bo na pewno nie umysł.

Kiedy Ben zszedł na dół tuż po szóstej, pocierając twarz, zastał ją z wzrokiem wlepionym w ekran. Miał zapuchnięte oczy, pognieciony podkoszulek i spodnie od piżamy.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Odplynęłam po ibuprofenie. – Claire ustawiła kursor w nowej komórce arkusza i starannie wpisała: *czekoladowe pomadki*.

– Cieszę się, że go wzięłaś. Wróciły ci kolory. – Ben objął ją od tyłu. – Zrobię nam śniadanie. Nic nie jadłaś, odkąd wróciliśmy wczoraj ze szpitala.

– OK.

Ben przyjrzał się uważnie monitorowi laptopa nad głową żony.

– Co robisz? Chyba nie ślęczysz nad ocenami?

– Nie. – Wklepała słowo *wanilia*, a później zajrzała do kalendarza, wykasowała je i napisała *Wiktoria*. Starła się nie patrzeć na Bena, jego wymiętoszone ubrania i malujący się na twarzy smutek. Nie mogła teraz zmienić zdania.

– W takim razie co robisz?

– Spis ciast – wyjaśniła.

– Co takiego?

– Czy wiesz, ile ciast upiekłam w ciągu ostatnich sześciu lat? Zgadnij. Tylko nie podglądaj. – Zasłoniła monitor dłonią.

– Nie mam pojęcia.

– To tylko przybliżona liczba. Piekałam ciasta na wszystkie nasze urodziny, dla Posie, twojego taty i na Boże Narodzenie. Ciasta na specjalne okazje w Świętym Dominiku i dla mojej klasy. Na lokalne kiermasze. Nie wspominając już o wypiekach na spotkania grupy wsparcia dla osób mających problemy z płodnością oraz tych, które przynosiłam na prośzone kolacje i lunche. Zgadnij, ile ich w sumie było.

– Skarbie, rozumiem, że chcesz czymś zająć myśli, ale powinnaś odpocząć.

– Naliczyłam osiemdziesiąt sześć ciast. Porcję babeczek liczyłam jako jedno ciasto, chociaż nie jestem pewna, czy słusznie. Zwykle też przygotowuję ciasto na cztery cytrynowe babki, bo panie z grupy wsparcia ciągle o nie proszą. W tym przypadku również liczyłam je jako jedno.

– W porządku – odparł Ben. – Masz na koncie mnóstwo upieczonych ciast. Jesteś w tym świetna.

– Wiesz, ile z nich zjadłam? Oczywiście nie chodzi mi o całe ciasta, tylko o kawałki.

– Nie mam pojęcia.

– Ani jednego. – Wskazała palcem jedną z rubryk. – Pamiętasz to kawowo-orzechowe ciasto z kremem o smaku espresso? Na pewno by mi smakowało.

– Niemożliwe, żebyś upiekła osiemdziesiąt sześć ciast i nie skosztowała żadnego z nich.

– Nawet nie oblizałam łyżki.

Ben nic nie odpowiedział.

– Ale – kontynuowała Claire – teraz nie muszę się o to martwić. Podjęłam decyzję, Ben. Rezygnuję.

– Z czego? – Nie mogła zobaczyć jego twarzy, ponieważ stał za jej plecami, ale знаła go na tyle dobrze, że wyczuwała nastrój Bena po sposobie, w jaki ją dotykał.

– Ze wszystkiego – odparła. – Z pilnowania diety, żeby utrzymać optymalne BMI dla poczęcia dziecka, z hormonów i zastrzyków. Ograniczeń i stymulacji. Siusiania na testy. Wydobywania ze mnie jajeczek, zapładniania ich w probówce i ponownego umieszczenia w moim ciele.

– Wcale tak nie myślisz – odparł Ben. – Jesteś zła, bo nam nie wyszło. Następnym razem się uda, Claire.

– Mówię poważnie. – Zatrzasnęła laptopa.

Ben odsunął się od żony, wyciągnął krzesło i usiadł tuż obok niej, twarz przy twarzy. Claire zebrała się na odwagę i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Nie musiałeś przechodzić przez to, co ja – powiedziała. – Twoim jedynym zadaniem było spuścić się do kubeczka.

– Przeżywałem to razem z tobą – odparł cicho.

– To nie ty wykrwawiasz teraz nasze dziecko – zauważyła Claire. Ben się wzdrygnął.

– Jesteś niesprawiedliwa – powiedział.

– Sama też nie czuję się sprawiedliwie potraktowana. Wczoraj byłem na przyjęciu z okazji urodzin dziecka, kiedy zaczęło się poronienie. – Pokręciła głową. – Nigdy więcej nie wybiorę się na podobne przyjęcie. Po co mam się nad sobą znęcać?

– To akurat potrafisz zrozumieć, ale nie wolno nam się poddawać. Nadal zostało nam wiele szans i nie powinniśmy podejmować żadnych ważnych decyzji pod wpływem emocji. – Wziął ją za rękę. – Może przydałby się nam urlop?

– Wakacje nam nie pomogą, zresztą nas na to nie stać. I tak się już zadłużyliśmy, żeby zapłacić za in vitro.

– Pozwól, że sam będę się o to martwił.

– Jestem nieudaczniczką. Nic tego nie zmieni.

Ben ścisnął jej dłoń.

– Nie jesteś nieudaczniczką, Claire.

– To moja wina, że nie możemy mieć dzieci.

– Wcale nie.

– Każde z moich jajeczek było do niczego. Słyszałeś, co mówili lekarze. Próbowaliśmy już dziesięć razy. – Podniosła obie dłonie, rozkładając palce. – I tylko raz doczekaliśmy się pozytywnego rezultatu. Urodziłam się z felernymi jajeczkami. Nie zrobiłam nic złego. Były felerne przez całe moje życie.

– Nie masz żadnego feleru – odezwał się Ben. – Jesteś idealna.

– Zrzuciłam zbędne kilogramy. Później schudłam za bardzo, więc musiałam przytyć, ale przesadziłam i znów zaczęłam się odchudzać. Przyjmowałam witaminy, medytowałam i przeczytałam tonę fachowych książek. Przez ostatnie sześć lat myślałam wyłącznie o poczęciu dziecka. Mam już dosyć, Ben. Dłużej nie dam rady. Skoro nie jest nam pisane rodzicielstwo, trudno. Równie dobrze możemy się z tym pogodzić.

Claire wstała i postawiła czajnik na kuchence.

– Nie wycierpiałem tyle, co ty – przyznał Ben – ale nie spotkało nas nic niezwykłego. Około trzydziestu procent zabiegów in vitro kończy się sukcesem. Wiedzieliśmy o tym od początku.

– Już mi to nie wystarcza.

Ben wstał.

– Wiem, że cierpisz, ale jeśli się poddamy, to wszystkie nasze starania pójdą na marne.

– Czy nie uważasz, że najwyższa pora się wycofać?

– Zrobmy sobie przerwę, a później się zastanowimy.

– To dziecko, nie powinnam go była pokochać – powiedziała Claire. – Wiedziałam, że może się nie urodzić. Rozumiałam, że to tylko zlepek komórek, ale czułam je, tam w środku, wewnątrz mnie. Wydawało mi się, że rośnie. Ciągle dotykałam brzucha, miałam swój mały sekret. Pokochałam je. Nie zdołałam się powstrzymać.

Ben próbował ją objąć, lecz się odsunęła.

– W porządku, Ben. Nie muszę się dłużej zastanawiać. Nie zmienię zdania. Podjęłam decyzję dziś rano, kiedy spałeś, i od razu poczułam się lepiej. Przykro mi, że się nam nie udało i jednocześnie czuję ulgę, jakby zdjęto mi z ramion wielki ciężar.

– Ale... co z naszymi planami?

– Nasze plany sprawiają mi ból. Od dawna myślałam wyłącznie o urodzeniu dziecka. Najgorsze w tym wszystkim było mieć nadzieję. Podczas każdego cyklu łudziłam się, że tym razem się nam powiedzie, a tu... nic.

– Ja też się tak czułem.  
– W takim razie uszanujesz moją decyzję.  
– Byliśmy tak blisko.  
– Tym gorzej. – Claire przykucnęła i zaczęła szukać w szafce cukru pudru. Czuła obecność Bena za swoimi plecami, jego zaskoczenie i rozczarowanie.  
Przez kilka chwil nic nie mówił.  
– Claire – odezwał się wreszcie udęczonym głosem. – Proszę.  
Zamknęła oczy, nadal nie wstając. Nie mogła na niego spojrzeć ani do niego podejść. Nie w tej chwili. Poczulaby się wtedy jeszcze gorzej, jeszcze bardziej winna swojej porażki.  
– Wiem, że cię zawiodłam – powiedziała – ale wolę podjąć decyzję teraz niż fundować ci kolejne rozczarowania. Poza tym to moje ciało, Ben. Przykro mi. – Sięgnęła po cukier.  
– Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć? – zapytał. – Co robisz?  
– Piekę kawowo-orzechowe ciasto z kremem o smaku espresso.  
Ben wyszedł z kuchni, a Claire podniosła się z podłogi. Zaczęła odmierzać cukier, gram po gramie.

## ROZWIĄZANIE

Bar Róża i Oset pękał w szwach z powodu quizu połączonego ze zbiórką funduszy dla pogotowia lotniczego w Berkshire. Romily pomachała kilku stałym bywalcom, rzuciła sztruksową kurtkę na swój ulubiony stolik przy kominku i podeszła do baru.

– Zwykle zjawia się przed tobą – zauważyła Liz, właścicielka lokalu.

Romily podejrzewała ją o to, że podkochiwała się w Benie.

Był to jego ulubiony bar: z niskim sufitem, z dachem krytym strzechą, przystrojony mosiężnymi ozdobami końskich uprzęży i suszonym chmielem. Jeśli Romily miała ochotę się napić, zamiast jazdy samochodem czekała ją przejażdżka autobusem i kilometrowy spacer.

– I tak naleję mu piwo – dodała Liz, sięgając po kufel.

– Możesz dołączyć do naszej drużyny – odezwał się jeden ze stałych klientów baru, Glenn, podchodząc do Romily. Miał na sobie pikowaną kurtkę i sztruksy, typowo weekendowy strój angielskiego dziedzica.

– Dzięki, ale jeśli nie przyjdzie, spróbuję swoich sił w pojedynkę.

– Nie poradzisz sobie z kategorią „bieżące wydarzenia”.

– Skąd wiesz, że nie zaczęłam uważnie śledzić wiadomości?

Glenn uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nieraz obserwowałem cię podczas tych quizów. Znam twoje słabości.

– Przerażasz mnie.

– Kto jest obecnym premierem?

– To łatwe. Barack Obama.

– Nie masz szans, złotko.

– O ile się założysz?

Glenn zawahał się.

– Tak myślałam – odparła Romily.

Liz przesunęła po barze dwa kufle, a Romily zaniósła je do stolika. Wpatrywała się w drzwi. Ben nie odpisywał na jej SMS-a przez ponad tydzień. Nie przyszedł na mecz piłki nożnej w zeszłą sobotę. Mogli dokądś wyjechać z Claire, ale na pewno by o tym wspomniał, szczególnie że od lat spotykali się na quizach. Załatwianie opiekunki do dziecka tylko po to, żeby samotnie siedzieć w Róży i Oście wydawało się Romily stratą pieniędzy. Gdyby wiedziała, że Ben się nie zjawi, wybrałaby inny wieczór, wyszła na miasto i zrobiła coś innego, na przykład...

Cóż, w tej chwili nie potrafiła niczego wymyślić, ale znalazłaby sobie zajęcie. Poszłaby do kina, była w nim wieki temu, albo pojechała na wykład do Londynu.

Oczywiście mogła to zrobić w dowolny wieczór, ponieważ Ben i Claire zaopiekowałiby się Posie, gdyby tylko ich o to poprosiła. Tak naprawdę nie przejmowała się zamówioną niepotrzebnie opiekunką, tylko milczeniem Bena. Oczywiście, rozumiała to. Miał przecież swoje życie, a jego żona spodziewała się dziecka.

Romily ze zdziwieniem odkryła, że wypiła ponad połowę swojego piwa. Nie spuszczać wzroku z drzwi, wypiła drugą połowę. Na końcu baru Muz, wysoki hippis, który prowadził quiz, szykował arkusze z pytaniami. Włączył mikrofon, a ten jak zwykle przeciągle zapiszczał. Romily skrzywiła się. Rywalizacja podczas takich lokalnych quizów była ostra – według Bena uczestnicy omawiali strategię miesiącami. Każda drużyna mogła się składać maksymalnie z sześciu osób. Ona i Ben byli zwykle jedynym duetem, co nie powstrzymywało ich od zgarniania palmy pierwszeństwa przez ostatnie trzy lata. Pozostałe drużyny naradzały się już

przyciszonymi głosami, jakby Róża i Oset nagle zamieniła się w strefę działań wojennych.

– Jesteś sama? – zapytał Muz, roznosząc arkusze z pytaniami.

– Na to wygląda.

– Wczoraj wieczorem widziałem Bena, jak wyjeżdżał z miasta razem z żoną.

Romily przygryzła wargę i spojrzała na rundę ze zdjęciami sławnych postaci. Cholera. Glenn miał rację. Nie znała żadnej z tych osób.

– Kiedy zrobisz rundę ze zdjęciami owadów?

– Miałabyś niesprawiedliwą przewagę nad resztą drużyn.

– Zawsze mam niesprawiedliwą przewagę – mruknęła. – Tylko że akurat ten wieczór postanowił spędzić z żoną.

– W takim razie do baru właśnie wszedł jego brat bliźniak – odezwał się Muz, a Romily z uśmiechem podniosła wzrok.

Ben przypominał chmurę gradową. Popatrzył na Romily i stojący przed nią kufel z piwem, po czym ruszył prosto do baru.

– Wyczuwam kłopoty – zauważył Muz. – Co zmalowałaś?

– Nic – odparła. – Pewnie chodzi o pracę.

Liz przywitała się z nim wylewnie. Romily nie usłyszała, co mówili, a Ben stał do niej odwrócony tyłem, lecz sądząc po rzednącej minie barmanki nie odwzajemnił jej radosnego nastroju. Romily ponownie skoncentrowała uwagę na zdjęciach.

Na stoliku pojawił się kolejny kufel z piwem. Ben usiadł na swoim zwykłym miejscu.

– Pokaż mi to – powiedział.

Romily podsunęła mu kartkę ze zdjęciami sławnych postaci. Patrzyła, jak sięga po zostawiony na stoliku przez Muza ołówek i pospiesznie wpisuje odpowiedzi, unosząc kufel do ust lewą dłonią. Zwykle o tej porze przekomarzaliby się już z pozostałymi drużynami, lecz Ben wysyłał wszystkim wyraźny sygnał: „nie odzywajcie się do mnie”. Nawet stali bywalcy woleli się trzymać na dystans.

Ben rzadko bywał w złym nastroju. Romily miała dość zdrowego rozsądku, by nie pytać, co się stało. Sączyła drugie piwo, to, które było przeznaczone dla Bena. Kiedy podpisał połowę obrazków, zapytała od niechcienia:

– Nazwa drużyny?

– Wszystko mi jedno. Wymyśl coś.

Nabazgrała *Lumbricus terrestris* na górze kartki.

– Co to takiego? – zapytał.

– Dżdżownica. Nie będziemy się wychylać.

Ben burknął coś pod nosem i dopił swoje piwo.

– Teraz twoja kolej, skoro poprzednio o mnie zapomniałaś.

– Ja... – Romily zamknęła usta. Nie było sensu się tłumaczyć. Zamówiła piwa u znacznie mniej radosnej Liz i wróciła z nimi do stolika.

Bez zbędnych słów przebrnęli przez następną kolejkę, rundę wiedzy ogólnej i bieżących wydarzeń, aż wreszcie Romily poczuła – poza nieprzyjemnie przelewającym się po jej żołądku piwem – coś na kształt niepokoju. Kiedy widzieli się ostatnim razem, Ben był taki szczęśliwy. Istniało tylko jedno wytłumaczenie tak ogromnej zmiany nastroju... ale wtedy nie byłby chyba rozgniewany?

Może się myliła.

Przyjrzała się Benowi uważniej i wtedy dostrzegła coś dziwnego w kącikach jego oczu. Nie mogła uwierzyć, że była taka ślepa.

– Czy z Claire wszystko w porządku? – zapytała cicho, wyrzucając sobie, że nie



zorientowała się wcześniej.

Ben skończył pisać „John Ratzenberger” i mocno zacisnął dłoń, w której trzymał ołówek.

– Straciliśmy dziecko.

Muz zadał kolejne pytanie, ale Romily go nie usłyszała.

– Och, Ben, tak mi przykro.

Miała ochotę wstać, obejść stolik i przytulić Bena, ale to nie było w ich stylu.

Wyciągnęła koniuszki palców w stronę dłoni, w której trzymał ołówek, i zatrzymała je milimetry od jego zbieleńszych knykci.

– Przykro mi – powtórzyła. – Kiedy... kiedy to się stało?

– W zeszły czwartek, po południu. Byłem na budowie. Nie było mnie przy niej, kiedy to się zaczęło.

– Wydawało mi się, że dobrze się czuła.

– Nam też.

Zagryzła wargę i przez chwilę przyglądała się Benowi. Napięcie zniknęło z jego twarzy, która nagle wydała się obwisła. Ben patrzył w swoje piwo i osadzoną na brzegu szklanki pianę.

– Następnym razem się uda – odezwała się Romily.

Ben przełknął ślinę.

– W tym rzecz – powiedział. – Claire twierdzi, że nie będzie już próbowała.

– Co takiego? Poważnie?

– Tak. Chce się poddać.

– No cóż... straciła wiarę. To logiczne. Potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie.

– Też tak pomyślałem.

– No widzisz. – Upiła łyk piwa z nadzieją, że rozmowa dobiegła końca.

– Ale mówi, że nie zmieni zdania.

– Jeszcze na to za wcześnie.

– Nigdy taka nie była. Nie potrafię do niej dotrzeć. Nie chce mnie słuchać.

– Ach, tak.

– Wiem, jakie to dla niej okropne. Na pewno przeżyła to bardziej niż ja. Ale jak może się poddawać? Przez nią to wszystko pójdzie na marne.

– Cóż. – Romily odsunęła ręce i objęła palcami szklankę, rozglądając się po sali.

Wszyscy byli pochłonięci quizem.

– Mieliśmy plan: skończyć studia i wziąć ślub. Ona miała zdobyć uprawnienia nauczycielskie i uczyć, a ja wspinać się po szczeblach kariery. Chcieliśmy przeprowadzić się na wieś i założyć rodzinę, Claire miała rzucić pracę, a ja – otworzyć własny biznes.

– Tak.

– Rzeczywiście, zabrało nam to więcej czasu niż myśleliśmy, ale takie rzeczy się zdarzają. Realizowaliśmy nasze cele stopniowo. A teraz ona postanowiła odpuścić.

Romily usłyszała czyjeś chrząknięcie. Podniosła wzrok i zobaczyła pochylonego nad nią Muza, wyciągającego rękę.

– Formularz odpowiedzi z rundy bieżących wydarzeń?

Ben podał mu kartkę. Muz uniósł brwi, widząc, że jest w połowie pusta, ale podał im formularz odpowiedzi do rundy filmowej i podszedł do kolejnego stolika.

– Nie odzywa się do mnie – powiedział Ben. – Myśli, że będę ją przekonywał do zmiany zdania, a ja chcę tylko porozmawiać. – Objął głowę dłońmi.

Romily słyszała kolejne pytania quizu. Nie wiedziała, jak zareagować.

– Zastanawialiście się nad adopcją? – zapytała.

– Chcieliśmy mieć własne dziecko. Oczywiście, Claire dowiadywała się również o możliwość adopcji. Czy wiesz, jak długo trwają procedury i jak trudno jest dostać niemowlę?  
– Dopił swoje piwo. – Sam nie wiem. Może powinniśmy wrócić do tego tematu, ale nie jestem gotowy, żeby zrezygnować z naszych marzeń, Romily. Nie mogę uwierzyć, że ona tak.

Romily wstała od stolika.

– Jeszcze jedna kolejka?

– Tak.

Podeszła do baru. Wypiła jedno piwo więcej niż on, ale nie czuła się pijana, chociaż cała się trzęsła.

Nigdy nie widziała Bena w takim stanie. Tego radosnego, pełnego optymizmu i niespożytej energii Bena, który na wszystko miał odpowiedź.

– Czy wszystko z nim w porządku? – zapytała Liz.

– Nic mu nie jest – odparła Romily. – Ma po prostu gorszy wieczór. – Liz popatrzyła jednak w kierunku ich stolika i wiedziała, że to coś więcej niż gorszy wieczór. Ben wyglądał na przybitego. Tak, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg.

– Wezmę jeszcze dwie tequile – zdecydowała Romily.

Przyniosła drinki do stolika.

– Proszę. Wypij to.

Ben uniósł ze zdziwieniem brwi, ale wypił tequilę.

– Alkohol niszczy plemniki – zauważył – ale teraz to i tak bez znaczenia.

Romily szybko wypila swój kieliszek. Tequila od razu uderzyła jej do głowy.

– To niesprawiedliwe – powiedziała. – Miliony kobiet nie chcą mieć dzieci, a i tak zachodzą w ciążę, chociaż piją, palą i ćpają. – Napila się piwa, żeby pozbyć się z ust posmaku tequili. – Czasami myślę, że ludziom byłoby łatwiej, gdyby poszli w ślad mrówek czy pszczół. Zbiorowe rodzicielstwo. Wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Cóż za eleganckie rozwiązanie.

– Jeśli mamy gadać o robakach, będę potrzebował więcej tequili – odparł Ben.

Poszedł do baru i wrócił po kilku minutach.

– Posie i tak wolałaby, żebyście to wy byli jej rodzicami – zauważyła Romily, kiedy wypili następną kolejkę.

– Wcale nie.

– Naprawdę. I nie winię jej za to. Gdybym cię nie... – przerwała w pół zdania. Tequila była niebezpieczna i dlatego nigdy jej nie piła w obecności Bena. Zaczęła jeszcze raz: – Gdybyś nie był moim przyjacielem, znenawidziłabym cię. Jesteś mądry, utalentowany i odniosłeś sukces. Poślubiłeś miłość swojego życia. Każdy, kogo spotykasz, natychmiast się w tobie zakochuje.

– Nie opowiadaj głupstw.

– Mówię poważnie. Spójrz tylko na Liz.

Oboje na nią popatrzyli. Właścicielka baru nie spuszczała z nich oka, marszcząc brwi. Kiedy zorientowała się, że przyłapali ją na gorącym uczynku, lekko się uśmiechnęła i pomachała w ich stronę, po czym zaczęła udawać, że wyciera bar.

– Po prostu stara się być miła – odparł Ben.

– Spójrz na mnie – kontynuowała Romily, lecz szybko ugryzła się w język. Przeklęta tequila. – To znaczy, spójrz na moje życie, w porównaniu z twoim. Mieszkam w ciasnej klitce w zabitej dechami dziurze i nigdy nie mam pieniędzy. Kocham swoją pracę, to fakt, ale nie bardzo mogę się nią chwalić na przyjęciach, jeśli już ktoś mnie zaprosi, co prawie nigdy się nie zdarza. Nie byłam na randce od... bardzo dawna.

– Masz coś, czego mi brakuje – zauważył cicho Ben. – Posie.

– Tak, ale nawet to jest niesprawiedliwe. Wy staracie się o dziecko od lat, a mnie wystarczy jedna felerna prezerwatywa i bum!

– Posie jest cudowna.

– Owszem, i bardzo ją kocham, ale jak pamiętasz, nie była planowana.

– Pamiętam. Ale podjęłaś słuszną decyzję, prawda?

– Oczywiście. To znaczy... tak. Posie jest niesamowita, nie zrezygnowałabym z niej za nic na świecie. Nie przestaje mnie zaskakiwać, ale trudno mnie nazwać typem urodzonej matki. W telewizji widuje się mnóstwo rozculających obrazków. Przypomnij sobie wszystkie te reklamy papieru toaletowego, pełne uroczych dzieciaków i psów. Jest mnóstwo rzeczy, na które człowiek się nie pisze, na przykład kolka, choroba lokomocyjna czy wysypka. Do tego tony prania i gry planszowe, w kółko to samo i od nowa, aż wreszcie masz ochotę krzyczeć. A kiedy dziecko zrobi sobie krzywdę, czujesz się tak, jakby wyrwano ci część siebie, cofasz się do najbardziej prymitywnej formy swojego jestestwa. Nie wspomnę już o matkach na placu zabaw...

Jeśli chciała w ten sposób podnieść Bena na duchu, to osiągnęła odwrotny skutek. Miał minę, jakby wymierzyła mu cios w brzuch.

– No tak – odchrząknęła. – Dość tego gładzenia. Musimy obmyślić plan działania.

– Sam nie wiem, Romily. Może Claire ma rację. Może rodzicielstwo nie jest nam pisane.

– Nonsens. Czy kiedykolwiek pozwoliłeś mi się poddać? Nawet wtedy, gdy chciałam?

Ben wlepił wzrok w piwo.

– Nie.

– Sam widzisz.

Sięgnęła po formularz odpowiedzi dla rundy filmowej, odwróciła go i wzięła do ręki ołówek. SKĄD WZIĄĆ DZIECKO DLA BENA I CLAIRE – napisała na górze. Później doszła do wniosku, że brzmi to tak, jakby zamierzali je kupić w supermarkecie, więc starła nagłówek i napisała: W JAKI SPOSÓB BEN I CLAIRE MOGĄ ZOSTAĆ RODZICAMI.

– Jeden – powiedziała, zapisując. – Adopcja.

– No nie wiem.

– Dwa. Hm... – Podrapała się w czoło ołówkiem i upiła łyk piwa. – Wpadka.

– To mało prawdopodobne, prawie cud.

– No cóż, cuda się zdarzają. Biologia nie jest nauką ścisłą. W każdym razie podczas burzy mózgow liczy się każdy pomysł. Zobaczmy, co z tego wyjdzie. Trzy: kolejna próba zapłodnienia in vitro.

– Claire zarzeka się, że tego nie zrobi. Szkoda, że nie mogę jej zastąpić. Chętnie przeszedłbym przez to wszystko sam.

Na widok jego miny Romily zrobiło się niedobrze, ale postarała się wlać nieco radości w swój głos. Zawsze udawało jej się rozśmieszyć Bena, przynajmniej w tym była dobra.

– Spróbujmy inaczej. Cztery: niewiarygodny przełom w nauce, np. męska ciąża.

– Romily, to idiotyczne. Nie powinnaś pić tequili.

– Pięć: kosmici.

Ben delikatnie się uśmiechnął, dobre i to. Romily brnęła dalej:

– Sześć: wynajęte jajniki.

– Co takiego?

– Problemem są jajeczka Claire, prawda? Wykorzystajcie cudze jajeczka i twoją spermę, wtedy dziecko będzie twoje.

– Ale nie Claire.

– Czy to będzie dla niej problem?

– Nie... nie wiem. – Zamyślił się przez chwilę.

– W każdym razie to by oznaczało dalszą terapię – zauważyła Romily – i wszczepianie embrionów, więc może to nie najlepszy pomysł.

– Zdaniem lekarza Claire może mieć problem z donoszeniem ciąży, nawet jeśli zdobędziemy embrion. Musimy zrobić więcej badań. – Ben potarł czoło. – Claire mówi, że najgorzej jest mieć nadzieję.

Romily westchnęła i przyjrzała się liście. Jej pismo było chwiejne, niewątpliwie z powodu tequili. Coś nie dawało jej spokoju, jakiś pomysł, który usiłował się wydostać na powierzchnię.

– Hej – rozległ się czyjś głos. Oboje podnieśli głowy i zobaczyli Glenna z dwoma kieliszkami tequili. – Chciałem wam podziękować za to, że położyliście quiz. Pierwszy raz udało nam się wygrać.

– Powinieneś być przyjąć zakład – powiedziała Romily i wzięła od niego tequilę.

– Będę wdzięczny, jeśli powtórzycie to następnym razem.

– Marne szanse.

Glenn zasalutował im i wrócił do swojej drużyny, z członkami, której przybił piątki.

Ben oparł łokcie na stole, a podbródek na dłoniach.

– Wiem, że próbujesz mi pomóc, Romily, ale czuję się okropnie. Nigdy nie kłóciłem się z Claire. Miewaliśmy drobne sprzeczki, ale nigdy takie jak ta. Ona nie chce mnie dotknąć ani nawet na mnie spojrzeć. Widzę, że cierpi, ale nie potrafię ukoić jej bólu. Ciągłe wracamy do punktu wyjścia. Ja nadal pragnę dziecka, a ona się poddała. – Wypił tequilę, Romily poszła jego śladem.

I wtedy ją olśniło. Myśl rozbłysła w jej głowie jak fajerwerk.

– Ben! – zawołała. – Już wiem! Mogę urodzić ci dziecko!

– Nie opowiadaj głupstw, Romily.

– Nie, mówię poważnie. Donoszę dziecko, urodzę je, a później oddam tobie i Claire.

– Wystarczy już tego, Romily.

– Możemy użyć twojej spermy i moich jajeczek, oczywiście nie będziemy uprawiać seksu. Skorzystamy ze szprycy – nagle zaczęły jej się pocić dłonie – ja zajdę w ciążę, Claire nie będzie musiała się dłużej leczyć, a dziecko będzie wasze. Ja już jedno mam, więc wiem, że mogę zajść w ciążę i urodzić. Od strony fizycznej to było dla mnie dość łatwe. Nie chcę mieć więcej dzieci, więc nie będę miała problemu z oddaniem wam niemowlęcia.

– Romily – odezwał się Ben – oto jeden z tak zwanych przebłysków geniuszu, które nawiedzają cię po pijaku i których następnego dnia nie pamiętasz.

– Nie! To znaczy owszem, jestem pijana, ale to prawdziwy przebłysk geniuszu. Ciąża nie jest dla mnie żadnym problemem.

– Za pierwszym razem nie bardzo ci się podobało.

– Nie, ale ciągle się martwiłam, jak utrzymam Posie, jak poradzę sobie z badaniami i pisaniem doktoratu z małym dzieckiem, czy macierzyństwo mi się spodoba, czy nie. No i ta sprawa z... no wiesz, jej ojcem. Tym razem nie będę miała podobnych zmartwień. Będę wiedziała, że dziecko zamieszka w porządnym domu. Najlepszym, jaki znam.

– Ja... – Widziała, że Ben się nad tym zastanawia. – Nie mógłbym cię o to prosić.

– Wcale nie! Spójrz. – Chwyliła ponownie ołówek i napisała wielkimi literami, wypełniając nimi resztę strony: SIEDEM: ROMILY URODZI WAM DZIECKO!!! Podniosła kartkę na wysokość oczu Bena. Delikatnie ją odepchnął.

– To poważna sprawa, Romily.

– Ale Ben, ty i Claire zasługujecie na dziecko. Jeśli tylko mogę wam pomóc, zrobię to.

Tyle wam zawdzięczam. Przez wszystkie te lata opiekowaliście się Posie...

– Z nieprzymuszonej woli. Kochamy ją. Nie jesteś nam nic winna.

– Posie nie byłoby na świecie, gdyby nie ty, Ben. – Popatrzyła mu prosto w oczy. –

Pamiętasz tamten wieczór?

– Pamiętam.

– Jesteś jedną z najważniejszych osób w moim życiu – powiedziała. Serce biło jej jak szalone. – Pozwól mi to zrobić.

– Mówisz poważnie? – zapytał cicho Ben.

– To tylko dziewięć miesięcy. Czym jest dziewięć miesięcy w porównaniu z tym, co ja i Posie wam zawdzięczamy? Zrobię to.

Widziała, jak się zastanawia. Wyraźnie dostrzegła moment, w którym w jego oczach znów pojawiła się nadzieja.

– Urodziłabyś dla nas dziecko? – zapytał z niedowierzaniem.

– Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Absolutnie wszystko.

Nic nie powiedział. Wyciągnął ręce nad barowym stolikiem, ujął twarz Romily w dłonie i pocałował ją, niespodziewanie i mocno, po czym mocno przytulił.

– Dziękuję – szepnął jej we włosy. – Dziękuję ci. Dziękuję.

Romily przywarła do Bena. Szumiało jej w głowie i nie mogła złapać tchu.

Z policzkiem przyciśniętym do jego piersi czuła na ustach smak piwa, tequili i pocałunku ze swoim najlepszym przyjacielem.

## GRUSZA

– Dzień dobry!

Claire uklepała ziemię wokół cebulek, by mieć pewność, że dobrze się zakorzeniły, zanim uniosła wzrok. Ben szedł przez trawnik z dwoma parującymi kubkami w rękach. Miał na sobie podkoszulek, spodnie od piżamy i najwyraźniej nie dbał o to, że jego bosa stopy i dół nogawek są całe mokre.

– Ciężko pracujesz od samego rana – zauważył, wręczając żonie jeden z kubków, i przykucnął obok niej.

– Znalazłam te cebulki w garażu i postanowiłam wykorzystać słoneczną pogodę.

– To dobry dzień na sadzenie – Ben uśmiechnął się w stronę nieba.

– Spałeś w pokoju gościnnym.

– Wypiłem kilka drinków i nie chciałem cię budzić – odparł. – Poza tym miałem nad czym rozmyślać. – Usiadł na trawie. – Przepraszam cię, Claire. Nie starałem się spojrzeć na sprawę z twojej perspektywy. Byłem tak skupiony na naszym dziecku, że nie rozumiałem, jakie to było dla ciebie trudne. Wydawało mi się, że oboje przez to przechodzimy, ale masz rację: to twoje ciało i to tobie jest trudniej.

– W porządku – odparła Claire.

– Zachowałem się gruboskórnie, namawiając cię do kolejnych prób sztucznego zapłodnienia. Rozumiem, że dla ciebie to oznacza ryzyko kolejnej porażki.

– OK.

– Byłem zaślepiony, jak zawsze, kiedy mi na czymś bardzo zależy. Ale powinienem być cię posłuchać.

– Mnie też jest przykro – zapewniła Claire. – Wiem, jak bardzo pragniesz dziecka. Ja zresztą też. Gdybym tylko mogła, na pewno bym je urodziła.

Ben przyciągnął ją do siebie.

– Masz ziemię na czole – powiedział, wycierając ją.

– Ja też czuję się podle – ciągnęła Claire. – Od najmłodszych lat zakładałam, że będę miała dzieci i że to ty będziesz ich ojcem. Wchodząc do ogrodu myślałam o tym, jak dobrze będą się w nim bawiły. Wyobrażałam sobie boisko do piłki nożnej i huśtawkę na gruszy. Tak bardzo się na tym zafiksowałam, że przestałam zwracać uwagę na to, co mamy.

– Nasze życie jest szczęśliwe, owszem.

– Nie taką przyszłość sobie wyobrażałam, ale nie to znaczy, że będzie zła. Możemy być szczęśliwi, skoro się kochamy, prawda?

Ben pocałował ją w policzek i mocno przytulił.

– Ja już jestem bardzo szczęśliwy – zapewnił.

Claire rozluźniła się w jego ramionach, przymknęła oczy i wsłuchała się w świergot kosa przycupniętego na gruszy. Prawdziwej gruszy, która rosła na wyciągnięcie ręki, zakwitała każdej wiosny i wydawała owoce jesienią. Gruszy, która była doskonała sama w sobie i bez huśtawki.

– Która godzina? – zapytała Claire.

– Nie wiem. Koło wpół do ósmej? To cud, że nie mam kaca, zważywszy na ilość tequili, którą wczoraj wypiliśmy.

– Jakim wynikiem pokonaliście przeciwników?

– Tym razem przegraliśmy. Chyba odebrałem Romiły szansę na zwycięstwo.

– Mhm.

Claire wiedziała, że Ben rozmawiał z Romily. Nie potrafili tylko odpowiadać na pytania i kłócić się o piłkę nożną. Po wypiciu drinka czy dwóch, Ben musiał poruszyć którąś z ich prywatnych spraw.

Jej matka zawsze była przerażona tym, że Ben miał przyjaciółkę, lecz Claire nie należała do kobiet mieszających się w przyjaźnie swoich mężów. Małżeństwo opierało się przecież na zaufaniu. Nie była jednak zachwycona, że omawiał ich osobiste problemy w pubie. Z drugiej strony to, że przeprosił ją akurat tego ranka, mogło się zdarzyć nieprzypadkowo.

– Czy Romily pomogła ci zrozumieć kobiecy punkt widzenia? – zapytała.

– Można tak powiedzieć.

– W takim razie chyba powinnam jej podziękować. – Zmierzyła mu włosy. – Wejdźmy do domu. Pewnie masz mokrą pupę.

– Co powiedziałaś? Że chcesz mieć mokrą pupę? – Popchnął Claire na trawę.

– Ben!

Wgramolił się na nią, oplótł ramionami i zaczęli się tarzać po trawniku. Claire piszczała, Ben zaśmiewał się do łez, przetaczając się swoim ciężkim i ciepłym ciałem po jej ciele. Oboje byli mokrzy, ubłoceni i nie mogli złapać tchu, kiedy wreszcie zatrzymali się przy pniu gruszy, leżąc ramię przy ramieniu.

– Wariat z ciebie – zachichotała Claire.

– Mówiłem ci, że jestem szczęśliwy.

Pocałował ją raz i drugi w usta.

– Powinniśmy wracać.

– Poleżmy jeszcze przez chwilę.

Popatrzyli w górę, na skomplikowany wzór utworzony przez gałęzie drzewa. Kos, który zamilknął na widok ich harców, wrócił do śpiewania.

*Bądźcie tu i teraz.* Hannah, jej instruktorka jogi dla starających się o dziecko, zawsze to powtarzała. Oduś, zrelaksuj się i rozkoszuj chwilą. Claire nigdy nie była w tym dobra. Kiedyś Ben zafundował jej weekend w SPA, podczas którego miała przez bitą godzinę unosić się na plecach w cieplej, bardzo słonej wodzie, wpatrując się w sztuczne gwiazdy zrobione z lampek choinkowych i słuchając muzyki New Age. Powinna była się odprężyć i rozkoszować chwilą. Stać się częścią wody i muzyki. Terapeutka powiedziała, że niektórzy podczas tego zabiegu odpływali w sen.

Claire zacisnęła pięści i oczy, żeby nie dostała się do nich słona woda. Czowała się jak deska, martwe ciało, każdy najdrobniejszy ruch kierował ją w stronę ścian zbiornika. Co chwilę uderzała głową i stopami o zimne kafelki.

Być może jej problem polegał na tym, że za bardzo koncentrowała się na przeszłości i przyszłości, żeby odpuścić. Może powinna to robić częściej: pozwalać sobie na spontaniczne chwile z mężem, leżeć na trawie.

Chwyliła go za rękę i poczuła, jak palce Bena zaciskają się wokół jej palców. Mięśnie Claire rozluźniły się i miękko ułożyły na trawie.

## KAC

Romily uchyliła jedno oko i natychmiast je zamknęła. Pokój zdawał się wirować wokół własnej osi.

Tequila. Fuj. Jak Meksykanie mogą to pić?

Powoli dźwignęła się do pozycji siedzącej, oparła się o zagłówek łóżka i wzięła kilka wdechów, zanim znowu spróbowała otworzyć oczy. Poczowała ostry ból w skroniach, za to pokój tkwił prawie nieruchomo, a więc zrobiła jakiś postęp. Rozejrzała się, na wypadek gdyby szczęśliwie pamiętała o postawieniu szklanki wody na nocnym stoliku, ale zobaczyła na nim tylko stertę książek oraz wsunięty pod lekko zużytą chusteczkę grzebień.

A więc tu się schował. Zerknęła na zegarek, który wciąż tkwił na jej nadgarstku: dziesiąta trzydzieści.

– Posie? – zawołała, jednocześnie się krzywiąc.

Żadnej reakcji. Romily zsunęła nogi z łóżka i wstała. Nadal miała na sobie dzinsy i koszulkę z ubiegłej nocy, ale pamiętała, żeby zdjąć buty. Leżały przewrócone obok łóżka. Romily minęła je i poszła do sąsiedniego pokoju, czyli sypialni Posie.

Dziewczynka zrobiła sobie namiot z kołdry oraz jednej z należących do Romily siatek do łapania owadów, takiej na długim kij. Leżała w środku, czytając książkę przy świetle latarki. Kiedy Romily zajrzała do jej kryjówki, podniosła wzrok znad lektury.

– Jest niedziela – oznajmiła Posie. – Nie muszę iść do szkoły.

– Wiem – odparła Romily, odetchnąwszy z ulgą. Nie miała siły dłużej stać, więc usiadła na podłodze obok łóżka córki, wodząc wysuszonym językiem po równie wysuszonych ustach. – Jak się bawiłaś z panią Spencer?

– Dobrze. Pokonałam ją w szaradach i pozwoliła mi iść do łóżka o dziesiątej.

– Co czytasz?

Posie pokazała jej okładkę przedstawiającą mężczyzn w zbrojach i potężnych hełmach.

– Książkę o Rzymianach.

– Nie czuję się dziś najlepiej, Posie.

– W porządku. – Wskazała na stertę książek obok namiotu. – Mam co robić. Wygraliście z Benem quiz?

– Chyba nie. A właściwie mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że się nam nie udało. Gdybyśmy wygrali, to byśmy tyle nie wypili. Radzę ci się trzymać z dala od tequili, kiedy będziesz starsza.

– Rzymianie pili wódkę kminkową.

– I spójrz, jak na tym wyszli. Od niej też powinnaś się trzymać z daleka.

– OK.

Romily ponownie zamknęła oczy i oparła czoło o bok łóżka Posie. W pokoju było całkiem przyjemnie: dzięki zasłoniętym żaluzjom panował półmrok, a jedynym dźwiękiem był szelest przewracanych kartek.

Wieczorem nie wygrali quizu, ponieważ Romily była zbyt zajęta proponowaniem Benowi, że urodzi mu dziecko.

Gwałtownie otworzyła oczy i wyprostowała się, ledwie zwracając uwagę na kłujący ból głowy.

Ben. Lista. Ostatnie zdanie, napisane wielkimi literami. Wypili jeszcze kilka drinków, Ben wsadził ją do taksówki, lecz lista nadal tkwiła w tylnej kieszeni spodni Romily. Sięgnęła do niej



i dotknęła rogu kartki, wciąż obecnej i realnej.

– Romily? Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Mówiła o użyciu szprycy i zapewniała, że zrobi dla niego wszystko.

Romily usiłowała sobie przypomnieć wszystko, co powiedziała na temat urodzenia dziecka i swoich uczuć do Bena. Co takiego usłyszał? Ile do niego dotarło?

Na sam koniec podziękował Romily i ją pocałował.

– Próbuję czytać – odezwała się Posie.

Romily zerwała się na równe nogi.

– Tosty. Zrobię nam tosty. Masz ochotę?

– Będę je mogła zjeść w namiocie?

– Jasne.

Romily wycofała się z sypialni i przeszła przez ciemny korytarz do zagraconej kuchni, która wyglądała tak, jakby dobudowano ją w ostatniej chwili. Wyjęła z gniazdka wtyczkę od czajnika, podłączyła toster i włożyła do niego dwie ostatnie kromki chleba, zostawiając piętę, ponieważ Posie ich nie lubiła. Nalała sobie pełną szklankę wody i zamiast się napić, zagryzła wargi.

– Cholera – odezwała się głośno do pudełek z płatkami śniadaniowymi, doniczki z zaszuszoną bazylią i brudnego kubka w zlewie. – Jestem pieprzoną idiotką.

Może Ben też się upił i rano nie będzie pamiętał ich rozmowy.

Kogo próbowała oszukać? Będzie pamiętał każde słowo. Ben nigdy o niczym nie zapomniał, a już na pewno nie o czymś takim. Wyjęła kartkę z tylnej kieszeni i zobaczyła napisane czarno na białym, jej własnym, odrobinę niewyraźnym pismem: SIEDEM: ROMILY URODZI WAM DZIECKO!!!

Zmięła kartkę w małą kulkę i wyrzuciła ją do kosza. Po chwili doszła do wniosku, że nie chce, by nieszczęsna lista tkwiła na wysypisku śmieci, więc wyjęła ją i wyrzuciła do kompostownika, wciskając ją pod zużyte torebki herbaty i skórkę od banana. Wkrótce kartka trafi do ogrodu, na pastwę ślimaków i os, które przeżują ją i wykorzystają jako budulec na gniazdo.

Przynajmniej nie miała już kaca. Zabawne, jaki wpływ na organizm może mieć powodowany paniką zastrzyk adrenaliny. Mimo to wciąż kręciło jej się w głowie. Umyła ręce i nad kuchennym zlewem ochlapała twarz zimną wodą, ale nie poczuła się lepiej. Kiedy upiekły się tosty, posmarowała je margaryną i miodem, i zaniósła na talerzu do pokoju Posie.

– Dziękuję, centurionie – powiedziała dziewczynka, nie podnosząc wzroku znad książki. Romily nie ufała własnemu głosowi, więc mimo całkowitego pochłonięcia Posie historią Rzymian mruknęła coś niewyraźnie i wróciła do łazienki, gdzie odkręciła gorącą wodę.

Jej odbicie w lustrze było tak udręczone, jak się tego spodziewała, głównie za sprawą oszałamiającego wzroku. Było to spojrzenie osoby, która niechętnie wypaplała najważniejszy sekret w swoim życiu i czekała, aż świat zwali jej się na głowę.

Jedenaście lat trzymania buzi na kłódkę, odwracania głowy, uśmiechania się i udawania, a ostatecznie wystarczył kieliszek czy dwa tequili, żeby to wszystko przekreślić.

– Idiotka – wymamrotała. – Skończona idiotka. On już wie, a jeśli nie, to wkrótce się domyśli.

No bo po co miałyby oferować dziecko mężczyźnie, poświęcać dziewięć miesięcy swojego życia, ryzykować rozstępy na brzuchu, niezliczone badania krwi i ćwiczenia dna miednicy, gdyby nie była w nim zakochana, beznadziejnie i po uszy?

I to od zawsze, od momentu, gdy po raz pierwszy go zobaczyła?

## SPOTKANIE

*Spotkajmy się w barze hotelu George za pół godziny. Nie mów nikomu. B.*

Romily wpatrywała się w wyświetlacz telefonu. A więc tak miała zakończyć się jej przyjaźń, w poniedziałek, w porze lunchu: wiadomością tekstową i potajnym spotkaniem, by w ten sposób zaoszczędzić przykrości ukochanym osobom.

Stała w kuchni dla personelu Muzeum Brickham, gdzie, ignorując uporczywe kapanie wody z kranu i stukot lodówki, próbowała się uleczyć kofeiną i cukrem. Wczorajszy kac jeszcze nie minął. A może to niczym niezmacony strach sprawiał, że bolała ją głowa i przewracało jej się w żołądku?

W sobotni wieczór Ben był zbyt przejęty myśleniem o dziecku, by pojąć prawdziwe znaczenie propozycji Romily. Później jednak miał czas, żeby się gruntownie zastanowić, a teraz postanowił się z nią spotkać i porozmawiać. Ich przyjaźń przejdzie do historii lub stanie się katorgą. Przy każdym spotkaniu Romily będzie się zastanawiać, czy Ben myśli sobie: *ona jest we mnie zakochana*. Jako porządny człowiek Ben będzie się o nią martwił. Będzie zasmucony. Będzie jej współczuł. Będzie uważał na każde słowo i gest, żeby nie robić jej złudnej nadziei. Ich kumpelska relacja, dogryzanie sobie nawzajem, to, że wcale nie musieli rozmawiać, ale mogli, jeśli chcieli... odejdą w niepamięć. Ben będzie się zachowywał serdecznie, ale nie po przyjacielsku.

Romily nie będzie potrafiła tego znieść.

Może najlepszym rozwiązaniem było nie pójść na to spotkanie? Skoro ich przyjaźń się skończyła, po co mieli o tym rozmawiać? Mogli zerwać znajomość i nigdy więcej się do siebie nie odzywać. Romily jakoś to przeboleje. Lepsze to niż całymi latami się męczyć.

Nie mogła jednak tego zrobić Posie.

Romily dopiła swoją ekstramocną i słodką rozpuszczalną kawę, która zdążyła wystygnąć. Spojrzała na kuchenny zegar, według którego miała dwadzieścia minut, żeby przedostać się na drugi koniec miasta do hotelu George.

– A niech to szlag – powiedziała i poszła szukać płaszcza.

Padło. Strugi lodowato zimnego lutowego deszczu spływały po jej nieosłoniętym szalikiem karku. Wcisnęła ręce w kieszenie palta i starała się nie myśleć o czekającej ją rozmowie.

*Rzecz w tym – mógł powiedzieć Ben – że jestem zaszczycony, Romily.*

*Rzecz w tym, że kocham Claire.*

*Rzecz w tym, że nigdy nie pomyślałem o tobie w ten sposób.*

Powie to życzliwym głosem, może nawet dotknie jej dłoni.

Hotel George był funkcjonalnym klokiem z czerwonej cegły, położonym w zachodniej części miasta. Zatrzymywali się w nim biznesmeni w delegacjach i uczestnicy konferencji. Było mało prawdopodobne, że ona lub Ben spotkają tam znajomego. Romily poszukała wzrokiem samochodu Bena, lecz albo jeszcze nie przyjechał, albo zaparkował gdzieś dalej. Wzięła głęboki wdech i przez obrotowe drzwi weszła do lobby.

Hotel był nowoczesny i całkowicie anonimowy, schludny i neutralny. Kilkoro ludzi stało na recepcji lub siedziało w rozstawionych w lobby fotelach, popijając kawę z wzrokiem utkwionym w wyświetlacze telefonów. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na Romily, która przemknęła wyfroterowaną podłogą w kierunku baru. Było to idealne miejsce na potajną schadzki. Nikogo nie obchodziło, co robili inni. Wszyscy zachowywali się cicho i dyskretnie.

Hotele takie jak ten idealnie nadawały się na romans.

W sobotni wieczór Ben wyciągnął ręce nad stolikiem, ujął głowę Romily i pocałował ją w usta. Nadal czuła nacisk i ciepło jego warg.

Nie, to chyba niemożliwe.

Wytarła dłonie w dzinsy i poszła do baru. Okna były delikatnie przyciemnione, a światła przygaszone, pewnie po to, by osoby pijące alkohol w porze lunchu miały wrażenie, że siedzą w eleganckim nocnym barze. Ben siedział przy stoliku w najdalszym kącie. Na widok Romily zerwał się z krzesła i ruszył w jej kierunku.

– Dzięki, że przyszedłeś, Rom. Nie byłem pewien, czy uda ci się tak szybko przyjechać, ale nie wiedziałem też, czy uda mi się później wyrwać z pracy.

– No cóż, te owady są martwe od tak dawna, że pół godziny nie zrobi im różnicy.

Ben roześmiał się, lecz na jego twarzy malował się niepokój.

– Jak się czujesz? – zapytał. – Wszystko OK?

– Tak, w porządku.

Delikatnie dotknął ramienia Romily, kierując ją w stronę stolika.

– Zamówiłem dla ciebie kawę, ale może wolałabyś piwo?

– Kawa jest OK.

Ben wypił już połowę swojej i kiedy siedział po przeciwnej stronie stolika, wydawał się nienaturalnie pobudzony, jakby miał we krwi za dużo kofeiny. Romily odwlekała moment rozpoczęcia rozmowy. Wolno wyjmowała brązowe i białe kostki cukru ze stojącej na stole miseczki i wrzucała jedną po drugiej do filiżanki. Wpadały do kawy, tworząc na powierzchni napoju drobne zmarszczki. Ben rzadko przypatrywał się Romily w taki sposób. Jakby widział ją po raz pierwszy.

– A więc – powiedziała z bijącym sercem, starając się nie uderzać łyżeczką o środek filiżanki. – Potajemna schadzka, panie Bond?

– Nie mogłem przestać myśleć o sobotnim wieczorze.

Romily wydała z siebie bliżej nieokreślony dźwięk i ostrożnie nalała mleczka do kawy.

– Rozważyłem każdy możliwy aspekt twojej propozycji. Jeszcze nic nie powiedziałem Claire. Najpierw musiałem zobaczyć się z tobą.

– OK.

Ben pocierał kciukiem dłoni, najpierw jedną, potem drugą, szukając odpowiednich słów. Romily nie ufała sobie na tyle, żeby się odezwać. Ben klócił się z Claire, a później pocałował swoją najlepszą przyjaciółkę podczas barowego quizu.

Nie. To były tylko pobożne życzenia. Ale jak miała myśleć o czymkolwiek innym, kiedy patrzył na nią w taki sposób?

– Czy możesz... – zaczął, a później pokręcił głową. – Tamtej nocy strasznie się upiliśmy. Nie zdziwiłbym się, gdybyś nie pamiętała, co mi wtedy powiedziałaś.

– Pamiętam.

– To było... To by mogło wszystko zmienić, więc muszę mieć pewność, że mówisz poważnie.

Romily nie mogła tego dłużej słuchać.

– Ale o czym?

– O tym, że urodzisz dla nas dziecko.

Te słowa były dla niej jak zimny prysznic.

– A więc o to ci chodziło? – zapytała. – Nad tym się tak intensywnie zastanawiałaś?

– No tak. To poważny krok.

Oczywiście. Ben pragnął dziecka. Nie obchodziło go, dlaczego złożyła mu taką

propozycję. Aby to zrozumieć, musiałby odwzajemnić jej miłość.

To ciekawe, że kres nadziei odczuwała tak samo, jak kres rozpaczy.

– A co innego mógłbym mieć na myśli? – zdziwił się Ben.

– Nic. – Romily oblała się rumieńcem. Podniosła filiżankę do ust, żeby to ukryć. – Masz rację, to poważny krok.

Poważny krok, o którym z powodzeniem starała się nie myśleć, ponieważ za bardzo martwiła się tym, że mogłaby utracić swoją przyjaźń z Benem.

– Żałujesz tego – odezwał się błyskawicznie. – Widzę, że jesteś skrępowana. Nic się nie stało, Romily. Właśnie dlatego chciałem się z tobą spotkać. Nie mam zamiaru wywierać na ciebie presji. Twoja propozycja i tak była niesamowita.

– Czy ty... – zawahała się – sądzisz, że Claire by się na to zgodziła?

– Nie wiem. Najpierw musiałem spytać ciebie. Decyzja jest w twoich rękach.

Nadal patrzył na nią w ten sposób, jakby od jej słów zależało całe jego życie.

Oczywiście, miał rację, skoro Romily chciała mu urodzić dziecko.

Miała szansę, żeby się ze wszystkiego wycofać. Powiedzieć, że była pijana i działała pod wpływem emocji. Mogła powiedzieć, że potrzebuje więcej czasu na zastanowienie, że nie jest pewna, czy uda jej się pogodzić ciężą z pracą i wychowaniem Posie. Mogła powiedzieć, że boi się przywiązać do dziecka i nie wie, czy będzie w stanie je oddać.

Rzecz w tym, że wszystko to byłoby kłamstwem. Owszem, za dużo wypiła i zawsze działała impulsywnie, ale jej propozycja była szczerą: Ben tak bardzo pragnął mieć rodzinę, a ona mogła mu pomóc. Nie istniał żaden logiczny powód, by się z tego wycofać. Romily była już w ciąży i wiedziała, że może w nią zająć ponownie. Mogła wykonywać swoją pracę spodziewając się dziecka i odpowiednio wcześniej zaplanować urlop. Posie może się to wydać dziwne, lecz na pewno się przyzwyczai, a Romily nie chciała mieć więcej dzieci.

Nie istniał ani jeden dobry powód, żeby nie urodziła dziecka Benowi i Claire. A jednak taki powód właśnie przed nią siedział. Ben byłby przeszczęśliwy, a Romily musiałyby tylko skorzystać ze szprycy, przez dziewięć miesięcy zdrowo się odżywiać i pić mleko. Spełniłaby największe marzenie Bena, a w życiu jej samej niewiele by się zmieniło.

W tamten sobotni wieczór mówiła prawdę. Chociaż zawsze wiedziała, że Ben nigdy nie odwzajemni jej miłości, i tak zrobiłaby dla niego wszystko.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, a później musiała spuścić wzrok na miseczkę z cukrem. Cała ta słodycz...

– W porządku – powiedziała. – Zrobię to.

## ZNAJOMA

– Co takiego powiedziała?

– Romily zaproponowała, że urodzi nam dziecko – powtórzył Ben. – Zgodziła się być matką zastępczą.

Claire wyłączyła program, który oboje oglądali, czy raczej udawali, że oglądają. Ben był nerwowy przez cały wieczór i kolację, jakby nie mógł się doczekać, żeby coś jej powiedzieć. Claire nie spodziewała się jednak takiej rewelacji.

– Chętnie odda nam swoje jajeczka – kontynuował Ben – i możemy je sztucznie zapłodnić moją spermą. Urodziła Posie, więc wie, że jest płodna i może donosić dziecko. Sama nie chce mieć więcej dzieci. Figurowałbym na akcie urodzenia jako ojciec, więc miałbym prawo do opieki nad dzieckiem, a w ciągu kilku tygodni od porodu moglibyśmy sformalizować adopcję. Będziemy musieli dopilnować kilku spraw, ale skoro obydwie strony się zgadzają, nie powinniśmy mieć problemu z adopcją ze wskazaniem. Sprawdziłem już, jak to wygląda od strony prawnej.

– Kiedy Romily ci to powiedziała?

– W sobotę, w pubie.

Claire skrzyżowała ramiona na piersi.

– Podejmowaliście decyzje dotyczące przyszłości naszej rodziny w pubie?

– O niczym nie decydowaliśmy. To była tylko rozmowa, ale czy ten pomysł nie jest wspaniały, Claire? Czy nie sądzisz, że powinniśmy go rozważyć? Genetycznie to będzie moje dziecko, a adopcyjnie również twoje. Nie musiałybyś się dłużej leczyć. Mielibyśmy dziecko, nasze własne, od momentu jego narodzin. Moglibyśmy je zabrać ze szpitala prosto do domu. Co o tym myślisz?

– Myślę, że podjąłeś tę decyzję, całkowicie o mnie zapominając.

– Pamiętam o tobie. W ten sposób możemy mieć rodzinę bez konieczności kontynuowania terapii.

– Bo Romily urodzi nam dziecko. – Claire pokręciła głową. – Nie ma mowy.

– Nie uważasz, że powinniśmy się chociaż zastanowić? Może nie teraz, ale za jakiś czas, kiedy już dojdziemy do siebie po poronieniu?

Tak jakby Claire mogła zapomnieć o życiu, które przez krótki czas w sobie nosiła. Sama ta myśl wydała jej się pusta i okrutna.

– Po pierwsze, to nie jest sprawa Romily. Po drugie, nie mogę uwierzyć, że z nią o tym rozmawiałeś. A po trzecie, jak mogłaby urodzić dziecko i je oddać?

– Nie musiałyby go oddawać – odparł Ben – bo to nigdy nie byłoby jej dziecko.

Genetycznie tak, i pod względem prawnym, dopóki nie załatwilibyśmy spraw adopcyjnych. Ale pod każdym innym względem dziecko od początku byłoby nasze. Romily nie chce mieć więcej dzieci i pragnie je nam ofiarować, Claire.

– Chcesz powiedzieć, że skoro nie mogę ci dać dziecka, zamierzasz skorzystać z pomocy innej kobiety.

– Wcale nie. – Ben spróbował ją przytulić, ale Claire wstała z kanapy.

– A właśnie, że tak. Spiskowaliście za moimi plecami, a teraz przychodzisz do mnie z tym szalonym pomysłem, i to w chwili, kiedy wreszcie zaczynałam odzyskiwać spokój. – Nagle coś sobie przypomniała. – Czy to dlatego byłeś taki szczęśliwy wczoraj rano?

– Nie chciałem ci o niczym mówić, dopóki nie upewniłem się, że Romily jest

zdecydowana. Nie chciałem ci robić złudnych nadziei.

– Złudnych nadziei? – wyrzuciła ręce w powietrze. – Postanowiłam dać sobie spokój z nadzieją, Ben. Nie dotarło do ciebie ani jedno moje słowo.

Odwróciła się, żeby wyjść z pokoju. Za jej plecami Ben odezwał się cicho:

– Nadal możemy powiesić na gruszy huśtawkę.

Claire usiadła na chromowanym taborecie w świeżo wyremontowanej kuchni swej siostry, Helen. Wąski blat, przy którym Helen z rodziną jadali śniadania, przykrywał ceratowy obrus.

– Chodzi o to – odezwała się Helen – że w teorii to nie jest taki zły pomysł. Josh, oddaj to swojej siostrze!

– Ja wziąłem pierwszy!

– Nic mnie to nie obchodzi. Jesteś starszy, oddaj.

Claire popatrzyła za wychodzącym z kuchni siostrzeńcem.

– Nie możesz myśleć, że urodzenie dziecka mojego męża przez inną kobietę to dobry pomysł.

– Z drugiej strony, mielibyście dziecko. – Helen poczęstowała Claire kolejnym herbatnikiem. – A ludzie płacą surogatkom mnóstwo pieniędzy. Ona pewnie zrobiłaby to za darmo.

– Nie chodzi o pieniądze.

– Nie zaszkodzi się zastanowić. – Z drugiego pokoju dobiegło głośne zawodzenie. – Josh, oddaj to siostrze!

– Ale dlaczego Romily chce to zrobić?

– Przyjaźnicie się od studiów, prawda?

– Romily przyjaźniła się z Benem, zanim pojawiłam się w jego życiu i w ten sposób ją poznałam. Nie spędzałyśmy razem zbyt wiele czasu i mało nas łączy.

– Czy nie jesteś przypadkiem matką chrzestną jej córki?

– Tylko dlatego, że poprosiła Bena na chrzestnego. Ja byłam częścią pakietu. – Claire ugryzła herbatnik. – Rozsądnie jest wybrać na rodziców chrzestnych małżeństwo. Postąpiłabym tak samo, gdybyśmy... W każdym razie, Romily przyjaźni się przede wszystkim z Benem.

– Myślisz, że łączy ich coś więcej?

– Hells!

– Cóż, to pytanie nasuwa się samo.

Oto cała Helen: co w sercu, to na języku. Claire musiała przyznać, że między innymi dlatego odwiedziła siostrę. Często z tego samego powodu trzymała się od niej z daleka.

– To nie tak – powiedziała. – Przez większość czasu gadają o piłce nożnej. Spotykają się w Róży i oście, tam zawsze roi się od facetów. Ben traktuje ją jak kumpla.

– Skoro jesteś pewna... Sarah! Przestań go drażnić! Przepraszam cię, Claire, ale muszę to załatwić.

Kiedy Helen nie było w kuchni, Claire wyobraziła sobie Romily: chudą jak patyk, niezgrabną, z grubymi, krótko ostrzyżonymi ciemnymi włosami, które nigdy się nie układały. Postrzępione nogawki jej dżinsów, znoszone tenisówki, obgryzione paznokcie i dziecięce piegi na nosie. Sposób, w jaki siadała na podwiniętej nodze. Romily nie wyglądała na matkę ani na posiadaczkę tytułu doktora. Z tyłu przypominała nastoletniego chłopca, takiego, który przechowuje żuki i ślimaki w słoikach na półkach swojej sypialni, a w kieszeniach nosi żaby. Lubiała śnić na jawie lub zastanawiać się nie wiadomo nad czym. Zawsze zjawiała się u nich o przedziwnych porach, działając zgodnie z własnym chaotycznym grafikiem.

Kiedy Claire poznała Bena, Romily stanowiła już część jego życia. Gdyby Romily

choć raz zachowała się wobec niej wrogo, Claire byłaby na nią wyczulona, lecz ona zawsze starała się być uprzejma, na swój nieporadny sposób. Ben twierdził, że Romily jest nieśmiała.

Claire zdecydowanie lepiej poznała Posie. Spędzała z nią więcej czasu niż z własnymi siostrzeńcami, ponieważ na początku Romily potrzebowała pomocy w opiece nad dzieckiem. Posie była jaskrawą plamą ciepłych kończyn, blond włosów i rozmarzonych błękitnych oczu. Miała własny słodki zapach, przywodzący na myśl leżące w misce jabłka. Ramiona Claire same wiedziały jak trzymać drobne dziecięce ciało. Posie była głodna matczynej miłości, przytulania i wymieniania dziewczyńskich sekretów. W niczym nie przypominała Romily, która traktowała ją ze zdystansowaną czułością, jakby Posie była jej ulubionym gatunkiem owada, do którego miała słabość, lecz nie była pewna, jak się do niego odnosić.

Zdarzały się rozkoszne momenty, kiedy Posie spała w „swojej” sypialni, skulona pod kołdrą, którą uszyła babcia Claire. Albo witała Claire serdecznym uściskiem i całusem. Lub kiedy Claire wręczała jej chusteczkę, albo rączka Posie w tajemniczy sposób znajdowała się w dłoni Claire. W tych sekretnych, intymnych chwilach Claire czasami udawała, że Posie jest jej córką.

Nie robiła nikomu krzywdy. Tak naprawdę Claire wiedziała, że nie może za bardzo pokochać Posie. Nie było rozsądne kochać ją równie mocno jak własne dziecko, całym sercem, skoro po nocy spędzonej pod kołdrą babci Claire Posie wracała do swojego domu razem z Romily.

Claire знаła i kochała Posie, mimo że urodziła ją Romily, która właśnie zaproponowała Claire i Benowi swoje ciało, jakby to był rower, który można na chwilę pożyczyć, a później zwrócić.

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby to zrobić – powtórzyła Claire, kiedy Helen pogodziła dzieci i wróciła do kuchni. – To poważne zobowiązanie.

– Żałuję, że sama o tym nie pomyślałam – odparła Helen. – Ale po tych wszystkich problemach, jakie miałam z Sarah, i tak bym nie mogła. Mimo to żałuję, że się nie zaoferowałam.

Wyglądała na zasmuconą, więc Claire mocno ją przytuliła.

– Nie bądź niemądra. Miło, że tak mówisz, ale nie mogłabyś nam pomóc.

– To by rozwiązało wiele problemów – wzruszyła ramionami Helen. – Cóż, nie ma się nad czym zastanawiać. Ale skoro Romily jest zdrowa i się zgadza, to może powinniście spróbować. Przynajmniej ją znacie, prawda? Wiecie, że ma dobre geny, jest przecież mądra, i może urodzić dziecko. Lubicie jej córkę. Wiecie, że nigdzie się nie wybiera. – Sarah weszła do kuchni, Helen ułamała kawałek herbatnika i podała córce. – Wiecie o niej znacznie więcej niż o anonimowej dawczyni jajeczka, innej matce zastępczej czy rodzicach adoptowanego dziecka.

– Chodzi o sposób, w jaki Ben się za to zabrał, bez porozumienia ze mną.

– Jest zdesperowany. Oboje jesteście.

*Czy to aż tak widać?* Claire rozejrzała się po nowocześnie urządzonej kuchni, której jednak nie można było nazwać minimalistyczną dzięki obrusowi z ceraty i dziecięcym rysunkom przypiętym do lodówki. Prawie tu nie zaglądała w ciągu ostatnich czterech lat, czyli od urodzin Josha.

– A co powiedziałyby mama? – zapytała.

Helen uśmiechnęła się.

– No cóż, to już inna sprawa. Sarah, nie jedz tego z podłogi!

## KLOCKI

Wiele miesięcy wcześniej obiecali, że w pierwszym tygodniu ferii wielkanocnych zabiorą Posie i Romily do Legolandu w hrabstwie Windsor. Poprzedniego wieczoru Claire leżała w łóżku z głową opartą na piersi Bena.

– A jeśli zmieniła zdanie? – zapytała.

– Na pewno nie. Kiedy Romily coś postanowi, nigdy nie rezygnuje.

– W przeciwieństwie do mnie.

Zmierzwił jej włosy.

– Źle się do tego zabrałem. Nie powinienem był cię bombardować tą wiadomością.

– Nie będziesz podejmował za mnie życiowych decyzji w pubie, dobra?

– Zgoda. Ale chcesz tego, prawda, Claire?

W ciągu ostatnich tygodni myślała właściwie tylko o tym. Spokój, który ogarnął ją tamtego dnia pod gruszą, wyparował. Mogła być wtedy spokojna, ponieważ straciła wszelką nadzieję, a teraz pojawiła się nowa szansa. Umysł Claire pracował na najwyższych obrotach, analizując wszystkie za i przeciw oraz wszystkie aspekty prawne. Przesiadywała na forach internetowych dotyczących zastępczego rodzicielstwa i czytała różne historie, niektóre wesołe, niektóre smutne. Wiele par szukało surogatki i jej nie znalazło. Ich słowa podszyte były desperacją, którą Claire świetnie znała.

– Przez ostatnie sześć lat – odezwała się – co miesiąc czułam się, jakbyśmy tracili szansę na dziecko. Skoro Romily chce nam ofiarować kolejną, nie mogę z niej zrezygnować.

– A więc zapytamy ją?

– Tak. – Żałowała, że nie może odzyskać tamtego spokoju. Chciałaby mieć pewność, że postępują słusznie, ale jak mają to sprawdzić, nie podejmując próby? – Tak – powtórzyła.

Romily wcisnęła dłonie głęboko w kieszenie džinsów i obserwowała Posie podskakującą daleko przed nimi po ścieżce, która wiodła w stronę dinozaura-roboty zbudowanego z klocków Lego. Słońce świeciło za mocno, park był przeludniony, a kolory i muzyka z głośników mniej lub bardziej obsceniczne. Romily nie odważyła się spojrzeć na Claire i Bena.

Od potajemnego spotkania w lutym Ben nie wracał do ich rozmowy. Nie licząc SMS-owych ustaleń dotyczących dzisiejszej wycieczki, właściwie nie mieli ze sobą kontaktu. Wiedziała, że w międzyczasie Ben i Claire rozmawiali o jej propozycji. I rozmawiali o niej samej.

Zerknęła na idącą obok niej Claire. Wyglądała beztrosko i radośnie w białych spodniach, nieskazitelnie białych baletkach i żółtej jak pierwiosnek bluzce. Romily jak zwykle zapomniała zrobić pranie i miała na sobie ostatnią czystą parę czarnych džinsów oraz zielony podkoszulek z dziurą w rękawie. Z twarzy Claire nie dało się wyczytać jej myśli.

Czy nie zastanawiała się, co podkusiło Romily? A jeśli wszystkiego się domyśliła i powiedziała o tym Benowi, a teraz wybrali się na wspólną wycieczkę, za którą zapłacił Ben, by udawać, że wszystko jest w porządku, i z litości dla Romily oraz jej nieodwzajemnionej miłości?

Ich dwoje. Zjednoczony front. *Biedna Romily* – wyobraziła ich sobie o poranku, siedzących w skąpanej słońcem kuchni nad świeżo zaparzoną kawą i domowymi croissantami. – *Biedna, nieszczęśliwie zakochana Romily. Dobrze, że możemy dla niej zrobić coś miłego, by wiedziała, że nie mamy do niej żalu. Zabierzmy także Posie, niech pamięta, że nie jest sama na*



*tym świecie. Wkrótce i tak poprosi, żebyśmy zostali jej rodzicami: kto by ją za to winił?*

Auć.

Pospieszyła w kierunku Posie, lecz Ben okazał się szybszy i wziął dziewczynkę na barana. Ruszyli przodem – Posie chichotała jak szalona – zostawiając w tyle Romily i Claire.

– Hm... – mruknęła. – Jak wam mijają święta?

– Cudownie – odparła Claire. – A tobie?

– Nieźle.

– Ładny dzień, co?

– Tak, bardzo ładny.

Żadnego dogryzania, toczenia piany, atmosfery w rodzaju: „trzymaj się z dala od mojego faceta”. Możliwe, że Claire była skupiona wyłącznie na dziecku albo zdążyła już odrzucić propozycję Romily. Pewnie martwiła się, że niemowlę obciążone genami Romily będzie wykazywać niezdrowe zainteresowanie mszycami.

Zanim dotarli do Statku Piratów, Romily chciało się krzyczeć. Ben nie odezwał się do niej słowem, całkowicie zajęty Posie: śmiał się, żartował, chodził z dziewczynką na przejażdżki, zostawiając Claire i Romily same. Claire trzymała się lekkich i neutralnych tematów, zachwycając się reprodukcjami zabytków Londynu i Paryża zbudowanymi z klocków.

W końcu Posie pobiegła na Statek Piratów, żeby się pobawić. Romily dostrzegła szansę ucieczki, poszła kupić herbatę dla wszystkich, a gdy wróciła, Ben wymienił porozumiewawcze spojrzenie z żoną. Trzymali się za ręce i siedzieli blisko siebie.

– Mamy kilka minut, żeby porozmawiać o dziecku – odezwał się Ben.

Ulga. A więc jednak o to chodziło.

– Świetnie – odparła Romily. – Pytanie brzmi: chcecie, żebym je dla was urodziła, czy nie? – Podała im papierowe kubeczki, które zaczęły już rozmiękać w miejscu łączenia.

– To bardzo szlachetna propozycja – zauważyła Claire.

– I najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką ktokolwiek nam zaproponował – dodał Ben.

– Och, to tylko dziewięć miesięcy. Co to jest dziewięć miesięcy w skali całego życia?

– Czy naprawdę chcesz to zrobić? – zapytała Claire. – Wiem, co powiedziałaś Benowi, ale wolę się upewnić, że jesteś zdecydowana. To ogromna przysługa.

Romily popatrzyła na nich oboje. Tak bardzo na nią liczyli. Byliby wspaniałymi rodzicami.

– Pewnie. Dlaczego nie?

Oboje się rozluźnili, jakby do tej pory wstrzymywali oddech.

– Dziękuję – powiedziała Claire.

– Żaden problem. – Romily machnęła stopą, starając się zachować luz. Posie nadal bawiła się na statku pirackim. – Jak sądzicie, co powinniśmy teraz zrobić?

– No cóż – odezwała się Claire, odzyskując pewność siebie – zrobimy to jak należy. Po pierwsze, zaczniesz przyjmować odpowiednie witaminy.

– Możemy cię umówić na wizytę do doktora Wilsona – wtrącił Ben.

– Po co mi lekarz? – zdziwiła się Romily.

– By upewnić się, że jesteś zdrowa – odparł Ben – że twoje jajeczka są w dobrej formie i że możesz zajść w ciążę.

– Badanie kontrolne, rozumiem. Chyba mogę to załatwić u swojego lekarza?

– Doktor Wilson wszystko ci wytłumaczy – odezwała się Claire.

– A co tu tłumaczyć? Urodziłam już jedno dziecko. Wiem, na czym to polega.

– To skomplikowana procedura: najpierw stymulują produkcję jajeczek, później je pobierają, zapładniają i wszczepiają zarodek do macicy. Może wołałabyś, żebyśmy znaleźli

dawczynię jajeczka, w ten sposób nie byłabyś... genetycznie spokrewniona z dzieckiem?

– To oznacza dłuższe czekanie, prawda?

– Długie miesiące – odparł Ben.

– Rozumiem całą procedurę – powiedziała Romily – ale wszystkie te badania i zabiegi wydają mi się zbyt skomplikowane. – Popatrzyła na Claire. – Nie wiem, jak sobie z poradziłaś z tymi wszystkimi lekami i testami.

– No cóż, zawsze myśleliśmy, że nam się to opłaci.

– Czy to boli?

Claire zeszywniała.

– Nie jest to nic przyjemnego, ale nie wiąże się z bólem, przynajmniej nie fizycznym.

– Daleko mi do krytykowania nauki – ciągnęła Romily – ale wydaje mi się, że istnieje łatwiejszy sposób. Do sztucznego zapłodnienia możemy użyć chociażby szprycy. Jeśli nie uda nam się za pierwszym razem, spróbujemy znowu. Bez lekarzy, drogiego sprzętu i całego tego zamieszania.

– Zamieszania? – zdziwiła się Claire.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Poczytam na ten temat – zaoferowała się Claire. – Musi istnieć idealna metoda.

– Romily jest biologiem – przypomniał jej Ben.

– Ale nigdy nie starała się zająć w ciążę – odparła Claire i natychmiast przyłożyła dłoń do ust, jakby nie chciała się przyznać, że o tym wie. – To znaczy...

– Prawdę mówiąc, wiem więcej na temat zwyczajów lęgowych żuków japońskich niż reprodukcji u ludzi – zauważyła Romily. – Chociaż to nie może być aż tak skomplikowane, prawda? Witaj, spermo. Cześć, jajeczko. Połączmy się i stwórzmy... coś.

– Coś? – powtórzył Ben. – Jesteś pewna, że nie kupiłaś doktoratu na bazarze?

– Istnieje wiele sposobów, żeby zwiększyć szanse na zapłodnienie – powiedziała Claire. – Tabele do mierzenia temperatury, testy do określania dni płodnych. Mam ich mnóstwo. Możemy monitorować twój cykl, poprawić ci dietę i podawać każdego dnia pół tabletki aspiryny.

– Jasne – odparła Romily. – W porządku. To dla mnie nowość, ale chodzi przecież o wasze dziecko.

– To naprawdę się dzieje – powiedział Ben. – Nie mieści mi się to w głowie. – Rozejrzał się dookoła, na bawiące się dzieci. – Myślę, że powinniśmy się napić szampana.

– A co jest nie tak z herbatą? – zapytała Romily.

– Nic, absolutnie nic. – Uśmiechnął się do niej i Claire, po czym uniosł papierowy kubek. – Wznoszę toast. Za nasze maleństwo.

– Za nasze maleństwo – powtórzyła Claire, stukając się z nim kubkiem.

Romily uniosła swój kubek.

– Za wasze maleństwo.

## UŚMIECHNIĘTA BUŻKA

Claire szła w stronę nauczycielskiej kuchni na przerwę śniadaniową, przedzierając się przez korytarz pełen głośnych i rozbrykanych uczniów, kiedy dostrzegła wychodzącą z klasy w głębi korytarza Georgette. Trudno było nie rozpoznać jej wąskich ramion i bioder oraz koka upiętego jak u baletnicy. Zamykając drzwi, Georgette zobaczyła Claire i jej oczy rozszerzyły się z ciekawości. Claire zatrzymała się, jakby właśnie sobie coś przypomniała i wykonała na wpół poirytowany, a na wpół przepaszający gest dłońmi, odwróciła się na pięcie i wróciła tam, skąd przyszła.

– Nie pijesz kawy? – zdziwiła się Lindsay, kiedy mijaly się w wejściu na wydział muzyczny. Claire pokręciła głową.

– Mam zaległe klasówki do sprawdzenia – odparła.

– Przyniosę ci filiżankę kawy i ciastko.

– Dzięki.

Lindsay była uroczą dwudziestoparolatką, która niedawno rozpoczęła pracę w szkole Świętego Dominika. Prowadziła zajęcia z chóru. Claire zastanawiała się, czy porozmawia w kuchni z Georgette. Jeśli tak, może wrócić nie tylko z filiżanką kawy i ciastkiem, lecz także z pytaniami.

Po tym wszystkim co się stało, Claire zapomniała o Georgette i o tym, że wiedziała ona o ucieczce Claire z przyjęcia z okazji narodzin dziecka. Nauczycielka łaciny pracowała na pół etatu i od tamtej pory się nie spotkały. Georgette najwyraźniej też o wszystkim zapomniała, ale teraz zacznie plotkować. Pojawią się ciekawskie spojrzenia w pokoju nauczycielskim i dyskretne pytania o to, jak się czuje. Claire powinna się na nie przygotować.

Tylko co powie koleżankom? *Tak, byłam zdenerwowana, bo poroniłam, ale to już nieważne, przyjaciółka Bena zgodziła się urodzić nam dziecko.*

Szkoła imienia Świętego Dominika była uroczą. Właśnie tym słowem ją określano. Gmach szkoły był uroczy, podobnie jak akademik, kadra nauczycielska i uczniowie. Chociaż szkoła od kilku lat nie była już katolicka, nadal panowała w niej atmosfera troski i współczucia. Zdaniem Claire, owo współczucie często polegało na szybko rozprzestrzeniających się plotkach.

Kiedy sama chodziła do szkoły, musiało to wyglądać podobnie. Mgliście pamiętała przekazywane sobie pocztą pantoflową nowiny i tajemnicze liściki. Różnica polegała na tym, że wtedy byli dziećmi i żadna z plotek nie dotyczyła jej.

Jeden z uczniów dziewiątej klasy siedział w kącie sali, pochylając nastroszoną czuprynę nad partyturą. Siedział w tej pozycji przez całą lekcję. Kiedy Claire weszła do klasy i ruszyła w stronę leżącego na jej biurku laptopa, podniósł głowę.

– Nie idziesz na przerwę, Max? – zapytała, przybierając swój wyćwiczony, uprzejmy ton. Chociaż narzekała na wścibskich kolegów, uwielbiała muzykę i swoich uczniów. Miała dobrą pracę. Uroczą.

– Chciałbym nad czymś popracować – odparł Max.

– W porządku, chociaż myślałam, że stęskniłeś się za kolegami podczas przerwy wielkanocnej.

Wzruszył ramionami, nie przerywając pisania.

– Spędziłeś miło święta?

Max ponownie wzruszył ramionami.

– Było nudno – zwrócił się bardziej do stolika niż do Claire. Widziała, że rysuje nuty na

pięciolinii, zapisał już połowę strony, ale był tak zgarbiony, że nie mogła ich odczytać. Do tej pory niezbyt przykładał się do zajęć, więc ucieszyło ją, że tym razem się starał. Komponowanie sprawiło większości dzieci problemy.

– Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli popracuję trochę na komputerze?

Burknął coś pod nosem. Prezentował typową dla nastolatków postawę „trzymaj się ode mnie z daleka”, więc usiadła przed komputerem i zalogowała się, ustawiając monitor w taki sposób, żeby Max go nie widział.

W internecie roiło się od informacji, grup wsparcia oraz forów dyskusyjnych dotyczących bezpłodności. Aż trudno było uwierzyć, że większość ludzi płodziła dzieci bez niczyjej pomocy. Claire odnalazła swoje wykresy owulacyjne i wydrukowała dla Romily kilka pustych egzemplarzy.

Ależ była zdziwiona, słysząc o tabelach i testach, jakby nie mogła uwierzyć, że podobne rzeczy istnieją. Claire i Romily żyły w zupełnie różnych światach.

Jeśli im się uda, dziecko będzie miało połowę genów Romily. Mogli być do siebie podobni jak dwie krople wody, chociaż, teoretycznie rzecz biorąc, nie powinno to wzbudzać zbyt wielu pytań: Ben też miał ciemne oczy i włosy. Romily była inteligentna i zdrowa, podobnie jak jej córka, Posie. Czegóż więcej mogła pragnąć Claire?

Z każdą kolejną próbą spłodzenia dziecka, ona i Ben coraz bardziej oddalali się od naturalnego, normalnego sposobu zajścia w ciążę. Seks nie zadziałał, więc wypróbowali tabletki, mierzenie temperatury i testy owulacyjne, a później klomifen, który stymulował produkcję jajeczek. W końcu zdecydowali się na zapłodnienie in vitro, zdając ciało Claire na łaskę leków i aparatury medycznej. A teraz włączyli w te starania obcą osobę.

– Wszyscy pytają o to samo – odezwał się Max.

Claire zatrzymała się w drodze do drukarki.

– Słucham?

– Jak się masz? Jak ci minęły święta? Nikogo nie obchodzi prawdziwa odpowiedź. Chcą się tylko pochwalić tym, co sami robili.

– Zawrzyjmy układ – powiedziała Claire. – Nie opowiem ci o swoich świętach, jeśli ty nie piśniesz słówka na temat swoich.

Max nie uśmiechnął się, ale jego twarz leciutko się rozjaśniła.

– OK, to mi się podoba.

– Czy musimy się zatrzymywać w aptece? – zapytał Ben. – Nie zostały ci żadne testy owulacyjne?

– Powinnam mieć jeden. – Była tego pewna. Miała przed oczami leżący po jej stronie szafki w łazience test. – Wydrukowałam w pracy wykresy.

– Nie musimy ich dzisiaj zostawiać Romily – powiedział Ben. – Możemy się jeszcze zastanowić. Nie ma pośpiechu.

Był jednak taki podekscytowany! Od rozmowy w Legolandzie zachowywał się jak mały chłopiec czekający na Gwiazdkę. Miał w sobie tyle optymizmu i radości, bo dali sobie kolejną szansę.

– Nie, pojedziemy dzisiaj, skoro Romily się nas spodziewa. Poza tym i tak będziemy pewnie musieli czekać długie tygodnie, zanim się nam uda.

Kiedy wszystko załatwili, zaczęły się godziny szczytu i trudno było znaleźć w centrum wolne miejsce do zaparkowania. Benowi udało się jednak wcisnąć pomiędzy dwie furgonetki stojące przy ulicy sąsiadującej z mieszkaniem Romily. Wyjął z samochodu pudło i plastikową torbę, a Claire ruszyła za nim, chociaż szedł tak szybko, że z trudem dotrzymywała mężowi kroku. Zszedł do mieszkania w sutenerze w taki sam charakterystyczny sposób, w jaki zbiegał

po schodach w ich domu: szybko i rytmicznie, przeskakując co drugi stopień. Nie musiał nawet pukać, żeby Romily otworzyła mu drzwi. – Hej! – przywitała się z Benem. Na widok stojącej za jego plecami Claire uśmiech zamarł jej na ustach. – Cześć.

– Przywieźliśmy testy i wykresy – wyjaśniła niepotrzebnie Claire, bo przecież Ben w tej właśnie sprawie umówił się z Romily. Czowała jednak, że powinna jakoś usprawiedliwić swoją obecność. Nigdy wcześniej nie była w mieszkaniu przyjaciółki męża. Kiedy ona i Ben przyjeżdżali po Posie, Claire zwykle czekała w samochodzie, przy włączonym silniku.

Weszła do środka za Benem. Założyła, że mieszkanie Romily będzie chaotyczne i nieuporządkowane, tak jak jego właścicielka. Drzwi otworzyły się bezpośrednio na ciasny salon, w którym stały kanapa i fotel. Ściany, zasłonięte półkami z książkami, były pomalowane na zielono, pewnie po to, by rozjaśnić mieszkanie w suterenie. Nad kanapą wisiały dwa obrazy w odcieniach błękitu i pomarańcza. Claire rozpoznała w nich prace Posie. Ben odstawił pudło i torbę na stolik kawowy i wygodnie rozsiadł się w fotelu.

– Jak tu miło – powiedziała Claire, usiłując ukryć, że się tego nie spodziewała.

– Och, dzięki. – Claire podążyła za wzrokiem Romily w kierunku sfatygowanego dywanu, a później zauważyła dwie usychające na parapecie rośliny doniczkowe. – Dobrze nam się tu mieszka z Posie. Napijcie się herbaty?

– Chętnie.

Romily zdjęła z kanapy pognieciony szkolny mundurek Posie i poszła w stronę aneksu kuchennego, który stanowił część salonu, kopiąc po drodze parę sportowych butów. W drzwiach zjawiła się Posie. Podbiegła do Bena, żeby uściskać najpierw jego, a później Claire.

– Nie wiedziałam, że przyjedziecie – powiedziała uradowana. – Chodź do pokoju, pokażę ci moje obozowisko.

Claire odgarnęła grubą blond grzywkę z czoła dziewczynki.

– OK.

– Ja pójdę, słonko – odezwał się Ben. – Claire musi się napić herbaty, jest zmęczona po pracy.

– W porządku. Dzisiaj jesteśmy w Peru. – Dziewczynka na moment przestała ciągnąć Bena w stronę swojego pokoju. – Romily, zrobisz mi kanapkę z miodem?

– Chyba nie powinnaś kusić morderczych pszczół? – zapytała Romily.

– W takim razie z masłem orzechowym.

– Za chwileczkę.

Posie wybiegła z salonu, ciągnąc za sobą Bena.

– Jada w namiocie wszystkie posiłki – odezwała się Romily, włączając czajnik. – Bóg raczy wiedzieć, jak wygląda jej pościel.

Claire usiadła na kanapie, potrącając leżącą na oparciu stertę korespondencji. Ułożyła ją starannie na stoliku kawowym, tuż obok pudełka, które przynieśli. Nie umknęło jej uwadze, że Ben zostawiał je same przy każdej nadarzającej się okazji. Zachowywał się tak dlatego, że wspomniała mu o tym, jak słabo zna jego przyjaciółkę.

– Jaką pijesz herbatę? – zapytała Romily.

– Z mlekiem, bez cukru.

Romily otworzyła szafkę.

– Powinam mieć jakieś ciasteczka... Nie, Posie musiała je zjeść. Zrobić ci kanapkę z masłem orzechowym albo miodem?

– Nie, dziękuję.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli sama zjem? Zapomniałam o lunchu.

– Absolutnie.

– Ben, chcesz kanapkę? – zawołała Romily. Rozległo się stłumione „nie”, jakby zdążył już wejść do namiotu.

Claire patrzyła jak Romily smaruje masłem orzechowym cztery kromki białego chleba i kładzie kanapki na dwóch talerzach. Nie pamiętała, kiedy ostatnio kupiła w sklepie krojony biały chleb, nie mówiąc już o jego jedzeniu.

Romily przecięła kanapki na pół tym samym nożem, którym rozsmarowała masło, wyciskając z nich odrobinę nadzienia.

– Posie! – zawołała, biorąc się za przygotowanie herbaty. Zajrzała uważnie do obydwu kubków, po czym wymieniła je na inne, z dwoma różniącymi się od siebie motywami kwiatowymi. Posie wparowała do pokoju, zabrała swoją kanapkę i znów zniknęła.

– Czy to nie odbierze jej apetytu na kolację? – zapytała Claire.

– Nic nie zdoła jej go odebrać. Czasami czuję się tak, jakbym mieszkała z dziką bestią, którą trzeba porządnie nakarmić, żeby nie pokazała pazurów.

Kiedy Posie zatrzymywała się u nich, Claire starannie unikała podawania jej przekąsek przed posiłkami, które zawsze były odpowiednio zbilansowane i zdrowe, pełne rozmaitych kolorów i faktur. Dziewczynka uwielbiała dania Claire i zawsze zmiatała je z talerza, na widok czego Claire robiło się ciepło na sercu. Po wyglądzie aneksu można się było domyślić, że rzadko gotowano w nim domowe posiłki.

Romily postawiła kubki i kanapkę na stoliku kawowym. Talerz z kanapką wylądował na stercie korespondencji.

– Twoje dziecko pewnie będzie miało w pełni organiczną, domową dietę – powiedziała, zlizując masło orzechowe z grzbietu dłoni.

Jej słowa były tak bliskie temu, o czym myślała Claire, że natychmiast pokręciła głową.

– Na początku może i tak, ale na pewno nie wytrzymam zbyt długo.

– Jeśli komuś miałoby się udać, to właśnie tobie.

Claire upiła łyk herbaty. Była zbyt mocna, bardziej odpowiadająca gustom Romily niż jej. Odstawiła kubek.

– Kobiety w ciąży podobno nie powinny jeść masła orzechowego – zauważyła Claire. – O ile mają skłonność do alergii.

– Ja nie mam – odparła Romily, odgryzając spory kęs kanapki. – A Ben?

– Też nie.

Romily jadła dalej. Claire splótła dłonie na kolanach. Z pokoju dobiegały odgłosy zabawy Posie i Bena.

– Myślisz, że powinniśmy powiedzieć Posie o tym, co zamierzamy zrobić? – zapytała. Romily skończyła żuć, zanim odpowiedziała.

– Zaczekam na odpowiedni moment – powiedziała, kładąc akcent na „zaczekam”.

Nagle, po raz pierwszy odkąd poznała przyjaciółkę Bena, Claire poczuła, jak to jest żyć w świecie Romily, w którym odgrywała małą rolę, może nawet mniejszą niż Romily w świecie Claire. Ściany pomalowane na zielono, wszystkie te książki i nadawcy nieotwartych listów. Claire widywała Posie dość często, ale to Romily budziła się przy niej, kładła ją do łóżka, była za nią odpowiedzialna w każdej minucie każdego dnia, wiedziała o jej alergiach lub ich braku i, przede wszystkim, czuła w głębi serca, że jej córka należy do niej.

– Oczywiście – odparła szybko Claire. – Przepraszam. Oczywiście, że tak. Nie miałam zamiaru...

– Nie ma co się spieszyć. Najpierw muszę zająć w ciążę – powiedziała Romily jak zwykle serdecznie i Claire zaczęła się zastanawiać, czy nie wyobraziła sobie tego nacisku w głosie Romily i wyznaczania przez nią granic. – Co przywieźliście?

Claire otworzyła torbę.

– Witaminy dla kobiet planujących ciążę, kilka rodzajów, bo jeden z nich przypawił mnie o niestrawność, kwas foliowy, elektroniczny termometr, żebyś mogła sobie mierzyć temperaturę i kilka testów owulacyjnych.

– Po co mi termometr?

– Temperatura ciała nieznacznie wzrasta podczas owulacji. Jeśli będziesz sobie mierzyć temperaturę każdego ranka, zanim wstaniesz z łóżka, i zaznaczać wyniki na wykresie, określisz swoją normalną temperaturę i łatwo zauważysz, kiedy się podnosi. Najbardziej płodny okres przypada na dzień-dwa przed wzrostem temperatury. Oto kilka przykładowych wykresów – wyjęła je z teczki i pokazała Romily.

– Jasne.

– Oczywiście jeśli masz regularne miesiączki, łatwiej będzie ci określić moment owulacji, który przypada mniej więcej w połowie cyklu.

– W porządku.

Claire zamilkła. Czy wypadało zapytać Romily o regularność cyklu? Normalnie takie pytanie byłoby zbyt intymne, ale w ich sytuacji...

– Możesz również obserwować konsystencję śluzu z pochwy – powiedziała zamiast tego. – Podczas owulacji jest przezroczysty. Masz tu kilka zdjęć.

– OK. – Romily wytarła dłonie o dżinsy i wzięła od Claire kilka wydruków.

– Oczywiście sperma żyje przez jakiś czas, więc jesteś płodna również przed owulacją. Eksperci twierdzą, że najlepiej jest współżyć co kilka dni, ale w naszej sytuacji to niemożliwe – Claire roześmiała się, ale szybko przestała, bo poczuła się głupio.

– Nie chcę spędzić w towarzystwie kuchennej szprycy więcej czasu niż to konieczne.

– Naturalnie nie musisz jej używać. Kupiłam kilka strzykawek.

Romily zajrzała do torby i zobaczyła strzykawki oraz plastikowe pojemniczki.

– Naprawdę pomyślałaś o wszystkim. Czy kupiłaś także testy ciążowe?

– Nie – zwykle nie planuję z tak dużym wyprzedzeniem. Nie na tym etapie.

Romily przestała jeść.

– Och, no tak. Przepraszam.

Claire przyglądała jej się przez chwilę. Romily miała na sobie dżinsy z dziurami na kolanach i białą koszulę na guziki, która sprawiała wrażenie męskiej. Przypominała bardziej dwunastoletniego chłopca niż dorosłą kobietę, a jednak była całkowicie pewna tego, że może zostać matką. Dla Claire nie miało to sensu.

Słowa same wypłynęły z jej ust.

– Romily, bardzo doceniam to, co chcesz dla nas zrobić, ale muszę zapytać, jakie są twoje motywy? Podjęłaś decyzję pod wpływem chwili? Chciałabym to wiedzieć, bo... – nie dokończyła.

– Co powiedział ci Ben?

– Powiedział, że postanowiłaś to zrobić, bo ci na nas zależy i dlatego że pomogliśmy ci w opiece nad Posie, kiedy była niemowlęciem.

Wyjaśnienie zabrzmiało bardzo nieprzekonująco. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zdecydowałby się z takiego powodu urodzić dziecka i go komuś oddać. Spojrzenie Romily powędrowało w kierunku sypialni Posie. Zagryzła wargę, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Czy Ben powiedział ci, dlaczego urodziłam Posie? – zapytała cicho.

Claire po raz drugi nie była pewna, ile może zdradzić. Rozmawiała z Benem o ojcu Posie, który nie uczestniczył w wychowaniu córki. Claire nigdy go nie poznała. Ben opowiadał, że ten mężczyzna był skrajnie nieodpowiedzialny, więc Posie i Romily miały szczęście, że

zniknął z ich życia.

– Chyba nie znam wszystkich szczegółów.

– Nie planowałam tej ciąży. To była kompletna pomyłka. Ojciec Posie i ja rozstaliśmy się jeszcze zanim odkryłam, że spodziewam się dziecka. Postanowił wyjechać do pracy i oboje doszliśmy do wniosku, że nasz związek nie ma przyszłości. A później zaczął mi się spóźniać okres. Dopiero co rozpoczęłam studia doktoranckie, utrzymywałam się ze stypendium naukowego i odrobiny pieniędzy, które zostawił mi ojciec. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że zostanę matką. Powiedziałam o wszystkim ojcu dziecka i oboje zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie pozbyć się ciąży.

Claire otworzyła usta, lecz szybko je zamknęła.

– Jestem świadoma ironii losu, kiedy porównuję swoją sytuację z waszą – powiedziała Romily.

– Ja... nie miałam o tym pojęcia.

– Ben przekonał mnie, że powinnam urodzić dziecko. Dzień przed umówionym zabiegiem poprosiłam go... żeby pojechał ze mną. Był jedyną osobą, do której mogłam się zwrócić. Przegadaliśmy całą noc.

– Gdzie wtedy byłam?

Chociaż minęło osiem lat, Claire była pewna, że pamiętałaby, gdyby Ben spędził całą noc poza domem.

– Chyba nocowałam u swojej matki. – Policzki Romily poróżniewały. Nie potrafiła spojrzeć Claire w oczy. – Ben wytłumaczył mi, jak cenne jest życie, że miłość łącząca matkę i dziecko jest najbardziej niesamowitą rzeczą pod słońcem. Wiedział o tym, bo sam stracił mamę. Moja matka też zmarła, kiedy byłam dzieckiem. W końcu postanowiłam odwołać wizytę.

Claire nie wiedziała, jak zareagować na opowieść o jej mężu, Romily i łączącej ich przyjaźni. Dowiedziała się nie tylko o tym, że życie Romily nie miało nic wspólnego z nią, lecz także poznała historię Romily i Bena, o której do tej pory nie miała pojęcia.

– Ben potrafi być bardzo przekonujący – skwitowała.

– Sama widzisz – kontynuowała Romily – że wszystko układa się w logiczną całość.

Urodziłam Posie dzięki Benowi, a teraz ty i on będziecie mieli dziecko dzięki mnie. To uczciwe i dlatego się zdecydowałam.

Skończyła jeść kanapkę, wytarła usta dłonią, dopiła herbatę i wstała.

– Mówisz, że owulacja następuje mniej więcej w połowie cyklu?

Claire wróciła myślami do teraźniejszości.

– Tak, oczywiście wiele zależy od organizmu kobiety.

Romily zacisnęła lekko usta, namyślając się.

– To dzisiaj. Sprawdźmy. – Wyjęła z torby jeden z testów owulacyjnych. – Co mam zrobić, nasiusiać na patyczek?

– Najlepiej to zrobić około drugiej po południu.

– Cóż, jeśli nie spróbujemy, to się nie dowiemy, prawda? Szkoda czasu, zaraz wracam.

Po wyjściu Romily, Claire zapadła się w leżące na kanapie poduszki. Ben i jego najlepsza przyjaciółka podjęli najważniejszą w życiu Romily decyzję, kiedy Claire odwiedzała swoich rodziców. Ben nie zdradził się słowem. Dlaczego? Czyżby chronił Romily? A może to ona poprosiła go, żeby zachował to dla siebie?

Chociaż Claire słyszała tę historię po raz pierwszy, nie zaskoczyło jej, że Ben poradził Romily zachować dziecko. Uwielbiał dzieci. Osiem lat temu planowali, że będą mieli liczną rodzinę, a Ben nadal tęsknił za swoją matką.

Wytłumaczenie Romily miało sens, ale Claire nadal czuła się oszołomiona jej prostym



myśleniem: *urodziłam dziecko dzięki Benowi, więc teraz urodzę dziecko dla niego..*

Jakby to było takie proste.

Poczuła jakiś ostry przedmiot pod plecami. Wsadziła rękę za poduszkę i znalazła lekko wilgotną parasolkę oraz skarpetkę.

– Chodź obejrzeć moje obozowisko – powiedziała Posie, zjawiając się obok kanapy.

Claire odłożyła parasolkę i skarpetkę na podłogę i ruszyła krótkim ciemnym korytarzem do pokoju dziewczynki. Był mały, właściwie niewiele większy od szafy. Wszystkie powierzchnie, których nie zajmowało łóżko, pokrywały sterty książek i porozrzucanych ubrań. Tu i ówdzie leżały talerze pełne okruszków. Kwiecista kołdra podtrzymywana przez jakiś kij tworzyła namiot. Po chwili Claire zorientowała się, że ten kij to siatka na motyle.

Ben leżał na brzuchu w namiocie i przeglądał kolorowanke. Na widok żony szeroko się uśmiechnął.

– Nieźle to sobie urządziła, co?

– Co badacie? – zapytała Claire.

– Już ci mówiłam, najdalsze zakątki Peru.

– No tak, zapomniałam.

Posie wgramoliła się do namiotu i usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok Bena.

– Wejść do środka! Tu jest mnóstwo miejsca i nie złapie cię żaden krokodyl.

Pościel rzeczywiście była poplamiona masłem orzechowym, chociaż poza tym wyglądała świeżo.

– Może przed wyjściem pomożemy twojej mamie zmienić pościel?

– To by zniszczyło mój namiot. – Posie wyciągnęła rękę i ścisnęła nogę Claire. – Argh!

Spójrz! To gigantyczny syczący karaluch!

Claire podskoczyła i rozejrzała się za prawdziwym karaluchem, dopóki nie zorientowała się, że Posie żartuje.

– One żyją wyłącznie na Madagaskarze – dobiegł z korytarza głos Romily. – Wydawało mi się, że jesteście w Peru.

– W madagaskarskiej wiosce o nazwie Peru – wyjaśniła Posie.

– No tak, teraz wszystko się zgadza.

– Poza tym miałaś kiedyś takie zwierzątko.

– Potrzebowaliśmy przejściowego lokum dla karalucha – zwróciła się Romily do Claire. – Nie martw się, dawno go tu nie ma. Zrobiłam test. Czy uśmiechnięta buźka oznacza to, co myślę?

– Karaluchy nie mają uśmiechniętych buziek – zdziwiła się Posie.

– Miałaś uśmiechniętą buzię? – zapytała Claire. – Na teście?

– Bardzo uśmiechniętą.

Ben wygramolił się z namiotu. Claire wpatrywała się w Romily, która stała z rękami w kieszeniach i wyglądała na bardzo zadowoloną.

– Przy odrobinie szczęścia możemy to zrobić dzisiaj – powiedziała.

– Co zrobić? – zapytała Posie, lekko obrażona.

Ale to za szybko. O wiele za szybko. To zbyt proste.

– Czy ja dobrze myślę? – zapytał Ben. Chwycił Romily za ramiona, a ta promiennie się uśmiechnęła. – Masz teraz owulację?

– O czym wy mówicie? – Posie wysunęła głowę spod kołdry. – A tak przy okazji, krokodyle właśnie pożarły wam nogi.

Claire popatrzyła na Romily, która nieznacznie pokręciła głową.

– To sprawy dorosłych – powiedziała. – Nic ciekawego. Powiem ci później, jeśli się nam uda.

- Powiedziała, że pożały wam nogi!
  - Auć! – krzyknął Ben, przewracając się na podłogę i chwycił się za kolana.
  - Nie musimy się spieszyć – powiedziała Claire. – Możemy zacząć od przyszłego miesiąca.
  - Mam dzisiaj sporo roboty z krokodylami. Czy jutro też będziemy mogli to zrobić?
  - Myślę, że tak.
  - Jutro – odezwał się z podłogi Ben. – Spróbujemy jutro.
- Posie usiadła mu na brzuchu.
- Ale najpierw musimy polecieć na Antarktydę – powiedziała.

## KOŚCI ZOSTAŁY RZUCONE

Claire wyczytała na jednej ze stron internetowych, że relaksująca muzyka sprzyja zapłodnieniu. Naturalnie Romily wybrała *London Calling* grupy The Clash. Siedziała na brzegu łóżka w gościnnym pokoju Claire i Bena, ściskając w dłoni smukłą strzykawkę.

Czekali już na dole, chociaż spodziewali się Romily najwcześniej za pół godziny. Po wszystkim miała leżeć z nogami w górze przez trzydzieści minut. Biorąc pod uwagę tę wszystkie reguły, aż trudno było uwierzyć, że dzieci w ogóle się rodziły.

Romily doszła do wniosku, że jest gotowa. Dzięki ich wczorajszej rozmowie, Claire nie będzie podejrzewała, że Romily chce urodzić ze względu na swoje uczucia do Bena. Mogła pomóc przyjacielom i zachować swój sekret.

Kiedy jednak przyszło co do czego, gdy trzymała w ręku nasienie Bena, wciąż ciepłe, świeże, prosto z jego ciała...

Romily popatrzyła na drzwi do łazienki. Jeszcze nie było za późno na zmianę decyzji. Mogła wypuścić zawartość strzykawkki do umywalki, zmyć ją wodą, odczekać pół godziny i zejść na dół, niby to po zakończonej misji. Nie byłiby szczególnie zaskoczeni, gdyby nie udało jej się zająć w ciążę przy pierwszej czy nawet drugiej próbie. Do tego czasu Claire i Ben mogliby znaleźć inne rozwiązanie.

Nie, na pewno by tego nie zrobili.

Romily wzięła głęboki wdech i położyła się na łóżku. Wydawało jej się, że to nic wielkiego, ale strzykawkka z nasieniem Bena była czymś niezwykle intymnym, teoretycznie nawet bardziej niż gdyby się upili i wylądowali razem w łóżku. To działanie było celowe. Romily usiłowała zająć w ciążę z Benem.

Jedenaście lat wcześniej Benjamin Lawrence mieszkał w tym samym akademiku co Romily. Ona mieszkała na pierwszym piętrze, a on tuż nad nią, na drugim. On studiował architekturę, ona zoologię. Po raz pierwszy zobaczyli się, kiedy ona wchodziła do akademika, a on z niego wychodził. Serce Romily, przyzwyczajone do samotności, zabiło w jej piersi tak mocno, że niemal boleśnie. Benjamin był chodzącym ideałem: wysoki, z błyskiem w oku i kręconymi włosami. Dopiero po trzech tygodniach odważyła się do niego odezwać.

Rok później, zanim zebrała się na odwagę, by powiedzieć mu, co naprawdę do niego czuje, poznał Claire.

Romily wyobrażała sobie Bóg wie co. To nie była intymność, lecz przysługa, biologiczna przysługa, działanie mające zapewnić ciągłość gatunku, zwykły eksperyment, do którego wyjątkowo musiała zdjąć spodnie.

Claire i Ben czekali na dole, aż rozpocznie się ich nowe życie.

Romily ułożyła się wygodnie na łóżku. Z płyty dobiegał rozziewający głos Joego Strumera, który śpiewał, że jego dziewczyna dostanie nowiutkiego cadillaca.

*Drogie Małeństwo,*

*Kiedy byłam małą dziewczynką, miałam książkę zatytułowaną Skąd się biorą dzieci. Były w niej piękne, trójwymiarowe ilustracje łona, jajników i plemników, dopracowane w każdym szczególe. Nawet plemniki rzucały cienie. Książka rozpoczynała się w momencie, kiedy kura spotykała koguta, a na kolejnych stronach wysiadywała jajko, z którego wykluwał się kurczak. Później przedstawiała parę spółkujących psów i narodziny szczeniaków, a w końcu mężczyznę i kobietę leżących w łóżku pod kwiecistym kocem, uśmiechniętych i trzymających się za ręce.*

*Twoje poczęcie wyglądało inaczej.*

*Na pewnym etapie życia wszyscy chcemy wiedzieć, skąd się wzięliśmy. Zrozumiałam jednak, że gdy pytamy o swoje pochodzenie, wcale nie chodzi nam o jajeczko i spermę, papierowe wycinanki i cienie. Pytamy o historię. Jak poznali się nasi rodzice? Dlaczego się w sobie zakochali? Historie liczą się bardziej niż komórki i DNA.*

*Pewnie zainteresuje cię, że decyzja o twoim poczęciu zapadła pewnego wiosennego popołudnia w parku tematycznym zainspirowanym dziecięcymi klockami. Ciekawa rzecz, te klocki. Wykonane z plastiku, pozwalają się ze sobą dowolnie łączyć. Można zacząć od jednego klocka i dokładać kolejne, aż w końcu powstanie z nich słoń, statek kosmiczny, zamek, rakieta nuklearna albo ogród kwiatów.*

*W jednym jedynym klocku drzemią nieskończone możliwości. Nic nie jest z góry przesądzone czy nieuniknione. Ostateczny efekt zależy od kombinacji rozmaitych czynników: szczęśliwych pomyłek, przebłysków wyobraźni, otoczenia i okazji, dzięki którym klocek staje się czymś więcej niż tylko klockiem.*

*Zostałeś poczęty z chwilą, gdy troje osób zebrało się i postanowiło, że spróbuje Cię stworzyć. Nie mieliśmy pojęcia, na co się porywamy, lecz powinieneś wiedzieć, że tamten dzień był piękny, a my kierowaliśmy się miłością.*

*Cała reszta to tylko szczegóły techniczne.*

## TESTY

Romily jak zwykle nie usłyszała budzika. Budziła się dopiero wtedy, gdy przestawał dzwonić.

– Cholera – wymamrotała, sięgając po budzik, który wskazywał dziesięć po dziewiątej, a bateria znowu padła, więc mogło być jeszcze później. Dźwignęła się z łóżka, krzyżąc: – Posie! Wstawaj! – Zakładając wczorajsze ubranie, poszła do sypialni Posie, która leżała zakopana w pościeli. Romily potrząsnęła jej ramieniem. – Obudź się, Posie, jesteśmy spóźnione.

Posie jęknęła, przewróciła się na drugi bok i znów zasnęła. Romily sięgnęła po jej szkolny mundurek i jeszcze raz potrząsnęła córką.

– Wstawaj! Spóźnisz się do szkoły.

Dopiero gdy ściągnięto z niej kołdrę, Posie ocknęła się na tyle, żeby usiąść na łóżku.

– No co? – zapytała, odgarniając z oczu grzywkę.

– Zaspałyśmy.

– Znowu, Romily? Dostanę karę.

– Może powinnaś pilnować swojego budzika.

– A co się stało z twoim?

Z salonu dobiegł dzwonek telefonu Romily.

– Ubieraj się – powiedziała, rzucając mundurek Posie na łóżku. – Muszę odebrać.

– Nie mogę uwierzyć, że będę musiała spędzić przerwę na lunch w kozie, i to z twojej winy – wymamrotała Posie, ściągając nocną koszulę. Romily ją zignorowała – nie dlatego, że jej córka nie miała racji, po prostu szkoda jej było czasu na sprzeczki – i poszła do drugiego pokoju po telefon. Kiedy tylko odnalazła go w kurtce, przestał dzwonić. Jedno nieodebrane połączenie od Bena.

Strugi deszczu spływały po oknach na ulicę. Gdzie się podziały kalosze Posie? Romily uklękła i zajrzała pod kanapę. Jeden się znalazł... ale co z drugim?

– Będziesz musiała zjeść obiad w szkole – zawołała do córki, sprawdzając pod fotelem.

– Dzisiaj podają rybę. – Głos Posie, dobiegający z jej sypialni, ociekał obrzydzeniem. – Obrzydlistwo.

– Nie jadasz ryb. Co proponują wegetarianom?

– Rybę na niby.

O, jest, przy samej ścianie. Romily wyciągnęła rękę daleko przed siebie i schwyciła kalosza koniuszkami palców. Kiedy go wyciągnęła, koty z kurzu zwisały i z buta, i z jej ręki.

– Przykro mi, ale nie mam dziś czasu, żeby przygotować ci lunch. Spróbuj zatkać nos. – Zdmuchnęła kurz i zaczęła szukać własnych butów. Zanim to zrobiła, rozległ się sygnał przychodzącego SMS-a od Bena.

Posie weszła do pokoju z kwaśną miną, zakładając sweter.

– Czy możemy pojechać samochodem? – zapytała.

– Jeśli utkniemy w korku, jeszcze bardziej się spóźnimy. Będziemy musiały pójść na piechotę.

– Nie cierpię dzisiejszego dnia, chociaż dopiero co wstałam.

– Gdzie twoja praca domowa?

– Mam dzisiaj sprawdzian z literowania. Powinnaś mnie wieczorem przepytać.

– Dlaczego mi nie przypomniałaś?

- Bo mi nie kazałaś.
- To twoja praca domowa, Posie. Powinnaś sama pamiętać.
- Jezu Chryste, Romily, mam dopiero siedem lat.

Romily zamknęła oczy i spróbowała policzyć do dziesięciu, lecz zatrzymała się przy czterech, bo były już bardzo spóźnione.

- Umyłaś buzię?

Posie odwróciła się bez słowa. Romily sięgnęła po telefon i przeczytała wiadomość od Bena: *Znasz już wynik?*

Przez krótką chwilę Romily zastanawiała się, skąd Ben wie o sprawdzianie Posie z literowania, lecz później sobie przypomniała: minęły dwa tygodnie.

Pobiegła do sypialni i sięgnęła do górnej szuflady komody, gdzie schowała wszystkie rzeczy przyniesione przez Claire. Wyjęła wąskie pudełko, zorientowała się, że to test owulacyjny i szukała dalej, póki nie odnalazła testu ciążowego. *99% PEWNOŚCI JUŻ PIERWSZEGO DNIA SPODZIEWANEJ MIESIĄCZKI*, głosił napis z boku opakowania. To, że najlepszy przyjaciel Romily lepiej niż ona orientował się w jej cyklu, dobitnie o niej świadczyło. Test nie mieścił się w dłoni, więc schowała go do kieszeni bluzy.

Posie stała w łazience, marszcząc czoło, i myła zęby najwolniej, jak tylko się dało. Dzwon kościelny wybił wpół do dziesiątej, więc Romily nie miała czasu, żeby zrobić test.

– No chodź – powiedziała w przelocie do Posie, chowając test do torebki, zanim jej córka weszła do salonu. Założyła Posie kalosze i płaszcz przeciwdeszczowy, zarzuciła na siebie kurtkę i buty i zabrała dla każdej z nich po batoniku zbożowym i bananie, zanim obie wyparowały z mieszkania.

– Mój jest cały w brązowych plamkach – zauważyła Posie. Romily dała jej swojego banana, który był trochę mniej przejrzały. Posie zmarszczyła nos i ugryzła owoc.

– Musimy się pospieszyć. – Romily obrała banana i przypomniała sobie, że zapomniała wziąć witaminy dla kobiet w ciąży. Wysypała z pojemniczka przeterminowane witaminy, które kupiła dawno temu i nigdy nie zażywała, zastępując je tymi, które dostała od Claire. Posie potrafiła być bardzo ciekawska, a obrazek uśmiechniętego niemowlęcia na opakowaniu mówił sam za siebie.

Połknie je później. Telefon w torebce Romily ponownie zapiszczał. Ben pewnie był już w pracy i umierał z ciekawości.

- Szybciej, Posie.
- Nie potrafię jednocześnie jeść i biec.
- To nie znaczy, że musisz się wlec w żółwym tempie.

Chwyła Posie za rękę i przyspieszyła kroku. Nie po raz pierwszy żałowała, że nie wynajęła mieszkania nieco bliżej szkoły Posie, najchętniej po przeciwnej stronie ulicy. Jednak kiedy Posie była niemowlęciem, najważniejsze dla Romily wydawało się znalezienie taniego lokum z dwiema sypialniami w rozsądnej odległości od muzeum i uniwersytetu, żeby nie musiała tracić pieniędzy na benzynę lub autobusy. Nie myślała wtedy o szkole. Poza tym były już tak spóźnione, że tylko statek kosmiczny dowiozłby je na czas.

- Romily, zaraz urwiesz mi rękę!
- Wobec tego idź szybciej.
- Nie mogę. Bolą mnie stopy. Mam za ciasne buty.
- Naprawdę? Od kiedy? – Romily wyrzuciła skórki od banana do kosza i przebiegła z Posie na drugą stronę ulicy, korzystając z niewielkiej luki w sznurze samochodów.
- Nie wiem. Chyba potrzebuję nowych.
- Och, Posie, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Mówiłam, tak samo jak o sprawdzianie z literowania.

– Nieprawda.

Posie skrzywiła buzię i nie rozchmurzyła się przez całą drogę do szkoły. Romily musiała użyć domofonu, żeby wpuszczono je na pusty dziedziniec. Zaprowadziła Posie schodami do szkolnego sekretariatu.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała do sekretarki, która zmierzyła je nieprzyjaznym spojrzeniem. – Padła mi bateria w budziku.

– Znowu?

– Kupię nową.

– Pani Summer...

– Doktor.

– Doktor Summer, wychowawczynie Mariposa uważa, że ciągle spóźnianie się wpływa na edukację pani córki.

– Jeszcze dziś wieczorem kupię nową baterię i budzik. Obiecuję. A skoro już tu jestem, zapłacę za obiad Posie. – Wsunęła rękę do kieszeni kurtki i wyjęła z niej jedyne pieniądze, jakie przy sobie miała: funta i dwadzieścia pensów. – Ekhm, czy mogłabym dopłacić resztę jutro?

Sekretarka przyjęła monety i wróciła do stukania na komputerze, jakby umywała ręce od tego całego bałaganu.

Romily przykucnęła i odgarnęła mokrą grzywkę z czoła Posie.

– Przykro mi z powodu butów, Pose, ale będziesz się musiała przemęczyć. Pojedziemy po nową parę zaraz po szkole.

Posie odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi do klasy.

– Powodzenia na teście! – krzyknęła za nią Romily. Dziewczynka nie odpowiedziała. Romily patrzyła za córką. Za jej wąskimi ramionami w płaszczu przeciwdeszczowym, wypchanymi na kolanach rajstopami i potarganymi włosami. Była taka mała i bezbronna, i miała tylko jednego rodzica. Tak bardzo przypominała swoją matkę.

Romily wstała z kućki i westchnęła, po czym pobiegła do pracy, naciągając na głowę kaptur, by ochronił ją przed deszczem.

Szła wzdłuż Tamizy, w której pluskały się kaczki i pardwy, mijana przez matki z dziecięcymi wózkami i rowerzystów. Mijała gęsie bobki, bloki komunalne i ekskluzywne apartamentowce. Gumowe podeszwy jej butów klapały głośno o chodnik. Muzeum Brickham mieściło się w centrum miasta, w dawnym ratuszu – wiktoriańskim gotyckim budynku z czerwonej i szarej cegły. Od frontu widać było łukowate okna, strzeliste wieże i wejście przypominające bramę katedry, lecz wyposażone w nowoczesne szklane drzwi automatyczne. Romily wślizgnęła się do środka i odpowiedziała na przywitanie wolontariuszki, która czekała już z tekturową podkładką na pojawienie się pierwszych zwiedzających. Na parterze znajdowała się ekspozycja poświęcona historii Brickham, od średniowiecznego opactwa, przez rozkwit przemysłu w czasach królowej Wiktorii, aż po współczesność. Romily przeszła przez pakamerę, w której stały regały pełne pudeł z eksponatami wypożyczanymi do szkół, i wzięła klucz do działu entomologii. Wspięła się po wąskich schodach, minęła biura, machając do pogrążonych w ciężkiej pracy kobiet, i dotarła na trzecie piętro, do zatłoczonego pokoju, w którym znajdowały się trzy biurka, trzy komputery, niezliczona liczba półek wypełnionych rzeczami, które czekały, aż ktoś odłoży je na właściwe miejsce, oraz niewielkie okno, wysoko na północnej ścianie.

Nikogo jeszcze nie było. Romily odetchnęła z ulgą, odwiesiła mokry płaszcz na stojący w kącie wieszak i położyła torbę na jedynym biurku z dostępem do okna. We wtorek musiała

walczyć o biurko z wolontariuszką pracującą nad skatalogowaniem kolekcji puszek na herbatniki oraz studentką sztuki piszącą doktorat na temat pomników konnych. Nie miała nic przeciwko tym dziewczynom – Sheila i Layla były dość miłe, a Romily swego czasu też była doktorantką i wolontariuszką – ale pracowała tu dłużej niż one i lubiła widzieć, co się dzieje za oknem.

Jednak to nie tutaj spędzała większość czasu, lecz piętro wyżej. Na końcu jeszcze bardziej klaustrofobicznej klatki schodowej znajdowały się drzwi pokryte ostrzegawczymi żółtymi nalepkami. Romily weszła na górę, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Natychmiast uderzył ją zapach naftalenu i furkot wentylatorów. Niektóre szafki entomologiczne były metalowe, w nowoczesnym kolorze khaki, inne mahoniowe. Romily знаła zawartość każdej z nich, chociaż jej szafka, wykonana z palisandru, stała na tyłach pokoju. Miała szklane drzwi i wąskie gablotki, wyposażone w mosiężne gałki. Przytwierdzona do szafki niewielka mosiężna plakietka głosiła: *Kolekcja Amity Blake, 1847–1907*.

Romily otworzyła szklane drzwi i delikatnie wysunęła gablotkę numer siedemdziesiąt. Uważając, żeby nie przewrócić się na schodach, ostrożnie zniosła ją na dół i położyła na biurku. Gablotka zawierała dziesiątki owadów, zabezpieczonych szpilkami i starannie opisanych numerami w katalogu, który zaginął wiele lat temu.

Amity Blake była jedyną córką i spadkobierczynią ceglarza nazwiskiem Absolom Blake. Niewiele o niej wiadomo, poza tym, że w wieku dwudziestu ośmiu lat, kiedy jeszcze była panną, jej ojciec zmarł i zostawił po sobie ogromną fortunę. Zamiast wykorzystać ją jako wiano i znaleźć sobie męża, Amity zjeżdżała cały świat, kolekcjonując owady. Panna Blake nie była wyjątkiem – Romily miała wrażenie, że w czasach wiktoriańskich każdy, kto miał wolny czas, uganiał się po polach z siatką na owady i chloroformem. Wyjątkowe było jednak to, że nie wyszła za mąż.

Kolekcja została przekazana muzeum niezbyt długo po śmierci Amity. Niektóre okazy wystawiono, chociaż dwie wojny światowe i pogarszające się warunki finansowe sprawiły, że kolekcja nigdy nie została porządnie skatalogowana.

Romily odkryła gabloty pełne cudów jako świeżo upieczona doktorantka i zakochała się w nich od pierwszego wejrzenia. W czasie, który powinna poświęcić raczej pisaniu pracy, szczególnie, że w domu czekało na nią małe dziecko, Romily identyfikowała gatunki owadów z Afryki, Indii, Malezji i Filipin, czyli z miejsc, które powinny się znajdować poza zasięgiem wiktoriańskiej starej panny. Romily przekonała jednego z wolontariuszy miejscowego muzeum historycznego do poszukiwań fotografii przedstawiającej Amity, lecz nie udało się jej znaleźć. Dla Romily nie miało to większego znaczenia. Potrafiła sobie doskonale wyobrazić Amity: dystygowaną, niezbyt urodziwą kobietę w kapeluszu z ochronną siatką, zwinnie operującą pincetą i przedzierającą się w długiej do ziemi sukni przez kilometry buszu.

Właśnie tak Romily widziała swoją bohaterkę.

Po skończeniu studiów pozostała w muzeum jako wolontariuszka, łącząc nieodpłatną pracę nad kolekcją z kelnerowaniem w miejscowej kawiarni i nauczaniem. Kiedy Posie szła spać, Romily pisała podania o granty. Dziewiętnastowieczne kobiety nauki zyskiwały coraz większą popularność, kolekcja cieszyła się lokalnym zainteresowaniem i w końcu Romily otrzymała pieniądze na dalsze katalogowanie kolekcji.

Gablotka numer siedemdziesiąt była pełna ciemnobrązowych ciem. Amity wołała zbierać po jednym owadzie z każdego gatunku zamiast wielu okazów jednego i lubiła je porządkować w zależności od koloru, a nie miejsca, w którym je znalazła, co czyniło pracę Romily trudniejszą i bardziej ekscytującą. Bielinek kapustnik z Berkshire mógł się niemal ocierać skrzydełkami o *Appias phaola* z Kongo. Romily sięgnęła do torebki po pokrowiec na okulary



i natrafiła na test ciążowy.

Ach tak. Od tego powinna zacząć. Przy okazji wyjęła z torebki telefon komórkowy. Miała pięć wiadomości i trzy nieodebrane połączenia, wszystkie od Bena. Oczywiście, nie mógł się już doczekać, by dowiedzieć się, czy spodziewała się dziecka, czy też nie.

Była więc nie tylko beznadziejna matką, ale też przyjaciółką. Schowała test z powrotem do torebki i ruszyła w kierunku toalety dla personelu. Po drodze wsunęła głowę do kuchni pracowniczej, w której Hal, kierownik muzeum, niemrawo mieszał łyżeczką herbatę.

– Hal, czy mógłbyś się zalogować za mnie na pierwszym komputerze?

– Doktor Summer...

Romily zatrzymała się w pół kroku.

– Tak, Hal?

– Doktor Summer, czy jako wykształcona kobieta mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego w kraju, który nie jest już światową superpotęgą, nie szanuje się wspaniałego dziedzictwa wiedzy, jedyne, jakie nam pozostało?

– Mamy recesję, Hal. Lokalne władze spychają potrzeby muzeum na koniec kolejki. Czy przypadkiem miałeś wczoraj zebranie w sprawie budżetu?

– Musimy być atrakcyjniejsi – wymamrotał. – Dostarczyć społeczności więcej emocji. Nauka dla samej nauki przestała się liczyć. Zapamiętaj moje słowa: niedługo lektorem w filmach edukacyjnych zostanie Simon Cowell.

Upił potężny łyk herbaty, jakby przepowiedzenie końca świata wzmogło w nim pragnienie.

Telefon Romily ponownie zabuczał, przypominając jej o tym, że miała teraz ważniejsze sprawy na głowie. Przeklinając pod nosem, poszła w stronę toalety.

Był to już drugi plastikowy patyczek, na który nasiusiała w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Naciągnęła dzinsy i czekała w ciasnej kabinie. Wynik testu pojawił się prawie natychmiast, czarno na białym:

*Ciąża, 1–2 tydzień.*

Emocje ścisnęły jej żołądek, serce i gardło. Świat zawirował. *To jego dziecko* – pomyślała, opierając się o ścianę kabiny.

*Urodzę jego dziecko.*

Nie wiedziała, czy powinna się śmiać czy płakać. Zamknęła oczy i zmusiła się do wzięcia oddechu, a później kolejnego. Co to będzie: chłopiec czy dziewczynka? Którą płęć wolała? Która była bezpieczniejsza?

Nie wierzyła, że to się naprawdę wydarzy. Nie tak szybko. Nie przy pierwszej próbie. Myślała, że będzie miała czas na zastanowienie.

Ale przecież porządnie wszystko przemyślała, jeszcze zanim sięgnęła po strzykawkę. Postanowiła już, że to zrobi.

Klamka zapadła. Ich komórki spotkały się i połączyły. Dzielily się wewnątrz niej, tworząc całkiem nową osobę. Było już za późno, żeby się wycofać.

Słyszała przejeżdżającą cysternę, stukanie zepsutego wentylatora i rozmyślała nad tym, jakie to dziwne, że tak kluczowy moment w życiu wielu osób ma miejsce w toalecie. I to niezbyt eleganckiej.

Przez kolejnych dziewięć miesięcy Romily będzie inkubatorem dla cudzego dziecka. I chociaż wcześniej to bagatelizowała, dziewięć miesięcy to szmat czasu. Posie będzie miała prawie osiem lat, kiedy to dziecko – jego dziecko! – przyjdzie na świat. Do tego czasu mogło się wydarzyć wszystko.

Co powinna w tej sytuacji zrobić – roześmiać się czy rozplakać?

– Nikomu nie mów – odezwała się Claire do słuchawki. Stała oparta plecami o drzwi pokoju nauczycielskiego, żeby nikt nie wszedł do środka.

– Co takiego? – zdziwił się Ben, siedzący w swoim londyńskim biurze sześćdziesiąt kilometrów dalej. – To wielka nowina. Będziemy mieli dziecko!

– Albo i nie. – Nie mogła oddychać. Ponownie ogarnął ją lęk przed tym, że mogła coś stracić.

– Claire, Romily nie zmieni zdania. Nie znasz jej tak dobrze jak ja. Kiedy już się w coś zaangażuje, robi to na sto procent.

– Nie o tym myślałam.

– Aha. Wiem, skarbie, że się boisz. Ale Romily jest zdrowa i urodziła już jedno dziecko. Nie mamy powodu myśleć, że tym razem się nie uda.

*Tym razem.* Romily, w przeciwieństwie do Claire, była w stanie donosić ciążę. Benowi wcale nie o to chodziło. Claire przełknęła ślinę.

– Po prostu myślę, że rozsądniej będzie zachować tę nowinę dla siebie do końca pierwszego trymestru.

– Nie chcesz o tym porozmawiać z przyjaciółkami albo z Helen?

– Nie, dopóki nie będziemy mieli pewności. A co będzie, jeśli Romily mimo wszystko się wycofa?

– Nie zrobi tego.

Claire przypomniała sobie zabałaganione mieszkanie Romily, jej nieregularne posiłki i ciuchy wepchnięte pod poduszki na kanapie.

– Nie wydaje mi się, żeby była aż tak jednomyślna i zdeterminowana.

– Ta dziewczyna zrobiła doktorat, opiekując się marudnym niemowlęciem.

– Prawdę mówiąc, bardzo jej w tym pomogliśmy.

– Sądzę, że powinniśmy to uczcić we własnym gronie. To dla nas ważne wydarzenie.

Powiedziałem Romily, że wyjdę wcześniej z pracy i zabiorę was do restauracji Łabędź na kolację.

– Razem z Posie? Romily chyba nic jej jeszcze nie powiedziała.

– Razem z Posie. To również jej święto. Będzie przecież... jak to się mówi? Chrzestną siostrą?

– Przyrodnią siostrą – szepnęła Claire.

– Chrzestną siostrą. Myślę, że Romily powinna zostać matką chrzestną naszego dziecka, a ty?

– Zagalopowałeś się, Ben, zresztą jak zawsze.

Ben się roześmiał.

– Masz rację. Podekscytowałem się, to wszystko. Przyjadę po ciebie do domu o piątej.

– W porządku, ale nie mów nikomu, proszę.

W słuchawce zapadła cisza.

– O nie, Ben, chyba tego nie zrobiłeś?

– Powiedziałem tylko Justinowi i Elaine, ale oni mają własne dzieci, więc wiedzą, jak to jest.

– To, że sami mają dzieci nie znaczy, że wiedzą, jak to jest nie móc ich mieć.

– Wszystko będzie dobrze, Claire – odezwał się łagodnie. – Wszystko się ułoży, obiecuję. Claire zawięła rąbek spódnicy wokół palca.

– Mam złe przeczucia. To się stało zbyt szybko i zbyt łatwo.

– Widocznie tak miało być.

– A co z naszymi dziećmi, które usiłowaliśmy spłodzić – miało ich nie być?

– Nie o to mi chodziło. Oczywiście, że nie. Po prostu... czuję, że wszystko jest dobrze, ty nie?

– Ostatnim razem też tak czuliśmy.

Ben ponownie zamilknął.

– Kochanie, wydawało mi się, że cię cieszysz. Zgodziłaś się przecież, że to najlepsze rozwiązanie.

– Zgodziłam się, że to *jedyn*e rozwiązanie. A to wielka różnica.

– Dlaczego nie możesz po prostu być szczęśliwa?

– Bo to Romily spodziewa się twojego dziecka, a nie ja.

– To jest nasze dziecko.

– Muszę kończyć. Właśnie zadzwonił dzwonek.

Nacisnęła przycisk z czerwoną słuchawką. Krew dudniła jej w uszach. Przez okrągłe dwie minuty oddychała głęboko. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest zazdrosna, póki nie wypowiedziała tych słów na głos.

Nie spodziewała się, że nagle z całego serca znienawidzi kobietę, która urodzi dziecko zamiast niej.

Max siedział w jej klasie, pochylony nad gitarą. Często spędzał tam przerwę obiadową, ćwicząc ulubione piosenki, przeskakując z jednej na drugą. Claire to nie przeszkadzało, gra Maxa była przyjemna dla ucha.

Kiedy weszła do sali, chłopiec podniósł na nią wzrok.

– Wszystko w porządku, pani Lawrence?

– Co takiego? Tak, Max, dziękuję, nic mi nie jest. A co u ciebie?

Pociągnął za struny raz, a potem drugi.

– Mnie też nic nie jest – odparł.

– Ja poproszę gulasz grzybowy – zwróciła się do kelnerki Romily i zamknęła menu.

– A dla mnie kielbaski z tłuczonymi ziemniakami – powiedziała Posie.

– To są prawdziwe mięsne kielbaski, Pose.

– W porządku, już je jadłam. To ulubiona potrawa Bena. – Posie uśmiechnęła się do niego promiennie, a Ben odwzajemnił się tym samym. Chociaż w zasadzie nie przestawał się uśmiechać, odkąd po nie przyjechał.

– To może podzielę się z tobą swoją porcją? – zapytał.

– Nie, chcę mieć całą kielbaskę i ziemniaki dla siebie. Romily nie ma nic przeciwko temu, że jem mięso, o ile nie musi go dla mnie gotować – ostatnie zdanie wypowiedziała, idealnie naśladowując głos swojej matki.

– Ja też poproszę gulasz grzybowy – zwrócił się do kelnerki Ben. – Jeśli Posie nie zasmakują kielbaski, będziemy się mogli zamienić.

– Będą mi smakowały – zapewniła Posie, sącząc mleko przez słomkę.

Romily, która wiedziała, że Ben nie przepada za grzybami, powiedziała bezgłośnie „dziękuję”.

Ona też była rozpromieniona. Odkąd przekazała Benowi wiadomość, zalała ją fala niezmaconej radości. Czowała się beztroska i szczęśliwa. Po cóż miałyby to zmieniać?

– Ja poproszę sałatkę – odezwała się Claire.

– To niewiele – zauważył Ben. – Chyba nie zamieszasz podkraść mi grzybów z talerza?

– Nie jestem bardzo głodna.

Claire niewiele się odzywała, bawiła się tylko szklanką wody mineralnej. Romily zastanawiała się, czy teraz, kiedy cała akcja z dzieckiem rozpoczęła się na dobre, żony Bena nie zaczęły trapić wątpliwości. Jeśli postanowiła się wycofać, Romily i Ben znajdą się w niezłych

tarapatach. Nie wspominając już o dziecku.

Ben wydawał się bardzo szczęśliwy.

– Pójdziemy obejrzeć kaczki, cukiereczku?

– Tak!

Posie zeskoczyła z krzesła, oboje wyszli przed pub i ruszyli na brzeg Tamizy, który znajdował się na samym końcu ogródka piwnego.

Romily została sama z Claire. Ostatnio często zostawały same. Romily odchrząknęła.

– No więc – powiedziała. – To dobra wiadomość, co? Nie spodziewałam się, że to się stanie tak szybko, ale tym lepiej dla was. Naczekaliście się już dostatecznie długo.

Claire wróciła myślami z dalekiego miejsca, w którym tkwiła, odkąd weszli do pubu.

– Tak, rzeczywiście długo czekaliśmy.

– Miejmy nadzieję, że zostało wam już tylko dziewięć miesięcy. Posie urodziła się dwa tygodnie po terminie, więc możliwe, że i tym razem będziemy musieli poczekać nieco dłużej.

– Czujesz się jakoś inaczej?

– W zasadzie to nie. Nie miałabym pojęcia, że jestem w ciąży, gdybym nie zrobiła testu.

– A więc nic nie czujesz.

Romily wzruszyła ramionami.

– Z Posie było podobnie. Nie mogłam uwierzyć, że zostanę matką, dopóki nie urósł mi brzuch.

Claire uważnie ją obserwowała. Jej twarz wydawała się spokojna i pozbawiona emocji. Nic dziwnego, że Romily nigdy nie potrafiła odgadnąć, co jej chodzi po głowie.

– Zamierzasz nie jeść mięsa do końca ciąży? – zapytała Claire.

– No cóż, tak.

– W takim razie będziemy musieli się postarać o suplementy diety, żeby dziecko dostało wszystko, czego potrzebuje.

Romily już otwierała usta, by powiedzieć, że Posie całkiem nieźle wyrosła na chińskich zupkach i wegetariańskich hamburgerach, lecz akurat wrócili Ben i Posie, więc zamiast tego oznajmiła:

– Przepraszam, pójdę do toalety, zanim zjawi się jedzenie.

Ben odsunął jej krzesło i kiedy Romily wstawała, udało jej się zerknąć na twarz Claire, która wyrażała jedno: nieukrywaną niechęć.

Po sekundzie znów wyglądała normalnie.

## CZEGO SIĘ SPODZIEWAĆ

- W niedzielę Ben zjawił się w mieszkaniu Romily z dwoma ogromnymi kartonami.
- Czy to prezent dla mnie? – natychmiast spytała Posie.
  - Nie, ale dla ciebie mam to. – Wyjął z kieszeni notes z okładką w kolorowe ptaszki i długopis do kompletu. – Pomyślałem, że mogłabyś napisać dla mnie opowiadanie.
- Romily, która zdążyła dostrzec w jednym z pudeł okładkę książki „Czego się spodziewać, kiedy się ciebie spodziewają”, dodała szybko:
- W swoim pokoju.
  - Fenomenalnie! – Posie chwyciła notes i długopis i już jej nie było.
  - Jesteś pewien, że chcesz mieć dziecko? – zwróciła się do Bena Romily. – Posie wstała dziś o piątej trzydzieści. Zdążyłyśmy się już wybrać na spacer do parku, który objechała rowerem cztery razy, i wcale nie jest zmęczona. A na koniec musiałam jej kupić ciastko i gorącą czekoladę, które kosztowały mnie sześć funtów, po czym zapytała o różnicę pomiędzy Jezusem i Allahem.
- Ben zachichotał.
- Sprytna dziewczynka.
  - Dziecko kosztuje fortunę i nie pozwala się wyspać.
- Romily usiadła na kanapie.
- Przez osiemnaście lat jesteś rozdarty między pragnieniem, żeby zostawiło cię samego chociaż na chwilę i paraliżującym strachem, kiedy zniknie ci z oczu.
  - Mogę zabrać Posie na całe popołudnie, jeśli chcesz się zdrzemnąć.
  - Szczerze mówiąc, marzę o tym. Wczoraj też biegała jak nakręcona. – Romily skrzywiła się i skrzyżowała ramiona na biuście. – No i te obolałe piersi.
  - Na twoim miejscu bym się cieszył.
  - Nie mówiłbyś tak, gdybyś naprawdę był na moim miejscu. – Romily zajrzała do pierwszego pudełka. – Czyżby Claire była na zakupach?
  - Spędziła w sklepach cały wczorajszy dzień. Nie mam pojęcia, co kupiła.
  - Jeden, dwa trzy... Aż cztery poradniki dla ciężarnych. – Romily wyjęła jedną z książek i zerknęła do środka. – Więcej witamin. Masło kakaowe. Chyba jeszcze za wcześnie, żeby martwić się rozstępami, nie sądzisz?
  - Claire jest bardzo przewidująca.
- Ben podszedł do niewielkiej lodówki i wyjął z niej colę. Oparł się o blat, skrzyżował nogi w kostkach – czuł się jak u siebie – i otworzył puszkę. Romily uzmysłowiła sobie, że po raz pierwszy, odkąd jej ciąża się potwierdziła, została z nim sam na sam. Tych kilka intymnych chwil z wypełnioną spermą strzykawką się nie liczyło. Ponownie zajrzała do kartonu.
- Olejek lawendowy. Płyta z muzyką Chopina? Mam ją puszczać waszemu dziecku, żeby stało się bardziej inteligentne, czy co?
  - Nie mam pojęcia. Może, zdaniem Claire, muzyka poważna pozwoli ci się odprężyć.
  - Posie jest najmądrzejszym dzieckiem, jakie znam, a słuchała głównie Green Day.
  - Claire sporo czytała na te tematy. Świetnie sobie radzi z wyszukiwaniem informacji.
- Romily wyjęła oprawiony w płótno notes ozdobiony haftowanymi kwiatami, słońcami i chmurami.
- *Mój dziennik ciężowy* – przeczytała. – Chyba żartujesz! Co mam w nim opisywać?
- Piąty tydzień: bolą mnie cycki. Trzeci miesiąc: przytyłam. Szósty miesiąc: jestem już bardzo*

*gruba. Dziewiąty miesiąc: spójrzcie tylko – dziecko!*

– Myślę, że Claire miała na to jakiś pomysł. Dołączyła fragment artykułu.

Romily rozłożyła kartkę papieru wsuniętą między strony notatnika. *Dzieci, które zostały poczęte w niekonwencjonalny sposób, na przykład dzięki pomocy surogatki, zostały adoptowane lub przekazane rodzinie zastępczej zaraz po urodzeniu, warto jeszcze przed narodzinami zapewnić o tym, że były wyczekiwane. Pisz listy do nienarodzonego dziecka, opisując swoje emocje. Wyjaśnij, dlaczego odgrywa tak ważną rolę w twoim życiu. Taki pomysł może się okazać skuteczny w przypadku rodziców adopcyjnych, biologicznych lub matek zastępczych i dostarczy cennych informacji dziecku, kiedy będzie się chciało dowiedzieć, w jaki sposób przyszło na świat.* Romily odłożyła kartkę.

– A więc Claire chce, żebym prowadziła pamiętnik i jeszcze pisała listy? Bardziej przypomina to pracę domową niż ciążę, Ben.

– To tylko sugestia.

– Listy opisujące emocje. O co w tym wszystkim chodzi, do diabła? Dlaczego dziecko, którego i tak nie zatrzymam, miałoby interesować, co czułam, nosząc je w brzuchu przez dziewięć miesięcy? Zakładając, że w ogóle chciałabym przelać swoje nieistniejące uczucia na papier dla potomności, na co kompletnie nie mam ochoty. Nie potrafię sobie wyobrazić niczego gorszego. I niby kiedy miałabym to robić, skoro co pięć minut powinnam łykać witaminy?

Ben uniósł dłoń.

– OK, nikt cię nie zmusza. Claire lubi się dzielić swoimi emocjami, rozmawiać o nich.

– Ja nie.

– Wiem o tym.

– Zaczynam mieć tego wszystkiego dosyć. Claire może sobie pisać listy, skoro to dla niej ważne. Najlepsze, co mogę zrobić dla tego dziecka, to trzymać się w cieniu. Ono nie będzie moje, tylko wasze.

– Cóż, mieliśmy nadzieję, że zostaniesz jego matką chrzestną.

– Oboje? A może Claire?

Ben lekko się skrzywił i Romily zrozumiała, że trafiła w czuły punkt.

– Ona mnie nawet za bardzo nie lubi – powiedziała, odkładając książkę i wydruk z powrotem do pudełka. – Nie chcę ci niczego utrudniać, Ben, ale musisz przyznać, że ostatnio jedynym, co nas łączy, jesteś ty. I w porządku, nie muszę mieć z nią nic wspólnego, o ile będzie pragnęła tego dziecka. Jednak mam wrażenie, że Claire mi nie ufa.

– Oczywiście, że ufa.

– I dlatego przysłała mi tonę witamin i płytę z muzyką Chopina?

Ben westchnął i usiadł obok Romily.

– Musisz ją zrozumieć – powiedział. – Przez ostatnich kilka lat nie miała najmniejszej kontroli nad tym, co nas spotkało. Nie chciała mieć felernych jajeczek, ani stracić dziecka. Nie możesz jej winić za to, że pragnie być częścią całego tego procesu.

– Ależ ona jest jego częścią, przecież dostanie dziecko, prawda?

– Tak, Romily, ale myślę, że chciałyby czegoś więcej.

– Na przykład zadawać mi prace domowe?

– Cóż, myślałem, że może będzie chciała z tobą chodzić na wizyty kontrolne. Poza tym to naturalne, że chce się tobą opiekować, skoro jesteś w ciąży z naszym dzieckiem. Oboje chcemy.

– W porządku. Dziecko jest wasze, ale ciało moje.

Ben zmarszczył brwi.

– Chyba nie zaczęłaś się wahać?

– Och, nie – odparła szybko. – Nie, nie, nie. Oczywiście, że nie. Po prostu... to mnie trochę przerasta. Wszystkie te rzeczy w pudłach. Muszę je schować przed Posie. Zresztą na razie i tak ich nie potrzebuję.

– Ale jeśli będziesz czegoś potrzebowała, czegokolwiek, to nam powiesz, prawda? Poczytałem o tym wszystkim od strony prawnej i umówiłem się na spotkanie z adwokatem. Najważniejsze jest chyba to, że zgodnie z brytyjskim prawem nie możemy dać ci niczego, co można by było uznać za zapłatę. Możemy jednak pokryć twoje wydatki, koszt ubrań ciążowych i zrekompensować ci wynagrodzenie, które mogłabyś stracić ze względu na swój stan, więc będziesz zabezpieczona finansowo.

– Nie bądź śmieszny – odparła ze skrzepowaniem. – Skoro mam problem z przyjęciem płyty z muzyką poważną, nie poproszę was o nowe ciuchy. Zresztą nie w tym rzecz. Chodzi o to, że nie mogę być ciężarną mamą na etacie i skakać przez obręcz tylko po to, żeby sprostać wyobrażeniu Claire o idealnej ciąży. Nie mam na to wszystko czasu.

Ben wziął ją za rękę.

– Ona nigdy nie miała dziecka – powiedział łagodnie. – A tobie zajście w ciążę przychodzi z taką łatwością. Claire zagłusza swój lęk, przygotowując się na każdą ewentualność. Pozwól jej odegrać w tym wszystkim jakąś rolę, Romily.

Poczuła ciepło jego dłoni. Wycofała rękę niemal z poczuciem winy.

*Claire nie wie, co tak naprawdę ma. I nie ma bladego pojęcia, że ja też tego pragnę.*

– Dobrze – powiedziała.

– Nie – oświadczyła Claire.

Ben czekał na nią, gdy wróciła ze spaceru. Na stole wielki bukiet kwiatów stał w za małym wazonie. Claire nawet nie zwróciła na to uwagi.

– Nie musisz brać wolnego dnia w pracy – powiedział. – Romily umówiła wizytę na piątą. Będziesz miała mnóstwo czasu, żeby dotrzeć na miejsce.

– Nie pójde z nią do ginekologa.

– Claire, to przecież nasze dziecko. Myślałem, że będziesz się chciała w to włączyć na poważnie, a nie tylko przekazywać jej pudła z rzeczami. Nie boisz się, że będziesz później żałowała?

– Tu nie chodzi o żal, tylko samozachowawczość. Wiem, co mogę zrobić, a czego nie, Ben. Mogę kupić witaminy i zamówić potrzebne rzeczy w internecie, znaleźć informacje dotyczące rozwoju ciąży, ale nie dam rady siedzieć w poczekalni u ginekologa obok kobiety, która urodzi mi dziecko.

– Dlaczego nie, kochanie? Ja też tam będę.

– Wokół będzie mnóstwo ciężarnych kobiet. Czuję się jak ofiara losu.

– Nie jesteś ofiarą losu. Po prostu osiągniemy swój cel w inny sposób, to wszystko.

Claire minęła męża, podeszła do kranu i nalała sobie szklankę wody.

– Przestańmy o tym rozmawiać. Kręcimy się w kółko. Nie pójde na wizytę, przynajmniej nie na tą pierwszą. Nie dam rady.

– Żadna z osób w poczekalni nie będzie wiedziała, że starałaś się zająć w ciążę – zauważył Ben. – Wszyscy będą myśleli, że jesteś siostrą, przyjaciółką lub lesbijską kochanką Romily. Zresztą kogo obchodzi, co sobie pomyślą? To nasza sprawa.

– Ja będę wiedziała, już zawsze.

Ben westchnął.

– Nie zapominaj o mnie i o Romily. Nie widziałas się z nią od dnia, w którym test ciążowy wyszedł pozytywnie. Martwi się, że jej nie lubisz.

– W tym momencie tak właśnie jest.

– Nie możesz z nią iść do lekarza, w porządku. Ale może zrobicie coś razem, zrelaksujecie się i miło spędzicie czas? Mógłbym wam wykupić dzień w SPA...

Claire chociaż raz szczerze się roześmiała.

– Ciężarne kobiety nie mogą korzystać z zabiegów w SPA.

– W takim razie coś innego: wspólny lunch, kino albo wypad do galerii.

– Ben, ona jest w ciąży z twoim dzieckiem, a ja nie. Wizyta w galerii tego nie zmieni.

Ben podniósł się, położył żonie rękę na karku i przesunął po nim kciukiem. Claire nie zareagowała.

– To nie Romily jest moją żoną – powiedział – tylko ty.

– Nie wymagaj tego ode mnie, Ben, proszę.

– Ona robi dla nas niesamowitą rzecz. Dla nas, Claire.

– Powiedziała mi, że dla ciebie. Za to, że przekonałaś ją do urodzenia Posie.

– Jeśli robi coś dla mnie, to również dla ciebie. Romily o tym wie.

Claire odstawiła szklankę z wodą i zacisnęła dłonie na krawędzi zlewozmywaka, ocalonego z domu na wsi. Był zrobiony z ciężkiej białej porcelany, zimnej i gładkiej w dotyku.

– Próbowалам sobie wszystko poukładać, Ben. Wiem, że to niesamowita przysługa. Wiem, że powinnam się cieszyć, że będziemy mieć rodzinę, ale to się stało za szybko. Nie miałam czasu, żeby się oswoić z tą myślą. Potrzebuję więcej czasu.

– Może powinnaś pisać pamiętnik lub listy, tak jak zasugerowałaś Romily. Może to pomogłoby ci się uporać z emocjami.

– Nie jestem pewna, czy dziecko miałoby ochotę czytać o tym, co się teraz dzieje w mojej głowie.

– Nie chcę cię martwić, Claire, ale nie sądzę, żeby przyszło na świat obdarzone umiejętnością czytania.

Zdobyła się na drżący śmiech.

– Kocham cię – powiedział Ben. – Może nie potrafię do końca zrozumieć, jak się teraz czujesz, ale to chyba ważne, żebyś spróbowała.

– Może... może później, w drugim trymestrze, kiedy ciąża będzie pewniejsza.

– Wiem, że boisz się o dziecko, ale nie ma powodu myśleć, że znowu je stracimy.

*Nie wiesz, że twoja pewność mnie rani?* – pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno, tylko odwróciła się i przytuliła do męża.

– Brakuje mi dawnej naiwności – powiedziała, przyciskając policzek do jego piersi. – Nie mogę sobie pozwolić na nadzieję.

Pocałował czubek jej głowy.

– W takim razie będę ją miał za nas oboje.



## RUPERT CZY GUINEVERE

– Romily – odezwała się Posie – dlaczego pod naszymi drzwiami leży wielkie pudło warzyw?

Romily, która usiłowała skrócić paski stanika, żeby piersi tkwiły w nim bardziej nieruchomo i właśnie doszła do wniosku, że rozsądniej będzie dać sobie spokój i kupić nowy biustonosz, najlepiej wyposażony w podnośniki hydrauliczne, spojrzała w kierunku wskazywanym przez Posie. Rzeczywiście, pod drzwiami leżało wielkie pudło warzyw z napisem *Organiczna farma Stonyfield*.

– Myślę, że w nocy odwiedziła nas wegetariańska wróżka – oznajmiła Romily, choć oczywiście wiedziała, kto za tym stoi: pani dobrodziejka przysłała kolejne dary. Niedługo zamówi dla nich sprzątaczkę. Romily zauważyła, jak rozglądała się po mieszkaniu, gdy ostatnio tu była. Jak powszechnie wiadomo, zdrowe dzieci nigdy nie rodziły się w domach, w których można było znaleźć kłaczki kurzu. – Pomóż mi to wnieść.

Zawartość kartonu była niczym oaza zdrowia w ich pustej kuchni. Kapusta, cebula, pory, cukinie. Świetnie. Romily musiała to wszystko ugotować, pomimo zapachu. Od niedawna zapachy stały się dla niej wielkim problemem – ciągle ją od nich mdliło. Romily obrała marchewkę i dała ją Posie, po czym ułożyła się na kanapie ze stopami na oparciu. Jej powieki same się zamknęły.

Poranne mdłości były czymś nowym. Podczas ciąży z Posie nie miała podobnych problemów. Teraz mdliło ją bez przerwy. Była tym wykończona i nie potrafiła trzeźwo myśleć. Przez trzy dni z rzędu musiała się zrywać z łóżka o piątej rano i biec do łazienki. W muzeum nie mogła się zbliżyć do niczego, co wydzielało choćby najłżejszą woń naftalenu; ciągle siedziała przy komputerze. Jedzenie ponoć pomagało, ale Romily nie czuła głodu.

Nie wspomniała o tym Benowi, bo gdyby to zrobiła, pod jej drzwiami pojawiłoby się pudło pełne organicznych i bezpiecznych specyfików na nudności.

*Chrup.*

Otworzyła oczy. Posie stała nad nią, żując marchewkę.

– Dobrze udajesz królika, Posie. – Ponownie zamknęła oczy. – Jestem naprawdę zmęczona, skarbie. Za minutę zrobię herbatę, muszę tylko trochę odpocząć. Może poszukasz w internecie przepisów na dania z kapusty?

– Wiem, co ci dolega.

Jej błękitne oczy pod blond grzywką nabrały poważnego wyrazu. Romily usiadła.

– Nic mi nie dolega. Jestem zupełnie zdrowa, Pose.

– Nieprawda. Jesteś wiecznie zmęczona. Bierzesz pigułki, kiedy wydaje ci się, że nie patrzę. Wypraszasz mnie z pokoju podczas rozmów z Benem i Claire. A teraz chcesz, żebyśmy jadły zdrowsze jedzenie.

Romily zapamiętała sobie, żeby zacząć wreszcie doceniać zdolności obserwacyjne Posie.

– To nie znaczy, że jestem chora. Po prostu chcę być jeszcze zdrowsza.

– Nawet ja wiem, że aby być zdrowszym trzeba ćwiczyć, a nie zalegać na kanapie każdego dnia po szkole. Poza tym słyszałam, jak wymiotujesz. – Posie usiadła obok Romily i ujęła ją za rękę gestem, który był od niej tak niepodobny, że Romily jeszcze bardziej się wyprostowała. – Masz raka, prawda?

– Co?! Nie, nie mam raka.

– W porządku, przeczytałam o tym i wszystko rozumiem. Mogę się tobą opiekować.

Chodzi o piersi, mam rację? Pani Corrigan rozkręca w szkole kółko dziewiarskie. Zapiszę się, chociaż nie lubię czapek, ale pewnie przydadzą ci się, kiedy stracisz włosy.

– Posie, ja naprawdę nie mam raka.

– Mówisz tak, żebym poczuła się lepiej, ale jestem już duża i możesz mi powiedzieć prawdę. Chcę ją poznać.

Po policzku spłynęła jej łza. Romily chwyciła córkę za ramiona i spojrzała jej w oczy.

– Mariposo J. Summer, posłuchaj mnie: mówię prawdę, nie mam raka. Od jak dawna tak myślisz?

– Nie wiem. Od jakiegoś czasu. Odkąd zaczęłaś rozmawiać z Benem i Claire na osobności.

A więc od kilku tygodni. Romily wiedziała, jak bujną wyobraźnię ma jej córka. Posie potrafiła szczegółowo obmyślić każdą dramatyczną ewentualność.

– Och, Posie – powiedziała, biorąc córkę w ramiona. Dziewczynka przycisnęła twarz do szyi Romily i głośno zaszlochała. Romily głaskała ją po plecach i szeptała, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy po raz ostatni przytulała płaczącą Posie? Kiedy jej córeczka była mała, robiła to bez przerwy, po każdym stłuczeniu czy niepowodzeniu, kiedy najlepsza przyjaciółka przestała ją lubić lub kiedy straciła ulubionego misia. I wcześniej, gdy była taka maleńka i jej płacz mógł oznaczać wszystko.

Od tamtej pory minęło dużo czasu.

Romily trzymała córkę w ramionach i wdychała jej jedyny w swoim rodzaju zapach, czując na skórze gorące łzy. Posie naprawdę się przestraszyła. To, że była inteligentna i żyła we własnym świecie nie oznaczało, że nic do niej nie docierało. Oto cena za to, że ukrywała przed nią różne rzeczy i snuła plany, wyłączając z nich Posie. Jej kochana córeczka cierpiała.

– Tak mi przykro, skarbie – wymamrotała Romily, kiedy łkanie ucichło i zastąpiły je długie, urywane wdechy. – Pewnie strasznie się bałaś.

Posie wyprostowała się i otarła łzy z twarzy.

– Nie bałam się o siebie. Wiedziałam, że jeśli bardzo się rozchorujesz lub umrzesz, zamieszkać z Benem i Claire.

No jasne. Romily przypomniała sobie przyjęcie urodzinowe córki i prawie pokręciła głową. Na dłuższą metę takie rozwiązanie nie byłoby złe dla Posie. No cóż, przynajmniej się o nią martwiła.

– Czy gdybyś umarła – kontynuowała Posie – byłabym sierotą?

Romily przygryzła wargę.

– Technicznie rzecz biorąc, nie. Sierota nie ma obojga rodziców.

– A ty nie wiesz, gdzie jest mój ojciec.

– Właśnie.

– Czyli może nie żyć?

– Statystycznie rzecz biorąc, jest to mało prawdopodobne.

Posie myślała nad tym przez chwilę, wycierając nos o rękaw bluzy.

– Tylko nie w rękaw, Pose.

– No to co ci dolega, skoro nie jesteś chora? A może to Claire lub Ben są chorzy?

Wyglądała na przerażoną.

– Nie, nie, nie, im też nic nie dolega. Chodzi o to, że... – Romily głęboko zaczerpnęła powietrza, czując ból w piersiach i obezwładniające zmęczenie. – Chodzi o to, że jestem w ciąży.

Oczy Posie zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Łzy zlepily jej zwykle blade rzęsy, nadając

im ciemny kolor.

– Będziesz miała dziecko? A ja będę miała brata lub siostrę?

– Nie i nie. – Romily ponownie wzięła głęboki wdech. – Wiesz, że Claire i Ben nie mają dzieci?

– Mają mnie.

– Chodziło mi o to, że nie mają własnych dzieci, które mieszkałyby z nimi przez cały czas. Bardzo chcieli mieć dziecko, ale im się nie udało.

– Nie wiedzą jak to zrobić?

– Nie, oni... wiedzą, ale coś jest nie w porządku i nie mogą sami spłodzić dziecka.

Claire była już u wielu lekarzy, którzy próbowali jej pomóc, ale nic z tego nie wyszło.

– Chyba nie jest chora?

– Nie, nie jest, ale ma problemy. Pamiętasz, skąd się biorą dzieci?

Rok temu przeprowadziły na ten temat wiele szczerych i szczegółowych rozmów, lecz od jakiegoś czasu Posie przestała o to pytać.

Dziewczynka wyrecytowała:

– Podczas seksu sperma tatusia spotyka się z jajczkiem mamusi. Każde z nich przekazuje dziecku połowę chromosomów, a to wszystko odbywa się wewnątrz ciała kobiety, która, w przeciwieństwie do owadów, nie składa jajeczek.

– Niektórych owadów. – Poprawiła ją automatycznie Romily. – No cóż, jajeczka Claire najwyraźniej nie nadają się do robienia dzieci, więc pozwoliłam jej skorzystać z moich.

Obiecałam, że zajdę w ciążę, a kiedy dziecko się urodzi, oddam je Benowi i Claire.

– Czyjej spermy użyłaś?

– Bena.

Posie wykrzywiła się.

– Uprawiałaś z nim seks? Faj!

– Nie, to było sztuczne zapłodnienie.

– Wdmuchiwałaś mu powietrze do ust?

– To by było sztuczne oddychanie. W naszym przypadku Ben umieścił odrobinę swojej spermy w małym pojemniczku. Nie musieliśmy się dotykać.

– A ty umieściłaś spermę w swojej waginie, żeby połączyła się z jajczkiem.

– Tak.

– I teraz jesteś w ciąży.

– Tak. I dlatego bolą mnie piersi, jestem zmęczona, a Claire przysyła nam różne warzywa, żeby dziecko urosło duże i zdrowe.

– Czy można urodzić komuś dziecko?

– Oczywiście, że tak. To się nazywa rodzicielstwo zastępcze.

Posie zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– No cóż – powiedziała w końcu – w zasadzie to nic poważnego.

– Cieszę się, że tak myślisz.

Posie usadowiła się wygodniej na kanapie, opierając nogi o brzuch mamy. Romily poprawiła je delikatnie, żeby nie naciskały na pęcherz.

– Gdzie będzie mieszkać to dziecko?

– Razem z Claire i Benem, w ich domu.

– Ale nie dostanie mojego pokoju, prawda?

– Nie mam pojęcia, który pokój wybiorą, ale jestem pewna, że w ich domu nigdy nie zabraknie miejsca dla ciebie.

– Jeśli urodzi się dziewczynka, pozwolę jej się bawić moim domkiem dla lalek –

oznajmiła Posie tonem, który sugerował, że wyświadcza dziewczynce wielką przysługę.

– Hej, nie używaj stereotypów, chłopiec też może chcieć się bawić domkiem dla lalek.

– To będzie mój mały braciszek lub siostrzyczka.

– Chociaż nie będziecie mieli tych samych rodziców.

Posie podskoczyła do góry. Romily skrzywiła się, oberwawszy ostrym łokciem w pierś.

– To takie ekscytujące! Pójdę zrobić kartkę dla dziecka z gratulacjami z okazji poczęcia.

– Myślę, że byłoby tym zachwycone.

– Jeśli to chłopiec, powinien się nazywać Rupert. A jeśli dziewczynka – Rapunzel. Nie, Guinevere. Guinevere Mariposa, na moją cześć. Będę się nią opiekować i pchać jej wózek, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteśmy siostrami.

– No cóż, biologicznie będziecie siostrami przyrodnimi, lecz tak naprawdę...

– Czy mogę skorzystać z twojego telefonu? Zadzwonię do Claire i powiem jej, jakie wymyśliłam imiona. – Po łzach nie został nawet ślad.

– Nie wiem, czy zastaniesz ją w domu – powiedziała ostrożnie Romily. – Może lepiej będzie, jeśli wyślesz Benowi SMS-a. Przeczyta go zaraz po pracy.

Wyjęła z kieszeni komórkę i podała ją Posie. Dziewczynka chwyciła telefon i wybiegła z pokoju. Przy samych drzwiach odwróciła się i powiedziała:

– Cieszę się, że nie masz raka.

## KOŁYSANKA

Wszyscy w klinice wzięli ich za parę.

W Róży i Oście stali bywalcy pytali o Claire, która czasami wpadała z Benem na obiad. Podczas meczu piłki nożnej Romily i Ben byli po prostu kibicami. Przez wszystkie te lata Romily była jego damskim przybocznym, kumplem w spódnicy, jego brachem.

W klinice ginekologicznej, gdy czekała na badanie USG z historią ciąży w plastikowej teczce, nikt nie mógł wziąć Romily za „bracha”. Oczywiście, Ben miał na palcu obrączkę, a ona nie, ale mogła ją zdjąć z wielu różnych powodów, lub zgubić. Pewnie wyglądała jak ktoś, kto mógłby zgubić ślubną obrączkę.

*Przestań* – pomyślała.

Ben uniósł wzrok znad sterty papierów i się uśmiechnął.

– Przepraszam, nie jestem dzisiaj zbyt rozmowny – powiedział. – Do jutra rana muszę przejrzeć te dokumenty.

– W porządku. Cieszę się, że poświęciłeś swój czas, żeby tu ze mną być.

*Poza tym jest mi łatwiej snuć skomplikowane fantazje, kiedy nic nie mówisz.*

– Za nic w świecie nie przegapiłbym pierwszej okazji, żeby zobaczyć nasze dziecko.

Romily wiedziała, kogo miał na myśli, mówiąc *nasze* i, targana poczuciem winy, natychmiast dodała:

– Szkoda, że Claire nie mogła przyjść.

– Trudno jej się wyrwać ze szkoły podczas roku szkolnego – odparł Ben, chociaż nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Jako że Romily od dwóch dni nie widziała się z Claire, podejrzewała, że chodzi o coś więcej. Ben słowem nie wspomniał o tym, że jego żona się waha, nie cierpi Romily albo jej nie ufa. Upierał się, że wszystko jest w porządku, pewnie dlatego, że nie chciał jej sprawić przykrości.

Smutna prawda była taka, że Romily łatwiej znosiła całą tę sytuację, kiedy Claire nie było w pobliżu. Może poza momentami, kiedy wyobraźnia płatała jej figle, prawdopodobnie przez hormony. Powinna wreszcie nad nią zapanować!

– Romily Summer? – Lekarka z teczką w dłoni wysunęła głowę z gabinetu. Romily podniosła się z miejsca. Lekarka miała krótkie siwiejące włosy i mogła być tą samą osobą, u której przeprowadzała badania USG podczas ciąży z Posie, możliwe, że nawet w tej samej sali. Wszystkie one musiały wyglądać podobnie.

– Połóż się, Romily. Czy to tatuś z tobą przyszedł?

– Tak – odparł z dumą Ben.

Zdaniem Romily nazywanie mężczyzny „tatusiem” było nieco upiorne, jakby dziecko mogło usłyszeć lekarkę, albo jakby Romily przyszła na badanie z własnym ojcem. Wiedziała jednak, że był to pierwszy raz, kiedy Ben został nazwany w ten sposób.

– Może pan usiąść z boku. A teraz podwiń bluzkę, Romily.

– Nie jesteśmy małżeństwem – oznajmiła Romily.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego to powiedziała, skoro tak ją cieszyło fałszywe wrażenie, jakie zrobiła na ludziach w poczekalni, nagle jednak wydało jej się to ważne.

– Przyjmujemy różne pary – odparła lekarka. – Poproszę o podniesienie bluzki.

Romily niechętnie podciągnęła T-shirt. Ben nigdy nie widział jej nagiego brzucha.

– To było sztuczne zapłodnienie – powiedziała. – Jestem matką zastępczą. Zamierzam oddać dziecko.

Jej wyznanie nie zrobiło na lekarce najmniejszego wrażenia.

– Czy mam odwrócić monitor, żebyś go nie widziała?

– Dlaczego?

– Kobiety, które oddają dziecko do adopcji czasami nie chcą widzieć monitora, żeby nie przywiązywać się do dziecka.

– W dziesiątym tygodniu ludzki płód przypomina skrzyżowanie E.T. z kijanką – odparła Romily. – Nie sędzę, żeby mogła między nami powstać jakakolwiek więź.

– A ja tak – odezwał się Ben.

Lekarka wycisnęła ogrzany żel na brzuch Romily. Przynajmniej to się zmieniło. Romily pamiętała go jako lodowato zimny.

– To będzie badanie datujące, dzięki czemu obliczymy datę narodzin dziecka. –

Przyłożyła urządzenie do brzucha Romily i zaczęła nim zataczać koła.

Ben obserwował monitor. Romily obserwowała Bena. Wiedziała, w którym momencie dziecko pojawiło się na ekranie, bo oczy Bena zrobiły się okrągłe, a twarz złagodniała i zastygła w zdumieniu.

– Czy to ono?

– Tak. Tu mamy główkę, a tam kręgosłup. Jak widzicie, jego serduszko jest zdrowe i mocne.

Ben przysunął się do monitora. Romily czuła promieniujące z jego ciała ciepło.

– Witaj, maleństwo – powiedział.

Romily podążyła za jego spojrzeniem i dostrzegła biały cień, maleńkie ciało w morzu czerni i szarości.

– Podobne do ciebie – zauważyła.

– Czy mogę dostać wydruk? Chciałbym go pokazać żonie.

– Oczywiście. Dla ciebie też, Romily?

– Nie, dziękuję.

– Jest takie maleńkie – powiedział Ben i Romily ponownie skupiła wzrok na nim zamiast na monitorze. Jeszcze nigdy nie widziała go tak zauroczonego i przepelnionego miłością.

Właśnie teraz, w tym momencie, Ben patrzył na dziecko. Zaglądał do wnętrza ciała Romily i obserwował, jak jego dziecko nabiera kształtu.

W pustej klasie Claire zdejmowała prace uczniów ze ściennej gazetki. Miała pełne ręce roboty. Gazetka nie była jeszcze taka stara i nie trzeba jej było wymieniać, ale Claire chciała się czymś zająć.

Przeszła wiele badań ultrasonograficznych, które miały pomóc lekarzom w ustaleniu, co jej dolega.

Na schematach przedstawiających kobiecej układ rozrodczy wszystko wyglądało jasno i przejrzyste: jajniki, para jajowodów, delikatnie zaokrąglona macica, schowana bezpiecznie wewnątrz ciała. Na jej ultrasonogramie wszystko było chaotyczne i niedoskonałe, jakby spowite chmurą. Nie była w stanie zidentyfikować żadnego ze swoich narządów, chociaż kiwała głową, kiedy lekarka wskazywała jej jeden po drugim.

Przyczepiała papier do tablicy, starannie, co osiem centymetrów, zszywka po zszywce.

– Pani Lawrence, czy mogę wejść i trochę poćwiczyć? – Max stanął w drzwiach z przewieszoną przez ramię gitarą.

– Oczywiście, proszę bardzo.

Chłopiec wszedł do klasy i ruszył w stronę taboretu w kącie.

– Czyżby żadna sala prób nie była wolna?

– Nie chciałem ćwiczyć sam. Postanowiłem sprawdzić, czy panią zastanę.

– Nie ma sprawy, pod warunkiem, że nie przeszkadza ci dźwięk zszywacza.

Pokręcił głową i pochylił się nad gitarą. Claire przyglądała mu się przez moment, jak pociągnął kilka razy za strunę, podtrzymując instrument szczupłymi palcami, jakby stanowili jedność. Odniosła jednak wrażenie, że chociaż chłopcu zależało na towarzystwie, nie miał ochoty być obserwowany, więc odwróciła się w kierunku tablicy.

Kiedyś odczuwała podobną pasję do muzyki. Grała przy każdej okazji, zatracając się bez reszty. Odtwarzała nuty, nie przejmując się ruchami palców, partyturą ani tym, czy ktoś jej słuchał. Ojciec żartował, że nigdy nie znajdzie sobie męża, jeśli cały swój wolny czas będzie spędzała przy pianinie.

– Niepotrzebny mi mąż – odpowiadała Claire, a on śmiał się, jakby był od niej mądrzejszy.

Matce marzyło się, że Claire zostanie pianistką koncertową i zjeździ cały świat, ale jej nie o to chodziło. Liczyła się wyłącznie muzyka. Nie chłopcy, nie pieniądze, nie sława.

Później poznała Bena.

Spojrzała na Maxa, całkowicie pochłoniętego tym, co robił. Grał delikatne, powolne akordy, układające się w rodzaj kołysanki. Tylko nastolatki potrafili się w ten sposób oddać swojej pasji. Dorośli nie mogli sobie na to pozwolić. Niezależnie od tego, jak piękna była muzyka, mieli jeszcze na głowie hipotekę i spłatę kart kredytowych. Pranie i pielienie ogródka. Raporty do napisania, lekcje do zaplanowania, dziesiątki drobnych obowiązków i uciążliwości, od których puchła im głowa.

Takich jak inna kobieta, która jest w ciąży z jej mężem.

Claire skończyła mocować podkład i zaczęła przycinać brzegi papieru. Zamierzała powiesić na tablicy zdjęcia z jesiennego koncertu. Może dołączy do gazetki kilka rysunków uczniów siódmej klasy – tych, które stworzyli podczas słuchania Mendelssohna. Niektóre z nich były kunsztowne i dziwaczne, tak jak jego muzyka. Claire podeszła do szafki, żeby ich poszukać. Przeglądając rysunki, uzmysłowiła sobie, że nuci spokojną, wolną melodię.

Popatrzyła na Maxa w tym samym momencie, w którym on spojrzał na nią. Na twarzy chłopca pojawił się niepewny uśmiech. Usłyszał ją.

– Sam ją napisałeś? – zapytała. – Jest piękna.

– To jedna z melodii, nad którymi ostatnio pracuję. – Opuścił wzrok z powrotem na gitarę, by po chwili znów spojrzeć na Claire.

– Brzmi jak kołysanka: ciepła i bezpieczna.

– To temat matki.

Gdy tylko to powiedział, oblał się rumieńcem. Claire odłożyła rysunki, podeszła do Maxa i oparła się na krześle stojącym naprzeciwko niego.

– Co masz na myśli? – zapytała. – Temat matki? Czy to część większej kompozycji?

Chłopiec przytaknął.

– Mam ją w głowie. Chciałbym spleść ze sobą tematy muzyczne różnych osób.

– To bardzo ambitne. Czy właśnie nad tym ostatnio pracujesz?

– Mhm.

– Ile tematów zdażyłeś skomponować?

– Kilka.

Zagrał mocny i szybki kawałek, bluesowo i niegrzecznie. Claire słyszała go już wcześniej na końcu innej melodii granej przez Maxa. Myślała, że to jakiś przebój.

– To Alan – oznajmił chłopak. – Kioskarz, który pożera wzrokiem młode dziewczyny.

Claire roześmiała się. Zdumiało ją to.

– Napisałeś temat dla którejś ze znanych mi osób?

– Pani Greasley – odparł, ponownie się rumieniąc, i zagrał kilka tonów słodkiej melodii w rytmie wojskowego marsza, która idealnie pasowała do dyrektorki szkoły. Żelazna pięść w aksamitnej rękawiczce, oto cała Veronica Greasley. Claire przyłożyła dłoń do ust, a Max uśmiechnął się, jednocześnie zawstydzony i dumny z siebie.

– To jest niesamowite, Max.

– Taki tam projekt.

– Zaimponowałeś mi.

– To nic wielkiego.

– Wcale nie. Grałeś już temat matki swojej mamie? Myślę, że byłaby bardzo wzruszona.

Max skrzywił się i mocno ścisnął gitarę.

– To moja macocha, nie matka. Jest zbyt zajęta, zresztą i tak nie lubi muzyki.

Claire zamilkła. Była nauczycielką muzyki, nikim więcej. W Świątym Dominiku obowiązywał jasny podział: nauczyciele uczyli, o zdrowie emocjonalne uczniów dbał personel pedagogiczny z kierownikami akademików i dyrekcją na czele. Kiedy uczeń podzielił się z nauczycielem osobistą sprawą, która mogła wpłynąć na jego szczęście czy edukację, nauczyciel miał obowiązek przekazać ją odpowiedniej osobie i delikatnie uchylić się od rozmowy.

Gdyby Max powiedział Claire coś więcej, co wskazywałoby na problemy w domu, musiałaby go odesłać na rozmowę z kierownikiem jego akademika.

Jednak w prawdziwym życiu relacje między ludźmi wyglądały zupełnie inaczej. Ludzie nie byli tylko nauczycielami albo pedagogami, dziećmi albo uczniami.

Claire nie została po godzinach, żeby wymienić szkolną gazetkę. Była w szkole, ponieważ bała się znaleźć w innym miejscu.

– No cóż – odezwała się w końcu – jesteś tu zawsze mile widziany. Chętnie posłucham, jak grasz i pomogę ci, jeśli będę potrafiła.

Max nic nie powiedział, a Claire zaniósła rysunki do tablicy ogłoszeń i zaczęła je przypinać. Za jej plecami Max wrócił do gry, trafiając w niewłaściwą nutę. Claire taktownie puściła mimo uszu jego zduszone przekleństwo i czekała, aż spróbuje znowu. Zegar wskazywał wpół do szóstej po południu. Ben pewnie już skończył i szedł do samochodu, ze zdjęciem USG w kieszeni, czy raczej w ręku, chłonąc każdy szczegół.

– Oni i tak mają mnie gdzieś – odezwał się nagle Max. W jego głosie było tyle złości i urazy, że Claire zapomniała o personelu pedagogicznym i własnym mężu, oglądającym zdjęcie swojego dziecka. Podeszła do Maxa i usiadła naprzeciwko niego.

– Kto? – zapytała łagodnie.

– Tata i Jemima. Tata jest ciągle w pracy i operuje, a Jemima chodzi na siłownię, do tych swoich klubów, organizacji dobroczynnych i fryzjera. Wysłali mnie do szkoły z internatem, żebym zszedł im z drogi. A kiedy pojechali do Afryki Południowej, nauczyłem się nawet grać na tym ustrojstwie w cholernym klubie wakacyjnym – popatrzył z odrazą na gitarę.

– I nieźle ci to wychodzi. Nawet bardzo dobrze.

– Dla nich mógłbym równie dobrze grać na przykrywcę od kosza na śmieci.

– Jemima to twoja macocha?

Max skrzywił się.

– Jest o połowę młodsza od mojego taty. To obrzydliwe.

– A co z twoją biologiczną matką?

– Mieszka ze swoim trzecim mężem i rzadko się widzujemy.

– A więc temat matki...



– Zrodził się w mojej głowie. Wymyśliłem go. – Zagrał melodię, łącząc ze sobą akordy szybko i gwałtownie. – Niech pani posłucha, nie jestem stuknięty, ani nic takiego. Nie siedzę i nie marzę o idealnych rodzicach, których nigdy nie miałem, chociaż ta melodia mogłaby na to wskazywać. Po prostu miło byłoby zostać zauważonym raz na jakiś czas. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby Jemima zaszła w ciążę.

– Miałbyś sprzymierzeńca – odparła Claire. – Jako nastolatka przyjaźniłam się ze swoim rodzeństwem.

Max pokręcił głową.

– Wyobrażam sobie dwa scenariusze: Jemima rzuci się w wir macierzyństwa, jakby to była nowa akcja charytatywna lub przejściowa moda, i dziecko będzie zepsute do szpiku kości, albo zignoruje je tak samo jak mnie, fundując mu żalosne życie. Mam nadzieję, że żaden z nich się nie ziści.

– Tata musi się o ciebie troszczyć, skoro wywalczył opiekę nad tobą.

– Nie wydaje mi się, żeby „walka” o mnie była szczególnie zażarta. Poza tym opieka nad synem przysparza mu politycznej popularności. – Zagrał cztery tony, optymistyczne niczym reklamowy dzingiel. – To temat mojego taty. Zawsze na posterunku.

Claire przygryzła wargę.

– Czy rozmawiałeś z kierownikiem swojego akademi...

– Nie będę rozmawiał z panem Doughty. On myśli dokładnie tak samo jak mój tata.

– A może...

Max ponownie zagrał wojskowy marsz.

– Rozumiem.

– I tak nie mam ochoty rozmawiać na ten temat – odparł Max. – Chcę sobie tylko pograć. W porządku?

Claire wstała z krzesła, przelotnie dotykając ramienia chłopca.

– Graj sobie ile chcesz, o ile nie przeszkadza ci, że słucham.

*Drogie Małeństwo,*

*Dorośli to skomplikowane istoty. Rzadko mówią to, co naprawdę myślą. Musisz czytać między wierszami i domyślać się, o co im chodzi. Niektórzy dorośli, może nawet większość, chowają swoje uczucia bardzo głęboko i chronią je niczym najcenniejszy skarb. Czasami nie zdają sobie sprawy z ich istnienia i dowiadują się o nich dopiero wtedy, gdy emocje wydostaną się na powierzchnię, już w pełni ukształtowane.*

*Niewiele w tym sensu, prawda?*

*Niemowlęta są o wiele prostsze: potrzebują jedzenia, ciepła, przewinięcia i miłości. Lubią się bawić i obserwować światło słoneczne przesączające się przez chłodne zielone liście.*

*Nawet nie wiesz, jak wielkie masz szczęście, Małeństwo. Zachowaj je jak najdłużej.*

## BURZA HORMONÓW

*Przetrwam tę ciążę bez najmniejszych problemów, przefrunę przez nią. Ledwie ją zauważę.*

*Prędeż mi kaktus wyrośnie!*

Romily pracowała w sali konferencyjnej, sam na sam z laptopem, bez owadów i okna. Gąbłota numer siedemdziesiąt tkwiła w szafce Amity. Najłżejsza woń naftalenu przyprawiała Romily o mdłości. Nie mogła też siedzieć w pracowni, ponieważ Layla, jedna z wolontariuszek, która przychodziła do muzeum we wtorki, używała wyjątkowo słodkich perfum o zapachu wiciokrzewu.

Nie tylko zapachy wywoływały u Romily nudności. Posie chwiał się jeden z górnych zębów i za każdym razem, kiedy przesuwiała go językiem, jej matka musiała zakrywać oczy. Na samą myśl o poluzowanym zębie robiło jej się niedobrze, podobnie jak na widok wody w rzece, która przybierała rano szczególnie odcień brązu. I z powodu cieplej, wilgotnej pogody. Oraz puchatej strony rzepu. A także myślenia o kolczykach.

Sącząc wodę, która właśnie miała się zamienić z orzeźwiająco chłodnej w mdląco letnią, Romily pomyślała, że oto zamieniła się w jedną wielką żalną kulę hormonów i nie miała pojęcia, co z tym zrobić. A tymczasem kolekcja Amity leżała odłogiem.

– Romily? – Layla wsunęła głowę do pokoju. Romily instynktownie wstrzymała oddech.  
– W korytarzu czeka na ciebie gość.

Ben? Romily zerwała się z krzesła, chwyciła torebkę, zbiegła po schodach na parter i z uśmiechem na twarzy ruszyła w kierunku pomalowanego na biało i pełnego okien lobby.

Bena tam nie było. Jediną czekającą osobą był odwrócony do niej plecami blondyn. Na dźwięk sportowych butów uderzających o czerwoną terakotę odwrócił się. Wiedziała już, kim jest ten mężczyzna.

– Cześć, Romily – powiedział.

Romily przycisnęła dłoń do ust i pobiegła w stronę drzwi za jego plecami, na samym końcu korytarza. Zdumiony gość również uniośł ręce, jakby chciał ją powstrzymać albo przytulić, lecz wyminęła go i wparowała do damskiej toalety. Ledwie zdążyła, zanim gwałtownie zwymiotowała śniadanie do muszli klozetowej. Mdłości trwały bez końca.

Ręce jej się trzęsły, oczy zaszyły łzami i mgłą.

Co on tutaj robił?

Usłyszała odgłos uchylania drzwi. *Proszę, nie* – pomyślała, lecz nie mogła się jeszcze ruszyć z toalety.

– Nic ci nie jest?

Na dźwięk jego głosu ponownie zaczęła wymiotować. Mimo wydawanych dźwięków usłyszała, że drzwi otworzyły się szerzej i pojawiła się w nich czyjaś stopa.

– Czy to wina grypy żołądkowej, czy moja? – zapytał mężczyzna.

– Mhm – mruknęła i w tym momencie dotarło do niej, że nie zamknęła za sobą drzwi kabiny. Spróbowała je przymknąć nogą, nie poruszając głową i tułowiem, ale jej się nie udało. Najwyraźniej mężczyzna otworzył również tę parę drzwi. Romily nie odważyła się obejrzeć.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

Pokręciła głową i ponownie zwymiotowała. Nie zostało już nic ze śniadania, lecz jej żołądek najwyraźniej się tym nie przejmował. Obok jej głowy pojawiła się dłoń trzymająca zwinięty kawałek papieru. Palce były opalone i wyraźnie znajome. Romily wzięła papier

i wytarła usta.

– To chyba te same sportowe buty, które nosiłaś, kiedy widziałem cię ostatnim razem – zauważył. – Dobrze wiedzieć, że niektóre rzeczy się nie zmieniają.

Mdłości z wolna ustępowały, więc Romily spuściła wodę i usiadła na podłodze, opierając się o ścianę. Dłonie pojawiły się znowu, tym razem trzymały butelkę wody. Romily pokręciła głową.

– Łyk wody na pewno ci pomoże.

– Nic mi nie jest – odparła schrypniętym głosem. – Odejdź.

– To nowa butelka. Nie piłem z niej.

Romily wzięła butelkę, dłoń cię wycofała, a drzwi od kabiny zamknęły. Widziała pod drzwiami znoszone buty i doły nogawek spodni, ale reszta męskiej sylwetki pozostawała niewidoczna. Romily upiła duży łyk wody i zebrała się w sobie na tyle, żeby wstać z podłogi. Nadal ją mdliło, lecz uczucie paniki minęło. Nie była pewna, co ją spowodowało – poranne mdłości czy ponowne spotkanie z Jarvisem.

Oczywiście musiał za nią pójść do toalety, zamiast pozwolić jej się w spokoju pochorować.

Romily mocno potarła twarz dłońmi i wyszła z kabiny. Jarvis stał przy umywalce i wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Wysoki, smukły, a nawet nieco zbyt kościsty, z burzą niesfornych włosów. Wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki, ale nie była pewna, czy wcześniej ich nie było, czy po prostu stały się teraz bardziej widoczne dzięki opaleniznie, która wydobyla również błękit jego oczu.

Czasem zapominała, jak bardzo Posie była do niego podobna.

– Minęło trochę czasu – zauważył.

– Jesteśmy w toalecie, Jarvisie. Nie odmówiłabym odrobiny prywatności. – Nie wyszedł od razu, więc zaproponowała: – Jeśli koniecznie chcesz ze mną porozmawiać, spotkamy się za dziesięć minut w muzealnej kawiarni.

– OK.

Z typową dla siebie gwałtownością wyszedł z toalety. Romily została sama. Wzrok miała utkwiony w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał.

– Cholera – powiedziała.

Stała tak przez minutę czy dwie, po czym spojrzała w lustro. Wyglądała okropnie: z wielkimi jak spodki oczami, ustami w podkówkę i zielonkawą cerą. Ochlapała twarz wodą, umyła zęby palcem i przeczesała dłońmi włosy. Mdłości nadal pulsowały jej w żołądku, lecz była w stanie je opanować, przynajmniej na razie.

Odnalazła w torebce miętówki i ogarnęła ją silna pokusa ucieczki. Tylko dokąd? I co by jej z tego przyszło? Skoro Jarvis wiedział, gdzie pracowała, wcześniej czy później ją znajdzie, jeśli mu na tym zależy.

Z jakiegoś nieznanego powodu najwyraźniej tak było.

Romily rozgryzła dwie miętówki i poszła do mieszczącej się nieopodal wejścia kawiarenki. Wszystko w porządku, powtarzała sobie. To tylko przelotna wizyta. Jarvis wpadł do muzeum, żeby się przywitać, sprawdzić co u niej... po ośmiu latach bez najmniejszego kontaktu. Po dłuższym zastanowieniu Romily doszła do wniosku, że było to dokładnie w jego stylu.

Wystarczy, że więcej nie zwymiotuje i że nie będzie zbyt dużo mówiła.

Jarvis siedział przy stoliku obok jednego z sięgających od podłogi do sufitu okien i mieszał kawę. Przez ułamek sekundy mogła mu się przyjrzeć niezauważona. Jarvis miał na sobie luźne spodnie koloru khaki, znoszone buty trekkingowe i jasnoniebieską bawełnianą

koszulę z podwiniętymi rękawami. Koszula nie była wpuszczona w spodnie i chyba nigdy nie oglądała żelazka. W miejscach, do których jeździł, prasowanie raczej nie było priorytetem. Podobnie jak wizyty u fryzjera. Nie miał torby ani walizki, co oznaczało, że jednak nie był tu przejazdem, tylko gdzieś się zatrzymał. Z drugiej strony, z Jarvisem nigdy nic nie było wiadomo. Równie dobrze mógł zostawić swój bagaż na lotnisku albo zgubić go w Andach.

Mężczyzna podniósł wzrok i zobaczył Romily, która po raz kolejny miała ochotę uciec. Stłumiła jednak to pragnienie i usiadła naprzeciwko niego. Na stoliku przy jej krześle stała filiżanka i czajniczek z miętową herbatą, sądząc po zapachu.

– Skończyłaś wymiotować? – zapytał.

– Tak sędzę. Nie zrobiłam tego celowo.

– Dobrze wiedzieć. – Po raz pierwszy się uśmiechnął. Był to raczej półuśmiech: kąciki ust nadal miał skierowane w dół. Romily pamiętała również ten grymas. – Herbata na pewno mi pomoże.

Wlała napój do filiżanki i zaciągnęła się zapachem, który wydał jej się oczyszczający.

– Ekhm – odchrząknęła. – Co u ciebie?

– W porządku, dziękuję.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Spotkałem Anila w Muzeum Historii Naturalnej. Powiedział mi, że katalogujesz niekończące się zbiory wiktoriańskiej starej panny. Najwyraźniej w tym mieście jej postać owiana jest legendą. Od dawna się tym zajmujesz?

– Zaczęłam krótko po twoim wyjeździe.

– Spodziewałem się, że wpadniemy na siebie gdzieś w terenie. – Skończył mieszać kawę i pociągnął spory łyk, spoglądając na Romily znad filiżanki.

– Mam sporo pracy przy kolekcji.

– Zrobiłaś doktorat?

– Tak.

– Gratuluję, doktor Summer. Zawsze o tym marzyłaś.

– Dzięki. – Podmuchała herbatę i upiła łyk. – Gdzie... gdzie się podziewałeś?

– Przez ostatnich kilka lat głównie w Ameryce Południowej.

– Widziałam twój film na Discovery.

Późną nocą, przeskakując po kanałach, zauważyła jego nazwisko w napisach końcowych. Serce jej załomotało, a żołądek podskoczył. Od tej pory trzymała się z dala od filmów przyrodniczych. Nie chciała analizować pojedynczych klatek, usiłując odgadnąć, kto stał za kamerą. Oczywiście, nie znała się na sztuce filmowej i pracy Jarvisa na tyle dobrze, by rozpoznać jego styl.

Kogo próbowała oszukać? Rozpoznałaby go wszędzie.

– Mhm – mruknął w odpowiedzi.

– Na jak długo przyjechałeś do Anglii?

Romily nie odrywała wzroku od stolika.

– Zostanę w Londynie przez jakiś czas. Nadrobię zaległości.

– Ach tak.

Oboje zamilkli. Siedząca przy sąsiednim stoliku starszka opowiadała swojej przyjaciółce o kolejce na pocztę.

Jarvis odchrząknął.

– Herbata pomogła?

– Chyba tak. Dzięki.

Podniosła na niego wzrok, ich spojrzenia się skrzyżowały, więc ponownie go opuściła.

Przez tych kilka lat Jarvis przybrał w umyśle Romily postać pewnej idei, a nie postaci. Zbiór genów, nazwiska na telewizyjnym ekranie. Najłatwiej było jej o nim myśleć w ten sposób. Teraz czuła zapach jego kawy i gdyby nieznacznie uniosła wzrok, zobaczyłaby jedną z jego dłoni spoczywającą na stole. Wokół nadgarstka miał luźno zawiązany kawałek sznurka, a na palcu wskazującym na wpół zagojone skaleczenie. Omotał sobie rękę sznurkiem sam albo ktoś mu go zawiązał. Ta ozdoba była dla niego ważna lub nie miała żadnego znaczenia. Kiedy zaciął się w palec, popłynęła krew. Pewnie zaklął wtedy pod nosem i wsunął palec do ust. Romily czuła na sobie jego wzrok. Milczenie przeciągało się.

Romily chciała, żeby Jarvis wreszcie sobie poszedł.

– Nie masz grypy, prawda? – zapytał. – Jesteś w ciąży.

Tak ją to zaskoczyło, że popatrzyła mu prosto w oczy.

– Skąd wiedziałeś?

– To był strzał.

– Przytyłam, prawda?

– Nie powiedziałbym.

Cofnął dłonie ze stolika i położył je na podłokietnikach, jakby się na coś przygotowywał.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytał.

– Tak. Jak na razie czuję się dobrze. Nie licząc porannych mdłości, które powinny się już skończyć.

– Czy to... – Ponownie odchrząknął i bezceremonialnie dokończył: – dziecko Bena?

– Tak.

– Świetnie. To wspaniała wiadomość. Jak już powiedziałem, dobrze wiedzieć, że niektóre rzeczy się nie zmieniają i że w końcu osiągnęłaś to, na czym ci zależało. – Wstał od stolika. – Wracam do Londynu. Pozdrowię od ciebie Anila.

– Ja... OK.

– Żegnaj, Romily. – Jarvis odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Mogła mu się teraz swobodnie przyjrzeć: jego dłoniom w kieszeniach spodni, luźnym połom koszuli i sposobowi, w jaki mierzwiły mu się włosy z tyłu głowy.

– Cholera – szepnęła do siebie, a później zerwała się z miejsca i pobiegła za nim, szukając czegoś w torbie. – Jarvis, zaczekaj!

Zatrzymał się przy stojaku z muzealnymi broszurami.

– W porządku. Nie spodziewałem się komitetu powitalnego.

– Muszę ci coś pokazać. – Odnalazła portmonetkę, otworzyła i wyjęła z niej zdjęcie.

Była to szkolna fotografia z ubiegłego września, pozaginana na rogach. Posie miała na niej czystą bluzę i świeżo ostrzyżoną grzywkę, lecz jej warkoczyki zdążyły się już częściowo rozpleść. Kąciki jej uśmiechniętych ust opadały lekko w dół, jakby w ironicznym komentarzu na temat szkolnych zdjęć.

Romily podała mu fotografię. Zauważyła, że palce Jarvisa drżą.

– Kto to? – zapytał.

– Moja córka, Posie – odparła. – To skrót od Mariposa, czyli po hiszpańsku...

– Motyl.

– W lutym skończyła siedem lat.

Jarvis odwrócił zdjęcie, lecz nie znalazł żadnego wyjaśnienia. Ponownie wlepił wzrok w twarz dziewczynki. Romily patrzyła na niego, przygryzając dolną wargę.

– Siedem lat – powtórzył.

– Tak.

– Nie przypomina Bena – dodał ostrożnie.

– Nie jest jego córką.

Zdjęcie sfrunęło na podłogę. Jarvis mocno chwycił Romily za ramiona.

– Coś ty zrobiła?! – krzyknął.

## ODKRYCIE

W całej kafejce – ba, w całym muzeum – zapadła cisza. Jarvis, do tej pory tak lakoniczny, górował nad Romily z malującą się na twarzy wściekłością. Romily próbowała się wycofać, lecz nie zdołała się wyrwać z jego uścisku.

– Nie tutaj – poprosiła. – Porozmawiajmy o tym gdzieś indziej.

– Sama wcisnęłaś mi zdjęcie do ręki. W co ty ze mną pogrywasz, Romily? Czy to moja córka? Jestem jej ojcem?

– Wyjdźmy stąd. Proszę, Jarvisie.

Brakowało jej powietrza i ponownie zbierało się na mdłości. Czowała, że lada chwila zemdleje.

– Proszę – powtórzyła.

Nagle ją puścił, schylił się po zdjęcie i ruszył korytarzem, wściekle tupiąc. Romily wyszła za nim przez szklane przesuwane drzwi, prosto na letnie słońce. Nie zwracając na nią uwagi, Jarvis szedł przed siebie szybkim krokiem. Romily musiała truchtać, żeby dotrzymać mu kroku, z trudem łapiąc powietrze.

– Czy to moja córka?

– Tak.

– Jasna cholera! – wrzasnął. Przypadkowy przechodzień pospiesznie ustąpił mu z drogi.

– Nie dziwię się, że jesteś zaskoczony – powiedziała Romily.

– Zaskoczony?! To mało powiedziane. Cześć, Jarvis, dawno się nie widzieliśmy, a tak przy okazji, masz tu zdjęcie swojego dziecka!

Stadko gołębi poderwało się do lotu. Jarvis szedł dalej, ściskając w dłoni fotografię.

– Nie wiedziałam, jak ci o tym powiedzieć – wyznała Romily.

– Powinnaś była to zrobić siedem lat temu!

– Wiedziałaś, że zaszłam w ciążę. Rozmawialiśmy o tym.

– I oboje doszliśmy do wniosku, że to błąd. Mówiłaś, że nie chcesz mieć dziecka i nie zamierzasz go urodzić.

– Ty też go nie chciałeś. Szykowałeś się do wyjazdu.

– Żadne z nas nie marzyło o dziecku. Ty najwyraźniej zmieniłaś zdanie. – Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. – Czy tak właśnie było? A może mnie okłamałaś i od początku planowałaś je zatrzymać?

– Nie! Nie kłamałam. Zmieniłam zdanie.

– Po moim wyjeździe czy wcześniej?

– Po nim. Ja... – Uznała, że wspomnianie na tym etapie rozmowy o Benie w niczym by nie pomogło. – Zdecydowałam się później.

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? O ile w ogóle...?

– Nie sądziłam, że cię to zainteresuje.

– Co takiego?! Sądziłaś, że nie zainteresuje mnie fakt bycia ojcem? – Ponownie ruszył przed siebie. – Niech to diabli!

Romily poszła za nim.

– Ale kiedy się dzisiaj pojawiłeś, musiałam ci powiedzieć.

– Czyli gdybym nie przyjechał, nigdy bym się nie dowiedział?

– Nie miałam pojęcia, gdzie się podziewasz.

– Mogłaś to łatwo sprawdzić.



– Przed wyjazdem powiedziałaś, że będzie lepiej, jeśli... Postanowiliśmy nie utrzymywać ze sobą kontaktu.

- Nie wiedziałem, że planujesz urodzić moje dziecko!
- Zamierzałaś zniknąć na kolejne dwa lata. Nie zabrałaś ze sobą telefonu.
- Istnieją inne formy kontaktu, Romily, na przykład maile.
- Nie miałam twojego adresu.

– Mam rodzinę! Rodziców, braci, siostry. Wiedziałaś, że mieszkają w Londynie i Dorset! Wiedziałaś, dla kogo pracuję! Widziałaś mój program na Discovery, na miłość boską! Nie wyleciałem w kosmos, mogłaś się ze mną skontaktować, gdybyś chciała.

– Zerwaliśmy ze sobą. W zasadzie nigdy nie byliśmy w poważnym związku. Sam to powiedziałaś. – Chociaż gdyby zapytać ją o to dwa dni wcześniej, Romily nie byłaby w stanie dokładnie powtórzyć jego słów.

– Dziecko wiele zmienia – zauważył Jarvis.

– Dziecko niczego nie zmienia. Żadne z nas nie chciało się ograniczać, a ty planowałaś tę swoją wielką eskapadę. To była twoja życiowa szansa. Powiedziałaś, że nie chcesz mieć dziecka. Wyraziłaś się dostatecznie jasno.

– Nawet jeśli uważałaś, że nie będzie mnie to obchodziło, czy nie pomyślałaś, że powinnaś mi chociaż dać szansę, żebym sam zdecydował?

Zadając to pytanie, Jarvis zatrzymał się i popatrzył Romily prosto w oczy. Poczucie winy, które tak uparcie od siebie odsuwała, uderzyło ją z podwójną mocą. Było gorsze niż mdłości.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie pomyślałam.

– Rzeczywiście. – Przycisnął pięści do oczu. – Ona wygląda dokładnie jak moja siostra Sally, kiedy była w jej wieku.

– To dobry dzieciak.

– Cholera.

Nie takiej reakcji spodziewała się Romily. Chociaż, prawdę powiedziawszy, niczego się nie spodziewała. Nawet o tym nie myślała. Nie dzisiaj, i nie przez ostatnich siedem lat. Nie wiedzieć czemu założyła, że do konfrontacji nigdy nie dojdzie. Jarvis nie chciał dziecka, rozstali się i nie zamierzali się więcej spotykać. Koniec historii.

Tylko że najwyraźniej wcale tak nie było. Wyglądało na to, że popełniła ogromną, katastrofalną w skutkach pomyłkę, która dotknęła nie tylko jej, lecz także Posie.

– Co... co zamierzasz zrobić? – zapytała.

– Chciałbym – odezwał się Jarvis, nie odrywając dłoni od oczu – wejść do najbliższego pubu, zamówić dużego drinka, wypić go, a później zamówić następny. I nie życzę sobie, żebyś mi towarzyszyła – dodał. – Jestem zbyt wściekły, żeby ścierpieć twój widok.

– W porządku.

– A potem chcę wrócić do Londynu i nie odzywać się do nikogo przez kilka dni. Chcę to wszystko porządnie przemyśleć. I wtedy do ciebie zadzwonię.

– Nie masz mojego numeru.

– Mam.

Zanim zdążyła zapytać, jak go zdobył, Jarvis odszedł na tyle szybko, żeby wiedziała, jak bardzo chciał od niej uciec. Romily oparła się o ścianę najbliższego sklepu, ciężko oddychając i próbując dostarczyć płucom dostatecznej ilości tlenu.

Dlaczego mu powiedziała? Ona i Posie dobrze sobie bez niego radziły, prawda? Mogła spokojnie wymazać z pamięci jego istnienie. Była pewna, że osiem lat wcześniej, kiedy jeszcze byli kochankami o krok od zerwania, a Jarvis szykował się do wyprawy, dzięki której miał

sobie wyrobić renomę jako kamerzysta filmów przyrodniczych, nie chciał dziecka. Podobnie zresztą jak ona. Zmieniła zdanie dopiero po wyjeździe Jarvisa i rozmowie z Benem.

Nawet po upływie trzydziestu czterech tygodni Romily nie miała pewności, czy poradzi sobie w roli matki. Nie miała jej, dopóki położna nie wręczyła jej gorącego, ruchliwego ciała, które nadal pachniało wodami płodowymi, z wilgotnymi jasnymi włoskami, bystrymi oczkami, idealnymi kończynami i resztką pępowiny sterczącą z brzuszka. Wiedziała wówczas, że będzie walczyła o to dziecko, póki starczy jej sił, byle tylko zapewnić mu bezpieczeństwo.

Oznaczało to również chronienie go przed ludźmi, którzy nie chcieli, żeby przyszło na świat.

Nagle ogarnęła ją złość na Jarvisa. Posie była jego córką. Wiadomość o jej istnieniu musiała być dla Jarvisa szokiem, ale wrzaski, przekleństwa i zapowiedź pijaństwa nie były chyba odpowiednią, dojrzałą reakcją na wieść o tym, że jest się rodzicem?

Nie powinna mu była nic mówić. Problem w tym, że Jarvis i Posie byli do siebie bardzo podobni. Romily ogarnęło tak silne poczucie winy, że wpadła na szaleńczy pomysł zbudowania między nimi więzi.

I oto znalazła się w położeniu, którego unikała przez wszystkie te lata: Posie miała ojca, który jej nie chciał, który mógł w dowolnym momencie nawiązać z nimi kontakt i wyrzucić ich życie do góry nogami.

Romily zakręciło się w głowie. Powoli i ostrożnie wróciła do muzeum, lecz jej azyl został naruszony. Powie kolegom, że źle się czuje, wróci do mieszkania, wskoczy do łóżka i zostanie w nim, dopóki nie będzie musiała odebrać Posie ze szkoły. Nie było na razie sensu o niczym jej mówić. Możliwe, że Jarvis nie zada sobie trudu, żeby się z nimi skontaktować. Skoro miał numer Romily, mógł do niej zadzwonić w ciągu ostatnich ośmiu lat. Pewnie wyniesie się z kraju tak szybko, jak to tylko będzie możliwe i wróci do Ameryki Południowej, gdzie nie czekały na niego żadne uciążliwe zobowiązania.

Dopiero gdy wspinała się po schodach prowadzących do głównego wejścia, starając się utrzymać w żołądku tych kilka łyków miętowej herbaty, które wciąż w nim tkwiły, uzmysłowiła sobie, że Jarvis zabrał ze sobą zdjęcie Posie.

Zadzwonił dopiero po dwóch tygodniach.

## CHCIANE I KOCHANE

Kolacja okazała się klapą. W drodze powrotnej Claire, siedząc obok Bena, który prowadził samochód, włączyła radio, żeby zagłuszyć ich milczenie.

Wypiła trochę za dużo wina. Mike ciągle napełniał jej kieliszek – za każdym razem, gdy zapadała między nimi niezręczna cisza lub też widział, w jak kiepskim stanie jest Claire i usiłował pomóc jej się rozluźnić.

Priya była druhną na ślubie Claire. Znały się jeszcze ze szkolnych czasów. Kiedy wiele lat później Priya wyszła za mąż za Mike'a, Claire była jedną z druchen. Zanim Priya zaczęła się leczyć z powodu bezpłodności, Claire miała już w tej dziedzinie doświadczenie i zawsze wysłuchiwała przyjaciółki przez telefon lub umawiała się z nią na kawę. Poleciała Prii najlepsze strony internetowe oraz kliniki i wyjaśniła jej, czego powinna się spodziewać na każdym etapie terapii.

Nie widzieli Prii i Mike'a już blisko rok. Ich bliźniaki, poczęte podczas pierwszej próby zapłodnienia in vitro, spały na górze. Wydawane przez nie odgłosy słychać było przez elektroniczną nianię, ustawioną niedaleko stołu w jadalni. Cała reszta – wszystkie butelki, pieluszki i zabawki – zostały skrzętnie schowane.

Przed wyjściem Claire wymusiła na Benie obietnicę, że nie wspomni o ich układzie z Romily. Czekala, aż Mike zapyta go, czemu jest taki szczęśliwy. Czekala, aż Ben zareaguje na współczujące spojrzenia Prii.

Ben nic nie powiedział, chociaż w pewnym momencie wyszedł z Mikiem do ogrodu, by obejrzyć położoną przez niego darń, a Claire nie mogła wysiedzieć w jadalni z Prią i rozmawiać o dawnych znajomych, starając się nie zejść na temat dzieci. Claire była pewna, że Ben wypapla ich sekret, więc zaniósła mu drinka. Mężczyźni rozmawiali o budowie szopy. Niedługo później Ben powiedział, że muszą się zbierać.

Claire przeprosiła go, lecz wcale nie poczuła się lepiej, ani też Ben nie odzyskał dobrego nastroju. To ona zepsuła im wieczór, wpędziła Mike'a i Prię w poczucie winy z powodu tego, że byli szczęśliwi, i to ona nie ufała własnemu mężowi.

*Co jest ze mną nie tak?* – zadawała sobie wciąż to samo pytanie, spoglądając przez okno na mijane światła. Nie słuchała radia ani nie rozmawiała z mężem. *Dlaczego nie potrafię się cieszyć jego szczęściem?*

Zadzwoił telefon Bena i chociaż Claire nienawidziła, kiedy to robił, wyjął aparat z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz, nadal prowadząc.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Zjechał na pobocze. – Co mogę dla ciebie zrobić, Ed?

Claire uznała, że może teraz na niego bezpiecznie spojrzeć. Marszczył brwi w świetle płynącym z deski rozdzielczej, przyciskał telefon do ucha. Ściszyła radio.

– Mhm, rozumiem. Tak, pełne badanie lądowe by to wykryło, ale nie zdecydowałeś się na nie. – Potarł kierownicę wolną dłonią. – Wiem, że opóźnienie jest frustrujące, ale będzie potrzebny nowy projekt, co oczywiście pociąga za sobą dodatkowe koszty. Tak, tak, rozumiem, ale... Poniedziałek rano, jasne. Do zobaczenia. – Rozłączył się i westchnął. – Na terenie budowy wykryto studnię i Vaughanowie chcą przesunąć dom.

Claire położyła mu dłoń na nodze. W głębi serca poczuła ulgę, że rozczarowanie męża jej zachowaniem zamieniło się we frustrację z powodu pracy.

– Dasz radę to zrobić?

– Przy tym budżecie? Nie ma mowy. Przez jednego rozwścieczonego klienta będę musiał

odwołać wszystkie swoje poniedziałkowe plany. Spędzę nad tym cały dzień. O nie!

– Co się stało?

– W poniedziałek umówiłem się z Romily.

Claire lekko zeszywniała i cofnęła rękę.

– Na wizytę u lekarza?

Wiedziała, że nie. Znała na pamięć terminy jej rutynowych wizyt. Chyba że wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

– Coś nie w porządku z ciążą?

– Nie chodzi o wizytę u lekarza. Umówiliśmy się na kawę.

Claire poczuła przypływ paniki, za który natychmiast skarciła się w duchu.

– Cóż, chyba łatwo to będzie przełożyć.

– Nie bardzo. Romily nie odbiera telefonów.

– Czy coś się stało?

– Twierdzi, że z dzieckiem wszystko w porządku. Odpisuje na wiadomości, ale nie odbiera telefonów, a to do niej niepodobne. Czeka, aż włączy się poczta głosowa, a później odpowiada SMS-em. Poprosiłem ją o spotkanie, żeby dowiedzieć się, o co chodzi. Pójdiesz tam za mnie?

– Co?! Dlaczego ja? Ona nie chce się ze mną widzieć.

– Claire – Ben ujął ją za rękę. W tym świetle jego twarz przybrała niebieskawy odcień. –

Wszystko będzie dobrze. Romily jest teraz w czternastym tygodniu ciąży. Przetrwiała bezpiecznie pierwszy trymestr. Dziecko urodzi się zdrowe. Możesz się przestać bać.

– Przecież dopiero co powiedziałeś, że coś jest nie tak.

– Dziecku nic nie dolega. Martwię się o Romily. – Oparł głowę o siedzenie. –

I o ciebie. Wiem, że się boisz, ale w naszym życiu zaszła wielka zmiana, a ty nie pozwalasz o niej z nikim rozmawiać. Mam wrażenie, jakbym żył na polu minowym. Czy w ogóle spójrzałaś na zdjęcie USG, które powiesiłem na lodówce, czy może zamykasz oczy za każdym razem, gdy wyjmujesz z niej mleko?

– Obejrzałam je – powiedziała cicho.

– Ciągle czekam, aż pozwolisz mi być szczęśliwym.

– Chcę, żebyś był szczęśliwy, ale to... trudne.

– Wiem, że ty i Romily nie zgadzacie się we wszystkim. Rozumiem też, dlaczego nie pałasz do niej sympatią, ale chodzi przecież o nasze dziecko. Chcesz, żeby przyszło na świat, prawda?

Z jakiegoś powodu stanął jej przed oczami Max, opowiadający o sobie i o tym, co się stanie, gdy jego macocha zajdzie w ciążę.

Starła się nie pragnąć tego dziecka zbyt mocno, z obawy przed rozczarowaniem. Kiedy przekroczyła granicę dzielącą ją od wyrachowanej obojętności?

– Pragnę tego dziecka – zapewniła go. – Z całego serca.

– W takim razie spotkaj się z Romily, proszę. Pomóż jej, niezależnie od problemu. Ona potrzebuje nas obojga, a my potrzebujemy jej.

Minął ich samochód, oświetlając wnętrze auta i dzielącą małżonków odległość.

– W porządku – zgodziła się Claire.

Claire zjawiała się w kawiarni wcześniej. Ben umówił się z Romily w Starbucksie, miejscu, do którego Claire nigdy nie zaglądała, bo kiedy już chciała sobie zrobić przyjemność, wolała prywatne kawiarenki nieco dalej. Zamówiła cappuccino, cytrynową babeczkę i wybrała stolik przy oknie.

Zamierzała się zachowywać racjonalnie, rozsądnie i życzliwie, nie tyle ze względu na

Romily, co na Bena i dziecko. Miała w kieszeni zdjęcie USG, żeby o tym nie zapomnieć.

Romily spóźniła się dziesięć minut i chociaż Claire jej machała, stała w drzwiach przez dłuższą chwilę, zanim ją wypatrzyła. Wyglądała okropnie. Miała na sobie męską bluzę z podwiniętymi rękawami, jej twarz była opuchnięta i blada, fryzura straciła kształt, a włosy były zmierzwiowane i zaniedbane. Kiedy Romily podeszła do stolika, Claire wstała.

– Gdzie jest Ben? – zapytała Romily. Z bliska wyglądała jeszcze gorzej. Jej cera była tak blada, że aż zielonkawa, pod oczami widniały głębokie cienie. Usta miała spierzchnięte, a nos zaróżowiony. W jej oczach czaiła się panika. Ben najwyraźniej nie poinformował jej, że nie dotrze na spotkanie.

– Miał problem z klientem – wyjaśniła Claire – więc przyszedłam zamiast niego. Czego się napijesz?

– Przyniosę sobie.

– Nie, nalegam.

– Poradzę sobie. – Romily odwróciła się i podeszła do kontuaru. W każdym jej ruchu widać było zmęczenie.

No cóż, to się nazywa dobry początek. Claire z powrotem usiadła i upiła łyk kawy. Po chwili Romily wróciła z dużym kubkiem mrożonego różowego napoju.

– Wygląda interesująco – odezwała się serdecznie Claire.

– Nie martw się, ten napój zawiera owoce. W teorii. – Romily odsunęła krzesło i ciężko usiadła. Niewykluczone, że pod obszerną bluzą krył się ciężowy brzuszek, ale trudno było to stwierdzić, taka była chuda.

– Jak się czujesz?

– Wiem, że wyglądam okropnie.

– Ja... nie chciałam sugerować...

Romily zbyła jej tłumaczenia machnięciem ręki.

– Niczego nie musisz sugerować. Mam w domu lustro. Poza tym czuję się fatalnie. – Odstawiła napój na stolik, nawet go nie próbując.

– Czy wszystko w porządku? Z dzieckiem?

– Waszemu dziecku nic nie dolega. To te przeklęte hormony dają mi w kość.

– Ben wspominał, że miałaś poranne mdłości.

– Na początku rzeczywiście były „poranne”. Przez ostatni tydzień wymiotuję równo co dwie godziny. Doszło do tego, że przestałam sobie zwracać głowę przyrządzaniem jedzenia, bo i tak najlepiej sprawdzają się suchary. Bez obrazy, wiem, że chciałaś, żebym jadła zdrowo.

– Strasznie mi przykro.

– To nie twoja wina. No, do pewnego stopnia. – Roześmiała się, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

– Wydawało mi się, że poranne mdłości znikają w drugim trymestrze – zauważyła Claire.

– Teoretycznie tak, w przypadku większości kobiet. Przy Posie wcale ich nie miałam. Tym razem po prostu mam pecha. – Dotknęła swojego napoju. – A co u ciebie?

– W porządku, dziękuję. W weekend spotkaliśmy się ze znajomymi, Priyą i Mikiem, może pamiętasz ich ze ślubu?

– Ach, tak.

– A co poza tym? Co u Posie?

– W porządku. Tęskni za tobą.

Claire przygryzła wargę.

– Wyobrażam sobie. Przykro mi.

– Pozdrowię ją od ciebie. – Romily rozparła się na krześle i skrzyżowała ramiona. – Tak więc Ben nie mógł przyjść, a ty postanowiłaś sprawdzić, co u mnie?

– Ben trochę się o ciebie martwił. Ponoć nie odbierasz jego telefonów.

– Nie powinien się czuć urażony. Nie odbieram niczyich telefonów.

W umyśle Claire zaświtały różne możliwości. Romily zmieniła zdanie. Doświadczała depresji przedporodowej. Powiedziała o ciąży szefowi i straciła pracę. Posie źle zareagowała na wieść o dziecku.

– Nie miej takiej przerażonej miny – powiedziała Romily. – Mówiłam ci już, że dziecku nic nie dolega, chociaż nie miałam siły, żeby ugotować te niesamowite warzywa, ani pisać emocjonalne listy, do czego mnie namawiałaś.

Jej ton był tak sarkastyczny, że Claire odparowała:

– Wyobraź sobie, że nie myślałam o dziecku, ani o listach, lecz o tobie.

– Martwiłaś się, czy przestrzegam tych wszystkich instrukcji, które mi dałaś?

– Nie, ja...

– Było ich mnóstwo: książki, wydruki i ulotki, pełne szczegółowych wytycznych. Gdyby nie zapewnienia Bena, pomyślałabym, że mi nie ufasz.

– Nie o to...

– Jak wiesz, byłam już w ciąży, a Posie jest całkiem udanym dzieckiem. Nie jestem wcale tak beznadziejna w byciu matką i nie potrzebuję wszystkich poradników, jakie kiedykolwiek wydano.

Oczy Romily płonęły gniewem w jej zmęczonej twarzy. Wyglądała na wycieńczoną, wprost śmiertelnie. Claire wyprostowała się na krześle. Starła się mówić spokojnie i myśleć racjonalnie.

– Ben ciągle powtarza, że powinnam się zaangażować – powiedziała. – To nie fair, że atakujesz mnie z tego powodu.

– Ben kazał ci być panią dobrodziejką?

– Przysyłałam ci te rzeczy, żeby pomóc. Nie miałam pojęcia, że tak cię to uraziło.

Przestanę to robić, jeśli chcesz.

– No jasne, zwał winę na mnie. Ty zawsze byłaś tą pomocną i hojną, najpierw dla Posie, a teraz dla mnie. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że czuję się przez to tak, jakbym nie była wystarczająco dobra?

Ludzie w kawiarni zaczęli się im przyglądać. Claire przyłożyła palec do ust.

– Ciii.

– Nie uciszaj mnie! Przechodzę burzę hormonów, czuję się gównianie i nie potrzebuję, by ktokolwiek mówił mi, jak mam żyć, co jeść i jak się zachowywać! Mogę sama decydować o swoim ciele. Posie nic nie dolega, prawda?

Claire miała tego serdecznie dosyć. Odsunęła krzesło i powiedziała głośno i wyraźnie, akcentując każde słowo:

– Myślisz, że nie oddałabym wszystkiego, żeby czuć się tak jak ty teraz?

Romily przypatrywała jej się w milczeniu. W końcu oparła głowę o stół i zanosła się płaczem.

Claire wyciągnęła rękę, lecz szybko ją cofnęła. Widząc, jak zmęczona i pokonana jest jej rozmówczyni, w końcu położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie płacz, Romily, proszę.

– Przepraszam – wybąkała Romily, nie podnosząc głowy znad stolika. – Bardzo mi przykro. To te hormony, mdłości, brak snu i... cała reszta.

– W porządku – Claire podała jej serwetkę.

– Wcale nie. Nie powinnam się skarżyć, a już szczególnie tobie. – Romily wzięła serwetkę, wytarła nos i wyprostowała się. – Chodźmy stąd. Zapach kawy przyprawia mnie o mdłości.

Claire wstała i razem ruszyły do drzwi. Wychodząc, Claire zabrała kilka dodatkowych serwetek i podała je Romily.

– Dzięki. O Boże, wyglądam jak siedem nieszczęść – Romily roześmiała się drżąc, kiedy wyszły z kawiarni.

– Nie czujesz się najlepiej. Może pójdziemy do parku?

– OK. Świeże powietrze dobrze mi zrobi.

W milczeniu przeszły przez park w pobliżu centrum miasta, otoczony wiktoriańskim murem, z omszałą fontanną. Grupka nastolatków siedziała na trawniku tuż pod miejską kamerą, wyzywająco podając sobie papierosy i butelkę wódki. Kobiety znalazły ławkę naprzeciwko sceny, z dala od dymu, i usiadły.

– Nie chciałam cię urazić – powiedziała Romily. – Niektóre rzeczy, które przysłałaś, były bardzo miłe, na przykład masło kakaowe.

– Ale nie wszystkie.

– Cóż... powiedzmy, że nie wszystkie były w moim guście. Ale nie powinnam na ciebie krzyczeć.

– Przyjęłam to do wiadomości – odparła Claire. – Naprawdę nie podejrzewałam, że zinterpretujesz moje prezenty jako krytycyzm.

– Oczywiście, że nie. Teraz już to wiem. Nigdy...

– Nie byłam w ciąży – dokończyła za nią Claire. Romily uśmiechnęła się.

– Zamierzałam powiedzieć: „nie czułaś się jak nieporadna idiotka”, ale te dwa stany w gruncie rzeczy niewiele się od siebie różnią.

– Och, znam to uczucie, możesz mi wierzyć.

Romily posłała jej niedowierzające spojrzenie.

– Świeże powietrze rzeczywiście mi pomogło.

– Chcesz miętówkę?

– Możesz przestać się o mnie troszczyć, Claire.

– Ja tylko... – zaczęła Claire, ale zobaczyła na twarzy Romily lekki uśmiech. Jej cera nie była już taka blada. Claire głęboko zaczerpnęła powietrza. – Nie wiem, co innego mogłabym zrobić. Nigdy nie byłam w podobnej sytuacji.

– Ani ja. Przyzwyczyłam się, że jestem sama. – Romily wsunęła rękę do torby i wyjęła z niej pojemnik z winogronami. – Poczęstuj się.

Obie wzięły po winogronie.

– Odkąd skończyłyśmy studia, rzadko spotykamy się tylko we dwie, bez Bena – zauważyła Claire.

– W zasadzie wcale.

Romily utkwiała wzrok w biedronce, która wylądowała na oparciu ławki.

Claire zastanawiała się, co powinna teraz powiedzieć. Romily poprosiła ją, żeby przestała jej pomagać, ale Ben miał rację: musiała się bardziej zaangażować, a nie tylko przysyłać różne rzeczy. Nie mogła siedzieć na uboczu, zmagając się z uczuciem bezradności i rozgoryczeniem.

– Czy ty... – przełknęła ślinę. – Czowałaś już ruchy dziecka?

– Nie, jeszcze na to za wcześnie.

– Poradniki twierdzą, że powinnaś je poczuć około piętnastego tygodnia.

– Twierdzą również, że powinnam już przestać wymiotować.

– Myślisz, że coś może być nie w porządku?

– Nie, jestem pewna, że nie. Zapytam swoją ginekolog podczas wizyty w przyszłym tygodniu, ale myślę, że to po prostu jedna z przypadłości. Każda ciąża jest inna. Niemowlęta najwyraźniej nie czytają poradników.

– A ja posiadam wyłącznie podręcznikową wiedzę.

– Mhm. – Romily zjadła kolejne winogrono. – Przykro mi, Claire. Wiem, jak ci ciężko.

– Dziękuję – odparła automatycznie, chociaż nie chciała jej współczucia. Ta rozmowa wydawała się jednak konieczna, a Ben poprosił ją, żeby dowiedziała się, na czym polega problem Romily. – Nie odbierałaś telefonów – zagaiła.

– Nie. Byłam wykończona i... bałam się telefonu pewnej osoby, więc wyciszyłam dzwonek. Ale nawet wtedy, gdy wiedziałam, że to Ben, nie odbierałam. Domyśliłyby się, że coś jest nie tak i przybiegłyby mi na ratunek.

– Cały Ben – pierwszy do pomocy.

Romily roześmiała się. Jej śmiech wypłynął prosto z serca i dało się wyczuć, że był szczery.

– Ale później postanowiłaś się z nim spotkać – ciągnęła Claire.

– Musiałam się komuś wygadać. Długo zastanawiałam się nad pewną sprawą, o której nie mogłam porozmawiać z Posie, ani z kolegami z pracy. Chociaż po incydencie w kafejce pytali, co się stało.

Claire nic nie powiedziała, ani nie zaproponowała Romily pomocy. Czekala.

– Rzecz w tym – podjęła Romily – że nie mogę cię winić za to, co o mnie myślisz, bo rzeczywiście nie sprawdziłam się jako matka. Posie to świetny dzieciak, ale nie dzięki mnie. Ja tylko kręcę się w kółko, nie bardzo wiedząc, co robię.

– Czy wszystko u niej w porządku?

– Tak. Nie. Nie wiem. Wydaje się OK, ale może coś ją jednak poważnie trapi? Na pewno, bo inaczej nie chciałaby spędzać tyle czasu u was. Chciałaby mieć normalnych, kochających się rodziców, mieszkających w ładnie urządzonej domu z ogrodem, a nie matkę-nedorajdę i ojca, który nie ma pojęcia o jej istnieniu.

Claire oblała się rumieńcem. Nie mogła zaprzeczyć, że myślała podobnie.

– Z tym dzieckiem będzie inaczej. Ty i Ben marzyliście o nim od lat. Będzie to najbardziej wyczekane dziecko w historii świata. Tymczasem Posie... nie chciałam jej. Podobnie jak Jarvis.

– Ona o tym nie wie.

– Wcześniej czy później się dowie. I jak się wtedy poczuje? – w głosie Romily słychać było prawdziwą udrękę.

– Ale teraz jest chciana – zauważyła Claire.

– Trzeba mnie było przekonywać, żebym ją urodziła. I ukryłam to przed jej ojcem.

– Z tego co mówił Ben, i tak nie był zainteresowany.

– A gdyby zmienił zdanie? Może gdybym mu powiedziała wiele lat temu, postanowiłby zostać i być dla Posie prawdziwym ojcem? Sprawdziłby się w tej roli, czy może nas znienawidził za to, że odciągnęłyśmy go od tego, co naprawdę chciał robić?

– Romily, nie możesz się zastanawiać, co by było gdyby. Ani katować się rozmyślaniami o przeszłości, o tym, co zrobiłaś, a czego nie.

*Tak jak ja – pomyślała. – Bronię się przed myśleniem o dziecku, które znajduje się tuż-tuż, w brzuchu siedzącej obok mnie kobiety. Moim dziecku. Nie potrafię zapomnieć, że nie byłabym w stanie urodzić go sama.*

– Macierzyństwo nie jest łatwe – oznajmiła Romily. – Pod żadnym względem. Musisz podejmować decyzje, które będą miały wpływ na całe życie twojego dziecka. Wszystko, co



powiesz i zrobisz może je zmienić na lepsze lub gorsze. Nikt cię nie zastąpi. To ty ponosisz pełną odpowiedzialność.

– Chyba że jest przy tobie ojciec dziecka – wtrąciła Claire.

– Chciałaś powiedzieć: taki jak Ben. Zły ojciec może wszystko zepsuć, podobnie jak zła matka.

Zła matka, która nie była w stanie nawet pomyśleć o swoim dziecku, które rozwijało się w łonie Romily, tak bardzo skoncentrowała się na swojej porażce.

Claire ciężko przełknęła ślinę i spojrzała na brzuch Romily. Pod bluzą, w ciele Romily, rozwijało się jej dziecko. Dziecko Claire.

*Przepraszam cię, maleństwo.*

– Myślę, że musisz jej to po prostu wynagrodzić – powiedziała. – Upewnić się, że wie, jak ci na niej zależy, nawet jeśli na początku było inaczej.

– Nie jestem tego pewna – odparła żarliwie Romily. – W tym tkwi problem. Nie wiem, czy ojciec Posie naprawdę jej chce, czy jest po prostu ciekaw, a może kieruje nim poczucie obowiązku. Tak długo się nie widzieliśmy. Możliwe, że kiedy się zobaczą, Posie ucieszy się, że ma tatusia, a później on zniknie i nigdy więcej się z nami nie skontaktuje. Skąd mam wiedzieć, co jest najlepsze dla Posie?

Claire przeniosła wzrok z brzucha Romily na jej zaczerwienioną twarz. Romily znów była bliska płaczu.

– Zaczekaj – powiedziała. – Czy właśnie dlatego jesteś zdenerwowana? Czy ojciec Posie skontaktował się z wami?

– Chce się z nią spotkać. Zadzwoił kilka dni temu. Nie mam pojęcia, co robić. Ale chyba masz rację, Posie powinna się dowiedzieć o swoim ojcu.

*O mój Boże* – pomyślała Claire. Czy naprawdę to powiedziała?

– Nic takiego nie mówiłam. Nie mogę ci nic doradzić, Romily, nie mam na ten temat bladego pojęcia.

Romily sięgnęła do torebki po telefon.

– W każdym razie masz rację. Muszę przestać się bać i stawić czoło prawdziwe. Posie to jego dziecko, a rodzice powinni znać swoje dzieci.

– Owszem – przyznała jej rację Claire. – Powinni.

## WSPÓLNY FRONT

Po powrocie do domu Claire zdjęła z drzwi lodówki zdjęcie USG. Zmusiła się, żeby dobrze się przyjrzeć każdemu zaokrągleniu i kształtowi. Wyobraziła sobie dziecko unoszące się w wypożyczonym łonie, nadal dostatecznie małe, żeby zmieścić się w dłoni.

Kiedy zadzwonił dzwonek, Claire schowała zdjęcie do kieszeni niczym swój mały wstydlivy sekret. Kiedy otworzyła drzwi, zdziwiła się na widok stojących na progu rodziców.

– Witaj, skarbie! – zaświergotała matka, przytulając Claire i przycisnęła do jej twarzy miękkie policzki, pachnący znajomo perfumami Chanel.

Ojciec Claire również wyciągnął ramię i ją objął.

– Przyjechaliśmy do Helen na kilka dni. Pomyślałam, że wpadniemy i sprawdzimy, co u was. To tylko parę dodatkowych kilometrów trasą M4.

Maisie, najstarsza z golden retrieverów rodziców Claire, wcisnęła łeb pomiędzy nich i obwąchała dłoń kobiety siwiejącym pyskiem, zostawiając jej na rękawie nieco śliny. Później powlekała się w stronę w stronę ogródka przed domem. Claire pamiętała, jak jeździła na grzbiecie matki Maisie, Moo-Moo, przytrzymując się jej żółtego futra: udawała, że to kucyk. Moo-Moo została pochowana w ogrodzie za domem rodziców, pod krzewem róży rabatowej.

– Wejdźcie – zachęciła Claire, robiąc w myślach przegląd zawartości lodówki i zamrażarki. – Zostaniecie na kolacji?

– Ale zaraz po niej musimy jechać – odparła matka. – Mark, przyniesiesz pudła z bagażnika? Miałam tyle zbędnych sadzonek i pomyślałam, że może wykorzystacie je w południowo-zachodniej części ogrodu? Będą pięknie wyglądać we wrześniu. Nie aksamitki, Mark, one są dla Helen. Te drugie. Przywieźliśmy kilka słoików marmolady, trochę dzikiego bzu, który zapomniałaś ostatnio zabrać, i zakwas chlebowy. – Wparowała do domu, odstawiła ze szczękiem płócienne torby i uważnie przyjrzała się córce. – Przybrałaś na wadze, co?

– Może trochę.

– Ze trzy kilogramy, na moje oko. To dobrze. Przesadzałaś z dietą, ale wiesz, że efekt jo-jo to też nic dobrego.

– Nic mi nie jest – odparła automatycznie Claire.

Ojciec stanął w drzwiach z pudłem pełnym roślin.

– Zanieść je prosto do ogrodu? Ben w pracy?

Claire usłyszała chrzęst opon na podjeździe.

– Właśnie przyjechał. Nastaw wodę, mamo. Zaraz wrócę. – Wybiegła z domu.

Ben wyglądał na wyczerpanego. Wstał wcześniej rano i starał się nie narobić hałasu. Claire i tak już nie spała. Leżąc nieruchomo w łóżku, obserwowała, jak się ubierał. Kiedy delikatnie pocałował ją w kark, zamknęła oczy, żeby myślał, że się nie obudziła. Żałowała teraz, że nie odwzajemniła pocałunku.

– I jak, udało ci się? – zapytała, kiedy wysiadał z samochodu.

Ben popatrzył na jaguara w wersji sedan.

– Co twoi rodzice tu robią?

– Odwiedzili nas w drodze do Helen. Zostaną tylko na kolację. Udało się załatwić sprawę nowego projektu?

– Nie mieliśmy nawet chwili odpoczynku. Prace przeciągną się o wiele miesięcy, a Vaughanowie nie są zadowoleni.

– Och, Ben tak mi przykro.

– Nic na to nie poradzimy. Widziałaś się z Romily?

– Tak. Nic jej nie jest.

Maisie podeszła do nich, machając ogonem, czekając na pieszczotę. Ben wytargał ją za uszy i ruszyli całą trójką do domu. Zanim wszedł do środka, Ben wziął głęboki wdech. Ojciec Claire wyszedł z kuchni i właśnie wieszal swoją kurtkę na wieszaku pod schodami.

– Witaj, Mark – przywitał się Ben, ukrywając wszelkie ślady zmęczenia. – Cóż za miła niespodzianka.

Uścisnęli sobie dłonie. Ben dobrze dogadywał się z teściem. Słuchali razem transmisji meczów krykieta i raczyli się domowym piwem Marka, chociaż to Andrew, mąż Helen był jego ulubieńcem, gdyż radził się go w kwestiach inwestycji. Kiedy Claire zasugerowała Benowi, że mógłby zrobić to samo, nawet gdyby miał później zignorować sugestie ojca, tylko po to, żeby sprawić mu przyjemność, Ben odparł, że ma dość porad własnego ojca i wołałby zjeść smażonego jeża razem z kolcami, niż prosić teścia o radę. Powiedział to jednak żartobliwym tonem.

W kuchni matka zdążyła już zaparzyć herbatę i rozstawić filiżanki, a teraz kroїła ciasto, które również przywieźli ze sobą. W kwestii herbaty rodzina Hardych nigdy nie traciła czasu. Teściowa przytuliła Bena.

– Czyżbyś przywiozła swoją słynną marmoladę, Louiso? – zapytał. – Potrafisz czytać w myślach. Dziś rano wykończyłem ostatni słoik.

Ben ledwie trzymał się na nogach. Było widać, że miał ciężki dzień. Przez cały dzień nie zadzwonił ani nie napisał do Claire, by dowiedzieć się, jak przebiegło jej spotkanie z Romily. Claire była tym zmartwiona, lecz widząc, w jakim jest stanie, zrozumiała, że nie miał ani chwili wolnego czasu. Pewnie marzył tylko o długim gorącym prysznicu i zalegnięciu na kanapie przed telewizorem z butelką zimnego piwa w ręku. Zamiast tego czekała go herbatka i rozmowa z jej rodziną. Wiedział, jakie to dla niej ważne.

Claire poczuła, że jej serce rozpiera miłość do męża. Chwyciła jego rękę i ścisnęła, a Ben odwzajemnił jej się strudżonym uśmiechem. Była prawdziwą szczęściarą, że go miała.

Pragnęła mieć z nim dziecko, lecz powodem, dla którego w ogóle chciała zostać matką, byli jej rodzice. Miała idealne dzieciństwo, wygodne, pełne śmiechu i miłości. Pragnęła ofiarować to samo własnemu dziecku.

– Mamo, tato, cieszę się, że tu jesteście – powiedziała. – Mamy dla was cudowną wiadomość.

Jej matka klasnęła w dłonie.

– Jesteś w ciąży, prawda? Mówiłam, że przytyłaś.

– Jak wam się to udało? – zapytał ojciec. – Mama mówiła, że przerwaliście terapię.

Ben mocniej ścisnął palce żony.

– Korzystamy z pomocy surogatki – oznajmiła Claire.

– Co to takiego? – zapytał ojciec. – Jakaś nowa technologia?

– Mój Boże – powiedziała matka. – Co zrobiliście?!

– Surogatka to kobieta, która rodzi dziecko dla kogoś innego – wyjaśniła ojcu Claire.

– Pozwalasz innej kobiecie urodzić swoje dziecko?

– Wielu ludzi tak robi, mamo. To nie takie dziwne.

– Ale na pewno niezgodne z naturą.

– W naturze zdarzają się podobne przypadki – wtrącił się Ben. – Na przykład mrówki i pszczoły mają królowe, które wydają na świat całe potomstwo, a później opiekuje się nimi reszta owadów.

– Z całym szacunkiem, jesteśmy ludźmi, Benjaminie, a nie mrówkami.

– Mamo – odezwała się Claire. – To nasza decyzja i oboje bardzo się cieszymy.  
– Jak znajdziecie kobietę, która zgodzi się na coś takiego?  
– Już ją znaleźliśmy.  
Matka wysunęła krzesło i usiadła.  
– Nie tego się spodziewałam. Nie martwicie się, że będzie chciała zatrzymać dziecko?  
– Nie – odparł Ben.  
– Nie boimy się – powtórzyła Claire. – Ta kobieta ma już córkę i nie planuje mieć więcej dzieci.  
– Teraz może tak mówić, ale przestanie, kiedy zobaczy dziecko. Nie można przez dziewięć miesięcy nosić dziecka we własnym łonie i go nie pokochać. To wbrew naturze.  
– Mamo...  
– Urodziłam troje dzieci, Claire. Wiem, co mówię.  
– A ja sporo czytałam na temat surogatek. Ludzie automatycznie zakładają, że matka zastępcza będzie chciała zatrzymać dziecko, ponieważ nagłośniono kilka podobnych przypadków. Jednak co roku robią to setki ludzi na całym świecie i najczęściej wszystko przebiega pomyślnie. Istnieją specjalne organizacje i grupy wsparcia dla takich osób.  
– Korzystacie z pomocy organizacji?  
– Nie. Przyjaźnimy się z tą kobietą. Załatwiamy wszystko sami.  
Matka Claire zamilkła, trawiąc to, co przed chwilą usłyszała.  
– A więc nie macie żadnych zabezpieczeń prawnych, gdyby coś poszło nie tak? – zapytał ojciec. – Nasz prawnik, Fredericks, jest bardzo...  
– Nie będzie żadnych problemów – przerwał mu Ben.  
– A co z adopcją? – zapytała matka Claire. – Czy nie byłoby łatwiej przygarnąć dziecka, którego rodzice zdecydowali już, że go nie chcą?  
– Chcemy, żeby to było nasze dziecko – wyjaśnił Ben.  
Louisa nalała herbatę do filiżanek. Wypili po łyku w milczeniu.  
– Wyjaśnijcie mi to – odezwał się ojciec Claire. – Poczynacie dziecko metodą in vitro...  
– Embrion – poprawiła go żona. Claire dała jej do przeczytania odpowiednią książkę.  
– I umieszczacie w ciele tamtej kobiety? Tak więc dziecko jest wasze, tylko że w jej łonie?  
– Niestety, w naszym przypadku to niemożliwe – odparła Claire. – Moje jajeczka się nie nadają. Mimo wielu lat terapii, udało nam się ich pozyskać bardzo niewiele. Korzystamy z tradycyjnego surogactwa, z udziałem jajeczek tamtej kobiety i spermy Bena.  
– Czyli to nie będzie twoje dziecko?  
– Będzie – zapewniła Claire. – Pod każdym istotnym względem dziecko będzie moje. Spójrzcie, oto ono. – Wyjęła z kieszeni zdjęcie USG i podała je matce.  
– Już to zrobiliście? – zapytała. – Myślałam, że dopiero się zastanawiacie.  
– Dziecko przyjdzie na świat w styczniu.  
Matka Claire była bliska łez.  
– Nie rozumiem. Dlaczego nie powiedzieliście nam o tym wcześniej?  
– Wszystko stało się bardzo szybko. Romiły nam to zaproponowała, podjęliśmy decyzję, a ona akurat miała owulację, więc skorzystaliśmy z okazji.  
– Wiedzieliśmy, że postępujemy słusznie – dodał Ben. – Nie było na co czekać.  
To nie było do końca tak, ale Claire zdążyła się już nauczyć, że w małżeństwie zawsze należało trzymać wspólny front przeciwko rodzicom. Niedługo po ślubie nieopatrznie powiedziała matce, że zawsze musi przypominać Benowi o zmywaniu naczyń. Wcale jej to nie przeszkadzało: Ben zawsze to robił, gdy go poprosiła, lecz w chwili gdy o tym mówiła, miała

akurat kiepski humor. Matka uznała za punkt honoru nauczyć Bena, jak ważną rzeczą jest pomaganie żonie w kuchni. Rozwodziła się nad tym, jak pomocny był Mark, który robił wszystko bez proszenia. I rzeczywiście tak było. Zawsze pamiętał o umyciu naczyń, rozwieszeniu mokrych ręczników, nigdy nie przegapił urodzin Louisy ani rocznicy ślubu. Zabierał żonę na kolacje, chodzili razem na lekcje tańca towarzyskiego i nigdy, przenigdy się nie kłócili.

Jako dziecko i nastolatka Claire mówiła matce o wszystkim. Dopiero kiedy stała się dorosłą, wyszła za Bena i uzmysłowiła sobie, że nie jest doskonała, stopniowo zaczęła ukrywać przed nią szczegóły swojego prywatnego życia. Nie okłamywała matki, po prostu nie o wszystkim jej mówiła.

Z wyrazu twarzy Louisy łatwo było wywnioskować, że nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Skoro wiedzieliście, że decyzja jest słuszna – odezwała się – to dlaczego nic nam nie powiedzieliście?

Claire podeszła do matki, która nadal trzymała zdjęcie USG, i przytuliła ją. Jedna częśćka niej myślała, że oto zawiodła kolejną osobę swoim lękiem i alienacją. Jednak druga częśćka, znacznie większa, po raz pierwszy zastanawiała się, czy pewnego dnia jej dorosłe już dziecko zatai przed nią jakiś element własnego życia. Czuła się niemal podekscytowana na myśl o tym, że będzie trwała w niewiedzy, ponieważ oznaczało to, że będzie istniała osoba, która ją do tego stanu doprowadzi.

– Przepraszam, mamo – powiedziała. – Zamierzaliśmy wam powiedzieć. Po prostu chcieliśmy być pewni, że tym razem wszystko pójdzie po naszej myśli, by nie robić wam niepotrzebnie nadziei.

– To rozwiązanie i tak wydaje się bardzo ryzykowne.

– Sama nie mogłam w to uwierzyć – przyznała Claire. – Martwiłam się, że dziecko jest tylko wytworem mojej wyobraźni, szczególnie że sama nie jestem w ciąży i nie odczuwam fizycznych zmian. Ale oto zdjęcie USG, mamo. Dziecko przyjdzie na świat i będzie nasze.

– Cóż, skoro zabrnęliście tak daleko, musicie zrobić to, co waszym zdaniem jest słuszne. Po prostu nie chcę, żebyś znowu się zawiodła, skarbie.

Claire mocniej przytuliła matkę.

– Nie zawiodę się. Obiecuję.

– Co powinniśmy powiedzieć innym ludziom? – zapytał ojciec.

– Najlepiej prawdę – odparł Ben. – Powiedzcie, że matka zastępcza urodzi nasze dziecko w styczniu, że jesteśmy z tego powodu bardzo szczęśliwi i odwiedzimy wszystkich krewnych razem z dzieckiem, kiedy już się urodzi.

Ojciec stanął za Claire i Louisą, żeby przyjrzeć się trzymanemu przez nią zdjęciu. Na jego twarzy pojawił się łagodny, figlarny uśmiech. Położył dłoń na ramieniu żony.

– Już wiem, co im powiem: że zrobiliście to samo, co Elton John. Wtedy się zamkną.

– Byłaś niesamowita – powiedział Ben po długiej kolacji, kiedy wreszcie znaleźli się sami w sypialni.

– Byłam szczerą – odparła Claire. – To wszystko. Miałaś rację, zmuszając mnie do spotkania z Romily. Za bardzo się bałam i to było złe.

– A więc teraz możemy trąbić o naszym dziecku wszem i wobec?

– Na razie wystarczy, że powiemy rodzinie i przyjaciołom.

Ben wziął ją w ramiona.

– Kocham cię.

Claire ułożyła głowę na ramieniu męża i pocałowała go w szyję.

– Bardzo jesteś zmęczony?

– Wcale.

Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej.

Helen zadzwoniła z samego rana, zanim Claire zdążyła wyjść do szkoły.

– A więc jednak się zdecydowaliście – powiedziała. – W tajemnicy przed wszystkimi.

– Przykro mi, Helen. Chcieliśmy się wprawdzie upewnić, że z dzieckiem wszystko

w porządku.

– Mama odchodzi od zmysłów, a tata mamrotał coś o rozmowie z panem

Fredericksem.

– A ty co myślisz?

– Że to wspaniałe.

– Naprawdę?

– Nawet mama musiała przyznać, że wyglądałaś na szczęśliwą. A kiedy dziecko przyjdzie na świat, będę cię częściej widywała. Mnie to wystarczy.

Przez większą część sobotniego popołudnia Claire pisała e-mail, który wysłała do wszystkich swoich przyjaciół, krewnych i kolegów. Benowi tak się on spodobał, że poprosił, by wysłała go również do osób z jego listy adresowej. Claire wydrukowała wszystkie odpowiedzi i schowała je do książki pamiątkowej, którą zamierzała w przyszłości pokazać ich dziecku. Każda otrzymana wiadomość i pocztówka utwierdzały Claire w przekonaniu, że to wszystko dzieje się naprawdę.

A jeśli nawet dopadały ją wątpliwości, potrafiła je zamaskować.

## SŁUSZNA DECYZJA

Wreszcie przestało padać. Posie nadal niczego nie podejrzewała. Romily nie była pewna, czy to dobrze, czy źle. Dziewczynka rzuciła się biegiem przez park w kierunku placu zabaw, gdzie zaczęła się wspinać po drabince. Romily minęła bramę, podeszła do najbliższej ławki i usiadła. Sprawdziła telefon, ale nie dostała wiadomości o odwołanym spotkaniu.

– Romily! Spójrz, co potrafisz! – zawołała do niej Posie, zwisając z drabinki i machając rękami. Romily odmachała córce.

Wybrała ten park, ponieważ znajdował się po przeciwnej stronie miasta co ten, do którego zwykle chodziły. Bywały tu już wcześniej, ale niezbyt często, więc dla Posie stanowiło to pewną nowość. Park znajdował się na tyle daleko od ich mieszkania, że gdyby spotkanie poszło bardzo źle, nie musiałyby tu nigdy więcej wracać. Ciężkie szare chmury na niebie sprawiły, że na placu zabaw nie było innych dzieci. Kilkoro najtwardszych grało w piłkę nożną na sąsiednim boisku. Romily wyciągnęła szyję, wypatrując Jarvisa.

– Nie patrzysz!

– Przepraszam, Pose – Romily ponownie skoncentrowała się na córce, która próbowała teraz balansować na jednej stopie, opierając się o cienką linę, zaś palce drugiej stopy wyciągnęła jak balerina. – Uważaj!

– Nie martw się, umiem latać!

*Wcale nie* – pomyślała Romily, prawie zrywając się z ławki, gotowa rzucić się w kierunku drabinki i złapać spadającą Posie.

Wieczorem, nie mogąc spać, przejrzała kilka książek, które przysłała jej Claire, szukając w nich rozdziału poświęconego sytuacji, w której dziecko pierwszy raz w życiu spotyka się ze swoim ojcem. Oczywiście nic takiego nie znalazła. Dowiedziała się za to, że młoda matka powinna odciągać pokarm, żeby tata mógł w nocy nakarmić dziecko, a ona sama mogła się wyspać.

Romily pamiętała nocne karmienie w ich starym mieszkaniu z jedną sypialnią. Kładła się do łóżka razem z Posie, żeby żadna z nich nie musiała się całkiem wybudzać podczas karmienia. W niektóre noce, kiedy Posie nie mogła zasnąć, Romily chodziła od sypialni do salonu i z powrotem, poklepując córkę po pupie i mruczając kołysanki stworzone z łacińskich nazw owadów, które znała na pamięć: *ephemeroptera*, *embiidina*.

Najbardziej samotna czuła się o czwartej rano, kiedy reszta ludzi smacznie spała, i o czwartej po południu, kiedy reszta ludzi była w pracy. Odliczała wtedy godziny do momentu, gdy wreszcie mogła sięgnąć po słuchawkę telefonu i odezwać się do kogoś, kto był w stanie jej odpowiedzieć. Wydawało jej się, że musi być z nią coś nie tak, skoro pragnie, by to wszystko jak najszybciej się skończyło, ponieważ wszyscy wiedzieli, że matki i dzieci tworzą własny świat i czerpią niczym niezmaconą radość ze swojego towarzystwa. Nawet żuki z gatunku omarlicowatych potrafiły zajmować się swoimi młodymi i je chronić bez uczucia znudzenia, desperacji czy osamotnienia.

Posie postawiła obydwie nogi na linie, więc Romily ponownie usiadła na ławce, oddychając z ulgą. Kątem oka zauważyła blondyna w zgniłozielonej kurtce.

– Spójrz na to! – zawołała ponownie Posie, a Romily powiedziała „OK”, lecz nie spuściła wzroku z Jarvisa, który stał za barierką i obserwował swoją córkę. Jedną dłoń trzymał na bramce, ale jej nie otworzył. Romily nie potrafiła zinterpretować wyrazu jego twarzy: zamierzał wejść do środka czy odejść?

– Spójrz, bez trzymanki! Ups!

Romily instynktownie zerwała się z ławki, lecz Posie zdążyła się złapać. Kobieta raczej poczuła, niż zobaczyła, że Jarvis usiadł na ławce obok niej.

– Jak sobie radzisz ze strachem o nią? – zapytał.

– Kiepsko.

Tymczasem Posie odpychała się rękami i nogami, wprawiając w ruch drążek znajdujący się pośrodku drabinki. Całą uwagę skoncentrowała na tym, żeby zakręcić się jak najszybciej. Włosy latały jej wokół twarzy, poły kurtki łopotały.

– Jest większa niż na zdjęciu – zauważył Jarvis.

– Owszem.

– Kiedy miała urodziny?

– Siódmego lutego.

Jarvis westchnął. Oboje patrzyli na Posie, która najwyraźniej doszła do wniosku, że nie zdoła się już mocniej zakręcić i zeskoczyła z drabinki. Wylądowała pewnie, na obydwu stopach, i pobiegła w kierunku huśtawek.

– Jest odważna – odezwał się Jarvis.

– To coś nowego. Wcześniej zaczęła chodzić, ale zanim poszła do szkoły, była dość strachliwa. Przede wszystkim uwielbia książki i ma niesamowitą wyobraźnię.

– Bystra dziewczynka.

– Czasami aż za bardzo.

– Co jej mówiłaś przez wszystkie te lata?

– Że nie wiem, gdzie jest jej ojciec.

– Nie mówiłaś jej nic na mój temat?

– Niewiele.

– To do ciebie podobne – odparł, marszcząc brwi.

– Nie chciałam, żeby na ciebie czekała. Wolałam jej zaoszczędzić rozczarowania, na wypadek, gdybyś nigdy nie wrócił.

– A to dobre.

– Dobrze sobie radzimy same.

– Ja też mam swoje życie, Romily. Nie spodziewałem się takiej bomby. To nie moja wina, że nie było mnie przy was przez osiem lat, tylko twoja.

Romily zacisnęła szczęki. Jarvis skrzyżował ramiona na piersi.

– A co jej powiedziałaś na temat dzisiejszego spotkania? – zapytał.

– Nic. Prawdę mówiąc nie byłam pewna, czy przyjdiesz.

Spiorunował ją spojrzeniem.

– Nie masz o mnie najlepszego zdania, co?

– Nie mam o tobie żadnego zdania. Nie musisz się w to angażować, jeśli nie chcesz.

Im mniej o tym myślę, tym mniej się martwię, że popełniłam straszny błąd.

– A co twoim zdaniem było „strasznym błędem”: powiedzenie mi prawdy teraz, czy zatajenie jej przede mną wtedy?

– Domyśl się.

– Och, nie mam najmniejszych wątpliwości, co było błędem, możesz mi wierzyć.

Romily głęboko zaczerpnęła powietrza.

– W porządku, posłuchaj mnie. Ktoś mi powiedział, że dziecko powinno wiedzieć, że jest chciane. Jeśli zamierzasz stać się częścią życia Posie, możesz powiedzieć jej, kim jesteś. Jeśli nie, nie rób tego. Oba rozwiązania są dobre. Dzisiaj masz wolny wybór. Ale jeśli będziesz chciał się z nią znów zobaczyć, musi wiedzieć kim jesteś i że ci na niej zależy. Nie pozwolę, żebyś



pogrywał z moją córką.

– Jestem jej ojcem.

– Dawcą spermy, owszem. Od ciebie zależy, czy na tym się skończy.

– Nie – sprzeciwił się Jarvis. – Jeszcze dwa tygodnie temu wszystko zależało od ciebie.

– Takie są reguły, czy ci się to podoba, czy nie.

– Chyba nie masz prawa ustalać reguł. Nie po tym, jak pozbawiłaś mnie szansy na podjęcie decyzji.

– Romily! – Posie przybiegła z huśtawek, zdyszana. – Wzięłaś wodę?

Romily wyjęła butelkę. Posie upiła duży łyk, nie zwracając uwagi na siedzącego obok jej matki mężczyznę. Oddała Romily osobno butelkę i nakrętkę.

– Pokuśnij mnie!

Romily i Jarvis patrzyli na siebie przez długą chwilę. W końcu mężczyzna wstał i podszedł do huśtawek.

Romily podciągnęła nogi na ławkę, otoczyła je ramionami i oparła brodę na kolanie.

*Moja córka* – pomyślała. – *Moja*.

Jednak została na swoim miejscu.

Blisko dziewięć lat temu, niedługo po tym, jak rozpoczęła studia doktoranckie, a Claire i Ben zaczęli planować swój ślub, Romily poznała Jarvisa na randce w ciemno, zorganizowanej przez któregoś z jej kolegów z Muzeum Historii Naturalnej. Spotkali się w Queen's Arms w Kensington. Romily dotarła do pubu bardzo wcześnie i siedziała tam od dwóch i pół godziny, wypijając litry piwa London Pride i czytając po raz kolejny „Mężczyznę, który pomylił swoją żonę z kapeluszem”. Jarvis zjawił się z wielką paczką, którą położył na stoliku.

– Zaczęłaś beze mnie – zauważył. Miał na sobie T-shirt i spodnie bojówki. Był szczuplejszy, bardziej niechłujny i miał jaśniejsze włosy niż Ben. Kiedy przecesał je palcami, lekko wilgotne od potu, jego koszulka podniosła się do góry, odkrywając fragment skóry.

*Nadajesz się* – pomyślała Romily.

– Spóźniłeś się – powiedziała. – Co jest w tej paczce?

– Prezent urodzinowy dla mojego kuzyna. Nie zdążyłem wstąpić na pocztę.

– Piję London Pride.

– Świetnie.

Wrócił z dwoma kufkami piwa i kieliszkiem Jacka Danielsa.

– Muszę nadgonić – wyjaśnił.

Cztery godziny później wylądowali w łóżku w jego kawalerce w Hackney, której ściany pokrywały zdjęcia dzieciaków. Jarvis otrzymał za nie nagrodę.

– Nie szukam miłości – powiedziała Romily, z głową na jego twardym ramieniu, wodząc dłonią w górę i w dół jego klatki piersiowej.

– To dopiero ulga – odparł. – Pewnego dnia wyjadę w podróż dookoła świata.

– Ja też.

Nachylił głowę do pocałunku i przyciągnął Romily bliżej, żeby znów mogli się kochać.

Z tego co pamiętała, większość ich randek wyglądała w ten sposób.

Jarvis huśtał Posie wyżej i dłużej niż robiłaby to Romily, a później zakręcił ją na karuzeli tak mocno, że dziewczynka nie mogła się przestać śmiać. Kiedy obok parku przejeżdżała furgonetka z lodami, Posie posłała mu pełne nadziei spojrzenie i Jarvis pobiegł do samochodu, szukając w kieszeni drobnych.

Romily otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz szybko je zamknęła. Jarvis nie kupował Posie lodów przez siedem lat. Nie dziwiło jej, że Posie nie zapytała o pozwolenie. Zauważyła, że Jarvis kupił dwa rożki, zapominając o Romily.

Córka i ojciec usiedli na huśtawkach, żeby zjeść lody, a Romily obserwowała ich z ławki. Rozmawiali o czymś, lecz siedzieli zbyt daleko, żeby mogła ich usłyszeć. Korciło ją, żeby do nich dołączyć. Podeszłaby, gdyby Posie sprawiała wrażenie skrępowanej lub Jarvis wydawał się zirytowany, lecz oni po prostu ze sobą gawędzili.

Jarvis nie powstrzymał córki przed wytarciem ust w rękaw.

– Spójrz! – zawołała.

Jarvis obserwował ją przez chwilę, po czym zebrał z ziemi opakowanie po lodzie i podszedł do kosza na śmieci obok ławki Romily.

– Chyba nie poszło mi najgorzej – powiedział.

– Posie dogaduje się z większością dorosłych. To typowe dla jedynaków. O czym rozmawialiście?

– Nie zdradziłem, że jestem jej ojcem, jeśli o to pytasz.

Rzeczywiście tak było, lecz Romily tylko wzruszyła ramionami.

– Radzimy sobie – powiedziała. – W życiu Posie nie ma wielkiej zięjącej dziury.

– Polubiłem ją – oznajmił drżącym głosem.

Romily objęła rękami kolana i skoncentrowała uwagę na Posie, która wspinała się po drabinkach, niczego nieświadoma.

Jarvis odchrząknął.

– Chciałbym się z nią znowu spotkać.

– To oznacza, że zamierzasz jej powiedzieć.

– Mam do tego prawo.

– Nie myślę o tym, co jest najlepsze dla ciebie, Jarvisie.

– Zatrzymałem się u szwagra w Londynie. Mogę tam zostać, jak długo zechcę.

– A kiedy znów wyjedziesz?

– Nie wiem. Jeszcze nie postanowiłem.

Romily wstała z ławki.

– Uprzedzałam cię, że nie pozwolę mieszać jej w głowie.

– Bo ty zawsze podejmowałaś w stu procentach trafne decyzje, mam rację?

– Nie masz pojęcia, co to znaczy być rodzicem.

– Zabawne, że to mówisz – powiedział to niebezpiecznie niskim głosem.

– Romily, Jarvis! Spójrzcie!

Posie zwisała do góry nogami z drabinki. Pomachała im, podciągnęła się do góry, a później znów zawisała głową w dół.

– Dobra robota, Pose! – zawołała Romily.

– Pojdę już, Posie – krzyknął Jarvis. – Miło cię było poznać – dodał, po czym zwrócił się do Romily: – Zadzwoń w przyszłym tygodniu.

Romily patrzyła, jak odchodził i zastanawiała się, czy postępują słusznie.

## WEWNĘTRZNY SPOKÓJ

– Zapisalaś nas na jogę dla ciężarnych – powiedziała Romily głosem pozbawionym entuzjazmu.

– Może być zabawnie – odparła Claire, chowając swoją kartę członkowską klubu fitness do torebki. – Byłoby dobrze, gdyby cała nasza trójka zrobiła coś wspólnie dla dobra dziecka. Poza tym badania wykazały, że joga może złagodzić poranne mdłości.

– Jeśli to prawda, warto zainwestować w opiekunkę.

– Joga pomaga się skoncentrować na danej chwili – dodała Claire. – Chętnie się tego nauczę.

– A ja pooglądam sobie kobiety w obcisłych legginsach – odezwał się Ben. – Dla każdego coś miłego.

Uśmiechał się od ucha do ucha. Claire pomyślała, że tak łatwo go uszczęśliwić, a kiedy on był szczęśliwy, wszystko wydawało się łatwiejsze. Między nią i Romily wreszcie zaczęło się układać, jakby sprzeczka w Starbucksie oczyściła atmosferę.

Ben otworzył drzwi do studia jogi, puszczając kobiety przodem, lecz Romily zatrzymała się na progu, koncentrując uwagę na lustrach, drewnianej podłodze, dźwiękach muzyki New Age, zrelaksowanych kobietach siedzących na niebieskich matach, z dłońmi ułożonymi na okrągłych brzuchach. Przez chwilę Claire bała się, że Romily odwróci się i wyjdzie.

– Ciekawi mnie, dlaczego nikt nie wymyślił piłki nożnej dla ciężarnych – mruknęła Romily i weszła do środka.

Miała na sobie luźne spodnie do joggingu i podkoszulek nie od kompletu. Będąc w siedemnastym tygodniu ciąży i w o wiele na nią za dużym ubraniu, wyglądała już na kobietę przy nadziei. Jej brzuch zdążył się lekko zaokrąglić, a piersi urosły o rozmiar czy dwa. Ben, wciąż uśmiechnięty, poszedł po maty dla nich obu i we trójkę usadowili się w szeregu na podłodze. Ben zajął miejsce pośrodku. Claire automatycznie przyjęła pozycję lotosu, zamknęła oczy i zaczęła miarowo wdychać i wydychać powietrze, starając się oczyścić umysł z niewesołej myśli, że znów znalazła się w pomieszczeniu pełnym ciężarnych kobiet.

Ona też niedługo zostanie mamą. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Kiedy wreszcie weźmie dziecko w ramiona, nie będzie ważne, w czym łonie się rozwijało.

– Witajcie – rozległ się melodyjny głos i Claire otworzyła oczy.

Instruktorka przykucnęła przed nimi. Claire nie widziała jej wcześniej. Widocznie grupy dla starających się o dziecko i przyszłych matek prowadziły różne osoby. Kobieta miała na sobie fioletowe legginsy i top, i uśmiechała się do Bena.

– Jak to miło widzieć wśród nas ojca.

Ben był jedynym mężczyzną w pomieszczeniu, a po sposobie, w jaki patrzyła na niego instruktorka można by pomyśleć, że również na świecie.

– Miło być tu z wami – odparł Ben.

– To ważne, żeby ojciec angażował się na każdym etapie tej drogi – kontynuowała instruktorka. – Joga może wam pomóc odnaleźć wewnętrzny spokój, który buduje więź między rodzicami. Oczywiście dziecko w łonie świetnie ją wyczuwa.

– Oczywiście.

– Niektórzy ojcowie doświadczają nawet objawów ciąży razem ze swoimi partnerkami.

A ty?

Claire usłyszała rozbawione prychnięcie Romily. Ben uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Miałem silną chrapkę na piklowane cebulki – powiedział.

Claire wymierzyła mu kuksańca i po raz pierwszy od początku zajęć instruktorka zwróciła na nią uwagę.

– Jesteś mamusią?

– Ja... – zaczęła, a siedzący obok niej Ben wskazał na Romily. Claire spiekła raka, świadoma tego, że nie jest w ciąży, co w sportowym stroju jeszcze bardziej rzucało się w oczy.

– Obie jesteście mamusiami – odezwała się Romily.

– Ach tak – odparła instruktorka. – Jesteście siostrami? Przyjaciółkami?

– Obie jesteście mamusiami – powtórzyła Romily. – A Ben jest tatusiem.

– Z wami... z wami obiema? – Kobieta popatrzyła zdumiona na Claire, Romily i Bena. Claire otworzyła usta, by wyjaśnić sytuację, lecz zanim zdążyła to zrobić, Romily

powiedziała:

– Tak. Obie spodziewamy się dziecka Bena. – Uśmiechnęła się promienne do instruktorki.

– Och. No cóż, to bardzo... ciekawe.

– Jesteśmy tym faktem niezmiernie podekscytowani.

– Zachowując jednocześnie głęboki wewnętrzny spokój – dodał Ben.

– I poczucie więzi – dodała Romily. – Bardzo, bardzo mocne. – Podchwyciła spojrzenie Claire i puściła jej oczko.

Wszystkie osoby na sali bacznie się im przyglądały. Ben pęczniał z dumy, gdyż przedstawiono go jako supersamca.

Claire musiała przygryźć wargę, żeby się nie roześmiać.

– Chcielibyśmy popracować nad naszą elastycznością – powiedziała i usłyszała, jak Romily tłumi kolejny wybuch śmiechu.

– Tak, no cóż... – Instruktorka wstała z podłogi. – Czy powinnam wiedzieć o jakichkolwiek urazach lub innych problemach?

– Regularnie wymiotuję – oświadczyła Romily.

– A ja mam problem ze skoncentrowaniem się na tu i teraz – dodała Claire.

– Ja nie mam żadnych problemów – oświadczył Ben.

Instruktorka ponownie popatrzyła na ich trójkę, lecz Claire udało się zachować minę pokerzysty dzięki wieloletnim treningom przed klasą pełną uczniów. Ben i Romily niewinnie się uśmiechali.

– W porządku – powiedziała instruktorka. – Myślę, że zaczniemy od powitania słońca...

– Przez was będę musiała zmienić klub.

Wrócili do domu Bena i Claire w strojach treningowych – nie mieli ochoty znosić ciekawskich spojrzeń w szatni – i pili w kuchni herbatę. Claire nałożyła im na talerze porcje ciasta bananowego.

– Jeśli tam wrócę, pewnie zgłoszą mnie do *Rozmów w toku*.

– Całkiem fajna ta joga – zauważył Ben. – Nawet mi się podobało.

– No jasne!

– Powiedzieliśmy prawdę: spodziewamy się razem dziecka. Nie nasza wina, że instruktorka miała kosmate myśli.

– Pobudziliście nieco jej wyobraźnię.

– Całe to gadanie o mamusiach i tatusiach jest chore – zauważyła Romily. – Cięża nie oznacza zmiany tożsamości. A to, że ktoś w niej nie jest, wcale nie oznacza, że przestał istnieć.

– Dzięki – powiedziała cicho Claire.

– To prawda. – Romily wzięła swój kawałek ciasta i od razu zaczęła jeść.

– Przepraszam, że was tam zaciągnęłam. To była katastrofa. Śmiałeś się za każdym

razem, gdy instruktorka mówiła o pozycji psa z głową w dół – odezwała się Claire do Bena.

– Wyobraźnia płatała mi figle.

– Wydaje mi się, że joga jednak złagodziła moje nudności – zauważyła Romily. –

Zgłodniałam, a to dobrze. Czy mogę prosić o dokładkę?

– Wyglądasz lepiej – powiedziała Claire, krojąc ciasto.

– Ubiegłej nocy wreszcie się wyspałam. A w pracy zaczęłam liczyć, ile razy Hal spojrzy na mój brzuch, zanim zbierze się na odwagę, by zapytać mnie, czy jestem w ciąży.

– Jeszcze im nie powiedziałaś? – zdziwił się Ben.

– To nie ich sprawa. Poza tym lubię im mieszać w głowach.

– Ale będziesz chciała skorzystać z urlopu macierzyńskiego.

– Nic takiego mi nie przysługuje. Koniec mojego projektu zbiega się z terminem porodu. Zresztą i tak oddam wam dziecko, gdy tylko się urodzi. Po kilku dniach będę mogła wrócić do robali. – Ugryzła duży kęs ciasta i zwróciła się do Claire: – A ty złożyłaś już wniosek o urlop macierzyński?

– Zająłam się tym jeszcze przed wakacjami: sześć miesięcy, licząc od Bożego Narodzenia. Ale nie sądzę, żebym chciała wrócić. Zawsze planowaliśmy, że po urodzeniu dziecka rzucę pracę.

– Nie rób tego – powiedziała Romily. – Możliwe, że będziesz chciała mieć coś swojego. Dowód na to, że masz olej w głowie i jesteś kimś więcej niż tylko maszyną do zmieniania pieluszek.

– O niczym innym nie marzę.

– Może z tobą będzie inaczej. Ja, prawdę mówiąc, marzyłam o powrocie do pracy. Ale ty i ja bardzo się od siebie różnimy.

– To prawda – odparła Claire, ale tamtego dnia nie wydawało jej się to wielkim problemem. Może Ben miał rację: wystarczyło spędzić trochę czasu z Romily. – A tak przy okazji, jak się udało spotkanie z ojcem Posie?

– Ojcem Posie?! – powtórzył Ben.

Romily zastygła w bezruchu, z kęsem ciasta w dłoni.

– Ekhm...

– Skontaktował się z wami? Wie, że ma córkę?

– On... zjawiał się kilka tygodni temu.

– To dlatego nie odbierałaś telefonów?

– Tak. Nie miałam ochoty o tym rozmawiać.

– Ale zwierzyłaś się Claire?

– Udzieliła mi całkiem dobrej rady.

– Dawałaś Romily rady? I nic mi nie powiedziałaś?

– Pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli sama ci o tym powie – odparła Claire. Poza tym była za bardzo skoncentrowana na swoim związku z Benem, ich nienarodzonym dziecku i własnych uczuciach. Liczeniu kartek z gratulacjami i zastanawianiu się, czy nie powinno ich przyjść więcej.

– I co jej poradziłaś? – zapytał Ben. – Żeby spuściła go na drzewo?

– Powiedziałam... że dziecko powinno czuć się chciane.

– Jarvis nie chciał Posie. Kazałaś mu spadać, prawda?

– Nie.

– Co?! Przez prawie osiem lat nie interesował się własnym dzieckiem. Ten facet najwyraźniej nie ma za grosz poczucia odpowiedzialności.

– Nie wiedział, że ma dziecko – wtrąciła Romily.

– Nie zasługiwał na nie. Powiedziałas mu, że jesteś w ciąży, a on natychmiast wyjechał na drugi koniec świata.

– Prawdę mówiąc, ustaliliśmy przedtem, że poddam się aborcji.

– Nie został nawet, żeby upewnić się, że nic ci nie jest. Zostawił to mnie. A w ogóle jak się dowiedział, że ma córkę?

– Powiedziałam mu.

– Ty?!

– Ben... – Claire położyła dłoń na ramieniu Bena.

– Zadzwońska do niego? Tak nagle, po tylu latach?

– Nie, zjawił się u mnie w pracy. Szczerze powiedziawszy, nie jestem pewna, dlaczego to zrobiłam. Tak bardzo przypominał Posie, że... – Romily wzruszyła ramionami. – Po prostu musiałam.

Ben wstał od stołu.

– Nie mogę uwierzyć, że chcesz, by ten łajdak był obecny w życiu Posie.

– Nie tyle chcę, co jestem mu to winna. Myślę, że Posie ma prawo poznać własnego ojca.

– Nie stworzycie we trójkę wielkiej szczęśliwej rodziny, Romily. Ten człowiek może wszystko popsuć. Nic o nim nie wiesz, nie miałaś z nim kontaktu od kilku lat. Czy ma stałą pracę? Dom w Wielkiej Brytanii? Dzieci z innych związków?

– Nie mam pojęcia. Na razie Jarvis jest na mnie wściekły. Nie mieliśmy jeszcze okazji porozmawiać.

Ben przeczesał palcami włosy.

– W porządku. Oto co musimy zrobić: skontaktujesz się z prawnikiem i ustalisz zasady jego kontaktów z Posie. Trzeba chronić ciebie i ją.

– Nie – odparła Romily. Claire była pod wrażeniem jej spokoju, znacznie wyraźniejszego niż podczas medytacji. – Nie chcę tego formalizować. Myślę, że Posie powinna poznać swojego ojca, choćby mieli się spotykać przez krótki czas.

– Posie nie potrzebuje Jarvisa. Ma mnie.

– Ale ty nie jesteś jej prawdziwym ojcem – wtrąciła Claire. – A wkrótce będziemy mieli własne dziecko. To wszystko zmieni.

Ben popatrzył na nią.

– Po czyjej jesteś stronie?

– Nie wiedziałam, że są jakieś „strony”. To oczywiste, że dzieci potrzebują miłości.

– Upraszczaś.

– Ale to jest proste – odezwała się Romily. – Tak sądzę.

– Idę wziąć prysznic. – Ben wyszedł z pokoju, a Romily i Claire wymieniły spojrzenia.

– Przepraszam, że się wygadałam – odezwała się Claire.

Romily wyglądała dość blado.

– To chyba pierwszy raz, kiedy pokłóciliśmy się z Benem. – Wzięła głęboki oddech i Claire zauważyła, że Romily jest naprawdę roztrzęsiona. Jej spokój musiał być udawany. – Spodziewałam się takiej reakcji i dlatego nic mu nie powiedziałam.

– Czy gdybyś w zeszłym tygodniu spotkała się z Benem zamiast ze mną, podjęłabyś inną decyzję?

Romily zmarszczyła brwi.

– Nie mam pojęcia. Zresztą co się stało, to się nie odstanie.

– Jak Posie to przyjęła?

– Jeszcze nic nie wie. Pomyślałam... Uznałam, że powinni się najpierw poznać. – Wstała z miejsca. – Robi się późno.

– Jeśli cię to podniesie na duchu, uważam, że podjęłaś słuszną decyzję. Ben nie potrafi się długo gniewać.  
Romily zagryzła wargę, ale nic nie powiedziała.

## RODZINA

– Dlaczego znów jedziemy do tego parku? – zapytała Posie z tylnego siedzenia samochodu.

– Jesteśmy z kimś umówione.

– Z kim? Z Benem?

– Nie, z Jarvisem. – Romily zerknęła w lusterko.

– Aha. Niech będzie.

– Lubisz Jarvisa?

Posie przez chwilę się zastanawiała.

– Jest w porządku. Był w Gwatemali – ostatnie słowo wypowiedziała z wielkim namaszczeniem. – Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Naprawdę tam pojechał. I kupił mi lody.

– Czy to znaczy, że polubiłabyś każdego, kto kupiłby ci lody?

– Nie wiem. Nie, raczej nie. Na pewno nie polubiłabym Dennisa Farmera.

– Kim jest Dennis Farmer?

– Kolegą ze szkoły. Dłubie w nosie.

– Posie, każdy czasem dłubie w nosie. Powinnaś dać mu szansę.

– Ale nie każdy wyciera później palec w twój zeszyt do matematyki, kiedy akurat nie patrzysz.

Romily musiała jej przyznać rację.

– A więc lubisz Jarvisa niezależnie od tego, że kupił ci lody.

– Fotografuje dziką naturę, a to bardzo fajny zawód. Może zajęłabym się czymś podobnym? Jeździłabym po całym świecie.

– Na pewno.

Posie zamilkła, a kiedy Romily ponownie na nią spojrzała, zobaczyła, że jej córka nad czymś się zastanawia. Romily stłumiła w sobie chęć dodania czegoś jeszcze, podobnie jak dziś rano musiała zwalczyć w sobie pragnienie, żeby zostać w domu, zamiast jechać do parku. Spodziewała się telefonu od Bena, z przeprosinami lub kolejnymi połajankami, ale się nie odezwał. Z kolei Claire przysłała SMS-a: *Powodzenia!*

Nie spodobała jej się kłótnia z Benem. W jej trakcie czuła się dziwnie opanowana, chociaż mówiła rzeczy, których nie była do końca pewna. Jednak później to do niej dotarło: Ben nigdy wcześniej nie potępiał jej decyzji. Zawsze im się wydawało, że w większości spraw mają podobne zdanie.

– Wiem, co się dzieje – odezwała się z tylnego siedzenia Posie. Romily otrząsnęła się z rozmyślań.

– Czy to kolejna z twoich teorii? – zapytała.

– Spotykamy się z Jarvisem po raz kolejny i chcesz wiedzieć, co o nim myślę, bo to twój nowy chłopak.

Romily głośno się roześmiała.

– Och! Ojej... Nie, Pose, to nie tak.

– Nie miałabym nic przeciwko.

– To nie jest mój chłopak.

– W takim razie dlaczego nie masz chłopaka?



– Bo mam na głowie ważniejsze sprawy, na przykład ciebie. Jesteśmy na miejscu. Romily zaparkowała samochód z mieszaniną strachu i ulgi. Dzień był słoneczny, a park zatłoczony. Na ławce zamajaczyła jej znajoma już postać.

Posie rzuciła się biegiem. Romily usiłowała jej dotrzymać kroku, lecz zauważyła, nie po raz pierwszy w ciągu ostatniego tygodnia, że zaczyna chodzić jak ciężarna kobieta. Jarvis patrzył, jak się do niego zbliżają.

– Hej – powiedział, wstając z ławki i nie wyjmując rąk z kieszeni.

– Cześć – odparła Posie. – Dłubiesz w nosie?

– Posie!

– Odmawiam odpowiedzi na to pytanie – powiedział Jarvis z charakterystycznym uśmiechem. Kąciki jego ust pozostały opuszczone.

– Romily twierdzi, że wszyscy to robią.

– Przychylam się do tej eksperckiej opinii.

– Ja tego nie robię. – Posie usadowiła się na środku ławki. Jarvis usiadł obok niej, zostawiając Romily wolne miejsce po przeciwnej stronie.

– Nie wierz jej ani przez chwilę – zwróciła się do niego Romily. Ponownie uderzyło ją podobieństwo między ojcem i córką: ten sam kolor oczu i gęste czupryny. Piegi na nosie. Zdenerwowanie wezbrało w niej jak mdłości, więc rozpięła torebkę, żeby poszukać miętówki, chociaż przez ostatnich kilka dni nie wymiotowała. Zawdzięczała to jodze lub po prostu skończyły jej się nudności.

– Pokuśtasz mnie za chwileczkę? – zapytała Jarvisa Posie.

– Jeśli chcesz.

– Tak. Romily nie chce mi powiedzieć, dlaczego znowu spotykamy się w parku.

Romily darowała sobie szukanie miętówek. Spojrzenia jej i Jarvisa skrzyżowały się nad głową ich córki. Z twarzy Jarvisa zniknął na wpół ironiczny uśmiech. Prawdę mówiąc wyglądał teraz na przerażonego.

– No cóż... – wyjąkał. – A ty chcesz się dowiedzieć.

– Nie masz samochodu, żeby odwiedzić nas w domu? Przystanek autobusowy jest tuż obok.

– Wydaje mi się... że twoja mama woli się spotykać w parku, bo to neutralne miejsce. Wiesz co to znaczy?

– Tak. Mam najlepsze słownictwo w całej klasie.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Jarvis głęboko zaczerpnął powietrza.

Romily nie spodziewała się po nim strachu. *I dobrze* – pomyślała. – *Powinieneś się bać. To jest przerażające.*

– Posie, chodzi o to, że... – ponownie wlepił spojrzenie w Romily.

– Chcemy ci coś powiedzieć – odezwała się ona.

– Co takiego?

*Ty to zrobisz czy ja?* – dało się wyczytać z twarzy Jarvisa. *A jak będzie lepiej?* – Romily wzruszyła ramionami. Gdyby tylko znała odpowiedź!

– Co się stało? – Posie zadała to pytanie Jarvisowi, rozstrzygając sprawę.

– Chodzi o to, że jestem twoim ojcem. – Jarvis przełknął ślinę, ponownie głęboko zaczerpnął powietrza i wyprostował się. – Twoim ojcem.

Posie zmarszczyła z namysłem czoło.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdziła Romily. – To twój tata.

Posie patrzyła to na nią, to na Jarvisa.

– Byliście kiedyś małżeństwem?  
– Nie, nigdy nie wzięliśmy ślubu – odparła Romily.  
– Ale uprawialiście seks?  
– Ekhm... – chrząknął Jarvis.  
– Tak, uprawialiśmy – przyznała Romily.  
– To gdzie byłeś, odkąd się urodziłam? – zapytała Posie ojca. – W Gwatemali?  
– Przez pewien czas. Widzisz, nie miałem pojęcia o twoim istnieniu.  
– Ale uprawiałeś seks z Romily. Wiedziałaś, że urodzi się dziecko.  
Na policzki Jarvisa wypełził rumieniec. Romily przysłała mu na ratunek.  
– Nie za każdym razem, kiedy ludzie uprawiają seks, rodzi się dziecko, Posie. Czasami robią to dla zabawy.  
– Okej. To dziwne. – Posie ponownie zwróciła się do Jarvisa: – A więc mnie spłodziliście, nic o tym nie wiedząc. Myślałeś, że zrobiliście to dla zabawy i wyjechałeś do Gwatemali.  
– Coś w tym stylu – odparł Jarvis. – Gdybym o tobie wiedział, pewnie wróciłbym znacznie szybciej.  
– Ale skoro już wiesz, zostaniesz w Anglii.  
– Ja...  
– Jarvis chce cię lepiej poznać, Posie – wyjaśniła Romily, zanim Jarvis zdążył zobowiązać się do czegoś, czego wcale nie planował. – To dlatego się spotkaliśmy, a Jarvis powiedział, że jest twoim ojcem.  
– Pomyślałem, że moglibyśmy spędzić razem trochę czasu – wtrącił Jarvis. – Bardzo bym tego chciał.  
– Myślę, że to dobry pomysł – powiedziała Posie. – Jak mam się do ciebie zwracać? Tato?  
– Skoro mówisz do swojej mamy po imieniu, to może do mnie też?  
– W porządku. – Posie zeskoczyła z ławki. – Puhuśtaj mnie, Jarvis.  
– Zaraz przyjdę.  
Kiedy tylko Posie zajęła się zabawą, Jarvis rozparł się na ławce i wytarł pot z czoła.  
– Nieźle ci poszło – zauważyła Romily.  
– Jeszcze nigdy nie czułem się taki skrępowany.  
– Posie uwielbia zadawać krępujące pytania.  
– Ona... zdaje się sporo wiedzieć na temat seksu, jak na siedmiolatkę.  
– Jest ciekawa. Jej mama jest biologiem. – Romily znowu zaczęła szukać miętówek, a gdy już je znalazła, poczęstowała Jarvisa. – Zastanawiałeś się wcześniej, jak powinna się do ciebie zwracać, prawda?  
– Tak. A dlaczego mówi do ciebie po imieniu?  
– Określenie „mama” jakoś do mnie nie pasuje. A ty... masz więcej dzieci?  
– Nie. Mam bratanków i siostrzeńców, ale ojcostwo jest dla mnie czymś zupełnie nowym. – Posie udało się zająć huśtawkę i teraz machała do ojca. – Myślisz, że Posie tak po prostu mnie zaakceptuje? – zapytał.  
– To może przyjść z czasem, w najmniej oczekiwanym momencie – odparła Romily. – Ostatnio miała o czym myśleć.  
Jarvis spojrzał na jej brzuch. Jego twarz się ściągnęła. Wstał z ławki i dołączył do Posie. Po kilku minutach Romily usłyszała radosne piski córki.  
Położyła dłonie na brzuchu. Rozwijające się w jej łonie maleństwo nie będzie miało podobnych problemów. Od samego początku będzie wiadomo, kim są jego rodzice. Posie może się przesadnie podekscytować i uznać je za swojego przyrodniego brata lub siostrę, ale to nic

złego. Im więcej kochających je osób, tym lepiej dla dziecka.

Ojciec Romily, William, zmarł dziesięć lat wcześniej na atak serca. Był księgowym. Romily żałowała, że Posie nie miała szansy go poznać. Pamiętała długie godziny wędkowania, słuchania transmisji meczów krykieta w radiu, badania fauny i flory nad brzegiem rzeki. Jako biolog-amator, jej ojciec zapisywał w niewielkim, oprawionym w ceratę notesie naukowe nazwy wszystkich napotkanych gatunków ryb oraz wymiary tych, które udało im się złowić i które później wypuszczali z powrotem do wody. Romily nadal gdzieś miała ten notes. Pewnego roku złapali tego samego pstrąga aż siedem razy.

Romily odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy, pozwalając promieniom słońca ogrzewać swoją twarz, nie zwracając uwagi na krzyki dzieci. Dostrzegła w Posie cechy swojego ojca: umiejętność koncentracji i abstrakcyjnego myślenia, czasami szybki ruch głową, zdolności matematyczne. Matka zmarła, kiedy Romily była małym dzieckiem. Zostały jej po niej miłe wspomnienia i zdjęcia, a także spiczasty podbródek, który odziedziczyła również Posie.

Jarvis też zauważał podobieństwa. Powiedział, że Posie przypomina jego siostrę, Sally, kiedy była młodsza. Dziwne, że jej córka była podobna do kogoś, kogo Romily nie знаła. Że ta mała dziewczynka, której ciało znała na wylot, którą urodziła, kąpała i pielęgnowała, nadal miała przed nią sekrety.

Może dziecko, które w sobie nosiła, będzie podobne do Bena, a może do utraconej przez Romily rodziny.

Małeństwo poruszyło się, przeciągnęło w jej brzuchu.

– Zrób to jeszcze raz – szepnęła.

Przez minutę czy dwie nic się nie działo. Słońce świeciło, dzieci się śmiały, a Posie wznosiła się i opadała na huśtawce. Romily nie zwracała na to wszystko uwagi. Naciągnęła materiał na brzuchu i skoncentrowała się na małej istocie w środku, która w połowie była nią, a w połowie Benem.

Dziecko fiknęło koziołka. Przez ułamek sekundy Romily dostrzegła ruch blisko swojej dłoni.

Poczuła rozpierającą ją radość i głośno się roześmiała.

Cztery dni później Romily ciągnęła marudzącą Posie przez supermarket.

Nie mogła znaleźć tofu. Zdarzało jej się to regularnie, ponieważ pracownicy sklepu wiecznie zmieniali klasyfikację tego towaru, przenosząc tofu z działu dań gotowych do sałatek, produktów bezmięśnych, egzotycznych czy nawet makaronów. Romily ukuła teorię, że za każdym razem, gdy sfrustrowany wegetarianin przerzuca się na bekon, supermarket otrzymywał premię od producentów mięsa.

– Chcę się przejechać wózkiem – oznajmiła po raz osiemnasty Posie.

– Jesteś już na to za duża, a poza tym w wózku jest pełno jedzenia. Poszukajmy w dziale mrożonek.

– Tam jest za zimno. – Posie potarła swoje nagie ramiona. Była ubrana w letnią sukienkę.

– To tylko parę minut. Uspokój się, Posie. – Z przeciwnej części sklepu doleciał ją zapach kurczaków z rożna. Oczywiście tutaj również nie było tofu. – Może po prostu kupimy więcej jajek. Masz ochotę na jajka?

Usiłowała sobie przypomnieć, co miały w lodówce. Na pewno tonę organicznych buraków i kalarepy, z którymi nadal nie miała pojęcia, co robi. Oczywiście, był to prezent od Claire.

– Po smażeniu jajek w domu dziwnie pachnie. Wolę makaron. Kupisz mi galaretkę?

– Jeśli znajdziemy właściwy rodzaj. A makaron jadłyśmy już trzy razy w tym tygodniu.

Romily włożyła do wózka jogurty, chociaż miała niejasne przeczucie, że nie zdążyły jeszcze zjeść tych, które kupiły ostatnio i które przebiegle schowały się za kalarepą. Czy powinna kupić margarynę? A papier toaletowy?

Kiedy właściwie jej życie sprowadziło się do tych palących pytań?

– Myślę, że powinniśmy wszyscy zamieszkać w Sonning – oznajmiła Posie.

– Co takiego? – zapytała Romily, sięgając po mleko.

– U Bena i Claire. Ich dom jest wystarczająco duży. Jarvis nie ma domu w Anglii, więc mógłby zamieszkać u nich. Zająłby sypialnię dla gości, ty tę drugą, a ja dzieliłabym pokój z maleństwem. Nie przeszkadzałby mi płacz, potrafiłabym je utulić.

Romily wsadziła mleko do wózka, a później ukucnęła przed Posie, która nadal rozcierała gęsią skórę.

– To niemożliwe, Posie. Wiem, że bardzo byś tego chciała, ale dziecko w moim brzuszku będzie należało do Claire i Bena, nie do nas. A oni nie znają Jarvisa na tyle dobrze, żeby z nimi zamieszkał. – Nie wspominając już o tym, że gdyby Ben spotkał Jarvisa, pewnie stłukłby go na kwaśne jabłko. – Poza tym mamy przecież własne mieszkanie.

– Ale nie tak duże, żeby Jarvis mógł w nim zamieszkać, gdybyście do siebie wrócili.

– Dlaczego twoim zdaniem Jarvis i ja mielibyśmy do siebie wrócić?

– To logiczne. Musiało wam na sobie kiedyś zależeć, bo inaczej nie byłoby mnie. Seks uprawia się z ludźmi, na których nam zależy. Claire mi tak powiedziała.

– Kiedy o tym rozmawialiście?

– Och, wieki temu. – Posie machnęła ręką. – Wiem, że się długo nie widzieliście, ale skoro już wrócił, pewnie znowu się w nim zakochasz.

– Posie – upomniała ją Romily.

– I będziemy rodziną.

Romily schowała głowę w dłoniach. Usiłowała sobie to wszystko poukładać, wymyślić jak najlepszą odpowiedź, która rozwiałaby marzenia jej córki, nie krzywdząc jej samej. Znajdowały się jednak w supermarkecie i jakaś część jej mózgu nadal zastanawiała się nad papierem toaletowym.

– To nie takie proste – powiedziała wreszcie.

– Właśnie że tak. – Posie uśmiechnęła się do niej łagodnie, po czym wskazała nad ramieniem Romily. – Jest i tofu.

## B-DUR

Letnie dni ciągnęły się niemilosiernie.

Claire upiekła pomarańczowy biszkopt na lokalny kiermasz i przy okazji kilka ciast cytrynowych, które zamroziła. Jedno zostawiła na spotkanie grupy wsparcia dla osób mających problemy z płodnością. Nie chodziła na spotkania już od kilku miesięcy – odkąd poroniła i postanowiła zrezygnować z terapii – pomyślała jednak, że w czwartek mogłaby tam zajrzeć. Była już gotowa stanąć z grupą oko w oko zamiast pisać maile i wiedziała, że wszyscy będą się cieszyć jej szczęściem. A przynajmniej udawać, że się cieszą. Ci, którym udało się ze sztucznym zapłodnieniem pewnie będą jej współczuć, a ci, którzy nadal próbują, będą dziękować Bogu, że w staraniach o dziecko nie posunęli się jeszcze tak daleko.

Po chwili zastanowienia Claire schowała dodatkowe ciasto do zamrażalnika.

Poćwiczyła jogę, uprała zasłony w sypialni dla gości i rozwiesiła je na sznurze, żeby wyschły na słońcu. Napisała list i przygotowała sałatkę na lunch. Wypławiła ogród i rozpyliła wodę z mydłem na róże, na których pojawiło się kilka mszyc. Przyglądała się małym zielonym insektom i usiłowała dojrzeć wytwarzaną przez nie spadź, o której opowiadała Romily, ale nic nie zauważyła. Nie zamierzała ich próbować, żeby to sprawdzić. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Bena, lecz przecież rozmawiali rano, poza tym Ben był zajęty. Helen i Andrew wyjechali na rodzinne wakacje. Zadzwoniła do matki, ale nie zastała jej w domu. Sięgnęła po powieść, którą mieli omawiać na najbliższym spotkaniu klubu książki, do którego należała: skomplikowaną opowieść o losach kilku pokoleń. Od wielu miesięcy nie uczestniczyła w spotkaniach klubu. Po kilku kieliszkach wina panie zaczynały rozmawiać głównie o swoich dzieciach. Claire odłożyła książkę i wybrała się na spacer swoją ulubioną trasą, która prowadziła przez pola na południe od ich miasteczka, aż nad Tamizę. Obserwowała sprzecajające się ze sobą kaczki i wyniosłe łabędzie.

Kiedy wróciła do domu, był dopiero kwadrans po czternastej.

Potrząsnęła rękami, żeby je rozluźnić, rozprostowała palce i usiadła do pianina. Na pulpicie leżała partytura fugi Bacha, której melodia i kontrapunkt przeplatały się z matematyczną perfekcją, a ona nie ćwiczyła dostatecznie często. Tłumaczyła to brakiem czasu, choć akurat na brak czasu nie mogła narzekać.

Dawniej spędzała przy pianinie długie godziny. Inne dzieci trzeba było zmuszać do ćwiczeń, tymczasem rodzice Claire musieli ją siłą wypędzać na dwór, żeby się pobawiła i zaczerpnęła świeżego powietrza, lecz nawet wtedy nie przestawała myśleć o muzyce. W jej rytm skakała na skakance i biegała.

Teraz gra szła jej jak po grudzie. Palce nie były odpowiednio lekkie ani wyćwiczone. Claire zamknęła oczy i starała się, żeby muzyka sama prowadziła jej dłonie. Fuga g-moll, BMV 861. Opowiadała uczniom, że utwór pierwotnie przeznaczony był na klawesyn, lecz wykonywany na współczesnym fortepianie nabierał urzekającego piękna i subtelnego ciepła. Jednak tego dnia jej palce nie radziły sobie z grą. Claire walczyła o techniczną doskonałość, splatając ze sobą nuty i zakończyła utwór z zamkniętymi oczami, dźwiękiem B-dur. Niepewność prowadząca do rozwiązania, smutek do szczęścia.

Jej palce same zaczęły grać z pamięci inny utwór. Lekki, melodyjny, również w tonacji g-moll. Przez chwilę Claire usiłowała sobie przypomnieć, skąd go zna – był nowoczesny, może usłyszała go w radiu – aż wreszcie jej się udało. Była to melodia Maxa, którą nazwał tematem matki.

Biedny Max. Zastanawiała się, jak mu mijały letnie wakacje i zagrała utwór jeszcze raz. Podniosła się gwałtownie i zatrzasnęła wieko fortepianu, po czym ruszyła schodami na górę.

Kiedy się tu wprowadzili – do domu na wsi, dostatecznie blisko miasta, żeby Ben mógł codziennie dojeżdżać do pracy – nazwali niewielki, nasłoneczniony, wychodzący na południe pokój na tyłach domu „pokoikiem dziecięcym” i byli pewni, że wkrótce znajdzie on swojego lokatora. Już go tak nie nazywali. Pozostałe pokoje pełniły funkcje sypialni dla nich, Posie i gości. Pokój z pojedynczym łóżkiem przykrytym białą narzutą w stokrotki, ścianami pokrytymi kwiecistą tapetą, której nie zmienili, i dywanikiem na podłodze, służył rodzeństwu Claire podczas wizyt. To tutaj spały dzieci jej siostry i syn jej brata. Nikt nigdy nie wymieniał prawdziwej nazwy tego pokoju.

Claire weszła do środka. W pokoju unosił się lekki zapach zgnilizny, jak to w pomieszczeniach w starych domach, które nie były zamieszkane i dostatecznie często wietrzone. Otworzyła okno i spojrzała na ogród, na gruszę, która wciąż czekała na zawieszenie huśtawki.

Rozległ się śpiew ptaków. Nawet zimą wpadające przez okno światło tworzyło na ścianie wzory. Ben i Claire mogliby usłyszeć z sąsiedniej sypialni nawet najłżejsze westchnięcie i najcichszy płacz.

– Żółty – powiedziała Claire.

Taki kolor miało słoneczne światło, kolor radości. Zamierzali wstawić do pokoju kołyskę z jasnego drewna i zamontować nad nią karuzelę. Przy ścianie stało samotne drewniane krzesło. Claire wspięła się na nie, wyciągnęła rękę i chwyciła róg starej kwiecistej tapety, która zaczęła odchodzić od ściany. Oderwała z satysfakcją potężny jej kawałek i upuściła go na podłogę. Na komodzie postawi odtwarzacz płyt kompaktowych, które będzie puszczała dziecku. Ich maleństwo zasługiwało na słońce i muzykę, przez całe swoje życie.

Claire odrywała kolejne kawałki tapety.

## PRZYSPIESZENIE

Posie leżała już w łóżku, a Romily przeskakiwała z kanału na kanał, nie mogąc się zdecydować na żaden program, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Od razu poznała, że to Ben, lecz zanim mu otworzyła, zawiązała pasek narzuconego na piżamę szlafroka.

Miał na sobie wciąż sztywną koszulę i lekko poluzowany krawat. Od ich kłótni upłynęło aż dziesięć dni i lipiec zamienił się w sierpień. Na widok Bena Romily załała falą niewyobrażalnej ulgi, od której ugięły się pod nią kolana.

– Cześć, nieznajomy – powiedziała, żeby to ukryć.

– Przyjechałem prosto z pracy. Wpuścisz mnie do środka, czy nie masz ochoty gadać z takim dupkiem?

Romily cofnęła się i wpuściła go do mieszkania. Ben jak zawsze wypełnił sobą niewielki przedpokój, razem z delikatnym zapachem wody po goleniu i letniego powietrza.

– Przepraszam – powiedział. – Posie jest twoją córką i nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

– To prawda. – Wskazała na lodówkę. – Mam chyba butelkę piwa. Napijesz się?

– A ty masz na coś ochotę?

– Na sok jabłkowy.

Ben otworzył butelkę, nalał jej soku – w jego dłoniach wszystko wydawało się mniejsze – i usiadł na kanapie obok Romily.

– Co oglądasz?

– Wszędzie puszczaają reality shows.

– Za minutę rozpocznie się *Dziennik sportowy*.

Romily ustawiła odpowiedni kanał. Ben usadowił się obok niej, wyciągając przed siebie długie nogi, jakby zamierzał u niej zostać przez dłuższy czas.

– Claire nie czeka na ciebie w domu?

Musiała o to zapytać.

– Wie, że pracuję do późna, poza tym sama jest dość zajęta. Właśnie zaczęła urządzać pokój dziecięcy.

– Przesłała mi MMS-a.

Ben chytrze się do niej uśmiechnął.

– Bardzo się ostatnio zbliżyłyście, co? Spiskujecie przeciwko biednemu facetowi.

– Nie spiskowałyśmy, poza tym wiesz, że nie miałaś racji.

– Nie kłóćmy się – poprosił. – Jestem zmęczony po całym dniu pracy. Przy tobie się relaksuję, Romily. Nie muszę się zastanawiać nad każdym słowem. Zawsze to w tobie lubiłem. Nie jesteś skomplikowana.

– To prawda.

Nie było nic skomplikowanego w tym, że chłonęła go jak kobieta cudem ocalona od utonięcia. Wiedziała, jak niewielka odległość dzieli jego dłoń i jej udo na poduszce kanapy. Za każdym razem, gdy unosił do ust butelkę piwa, przypominała sobie moment, kiedy ich wargi się zetknęły.

Nagle poczuła kopnięcie.

– Och – powiedziała.

– Co się stało?

– Dziecko się poruszyło.

Twarz Bena zajaśniała szczęściem.

– Naprawdę? A co robi?

– Próbuje się obrócić. Od kilku dni często mu się to zdarza, szczególnie gdy siedzę bez ruchu.

– Teraz też? Mogę dotknąć?

Zapadła cisza, ale może zbyt krótka, żeby Ben ją zauważył.

– Oczywiście, przecież jesteś ojcem.

Romily rozwiązała pasek szlafroka, rozchyliła go i ułożyła się na kanapie, eksponując brzuch. Miała na sobie zwyczajną piżamę: bluzkę i luźne bawełniane spodnie. Materiał mocno opinał się na jej piersiach i brzuchu. Koszulka podwinęła się do góry i kiedy Ben położył rękę na brzuchu Romily, dotknął jej nagiej skóry.

Była ciepła, cieplejsza niż sierpniowa noc. Romily musiała zamknąć na chwilę oczy, jego dotyk był tak intymny i obezwładniający, lecz niemal natychmiast je otworzyła, uświadamiając sobie własną pomyłkę. Ben nie patrzył na jej twarz. Niczego nie zauważył.

– Nic nie czuję.

Dobry Boże, oczywiście że nie czuł. Położył dłoń na brzuchu swojej przyjaciółki, bo chciał poczuć ruchy swojego dziecka. Nie miał pojęcia, że dotyka najgłębszego pragnienia Romily.

– To może... chwilę potrwać, zanim znowu się poruszy.

– Może spróbuję się do niego odezwać? Dzieci podobno słyszą, gdy się do nich mówi.

– Nie wiem.

Ben pochylił się tak, że jego twarz znalazła się kilka centymetrów od brzucha Romily. Nie odsunął ręki.

– Cześć, maleństwo – powiedział. – Mówi twój tatuś.

Na dźwięk tych słów skórę Romily przeszły ciepłe dreszcze. Miała w tym miejscu rozstępy po poprzedniej ciąży, srebrzysto-białe, gotowe by ponownie rozkwitnąć. Nie wiedziała, co było gorsze: obserwować usta Bena tak blisko swojej skóry, czy zamknąć oczy i tylko czuć. Żałowała, że nie obciągnęła bluzki. Żałowała, że nie może się znaleźć milion kilometrów dalej, gdzieś na drzewie, w dżungli – w jakimś odległym miejscu, w którym nie musiałaby czuć tego, o czym marzyła najbardziej na świecie.

Na początku śniła o tym. Ben dotykał jej, choćby przypadkiem, i oboje rzucali się na siebie, nie dbając o nic, spragnieni swoich ciał. Te sny – nocą i na jawie – były tak rzeczywiste, że Romily starała się trzymać od Bena na bezpieczną odległość. Kilkanaście centymetrów przerwy. Żadnych uścisków ręki, pocałunków w policzek, przytuleń, kiedy drużyna, której kibicowali, zdobyła gola.

Przez lata sny straciły na intensywności. Romily przestała tak restrykcyjnie unikać przypadkowych kontaktów. Czuała się bezpieczna, chroniona tym, że Ben nie miał pojęcia, czego tak naprawdę pragnęła.

Nigdy jednak nie dotykali się w taki sposób: sami, w jej mieszkaniu, kiedy Posie spała.

– Nie mogę się już doczekać, żeby cię poznać – odezwał się Ben do dziecka w ciele Romily. – Chciałbym cię wreszcie przytulić i ucałować. – Popatrzył na twarz Romily, która z trudem odwzajemniła uśmiech. – fgZabawnie jest wiedzieć, że to już mały człowieczek, którego nie poznamy, dopóki się nie urodzi.

– Zabawnie – przyznała Romily. Miała wysuszone gardło, ale nie potrafiła się zmusić, żeby sięgnąć po szklankę. Zastanawiała się, czy Ben słyszy, jak dudni jej serce.

– Teraz! – Ben podniósł głowę, w jego oczach malowało się zaskoczenie i podziw. – Dziecko się poruszyło!



Romily nic nie czuła.  
– Widocznie mówienie pomogło.  
– Albo to, albo bardzo interesuje je *Dziennik sportowy*. Moja krew! – zwrócił się do brzucha.  
Tym razem dziecko kopnęło mocniej. Ben roześmiał się.  
– Niesamowite! – powiedział. – Będzie jeszcze kopało?  
– Nie wiem.  
Ben wyprostował się.  
– W takim razie nie zabiorę ręki. Nie chcę przegapić ani jednego ruchu.  
Usadowił się na kanapie obok Romily, tak, że jego ramię spoczywało wzdłuż jej ramienia, a dłoń dotykała brzucha.  
– W porządku?  
Tak. Nie.  
– To twoje dziecko.  
Zastanawiała się, czy powinna obciągnąć bluzkę, lecz wtedy zwróciłaby uwagę Bena na to, że wcześniej była podciągnięta i że dotykał jej nagiej skóry.  
– Chociaż trochę mi zimno.  
Ben przykrył połą szlafroka brzuch Romily i swoją dłoń, co było jeszcze gorsze, bo teraz miała wrażenie, że dotyka jej potajemnie. Przełknęła ślinę.  
– Chyba nie będziesz wymiotować, co?  
Jeśli powie tak, Ben zabierze rękę. Powinna to zrobić i położyć kres tej torturze.  
– Nie, nie wydaje mi się. Poranne mdłości mam już chyba za sobą.  
– To dobrze. Obejrzę z tobą dziennik i sobie pójdę. Dziecko znowu się poruszyło!  
–Roześmiał się i uniósł szklankę z piwem. – Wznieśmy toast.  
Romily sięgnęła po swoją szklankę.  
– Za kopiające dziecko!  
– Nie mogę się doczekać, by powiedzieć o tym Claire.  
Romily upiła długi, bardzo długi łyk, próbując skoncentrować uwagę na ekranie telewizora.

## AMITY

Romily wysunęła przedostatnią gablotę.

Znajdowała się w niewielkim pomieszczeniu ze skośnym sufitem, hałaśliwym wentylatorem i zapachem kulek na mole i przyglądała się szafie z drzewa różanego. Nie tylko kolekcja Amity się kończyła – grant Romily także. Po Nowym Roku będzie musiała poszukać nowej pracy. Możliwe, że będzie to oznaczało codzienne dojazdy do Londynu i łączenie ich z odwożeniem Posie do szkoły. A jeśli będą musiały się przeprowadzić?

Co jakiś czas Romily widziała siebie w roli odkrywcy – roli, o której marzyła Posie. Wyobrażała sobie, jak przemierza dżungle, odkrywając gatunki owadów, których nikt wcześniej nie widział. Amity miała takie samo marzenie i przez kilka lat Romily realizowała je pośrednio dzięki niej.

Kiedy skończy katalogować jej kolekcję, będzie musiała się z nią pożegnać i wrócić do prawdziwego życia. Możliwe, że na rynku nie było ofert dla samotnych matek, które mają doktorat w dziedzinie inwazyjnych biedronek i które godzą pracę z opieką nad dzieckiem. Być może jej przyszłość ograniczy się do parzenia latte w Starbucksie.

Z drugiej strony, może przeprowadzka do Brazylii nie byłaby złym pomysłem? Posie byłaby zachwycona, a odseparowanie się od Bena z pewnością wyszłoby Romily na dobre.

Romily westchnęła. Opóźnianie pracy nad gablotą numer siedemdziesiąt jeden nie rozwiąże jej problemów. Szczerze powiedziawszy, nie mogła się już doczekać, żeby do niej zajrzeć. Wysunęła gablotę. Była pełna os, z których każdą przypięto szpilką do małej etykiety z wyblakłymi, ręcznie wypisanymi przez Amity numerkami odnoszącymi się do nieistniejącego katalogu. Romily usłyszała stłumiony dźwięk dzwoniącego w pracowni telefonu, więc zniosła gablotę na dół i podniosła słuchawkę.

– Masz gościa – usłyszała głos Hala. – Zabieram ją do kuchni dla personelu.

– Kto... – zaczęła, ale jej kolega już się rozłączył. Ruszyła w kierunku kuchni, przed którą czekał Hal.

– Chyba przyniosła ciasto – powiedział i wszedł za Romily do kuchni, gdzie stała Claire z kwiecistą puszką w dłoniach.

– Cześć – powiedziała Romily, zaskoczona.

– Co jest w puszcze? – zapytał Hal, zerkając na pudełko i nie kwapiąc się do odejścia.

– Upiekłam babeczki. – Claire rozejrzała się po kuchni. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, chociaż maskowała to uśmiechem.

– Nie martw się – odezwał się Hal. – Nie pozwalamy jej tu przynosić tych okropnych martwych robaków.

– Zamknij się. Claire, to jest mój wielce pomocny i kompetentny kolega, Hal Watson, kierownik muzeum. Podejrzewam, że chce położyć swoje tłuste łapska na twoich babeczkach.

– Lubię babeczki. – Hal podszedł nieco bliżej.

– A owady? – zapytała Claire.

– Przyprawiają mnie o dreszcze. Specjalizuję się w geologii.

– Woli kamyki – odparła Romily. – Co cię do nas sprowadza, razem z babeczkami?

– Och, są wakacje i mam sporo wolnego czasu. Pomyślałam, że wam zasmakują. –

Odstawiła puszkę na stół i otworzyła ją.

Była pełna żuków. Hal odskoczył, a Romily pochyliła się nad puszką.

W środku znajdował się tuzin lukrowanych babeczek, ozdobionych żukami. Romily

podniosła jedną z babeczek, na której tkwił piękny jelonek rogacz z lukru i lukrecji. Miał wystające żuwaczki, a nawet delikatny zielony połysk na skrzydełkach.

– Wyglądają niesamowicie. Sama je upiekłaś?

– Tak. Jak już mówiłam, miałam trochę wolnego czasu. Znalazłam zdjęcia w internecie. Przykro mi, jeśli nie wyglądają tak jak powinny.

– Jak na coś jadalnego, podobieństwo do prawdziwych żuków jest wprost uderzające. – Romily przyjrzała się babeczce ze wszystkich stron. Pachniała przepysznie, cukrem i wanilią. – Wydawało mi się, że nie cierpisz owadów.

– Zrobienie ich z lukru było dla mnie nie lada wyzwaniem.

Hal sięgnął do puszki i wyjął z niej babeczkę ozdobioną trzyszczem. Zanim wsunął ją do ust, upewnił się, że to tylko dekoracja.

– Smaczne – powiedział z ustami pełnymi ciasta.

– Oczywiście, Hal – odezwała się Romily – możesz się poczęstować babeczką, którą Claire upiekła specjalnie dla mnie. Dziękuję – zwróciła się do Claire, szczerze wzruszona. – To naprawdę miłe.

– Och – Claire uśmiechnęła się, wzruszając ramionami. – Uwielbiam piec ciasta.

Romily wgrzyzała się w babeczkę. Hal miał rację, była smaczna.

– Nie poczęstujesz się?

– O nie, nie przed lunchem. Poza tym upiekłam je dla ciebie.

– Słyszałeś? – powiedziała Romily do Hala, zamknęła puszkę i odsunęła ją od kolegi, zanim zdołał jej zabrać kolejną babeczkę. – A właśnie, może zjemy razem lunch? Ja stawiam, w podziękowaniu za babeczki. W naszej kawiarence podają całkiem smaczne kanapki i domową zupę.

– Chętnie.

– Popilnuję babeczek – zaoferował się Hal. – Zamknę je w swojej szufladzie.

W przeciwnym razie tutejsze sępy je rozdrapią. – Zabrał puszkę i wyszedł.

– Ben twierdzi, że czuł ruchy dziecka – odezwała się Claire, kiedy schodziły po krętych schodach.

Romily schowała głowę w ramiona.

– No tak. Maleństwo czasem bywa ruchliwe.

– To takie ekscytujące. Ciężko jest mi to sobie wyobrazić.

– Dam ci znać, kiedy się zaczniesz, żebyś też mogła dotknąć. Niedługo nie będę mogła spać. Pamiętam, że Posie dostawała czkawkę, gdy tylko kładłam się do łóżka.

– To musi być dziwne uczucie.

Kiedy znalazły się na parterze, minęła je trójka dzieciaków w papierowych hełmach rzymskich legionistów i z kartonowymi mieczami w dłoniach. Nie bez powodu Romily najczęściej jadła lunch przy biurku. Z drugiej strony podejrzewała, że Claire nie będzie miała ochoty podzielić się z nią kanapką z serem i kiszonym ogórkiem oraz połamanym chrupkim pieczywem.

– Pewnie z racji swojego zawodu kochasz wakacje – odezwała się Romily. – Masz tyle wolnego czasu!

– Czasem aż za dużo – roześmiała się łagodnie Claire. – Ben ma mnóstwo pracy, więc wcześniej wychodzi z domu i późno wraca. Oczywiście, ja to rozumiem, a on wolałby mieć urlop wtedy, co ja, ale nie zawsze jest to możliwe, więc mam cały dom dla siebie.

Romily spróbowała to sobie wyobrazić: nieograniczoną ilość czasu na sen, czytanie książek lub po prostu błogie lenistwo, bez martwienia się o to, czym nakarmić dziecko, jak je zabawić albo kiedy zrobić pranie, by nikomu nie zabrakło czystej bielizny czy skarpetek. Mieć

cały ten wielki, jasny, pięknie udekorowany dom dla siebie, ze świadomością, że wieczorem zaśnie się u boku męża.

– Zaczekaj, aż urodzi się dziecko – powiedziała Romily. – Nie będziesz miała czasu, żeby skorzystać z toalety.

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić – powtórzyła Claire.

Dotarły do kawiarenki. Podczas roku szkolnego wypełniał ją miarowy pomruk rozmów, lecz tego dnia panowało w niej istne pandemonium. Dzieciaki w hełmach na głowach i z mieczami w dłoniach tłoczyły się wokół stołów w kącie pomieszczenia, a ich rodzice starali się przekrzyczeć hałas. Trzy stoliki pod oknem zajmowała grupa matek z dziećmi, które zabarykadowały się wózkami, stertą butelek, nawilżanych chusteczek i plastikowych pojemników ze zdrowymi przekąskami.

Stolik na środku był wolny, jeśli nie liczyć dwóch pustych kubków.

– Może usiądziemy... – zaczęła Romily, wskazując na stolik, lecz wtedy dostrzegła wyraz twarzy Claire.

Kobieta zbladła, wokół jej jasnoniebieskich oczu pojawiły się zmarszczki, zaczęła nerwowo przygryzać dolną wargę. Jej palce zacisnęły się wokół paska torebki. Romily podążyła za wzrokiem Claire, która przyglądała się kobiecie za barykadą z wózków. Kobieta oparła niemowlę o ramię i głaskała jego plecki. Twarz dziecka również była widoczna: rozmarzone po wypiciu mleka oczy, nadęte usteczka, tłusciutki podbródek.

– Tu jest tak głośno, że nie słyhać własnych myśli – oznajmiła Romily. – Chodźmy gdzieś indziej.

– Tak – odparła z wdzięcznością Claire. – Chodźmy.

Dopiero gdy znalazły się na chodniku przed muzeum, Claire rozluźniła uścisk palców na torebce.

– Pewnie mnie nienawidzisz – odezwała się Romily.

– Słucham? Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym cię nienawidzić?

– Bo chcesz być w ciąży, tak jak ja. Chcesz mieć własne dziecko. Staralaś się o to przez tyle lat, a ja musiałam tylko nacisnąć tłok strzykawki wypełnionej spermą i gotowe! Zaszłam w ciążę. Później przysłałaś mi tyle wspaniałego jedzenia i prezentów, żebym poczuła się lepiej, żeby pokazać mi, że nie masz do mnie żalu, a ja wzięłam to za przejaw krytykanctwa i ci to wytknęłam.

– Jestem ci wdzięczna – powiedziała Claire.

– W takim razie jesteś lepszym człowiekiem niż ja. Czy jest ci... czy widok niemowląt za każdym razem sprawia ci ból?

Claire przez chwilę milczała i Romily przestraszyła się, że ją uraziła.

– Nie zawsze tak będzie – powiedziała w końcu Claire. – Kiedy dziecko się urodzi i będę je mogła przytulić, wszystko stanie się łatwiejsze.

– Myślę, że jesteś bardzo odważna.

– Nie, nie jestem, po prostu jakoś sobie radzę. Nigdy nie znalazłaś się w sytuacji, w której bardzo czegoś pragnęłaś i nie mogłaś tego mieć?

– Ja... O, spójrz, jest bar.

Weszły do środka. Nawet nie było w nim czuć piwem. Podeszły do kontuaru i sięgnęły po menu.

– Chciałam podróżować po świecie – odezwała się Romily – lecz zamiast tego urodziłam dziecko.

– Nadal możesz, kiedy Posie dorośnie.

– Prędzej jej się to uda. Dla Bena widok dzieci nie jest taki trudny, prawda?

– To nie jego porażka. – Claire utkwiała wzrok w jadłospisie i Romily doszła do wniosku, że temat skończony, lecz po chwili Claire dodała: – Rzeczywiście cię nienawidziłam. Romily odłożyła swoje menu.

– To dlatego z początku cię nie odwiedzałam – kontynuowała Claire. – Z zazdrości. Nie jestem dumna z tego powodu.

– Nie powinnaś mi zazdrościć. W moim życiu panuje chaos.

– Chyba nie można szczerze zazdrościć komuś, kogo się rozumie – powiedziała Claire. – A ja widzę, że i ty miałaś swoje problemy: z ojcem Posie, przy podejmowaniu tych wszystkich ważnych decyzji. Twoje życie nie ułożyło się tak, jak to sobie zaplanowałaś. Ale nic nie szkodzi.

– Wzięła głęboki wdech. – Upiekłam babeczki, żeby cię przeprosić za swoją nienawiść. Nie zasłużyłaś na nią.

Romily poczuła wypływający na jej policzki rumieniec.

– W porządku. Nie mam do ciebie żalu.

– Koniec końców wydaje mi się, że pragniemy tego samego – dodała Claire.

Tej nocy, leżąc samotnie w łóżku, z niemowlęciem w łonie i śpiącą za ścianą córką, Romily wyjęła notes z zieloną okładką i otworzyła go na pustej stronie.

NIE KOCHAM BENA LAWRENCE’A, napisała, a później zappełniła tymi słowami całą stronę, jakby mogła w ten sposób sprawić, że staną się prawdą.

NIE KOCHAM BENA LAWRENCE’A.

## OKNO

Claire nie mogła uwierzyć w to, że na ekranie widać jej dziecko: zadarty nosek, delikatny, wygięty kręgosłup i nóżki zwinięte tak, żeby zmieściły się w łonie.

– Dziecko wydaje się takie duże – szepnęła.

Ben chwycił ją za rękę w ciemnym pokoju. Oboje zaglądali przez okno do ciała Romily.

– Wygląda już jak mała osóbką, prawda? – zapytał.

– W dwudziestym tygodniu dziecko ma rozmiar banana – odezwała się wesoło lekarka.

– Wymiary są w porządku. Wszystko wygląda świetnie. Czy chcecie poznać płeć dziecka?

Claire zmrużyła oczy. Przy tym ułożeniu nóg nic nie widziała.

– Chcemy wiedzieć? – zapytała Bena.

– Czy nie lepiej, żeby to była niespodzianka?

Romily uniosła wzrok znad trzymanej nad brzuchem książki.

– Nie chcecie nadać maleństwu imienia?

Lekarka uśmiechnęła się.

– Nazywacie je maleństwem?

– Na razie tak. Córka Romily wpadła na ten pomysł i jakoś się przyjęło.

– Podoba mi się – oznajmiła lekarka, wklepując coś do komputera. – Brzmi lepiej niż niektóre z imion, które słyszałam, możecie mi wierzyć. W zeszłym tygodniu przyjmowałam parę, która nazwała syna James Tiberius Kirk, na cześć kapitana ze *Star Treka*.

– To duże obciążenie dla kogoś, kto nie wychylił jeszcze nosa na świat – odezwała się Romily. – Dziecko może przecież nie lubić podróży kosmicznych.

– No cóż – powiedziała lekarka – dziecko wydaje się zdrowe i prawidłowo rozwinięte. Chcecie zdjęcie? Jedno czy dwa?

– Jedno wystarczy – odparła Romily i wróciła do lektury.

Claire wyniosła zdjęcie do poczekalni, kiedy Romily się ubierała. Stali z Benem na korytarzu, stykali się głowami i chłonęli widok maleństwa, ich przyszłości.

– Trudno uwierzyć, że dziecko tak urosło – zauważyła Claire.

– Warto było zainwestować w żywność organiczną. – Ben ucałował jej policzek. – Czy teraz wreszcie uwierzyłaś, że będziemy mieli dziecko?

Claire powiodła palcem wzdłuż konturów niemowlęcia.

– A wiesz, że tak? – uśmiechnęła się do Bena. – Naprawdę uwierzyłam!

Przycisnęła zdjęcie do siebie, bardzo mocno, jakby maleństwo rozwijało się w jej ciele.

## RUCHOME PIASKI

To był pomysł Jarvisa: spędzić na plaży jeden z ostatnich letnich dni, żeby mogli się lepiej poznać. Pożyczył mercedesa sedana od przyjaciela, chociaż Romily powiedziała mu, że jej golf doskonale by się sprawdził, i spakował kosz piknikowy, mimo że Romily potrafiła sama zrobić kanapki, i przyjechał po nie z samego rana. Czekał w samochodzie, przy włączonym silniku, a one pakowały rzeczy niezbędne do spędzenia dnia na plaży. Posie uparła się, żeby jechać na przednim siedzeniu, więc Romily usiadła z tyłu, zamknęła oczy i słuchała płynącego z radia rocka, rozkoszując się wpadającą przez otwarte okna bryzą i wsłuchując w uspokajający szum rozmowy córki z ojcem. Najwyraźniej mieli sporo wspólnych tematów. Posie, rzecz jasna, potrafiła zagadać każdego, a Jarvis sypał jak z rękawa anegdotkami z podróży po całym świecie, których dziewczynka słuchała jak urzeczona.

I chociaż nie opowiadał ich z myślą o Romily, również ona słuchała. Jarvis jeździł na słoniu w Indiach i został opluty przez lamy w Peru. Pawiany w Botswanie splądrowały mu namiot i przez cały tydzień czekał na pojawienie się rajskiego ptaka w Nowej Gwinei. Chociaż łykał tabletki, zachorował na malarię i zgubił dwanaście kilogramów. Złamał sobie nadgarstek, spadając z drzewa w Boliwii i wdrapał się na nie z powrotem, żeby dokończyć fotografowanie papug z gatunku ara, ponieważ od najbliższego szpitala dzieliły go dwa dni drogi i doszedł do wniosku, że lepiej będzie zebrać materiał, zanim spędzi przymusowy tydzień urlopu w La Paz, z ręką na temblaku.

Dawniej Romily marzyła o takim życiu. Oczywiście, nie o złamanym nadgarstku ani o malarii. Jarvis najwyraźniej nie żałował wyjazdu z Anglii. Przeżył mnóstwo przygód, podczas gdy ona tkwiła w ciasnym mieszkanku, zmieniając pieluchy i klasyfikując cudzą kolekcję owadów.

Romily odpląnęła w sen i zbudziła się dopiero na promie do Sandbanks. Przez okna wpadało ostre morskie powietrze. Wyprostowała się, koncentrując uwagę na niebie, które wydało jej się bardzo błękitne, dźwiękach promu i kołujących nad nimi mewach. Posie podskakiwała na siedzeniu. Jarvis zawiózł ich na parking, a dziewczynka wyskoczyła z samochodu jeszcze zanim na dobre się zatrzymał.

– Uważaj! – zawołała za nią Romily, lecz Posie już wspinała się na wydmy.

Jarvis, obładowany koszem piknikowym, kocem oraz należącą do Romily torbą pełną ubrań, wiaderk, łopatek, kremów do opalania i czapek, ruszył za córką i niezobowiązująco chwycił ją za rękę. Romily szła za nimi, niosąc ręczniki i ostrożnie stawiając stopy na usuwającym się spod nich piasku. Jej środek ciężkości się zmienił. Zanim dotarli do właściwej plaży, Jarvis zdążył porzucić cały ekwipunek i razem z Posie rzucił się biegiem w stronę fal, wiwatując.

Posie miała pod spodem kostium kąpielowy, lecz nie zwracała sobie głowy zdejmowaniem ubrań, które musiały się w tej sytuacji zamoczyć. Romily zastanawiała się, czy nie pójść za nią i nie poprosić, żeby zdjęła spodenki i koszulkę, lecz tak dobrze bawili się z Jarvisem, a ona i tak spakowała zapasowe ubranie. Rozłożyła koc w bezpiecznej odległości od wody, usiadła na nim, zrzuciła z nóg sandały i zakopała stopy w ciepłym piasku.

Dzień był piękny: słoneczny, z lekkim wietrzykiem od morza. Plaża tętniła życiem, ale nie była zatłoczona. Słychać było radosne dziecięce okrzyki i szum fal. W oddali majaczyła Wyspa Wight. Romily rozkoszowała się świeżym powietrzem. Najwyraźniej nie musiała wcale przyjeżdżać, przynajmniej jeśli chodziło o Posie, która doskonale się bawiła ze swoim nowym,

ekscytującym kolegą. Ale przyjemnie było się zdrzemnąć w samochodzie, nie wspominając już o wyrwaniu się z domu na cały dzień, chociaż plaży w Dorset nie można było nazwać egzotycznym miejscem.

Jarvis miał na sobie podkoszulek i parę oberwanych bermudów. Ganił z Posie po całej plaży, ścigając fale. Włosy dziewczynki rozwiewały się na wietrze, Jarvis śmiał się do rozpuku. Wystarczył jeden rzut oka, by domyślić się, że są ojcem i córką.

Jak długo Jarvis zamierzał zostać w kraju? W żadnej ze swoich opowieści nie wspomniał o żonie czy dziewczynie, ale musiał kogoś mieć przez tak długi czas, mimo tych wszystkich podróży. Przede wszystkim musiał istnieć powód, dla którego wrócił do Anglii. Romily wiedziała, że marzenia Posie o wspólnym mieszkaniu w domu Claire i Bena jako jedna wielka szczęśliwa rodzina nigdy się nie spełnią, ale ich trójka musiała sobie teraz na nowo ułożyć życie.

– Romily! – Posie biegła do niej plażą, grzęznąąc w piasku, oczywiście przemoczona do suchej nitki. – Chodź do nas!

– Świetnie się bawicie z Jarvisem – zauważyła Romily. – Nie jestem wam do niczego potrzebna.

– Potrzebujemy cię! – Posie chwyciła ją zimnymi, mokrymi palcami za rękę i pociągnęła do góry. – To dobra zabawa!

Romily wstała z piasku i poszła z Posie. Jarvis czekał na nie, stojąc po kostki w wodzie, z włosami rozczochranymi przez wiatr. Posłał Romily uśmiech, którego nie widziała na jego twarzy od ośmiu lat, a i wtedy widywała go rzadko. Wyglądał dzięki temu dużo młodziej.

– Twojej córce wydaje się, że może rozkazywać falom – oznajmił.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Spróbujmy razem. – Posie chwyciła rękę Jarvisa drugą dłonią. – Raz, dwa, trzy, biegniemy!

Całą trójką ruszyli w pościg za falą, która cofnęła się w kierunku morza. Piasek zasyczał im pod stopami.

– I nie wąż się stamtąd ruszyć! – zawołała Posie, a kiedy fala się cofnęła, z piskiem pobiegła przez plażę, trzymając rodziców za ręce.

– To są właśnie pływy morskie – zaczęła Romily, ale już biegli z powrotem w kierunku morza, żeby po chwili znowu uciekać przed falą. Zdyszani, roześmiani, z solą na wargach i we włosach, splatając śliskie palce i huśtając Posie.

W pewnym momencie, kiedy fala zaczęła się cofać, by już po chwili znowu na nich natrzeć, Posie puściła dłonie rodziców i rzuciła się do wody. Romily instynktownie próbowała ją złapać, lecz Jarvis okazał się szybszy i tym sposobem zderzyli się ze sobą. Przytrzymał ją jedną ręką, drugą przyciągając do siebie Posie.

– Jeszcze raz! – zawołała dziewczynka. Włosy zlepily jej się w mokre strąki i nie mogła przestać się śmiać. Wyrwała się Jarvisowi i rzuciła w morską pianę. Przez ułamek sekundy Romily tkwiła przy boku Jarvisa. Czuła jego żebra pod mokrym materiałem koszulki, jego mocną klatkę piersiową i ramiona, jego przyspieszony oddech.

Później Jarvis ją puścił i cofnął się o krok czy dwa.

– Powinnaś się chyba bawić w morzu, Posie, a nie próbować je wypić – upomniała córkę Romily, wyżymając przemoczoną koszulkę.

– Napijmy się lemoniady – zarządził Jarvis, nachylając się nad wodą i ponownie wyciągnął z niej chichoczącą córkę. – Później poszukamy muszelek. Chodźcie, moje odkrywcynie.



– Nie chcę zakładać czapki – marudziła Posie, idąc w kierunku miejsca, w którym zostawili swoje rzeczy.

– Ale załóżysz – powiedzieli Romily i Jarvis jednocześnie. – Młoda damo – dodał ojciec dziewczynki, a matka zakryła usta dłonią.

Romily wykręciła szypułkę i podała Posie truskawkę, zanim sama wrzuciła kolejny owoc do ust.

– Ty naprawdę umiesz pakować piknikowy kosz – powiedziała z uznaniem do Jarvisa.

Kosz był usiany okruchami kanapek i ciasta oraz pustymi torebkami po chipsach. Posie ułożyła na skraju koca swoje skarby: krąg z muszelek i wodorostów, pośrodku którego umieściła jedyną skamielinę, jaką znaleźli – łukowato wygięty amonit. Po podbródku spłynęła jej kropla soku truskawkowego, który w roztargnieniu wytarła gołym ramieniem.

– Kiedyś przyjeżdżaliśmy tu każdego lata – odezwał się Jarvis. – Urządzaliśmy sobie pikniki takie jak ten, tylko że z ogromną ilością konserw.

– Faj – jęknęła Posie.

– Nie wyśmiewaj się. Trudno być wegetarianinem, podróżując po całym świecie.

– Mogłabym spróbować mięsa węża.

– Jest przepyszne. – Jarvis wysypał na rękę ostatnią porcję chipsów i zaczął je jeść. – Nigdy wcześniej nie znalazłem na tej plaży skamieliny, chociaż spacerując po wybrzeżu zebrałem ich całe pudło.

– Możemy jeszcze poszukać.

– W porządku, za chwilę. – Jarvis położył się na plecach, oparł ciężar ciała na łokciach i wyprostował nogi. Romily utkwiła spojrzenie w jego stopach. Były całe w piasku, smukłe i znajome, podobnie jak dotyk jego ciała godzinę wcześniej, kiedy bawili się w morzu.

W innym życiu mogliby tu przyjechać jako rodzina. Romily znałaby już jego historie z dzieciństwa i pewnie miałaby dosyć słuchania o rodzinnych piknikach.

– Masz dużą rodzinę, prawda? – zapytała. – Nadal mieszkają w Londynie?

– Rozjechali się po całym południu Anglii. Wszędzie ich tam pełno. Chętnie by cię poznali, Posie.

– Opowiadałeś im o niej?

– Tak. – Uniósł brwi, jakby spodziewał się, że Romily to skomentuje, lecz tego nie zrobiła. Była zbyt rozluźniona, poza tym Jarvis miał prawo opowiadać o swojej córce.

– Pewnie wszyscy twoi krewni znienawidzili mnie za to, że nie powiedziałam ci wcześniej.

– Nie. Może poza mamą. Za to siostry uważają mnie za skończonego drania i same pewnie trzymałyby język za zębami.

– Tak powiedziały?

– Nie dosłownie, ale dobrze je znam.

– Niedługo będę miała siostrzyczkę lub braciszka – oznajmiła Posie. – Na razie nazywamy je maleństwem.

– Posie...

– Ach tak – odparł Jarvis. – Jak... Kiedy się urodzi?

– Na początku stycznia.

– Ty i Ben musicie być zachwyceni. – Jarvis podciągnął nogi, odsuwając je od Romily.

– I Claire – wtrąciła Posie. – Zdażyła już urządzić dziecięcy pokój. Widziałam go, jest żółty jak słońce. Możemy w nim razem spać. Ben i Claire mają wolną sypialnię. Może chciałbyś w niej zamieszkać, Jarvis? Wiem, że nie masz domu w Anglii.

– Daj spokój, Posie.

Jarvis zmarszczył brwi.

– Claire urządziła dziecięcy pokój?

– Tak, Claire brakowało jajeczek, więc Romily urodzi jej dziecko. Ona i Ben mieli sztuczne oddychanie.

– Zapłodnienie, Posie, i dość już tego. Może zbudowałyś zamek z piasku? – Romily popchnęła w jej kierunku wiaderka i łopatkę. Czowała na sobie wzrok Jarvisa.

– OK – zgodziła się dziewczynka i odsunęła się nieco, żeby mogła swobodnie kopać.

– Ben nadal jest mężem Claire? – zapytał Jarvis zniżonym, pełnym wściekłości głosem. – Jesteś matką zastępczą?

– Tak. To nic wielkiego, Jarvis. Pomysł wyszedł ode mnie.

– Czyś ty zgłupiała?

– Słucham?!

– Cofam to, co powiedziałem. Nie jesteś głupia, ale najwyraźniej straciłaś rozum.

– Nic ci do tego, Jarvisie.

– Nosisz w sobie dziecko Bena. Twoje i Bena.

– Genetycznie jest nasze, lecz z punktu widzenia prawa...

– Prawa! Jakby to miało znaczenie. Od lat kochasz się w Benie!

Słowa Jarvisa zabolowały ją do żywego.

– Skąd...

– Mam oczy, Romily. Mogłaś go nazywać swoim najlepszym przyjacielem, ale nigdy nie dałem się na to nabrać. Ubóstwiałaś go, nie bardzo wiem dlaczego.

– Nic nie wiesz.

Kłęczeli na kocu zwróceni do siebie twarzami, gniewnie do siebie szepcząc. Dwa metry dalej Posie kopała w piasku, cichutko nucąc.

– W dalszym ciągu się oszukujesz – odezwał się Jarvis. – Czy naprawdę sądzisz, że będziesz potrafiła oddać to dziecko?

– Tak, oczywiście. Ben i Claire pragną go z całego serca. Dziecko jest ich.

– Nie potrafiłaś zrezygnować z Posie, chociaż nawet mnie nie kochałaś.

Romily położyła dłonie na brzuchu.

– To co innego.

– Różnica jest taka, że ojcem tego dziecka jest Ben. A może wykorzystujesz je jako kartę przetargową, żeby go wreszcie zdobyć?

– Tak jak wykorzystałam Posie, żebyś ty ze mną został? Nie, czekaj, nie zrobiłam tego, prawda? Twierdziłaś, że chcesz wolności, więc ci ją dałam. – Romily podniosła się i chwyciła sandały. – Nie będę o tym z tobą rozmawiać. Idę na spacer. Popilnuj Posie.

Jarvis powiedział coś jeszcze, ale już tego nie usłyszała. Szła nerwowym krokiem po miękkim piasku, w stronę wydmy. Ścieżka wiodła między kępami ostrej trawy.

Skąd wiedział? Nigdy się przed nim nie zdradziła. Nikomu o tym nie powiedziała, nie licząc kartek pamiętnika. Przez długie lata skrzętnie ukrywała swoje uczucia. Wybrała Jarvisa właśnie dlatego, że fizycznie był całkowitym przeciwieństwem Bena.

Tylko że zbudowała całe swoje życie wokół Bena, a teraz spodziewała się jego dziecka.

Romily zboczyła ze ścieżki i wspięła się na wydmy, przedzierając się przez trawę. Jarvis wygadywał bzdury. Dziecko należało do Claire i Bena, a ona nie będzie miała problemu z tym, żeby je oddać. Było ich wspólne i nie zamierzała go wykorzystywać jako karty przetargowej, uciekać się do emocjonalnego szantażu ani dręczyć siebie samej. Była inkubatorem dla ich dziecka i jeśli nawet żywiła głębsze uczucia do jego ojca, nikogo nie powinno to obchodzić, a już na pewno nie Jarvisa.

*Nie potrafiłaś zrezygnować z Posie, chociaż nawet mnie nie kochałaś.*

Tylko że Posie od samego początku należała do niej i tylko do niej, chociaż Romily nie przypuszczała jak trudne, bolesne, cudowne i wykańczające okaże się macierzyństwo.

Mewa zakołowała nad jej głową. Dzięki prądom powietrza nie musiała wkładać zbyt wiele wysiłku w lot. Na plaży Posie i Jarvis bawili się w piasku, budując między sobą więź. Każda decyzja Romily wpływała na Posie, a teraz również Jarvis miał coś do powiedzenia w sprawie ich córki. Czy to się podobało Romily czy nie, Posie nie należała już tylko do niej.

Jarvis wiedział, co naprawdę czuła do Bena. Był jedyną osobą, która to dostrzegła.

A co, jeśli miał rację? Jeśli Romily zgodziła się urodzić Benowi dziecko, bo miała nadzieję, że dzięki temu on ją pokocha?

Podmuchy wiatru i palące słońce sprawiły, że musiała zmrużyć oczy. Nie widziała plaży, wydmy były zbyt wysokie. Odwróciła się, żeby wejść na wydnię, która dzieliła ją od morza. Kiedy wdrapała się na sam szczyt, z trawy niespodziewanie wyleciał ptak i w tym momencie Romily poślizgnęła się na piasku. Wyciągnęła przed siebie ręce, lecz nie miała się czego złapać. Straciła równowagę, zaczepiając stopą o korzeń, kamień, czy może wpadając w dołek, i runęła na twarz. Kiedy spadała z wydmy, w uszach dźwięczał jej tylko ptasi pisk.

Gdy wreszcie się zatrzymała, poczuła, że w ustach i oczach ma pełno piasku. Usiłowała się zorientować, czy nic jej się nie stało. Czuła otarcia na twarzy i kolanach, jej kostka pulsowała, miała też wrażenie, że ktoś wymierzył jej cios w brzuch. Moje dziecko, pomyślała, przetoczyła się na bok i objęła dłońmi brzuch, zbyt późno, żeby go ochronić.

– Mamusiu!

– Romily! – Jarvis i Posie podbiegli do niej. – Nic ci nie jest?

Jarvis delikatnie położył dłonie na ramionach Romily i badawczo jej się przyjrzał.

– A jednak nie potrafię latać – powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

– Możesz usiąść? Czy coś cię boli?

– Chyba nic mi nie jest. – Usiadła, ignorując ukłucie bólu, wypluła piasek i wyciągnęła rękę w kierunku Posie. – Wszystko w porządku, Pose. Nie martw się, skarbie.

Posie rzuciła się matce w ramiona. Romily skrzywiła się, ale ją przytuliła.

– Co się stało? – Jarvis klęczał przy nich. – Poślizgnęłaś się?

– Potknęłam się o coś albo wpadłam w dołek. Chyba skręciłam kostkę.

– Musimy cię zawieźć do lekarza.

Romily dostrzegła malujący się na twarzy Posie strach.

– Nie, nie trzeba.

Wokół nich zdążył się zebrać tłumek plażowiczów. Jeden z nich podał Jarvisowi butelkę wody, którą ten wręczył Romily, żeby mogła przepłukać usta. Skok adrenaliny sprawił, że zakręciło jej się w głowie i poczuła mdłości. Pochyliła głowę i wsunęła ją między kolana.

Raczej się nie połamała. Straciła równowagę przez ciężki brzuch i wiedziała, że będzie miała kilka siniaków i zadrapań. Potknęła się o kamień lub korzeń, ale najważniejsze, że dziecku nic się nie stało...

Otumaniona bólem, mdłościami, szumem morza i rozmów, nagle poczuła coś dziwnego: ciepłą wilgoć między nogami. Upuściła butelkę z wodą i przycisnęła dłonie do nagiej skóry po wewnętrznej stronie uda. Kiedy uniosła ręce do twarzy, jej palce były pokryte jaskrawoczerwoną krwią.

## NIE ODCHODŹ

Jarvis wziął Romily na ręce i zaniósł do samochodu. Posie pobiegła za nimi. Romily nie protestowała. Przyciskała ręce do brzucha, modląc się, żeby dziecko się poruszyło.

Jarvis bez słowa położył ją na tylnym siedzeniu i zaczął jechać, pewnie o wiele szybciej, niż powinien. Posie również milczała, więc Romily słyszała tylko dźwięk pracującego silnika i bicie własnego serca.

*Nie odchodź, maleństwo* – myślała ze wszystkich sił. – *Nie odchodź.*

W tylnej kieszeni fotela znalazła paczkę chusteczek i wsunęła kilka z nich w majtki. Samochód był pożyczony. Nie chciała go zwracać z plamą. Kiedy popatrzyła na dłonie, było na nich jeszcze więcej krwi. Wytarła ją w koszulę.

*Nie odchodź.*

Droga do szpitala dłużyła się niemiłosiernie. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, Jarvis poprosił Romily, żeby została w samochodzie i zniknął w budynku. Cisza stała się ogłuszająca.

– Wszystko będzie dobrze, Posie – uspokajała ją Romily. – Nic mi nie jest, po prostu martwimy się trochę o maleństwo.

– Boję się.

– To pewnie nic takiego. Niemowlęta są wytrzymałe. Potrafią przeżyć prawie wszystko. Poza tym dziecko jest dobrze chronione, tam w środku. To tak jakbym opatulila cię górą poduszek.

Jednak poczuła skurcz, w dole brzucha i w kręgosłupie. Nie wiedziała, na ile jest to poważne: czy był to ból spowodowany stłuczeniami, czy problemami z dzieckiem. Miała nadzieję, że wszystko da się naprawić.

– Przepraszam – powiedziała, chociaż nie była pewna, do którego ze swoich dzieci się zwraca.

Jarvis wyszedł ze szpitala i otworzył tylne drzwi.

– Dasz radę przesiąść się na wózek? – zapytał.

Pomógł jej wysiąść z samochodu. Mięśnie Romily zeszywniały od leżenia na tylnym siedzeniu, a kostka zaprotestowała, kiedy postawiła stopę na ziemi. Jarvis zawiązał ją na izbę przyjęć. Pielęgniarka wręczyła Jarvisowi formularz do wypełnienia i zabrała Romily do części sali oddzielonej od reszty parawanem.

– Musimy zdecydować, na jakim oddziale cię umieścić. Spadłaś z wydmy?

Pielęgniarka miała sympatyczną twarz i szorstki wschodnioeuropejski akcent.

– Tak, na Great Knoll Beach, jakieś pół godziny temu.

– Krwawisz? Jak mocno?

– Nie wiem.

– Straciłaś dużo krwi, tyle, co podczas okresu, czy to tylko plamienie?

– Krwi nie jest zbyt dużo. Użyłam chusteczek.

– Sprawdźmy.

Romily nie chciała na to patrzeć. Wsunęła rękę w majtki i wyciągnęła chusteczki. Krwi nie było tak dużo, jak się obawiała, ale niewiele mniej.

– W porządku. Twojemu życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Martwimy się głównie o dziecko. – Podała Romily więcej chusteczek. – Uderzyłaś się w głowę? Odczuwasz mdłości?

– Nie uderzyłam się w głowę. Nic mi nie jest. Zajmijmy się dzieckiem.

Pielęgniarka zbadała ją pobieżnie.

– Tak, uderzyłaś się w brzuch. Już widać siniak. Który to tydzień?

– Dwudziesty pierwszy.

– Zatem umieścimy cię na oddziale położniczym. Zaraz do nich zadzwonię. Mąż może cię zawieźć wózkami. Droga jest oznaczona. Proszę, tu są podpaski.

Położyła pudełko na kolanach Romily, ustawiła wózek w taki sposób, żeby kostka była uniesiona i obłożyła opuchliznę lodem, nim zawiozła pacjentkę z powrotem na recepcję.

– Proszę ją zawieźć na oddział położniczy – zwróciła się do Jarvisa, który nie miał już w rękach formularza.

– Nie znasz wszystkich moich danych – odezwała się do niego Romily.

– Posie mi pomogła.

Chwycił rączki wózka i ruszyli w kierunku podwójnych drzwi na końcu izby przyjęć. Posie poszła za nimi, nic nie mówiąc.

Romily nie mogła nic więcej zrobić, skoro trafiła pod opiekę lekarzy. Zamknęła oczy i zacisnęła palce na pudełku zawierającym bawełnianą podpaskę, która i tak nie zdołałaby wchłonąć wszystkiego, co Romily miała w środku.

Oddział położniczy okazał się znacznie spokojniejszym miejscem niż izba przyjęć. Jarvis zawiózł ją prosto do stanowiska recepcji.

– Mamy wszystkie pani dane w komputerze – odezwała się pracownica szpitala. – Położna zaraz przyjdzie. – Wskazała im rząd krzeseł w poczekalni.

Jarvis zajął miejsce po jednej, a Posie po drugiej stronie wózka.

– To wszystko moja wina – odezwał się cichym głosem.

– Wina leży tylko i wyłącznie po mojej stronie. Złe stanęłam i zsunęłam się z wydmy. Ciebie tam nawet nie było.

– Nie powinienem się z tobą kłócić.

– Daj spokój.

Szpitalne procedury, panująca w poczekalni cisza i sztuczne kwiaty w recepcji miały ją uspokoić, lecz Romily nadal oddychała niespokojnie, jej serce waliło jak szalone, a dłonie się trzęsły. Najchętniej pobiegłaby korytarzem i błagała, żeby ktoś się nią zajął natychmiast, w tej minucie, ale tylko by sobie zaszkodziła.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytał Jarvis.

– Musimy poinformować Bena i Claire.

– Wyjdę ze szpitala i do nich zadzwonię. Jaki to numer?

Romily podała mu numer komórki Bena, który znała na pamięć.

Prośbienie Jarvisa, żeby do niego zadzwonił nie było może najrozsądniejsze, ale Romily nie odważyłaby się opuścić szpitala nawet na sekundę.

– Czy mógłbyś zabrać Posie do stołówki? Nie jestem pewna, jak długo to potrwa.

Jarvis kiwnął głową.

– Niedługo wrócimy. Posie, twojej mamie nic się nie stanie, ale nie wiadomo, ile jeszcze będzie musiała czekać, więc chodźmy na ciastko.

Zanim odeszli, Posie dała jej szybkiego całusa w policzek. Romily z trudem powstrzymała się przed tym, żeby mocno ją przytulić i nie pozwolić córce odejść.

Położna podpięła brzuch Romily do monitora i natychmiast rozległo się mocne bicie serca.

– To dobry znak – powiedziała z uśmiechem.

– Oby było ich jak najwięcej.

Czekając na ginekologa, Romily leżała na stole i patrzyła na wiszący na ścianie plakat,

przedstawiający przekrój poprzeczny ciała ciężarnej kobiety. Nie różnił się za bardzo od zwierząt, które sama badała.

Do pokoju weszła szczupła kobieta w rozpiętym lekarskim fartuchu.

– Doktor Summer – powiedziała, spoglądając na ekran monitora. – Podobno rzuciła się pani z wydmy?

– To nie była najmądrzejsza decyzja w moim życiu.

Lekarka zbadła Romily.

– Krwawienie nie ustępuje. Miała pani skurcze?

– Niezbyt silne, chociaż trudno odróżnić skurcz od bólu spowodowanego tym, że uderzyłam brzuchem w ziemię.

– To nie jest pani pierwsze dziecko?

– Drugie.

Lekarka skinęła głową i zdjęła rękawiczki.

– Na tym etapie trudno stwierdzić, co dokładnie się stało. Wyślę panią na prześwietlenie, po którym powinniśmy wiedzieć coś więcej. Krwawienie może mieć wiele przyczyn, niekoniecznie związanych z urazem. Jeśli zaczęło się poronienie, niewiele będziemy mogli zrobić, a jak pani wie, przed szóstym miesiącem dziecko niestety nie ma szans na przeżycie.

– Nie... Nie wiedziałam o tym.

Lekarka posłała jej zdziwione spojrzenie.

– Nie jest pani lekarzem?

– Entomologiem.

– Ach tak. – Otworzyła usta, lecz szybko je zamknęła. – Rozumiem. W każdym razie wyślemy panią na prześwietlenie. Na szczęście wypadek zdarzył się w ciągu dnia i nie będzie pani musiała czekać na badanie do jutra. Zaraz kogoś po panią przyślę.

Zostawiła Romily sam na sam z plakatem rozplątanej ciężarnej kobiety.

Od ostatniego badania z udziałem Claire i Bena dziecko wyraźnie urosło. Romily nie spodziewała się, że to zauważy. Wydawało jej się, że nie przyglądała się dziecku zbyt dokładnie. A jednak dostrzegła różnicę. Wpatrywała się w monitor wypełniony tajemnicą. Widziała główkę, rączkę, zaciśnięte oczka, nosek i usta.

– Ssie kciuk – zauważyła kobieta przeprowadzająca badanie.

*To moje dziecko, splodzone z jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam.*

– Nic mu nie będzie?

– Przykro mi, ale nie mogę postawić diagnozy. Wyniki będzie musiał obejrzeć lekarz.

Dwie skulone nóżki skrzyżowane w kostkach. Pępowina łącząca ciało dziecka z jej ciałem, przez którą dostarczała mu pożywienie, dawała mu życie.

– Czy to chłopiec czy dziewczynka? – zapytała.

Claire i Ben chcieli, żeby to była niespodzianka, ale jeśli dziecko umrze, jak Romily przeżyje żałobę, myśląc o nim jako o „maleństwie”?

– Chłopczyk – odparła laborantka. – Chce pani zdjęcie?

Romily ścisnęła je przez całą drogę powrotną na oddział położniczy, jakby to miało sprawić, że dziecko przeżyje. Wodziła palcem po zdjęciu, gładząc policzek maleństwa. Jej syneczka.

– No cóż – powiedziała ginekolożka. Tym razem jej fartuch był szczelnie zapięty. – Z tego co widzę, łożysko nie doznało uszkodzeń. Wszystko wygląda dobrze. Ma pani skurcze?

– Nie.

– Sprawdźmy krwawienie.

Romily odwróciła głowę i wlepiła wzrok w zdjęcie, podczas gdy lekarka po raz kolejny

założyła rękawiczki. *Proszę* – modliła się w duchu.

– To stara krew. – Ginekolożka wyrzuciła rękawiczki do kosza. – Czasami się tak zdarza. Na wszelki wypadek przyjmimy panią na oddział i będziemy monitorować pani stan. Zostanie pani u nas przez dwadzieścia cztery godziny od ostatniego krwawienia.

– Czy moje dziecko będzie zdrowe? – Romily chciała wykrzyknąć te słowa, lecz wydobyły się z jej gardła pod postacią zduszonego szeptu.

Lekarka chwilę milczała.

– Sądzę, że tak. Doznało wstrząsu, ale będzie zdrowe.

Romily zanosła się płaczem.

## ODDZIAŁ POŁOŻNICZY

Pierwszym odgłosem, jaki dotarł do uszu Claire, był dziecięcy płacz. Po każdej stronie sali stały cztery łóżka, oddzielone od siebie ruchomymi parawanami. Kobieta leżąca najbliżej drzwi przyłożyła jasną główkę do swojej piersi.

Ben pobiegł do łóżka na końcu sali, gdzie leżała Romily. Padł na kolana i przyłożył ucho do jej brzucha.

– Dziecku nic nie będzie, prawda? – Położył dłoń na brzuchu Romily.

Przyjechali do Poole najszybciej, jak tylko się dało. Romily, leżąca na szpitalnym łóżku we wzorzystej nocnej koszuli, wyglądała blado i mizernie. Na policzku miała ślad po zadrapaniu.

– Podobno nie – odparła zachrypniętym głosem.

– Claire! – zawołała Posie, podbiegając do niej i obejmując w pasie. Claire odwzajemniła uścisk.

– No dalej, maleństwo – odezwał się Ben do brzucha Romily. – Kopnij tatusia. Pokaż, że nic ci nie jest.

– Kilka minut temu kopało jak szalone – oznajmiła Romily.

– Przestałaś krwawić? – zapytała Claire ponad głową Posie.

– Właściwie tak. Zostanę w szpitalu przez najbliższą dobę, a później powinni mnie wypisać.

– Chyba że znowu pojawi się krwawienie – odezwała się Claire.

– Odchodziliśmy od zmysłów – odparł Ben. – Przykro mi, że nie mogliśmy przyjechać szybciej. Byłem w Londynie, poza tym na drodze M3 zdarzył się wypadek.

Claire wolałaby nigdy więcej nie przeżywać podobnej podróży: Ben przeklinał korki, ona siedziała obok, nie mogąc uspokoić drżenia rąk, i starała się nie myśleć o krwawieniu i bólu, które dotyczyły innej kobiety, lecz dziecka Claire.

– Czy naprawdę musieli cię położyć w jednej sali z noworodkami? – zapytała. – To wydaje się nieco... bezduszne.

Popatrzyła na kobietę leżącą na łóżku obok i czytającą gazetę. Jej dziecko spało w plastikowej kołysce obok.

– Chyba nie mieli innego łóżka. Raczej się tu nie wyśpię.

– Romily spadła z wydmy, prosto na twarz – wyjaśniła Posie, odsuwając się od Claire i wzięła ją za rękę. – Szkoda, że jej nie widziałas! Wyglądała, jakby umarła.

Ben podniósł głowę.

– Naprawdę spadłaś z wydmy?

– Jarvis nie powiedział wam tego przez telefon?

Claire dopiero teraz zauważyła opartego o parapet mężczyznę. Był wysoki i szczupły, a jego blond włosy domagały się porządnego strzyżenia. Miał na sobie obwisłe bermudy i sandały, stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

Ben dostrzegł go w tym samym momencie. Jego twarz stężała, kiedy podniósł się z podłogi.

– Dokąd ją zabrałeś?

– Byliśmy na plaży – odparł mężczyzna, ojciec Posie. – Witaj, Ben.

– Pozwoliłeś jej się wspinać na wydmy w dwudziestym pierwszym tygodniu ciąży?

– Nie mieliśmy tego w planach – wyjaśnił Jarvis.



– Trafiłam na dołek – odezwała się Romily. – To się mogło zdarzyć wszędzie.

– A co wtedy robiła Posie? – zapytał Ben. – Kto się nią opiekował?

– Ja – odparł Jarvis.

– Budowałam zamek z piasku – oznajmiła dziewczynka – z muszelkami w oknach.

Gdybyśmy byli mniejsi, moglibyśmy w nim wszyscy zamieszkać. Nagle usłyszałam krzyk.

Claire ścisnęła jej rękę, chociaż prawdę powiedziawszy Posie najwyraźniej podobało się całe to zamieszanie. Była zbyt mała, żeby zrozumieć powagę sytuacji i wyczuć napięcie między dorosłymi.

– Krótko mówiąc, beztrwosko postanowiłeś zabrać swoją nową rodzinę na plażę – zwrócił się do Jarvisa Ben – i w rezultacie naraziłeś nasze dziecko na niebezpieczeństwo.

– Biorę na siebie pełną odpowiedzialność – oświadczył Jarvis.

– To coś nowego.

– Wina leży wyłącznie po mojej stronie – oznajmiła twardo Romily. – Bardzo mi przykro, że się zdenerwowaliście.

– Najważniejsze, że nic się nie stało – skwitowała jej słowa Claire. – Przyniosłam trochę owoców. – Postawiła na stoliku płócienną torbę, z której wypakowała torebkę winogron i kilka pomarańczy znalezionych w zamrażalniku. Posie wzięła pomarańczę, usiadła na jedynym krześle i zaczęła ją obierać.

– Zrobili mi badania – odezwała się Romily. – Widziałam dziecko. Lekarka stwierdziła, że nic mu nie jest, a krwawienie pojawia się czasem bez powodu.

– A ty jak się czujesz? – tym razem Ben zwrócił się do niej, nie do Jarvisa. – Wszystko w porządku?

– Skręciłam kostkę i trochę się potłukłam. Nic wielkiego.

– Poprosiłaś o zdjęcie? – zapytała Claire. – Żebyśmy też mogli zobaczyć dziecko?

– Ja... zapomniałam. Przepraszam.

Romily sięgnęła po winogrona, ale Claire ją uprzedziła.

– Trzeba je umyć – powiedziała i poszła do wspólnej łazienki na drugim końcu sali.

W głowie miała mętlik. Szykowała się akurat do wyjścia na siłownię, kiedy z drogi M4 zadzwonił do niej rozszalały Ben z informacją, że zaraz po nią przyjedzie. Później czekała ich gorączkowa podróż do szpitala, podczas której zadzwoniła Romily i zapewniała, że wszystko z nią dobrze, ale Ben i Claire nie bardzo temu dowierzali. Po całej tej nerwówce i panice dowiedzieli się, że Romily była na plaży z mężczyzną, którego Claire nie знаła i który okazał się dostatecznie lekkomyślny, by pozwolić Romily spaść z wydmy i narazić na niebezpieczeństwo dziecko Claire.

Podczas płukania owoców starała się nimi nie dotknąć umywalki. Ułożyła torebkę na kilku papierowych ręcznikach.

– Odwołałem wszystkie spotkania – oznajmił Ben, kiedy Claire podeszła do łóżka. – Zostaniemy tu, dopóki nie będziesz mogła wrócić do domu.

– A co ze mną? – zapytała Posie. Jej palce były lepkie od soku pomarańczowego. Claire podała jej papierowy ręcznik.

– Moja siostra mieszka trzydzieści kilometrów stąd – odezwał się Jarvis. – Pomyślałem, że moglibyśmy u niej przenocować, a jutro odwieźć Romily do domu.

– Posie zostanie z nami – powiedział Ben. – Znajdziemy hotel gdzieś w pobliżu.

– Czy twoja siostra jest moją ciocią? – zapytała Jarvisa Posie.

– Owszem. Masz trzy ciotce.

– Nie znasz tej kobiety – wtrącił Ben – a my jesteśmy rodzicami chrzestnymi Posie i opiekowaliśmy się nią od urodzenia.

– Posie miała ciężki dzień – odezwała się Claire łagodnie.  
– Powinna zostać z Benem i Claire – zdecydowała Romily. – Przepraszam, Jarvis, ale wiesz, że tak będzie lepiej.  
– Chcę z wami zostać – zwróciła się do Claire Posie – ale Jarvis też może wynająć pokój w hotelu.  
– Jarvis może robić, co mu się żywnie podoba. Zresztą jak zawsze.  
– Ben... – upomniała go Claire.  
– Zostanę u mojej siostry, Sally – zwrócił się Jarvis do córki. Claire zwróciła uwagę na to, że jego głos złagodniał. – Ale jutro tu wrócę, żeby sprawdzić, jak się czuje twoja mama i wtedy się spotkamy. Do zobaczenia, Romily.  
Przez chwilę po jego wyjściu nikt się nie odezwał.  
– Spakowałam dla Posie zapasowe ubranie na plażę – odezwała się Romily. – Powinno wystarczyć do jutra.  
– Kupimy szczoteczki do zębów i koszule nocne – powiedziała Claire. – Chyba powinniśmy ci nasmarować buzię i ramiona kremem po opalaniu, Posie. Jadłaś obiad?  
– Jadłam czekoladowe muffinki, kiedy poszliśmy z Jarvisem do kawiarenki.  
– Nie martw się – powiedziała Claire. – Zaopiekujemy się nią.  
– Wiem o tym.  
Niemowlę leżące przy łóżku obok obudziło się i zaczęło płakać. Claire zauważyła grymas na twarzy Romily.  
– Na pewno nic ci nie będzie? – zapytał Ben.  
– Tak. Idźcie, zanim pozamykają sklepy. Do zobaczenia jutro.  
Ben pocałował ją w czoło.  
– Nigdy więcej nie strasz nas w ten sposób, paniusiu.  
– Obiecuję.  
Posie pospiesznie uścisnęła Romily, po czym chwyciła Claire i Bena za ręce.  
– Jeszcze nigdy nie spałam w hotelu – oznajmiła. – To najbardziej ekscytujący dzień w moim życiu!  
Na oddziale położniczym wcześniej gaszono światła. Romily leżała na wznak. Kostka pulsowała jej z bólu. Kobieta z łóżka obok siedziała na krześle, z odsuniętą na bok koszulą i próbowała karmić piersią. Niemowlę wydawało sapiące odgłosy, jak miniaturowa świnka. Kobieta leżąca po przekątnej od Romily jako jedyna poza nią nie miała przy sobie dziecka – jej bliźniaki leżały na OIOM-ie. Wcześniej poszła je odwiedzić i wróciła pół godziny temu, zalana łzami, a teraz spała.  
Romily wyjęła zdjęcie USG spod poduszki. W mdłym świetle, całkiem sama, chłonęła każdy szczegół.  
– Nie podoba mi się to – powiedziała cicho Claire.  
Posie spała na sąsiednim łóżku, głęboko oddychając. Miała otwarte usta, a jej policzki i nos usiane były piegami.  
– Mnie też nie. – Ben zdjął krawat i zaczął rozpinać koszulę. – Śmiertelnie się przestraszyłem.  
– Oczywiście rozumiem, że Romily ma prawo do swojego życia, ale czuję się jak zakładniczka ślepego losu. Ufam jej, ale wydaje mi się, że... zachowuje się lekkomyślnie.  
– Nie sądzę, żeby chciała spać z wydmy. – Ben odwiesił spodnie na krzesło i usiadł na łóżku obok Claire.  
– Nie, oczywiście, że nie. Ale chyba nie... Nie jestem pewna, czy wszystko sobie przemyślała.

– I jeszcze ten Jarvis. Jak można zaufać człowiekowi, który porzucił ciężarną dziewczynę?

– Nie wiem. – Claire spojrzała na Posie.

– Na pierwszym miejscu zawsze powinno się stawiać dobro dziecka. Zawsze. A on zostawił Romily całkiem samą.

– Teraz chyba próbuje to naprawić.

Ben przez chwilę milczał.

– Nie widziałaś jej, kiedy została sama, w ciąży. Usiłowała być dzielna. Wiesz, że nie lubi rozmawiać o swoich uczuciach. Była przerażona.

– Powiedziała... Podobno przekonałaś ją, żeby zatrzymała Posie. Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Prosiła mnie, żebym nikomu nie mówił, poza tym nie było o czym opowiadać. Nie przekonywałem jej, po prostu rozmawialiśmy. Romily sama podjęła decyzję, tę właściwą. Jarvis nie interesował się nią. Bóg jeden wie, co mu teraz chodzi po głowie. Gdyby nie on, Romily nie znalazłaby się na tej plaży.

– Wydaje mi się, że wspinanie się na wydmy jest bardzo w jej stylu – odparła Claire. – Pewnie goniła motyle, czy coś podobnego. Ona nie myśli, Ben. Nawet nie poprosiła o zdjęcie USG, kiedy nie dojechaliśmy na czas.

– To nie wina Romily. Była roztrzęsiona.

– Ale my niczego nie mamy. Nie mogliśmy nawet porozmawiać z lekarzami. Wszystkie informacje dostajemy z drugiej ręki. Skoro zatrzymali ją w szpitalu, muszą się czymś martwić.

– Zobaczymy. Musimy spokojnie poczekać. W najgorszym wypadku zlecimy prywatne badanie. – Ben wyłączył światło. – Jedno jest pewne: Romily potrzebuje opieki.

– Czuję się taka bezsilna.

– To był ciężki dzień. Spróbujmy się przespać.

Pocałował żonę i położył głowę na poduszce.

Ben nigdy nie miał problemów z zasypianiem. Potrafił odłożyć na bok wszystkie zmartwienia i problemy razem z ubraniem, które nosił w ciągu dnia. Już po kilku minutach oddychał miarowo. Zostawili zapalone światło w łazience, na wypadek gdyby Posie obudziła się w nocy, i w tym półświetle Claire wpatrywała się w sufit, przytomna i samotna.

## TYSIĄC RAZY

Romily zastanawiała się właśnie, czy nie wstać z kanapy i nie położyć się do łóżka, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Schowała zdjęcie z powrotem między kartki notesu, który wsunęła pod poduszkę, i stanęła na nogach, czy raczej na nodze, ponieważ obandażowaną kostkę trzymała nad podłogą. Przeskoczyła na jednej nodze do fotela i przytrzymała się oparcia, po czym w podobny sposób pokonała resztę drogi do drzwi.

– Mam nadzieję, że to nie psychopatyczny morderca, skoro zadałam sobie tyle trudu – mruknęła pod nosem, zdejmując łańcuch. Otworzyła drzwi.

Na progu stał Jarvis, ubrany inaczej niż rano w szpitalu, w dzinsy i czarną bluzę. Pomarańczowa ćma, zwabiona światłem, latała wokół jego głowy.

– Mogę wejść? – zapytał.

Romily odpięła łańcuch. Dwa dni temu nie była gotowa wpuścić go do mieszkania, lecz od tamtej pory wiele się zdarzyło: niósł ją na rękach, zarejestrował w szpitalu i pilnował ich córki, kiedy Romily doświadczała najstraszniejszych chwil swojego życia.

Poza tym, gdy tylko otworzyła drzwi, zorientowała się, że przyniósł pizzę.

Ćma wleciała do mieszkania. Romily wyciągnęła rękę, chwyciła ćmę delikatnie i wypuściła ją za drzwiami, zanim je zamknęła.

– Posie śpi – powiedziała.

– Nie przyszedłem do niej. – Jarvis położył pizzę na stoliku do kawy, obok pustego kubka po kakao.

– Mam nadzieję, że to pizza z zieloną papryką i pieczarkami. – Romily pokuśtykała do kanapy i usiadła na niej ciężko. Jarvis zajął miejsce na fotelu.

– Żartujesz? Kupiłem „mięsną ucztę”, żebyś nie mogła zjeść ani kęsa. Przytulne mieszkanko.

– Cóż za komplement, zwłaszcza z ust osoby, która przez osiem lat mieszkała w namiocie.

– Ostatnio nie pozwoliłaś mi wejść, więc pomyślałem, że mieszkasz w chlewie. Ale wygląda na to, że zdarza ci się nawet zmyć naczynia. Podoba mi się – dodał, wskazując na wiszący nad kanapą rysunek Posie.

– Nie pozwoliłam ci wejść, bo nie byłam pewna, czy chcę cię wpuścić do naszego życia.

– Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Romily otworzyła pudełko z pizzą.

– A jednak: zielona papryka i pieczarki, oto twoja odpowiedź. – Romily poczęstowała się kawałkiem pizzy. – Właściwie nie powinnam być głodna. W drodze z Poole zatrzymaliśmy się na porządny obiad.

– Jak się czujesz?

– Jestem trochę odrętwiała, ale poza tym wszystko OK. Zrobili mi pełne badania, zanim dostałam wypis. Dziecko też czuje się dobrze. Ben i Claire wysłali mnie na prywatne USG.

Jarvis sięgnął po kawałek pizzy i ugryzł połowę. Romily zastanawiała się, co robił przez cały dzień. W szpitalu został tylko pół godziny. Gawędził z Posie i unikał rozmowy z Benem.

– W przyszłym tygodniu zaczyna się rok szkolny i pomyślałem, że przez tę kostkę będziesz miała kłopot z odprowadzaniem Posie do szkoły. Mógłbym ci pomóc.

– Ben już o tym pomyślał. Zorganizował sobie pracę w taki sposób, żeby mógł odwozić Posie do szkoły i przywozić ją do domu, dopóki będę na zwolnieniu.

– Ben i Claire bardzo się o ciebie troszczą.  
– Troszczą się o swoje dzieci.  
– Nie, o ciebie i Posie.  
– Są jej rodzicami chrzestnymi.  
– A więc i tu mu się udało – powiedział cicho Jarvis. Odłożył pizzę i popatrzył Romily prosto w oczy. – Claire nie wie, co do niego czujesz, prawda?  
Mogła zaprzeczyć, po raz kolejny spróbować oszukać jego i siebie, ale pamiętała, do czego to doprowadziło ostatnim razem.  
– Nie ma pojęcia. Nie może. Uprzedzając twoje kolejne pytanie: czuję się z tego powodu podle. Próbowалам... stłumić to uczucie.  
– Naprawdę myślałem, że się związaliście. Wydawało mi się, że właśnie dlatego nie powiedziałaś mi o Posie i nie chciałaś, żebym wszedł do mieszkania.  
– Jak... Skąd wiedziałaś, co do niego czuję?  
Jarvis gorzko się roześmiał.  
– To nie było trudne. Kiedy byliśmy razem i po raz pierwszy odwołałaś naszą randkę, żeby spotkać się z Benem, pomyślałem: no cóż, ich przyjaźń trwa dłużej niż nasz związek. Jednak po trzecim razie zmieniłem zdanie. A kiedy zobaczyłem was razem, wszystko stało się jasne. Patrzyłaś na niego jak... – Pokręcił głową. – Powiedzmy, że na mnie nigdy tak nie patrzyłaś.  
– Myślisz, że to takie oczywiste?  
– Dla mnie tak. Posłuchaj, przepraszam za to, co powiedziałem na plaży. Nie powinienem był cię oskarżać, że próbujesz odbić Claire Bena, rodząc mu dziecko.  
– Wcale tego nie robię. Ben jest mężem Claire, pogodziłam się z tym wiele lat temu.  
– Jednak nadal uważam, że postąpiłaś głupio, zachodząc z nim w ciążę.  
Romily przygryzła wargę.  
– Masz prawo tak myśleć. A ja mam prawo do własnych decyzji.  
– To dlatego zostałaś w Anglii? Żeby być blisko Bena?  
– Cóż, musiałam się zająć dzieckiem.  
– W innych częściach świata też wychowują dzieci. Gdybyś chciała pracować i podróżować, mogłabyś to robić z Posie.  
– Ben i Claire zajmowali się nią, kiedy robiłam doktorat. Poza tym zainteresowała mnie kolekcja owadów Amity, więc zostałam.  
– A Ben i Claire postanowili zamieszkać w Brickham.  
– Na przedmieściach.  
– A Posie ich kocha.  
– Jakby to oni byli jej rodzicami. Czasami wydaje jej się, że faktycznie nimi są.  
Jarvis zamilkł. Romily zaczęła myśleć o tym samym co na plaży, czyli jakby to było, gdyby się nie rozstali. Jarvis, zrzuciwszy buty, siedziałby teraz w swoim fotelu i po raz tysięczny jedliby pizzę po położeniu dziecka spać. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego.  
Kiedy jeszcze byli razem, ich związek nigdy nie był prosty i zwyczajny. Nie zamieszkali razem ani nie składali sobie deklaracji. Jarvis zawsze planował, że wyjedzie, podobnie jak i Romily. Wspólnie ustalili, że nie łączy ich nic poważnego.  
Czasem jednak widziała Jarvisa zasmuconego, tak jak teraz, ze zmarszczonymi brwiami i opuszczonymi – już nie w uśmiechu – kącikami ust.  
Nie pamiętała dokładnie, kiedy to było, skoro mieli się ze sobą tylko dobrze bawić.  
– Czy mogę popatrzeć, jak śpi? – zapytał Jarvis.  
– Jasne.

Wstał z fotela i poszedł krótkim korytarzem prowadzącym do sypialni. Romily widziała go z kanapy. Otworzył drzwi do pokoju Posie i stanął w progu. Kontur jego sylwetki odznaczał się w ciemności dzięki światłu nocnej lampki. To również było coś nowego.

Po chwili wrócił na fotel.

– Zajęła całe łóżko.

– Jak to Posie. Kiedy śpimy razem, zawsze budzę się z jej łokciem na twarzy.

– Powinienem był walczyć.

Romily sięgała właśnie po kolejny kawałek pizzy, żeby zająć czymś ręce. Na dźwięk słów Jarvisa zamarała w bezruchu.

– Walczyć?

– Tamta praca była dobra – powiedział ostrożnie – ale nie jedyna. Za to wiązała się z bardzo dalekim wyjazdem.

– Nie rozumiem.

– Wydawało mi się, że zostanie w Anglii nie ma sensu. Byłaś zakochana w Benie. Nie chciałem, żebyś utknęła przy mnie, w ciąży z naszym dzieckiem, skoro pragnęłaś być z innym mężczyzną.

– Wyjechałeś przez Bena?

– Nie – odrzekł Jarvis. – Wyjechałem, bo mnie nie kochałaś. – Wstał i podszedł do drzwi. – Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebowała pomocy. W sobotę zabiorę Posie do parku, chyba że macie inne plany.

– Nie mamy.

Kiwnął głową i wyszedł. Ćma – być może ta sama, co przedtem – wleciała do mieszkania i zaczęła krążyć wokół żyrandola. Romily przez chwilę ją obserwowała, po czym wyłączyła światło i poszła się położyć obok córki. Objęła ją ramieniem, wsunęła twarz w jej włosy na karku, chłonąc zapach dziecięcego potu i słodycz oddechu.

– Jestem twoją matką – szepnęła do Posie – i kocham cię.

Te słowa przychodziły Romily łatwiej, kiedy jej córka spała. Jednak tym razem mówiła nie tylko do Posie.

## NOWY SEMESTR

– Chryste, jak dobrze, że to piekło wreszcie się skończyło.

Claire uniosła wzrok znad dziennika. Nie starała się ukryć, jak bardzo ucieszył ją widok Maxa, jego zmierzwionych włosów, podwiniętych rękawów szkolnej koszuli i przewieszanej przez plecy gitary. Wydoroślał przez lato.

– Nie jestem pewna, czy pani Greasley spodobałoby się to, co powiedziałeś – odrzekła łagodnie.

– Zresztą, to i tak nieprawda: z jednego piekła w drugie.

Claire skinęła głową w kierunku krzesła. Max usiadł i położył gitarę na kolanach.

– Masz nową gitarę – zauważyła.

– Kolejne przekupstwo. W tym tempie niedługo będę miał kolekcję jak Keith Richards. Claire zauważyła jednak, że trzymał instrument z należną mu czcią.

– Jest piękna. Skomponowałeś coś nowego?

Max stracił cały animusz i oblał się rumieńcem.

– Taa... W wakacje miałem sporo wolnego czasu. Myślałem o tym, co pani powiedziała, że mam talent.

Słowa Maxa chwyciły Claire za serce. A więc zależało mu na jej opinii! Musiał być bardzo samotny.

– Myślę, że jesteś niezwykle utalentowany, Max, i co ważniejsze, nie boisz się ciężkiej pracy. – Zamknęła dziennik. – W wakacje myślałam o twojej muzyce.

– Naprawdę?

– Tak. Zastanawiałam się, że czy nie chciałbyś zagrać na zakończenie semestru.

– Tylko nie na koncercie bożonarodzeniowym – zastrzegł. – Bez obrazu, pani L., ale nie będę konkurował z dziećmi w stroju aniołków.

– Nie miałam na myśli koncertu bożonarodzeniowego, tylko indywidualny recital.

– Urządzają je wyłącznie dla szóstoklasistów.

– Niektórzy uczniowie przygotowujący się do egzaminu GCSE też mają takie recitale. Mogłabym to dla ciebie załatwić.

– Ale... ja nie przystępuję do egzaminu z muzyki.

– Zauważyłam, że twoje nazwisko zostało usunięte z listy. Czy to twoja decyzja?

– Taty. – Twarz Maxa spurpurowiała.

– Cóż, tak czy inaczej moglibyśmy ci urządzić recital, gdybyś chciał.

– Nie jestem pewien, czy dałbym sobie radę.

– Na pewno, ale nie musisz podejmować decyzji już teraz. Zastanów się. A tymczasem może coś byś mi zagrał? Chętnie posłucham.

Palce Maxa zadrżały. Zagrał akord i położył dłoń na strunach.

– Szkoda, że nie mam takiej matki jak pani – wymamrotał.

*Byłabym szczęśliwa, mając takiego syna jak ty* – pomyślała.

– Zagraj dla mnie.

Romily jak zwykle weszła na szkolny dziedziniec ze spuszczoną głową. Ben przez cały tydzień odwoził Posie do szkoły, więc Romily była tu ostatnio jeszcze przed wakacjami, ale od tamtej pory nic się nie zmieniło. Mamusie z wózkami i z młodszymi dziećmi, ubrane w garsonki i letnie sukienki, stały w rzędzie i gadały jak najęte. Pracujące matki siedziały za kółkami samochodów – chciały jak najszybciej zostawić pociechy w szkole i odjechać do

swoich obowiązków. Członkini komitetu rodzicielskiego z podkładką w ręce stała przy bramie i wypatrywała ochotników do tego czy innego zadania. Romily starała się unikać jej wzroku.

Gdy zadzwonił dzwonek, Posie pobiegła przed siebie i zniknęła w grupie dzieci. A więc nie będzie buziaka. Romily wzruszyła ramionami i odwróciła się na pięcie, stając twarzą w twarz z członkinią komitetu rodzicielskiego.

– Jesteś w ciąży! – zaszczebiotała tamta.

– Ekhm... No tak.

W kilka sekund otoczyło ją stado mamusiek.

– Który to tydzień? – zapytała jedna z nich.

– Dwudziesty trzeci.

– Och, to dopiero początek. Jesteś szczupła, więc twój brzuch bardziej rzuca się w oczy.

– Jak się czujesz?

– Potrzebujesz ciążowych ubrań? Zostało mi ich całe mnóstwo po ciąży z Bobbym.

– A może kołyskę? Mnie już nie jest potrzebna.

– Masz szczęście, że nie rodzisz latem. Arjan przyszedł na świat w sierpniu i ledwie dotrwałam do końca ciąży!

– Tak – powiedziała Romily, nie wiedząc, na które pytanie powinna odpowiedzieć najpierw. – Teraz czuję się dobrze, ale przez długi czas męczyły mnie mdłości.

– Wiem coś o tym – odezwała się kobieta z dzieckiem w nosidelku na piersi. – Przez całą ciążę miałam nudności, a później mojemu synkowi nie spieszyło się na świat. Dałeś mamie w kość, co, skarbie? – Pocałowała jasną główkę.

– Mnie dręczyła rwa kulszowa – odezwała się inna matka.

– Ostatnie trzy miesiące ciąży musiałam przeleżeć w łóżku.

– A ten trądzik? Coś okropnego!

– Za to ty wyglądasz świetnie. Do twarzy ci z ciążą.

Romily nie była pewna, czy ktokolwiek mógłby wyglądać dobrze z piłką zamiast brzucha, ale powiedziała tylko:

– Dziękuję.

– Nie masz problemów ze snem? Pamiętam, że nie mogłam sobie znaleźć wygodnej pozycji, odkąd dziecko zaczęło mnie kopać w żebra.

– Twoja córeczka pewnie się cieszy, że będzie miała młodszego brata lub siostrę.

– Czy to tatuś odwoził ją w zeszłym tygodniu? Zauważyłam, że przyjeżdżała samochodem.

– To był ojciec chrzestny Posie. Skręciłam sobie kostkę.

Kobiety wydały z siebie zatroskany jęk.

– Próbowalaś arniki?

– Wiesz, że możesz przyjmować paracetamol? Farmaceuci tego nie zalecają, ale moja położna powiedziała, że ten lek nie zaszkodzi dziecku. Kto jest twoją położną?

– Katya.

– To tak jak u mnie! Rodziłam czternaście godzin.

– Czy mogę dotknąć? – Nie czekając na odpowiedź, jedna z mamus przyłożyła dłoń do brzucha Romily. – Och, jak cudownie! Kopnęło!

– Znasz już płęć?

*To chłopiec. Mój chłopczyk.*

– Nie znam.

Mamusia odsunęła dłoń i jej miejsce natychmiast zajęła ręka innej kobiety. Romily zaczynała się czuć jak melon, który wszyscy sprawdzają, czy jest dojrzały.



– My też nie chcieliśmy wiedzieć – odezwała się mamusia, która właśnie ją dotykała. – Nie przy pierwszym. Wszyscy twierdzą, że lepiej wiedzieć, aby pomalować pokoik na odpowiedni kolor, ale my po prostu pomalowaliśmy go na zielono. A wy?

– Na żółto.

– To miło. Lepiej unikać tych wszystkich stereotypów związanych z płcią.

– Nic to nie da! – Wtrąciła inna. – Położyliśmy Josepha w różowym pokoiku, bo urodził się tak szybko po Catarinie, że nie chciało nam się znów malować ścian, a mimo to chce się bawić wyłącznie samochodami!

– Zapisalaś się już do szkoły rodzenia? Znam kobietę, która prowadzi zajęcia, mogę ci dać jej numer.

– Przygotowałaś już plan porodu?

– Jak tam twój poziom żelaza?

– Jak się czujesz w porównaniu z pierwszą ciążą? W moim przypadku za każdym razem było inaczej.

– Pewnie trudno ci zakładać buty przez tę zwichniętą kostkę i ciążowy brzuch.

Romily skoncentrowała uwagę na kobiecie, która wypowiedziała ostatnią opinię. Miała długie włosy, ręcznie robiony na drutach sweter, a przed sobą wózek z niemowlęciem. Jej sweter miał dziurę na łokciu, a dziecko zaschnięte wąsy z mleka.

– Tak – przyznała. – Z butami nie było łatwo.

Trzecia z kobiet położyła jej dłoń na brzuchu.

– Wpadnij do mnie na kawę. W poniedziałki spotykamy się u mnie razem z dziećmi, ale ciężarne też są mile widziane.

– Dzięki, ale muszę wracać do pracy.

Dziecko nie kopało, więc kobieta zabrała rękę.

– W takim razie zapraszam, kiedy dziecko już się urodzi. Im nas więcej, tym weselej.

– Jutro przyniosę ciążowe ciuszki.

– Zapiszę ci numer tej mojej koleżanki ze szkoły rodzenia.

– Wybraliście już imiona?

Romily przygryzła wargę i powiedziała bardzo, bardzo cicho:

– Mój ojciec miał na imię William.

– Och, jak ślicznie. Uwielbiam staromodne imiona.

Później odeszły, pchając przed sobą najnowocześniejsze czarne wózki z jaskrawymi wstawkami, wesoło szczebiocząc. Kobieta w swetrze nie spieszyła się z odejściem.

– Czujesz się jak chodzący inkubator? – zapytała z uśmiechem.

– Trochę tak.

– Wszystkie chcemy dobrze. Cięża jest tym, co nas łączy, więc musimy o niej rozmawiać. To równie popularny temat jak pogoda, tylko że bardziej bolesny.

Romily musiała dwa razy przełknąć ślinę, zanim odpowiedziała.

– Można i tak na to spojrzeć.

– Poza tym rodzenie dzieci to pewnie jedna z najważniejszych czynności w naszym życiu, o której nikt inny nie chce słuchać. Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś miała się rozplakać.

– Hormony – odparła szybko Romily. – To tylko hormony.

– Przepraszam, kochanie, straciłem poczucie czasu.

Claire wyrzucała właśnie zmarnowany obiad do kosza na odpadki.

– Mogłeś zadzwonić.

– Nie sądziłem, że jest tak późno. Zresztą i tak zjadłem kanapkę u Romily.

Claire włożyła talerz do zmywarki i odwróciła się w stronę męża.

– Byłeś u niej? – starała się, żeby pytanie zabrzmiało bez troski.

– Wpadłem na chwilę w drodze z pracy.

– Brickham nie jest po drodze – odparła lekko.

– Romily przeciekał kran. Chciałem rzucić na niego okiem.

– Od ponad tygodnia nie jedliśmy razem kolacji.

*Nie mówiąc już o seksie* – dodała w myślach.

– Wiesz, że mam dużo pracy.

– A jednak starcza ci czasu, żeby naprawić ciekący kran u Romily.

Ben przeczesał palcami włosy.

– Ona jest sama, Claire.

– Znam to uczucie.

– Ty też masz mnóstwo zajęć, spotkań i prób. Jak zawsze na początku semestru.

– Tak, ale to nasza ostatnia szansa, Ben. Kiedy urodzi się dziecko, nie będziemy już mogli sobie pozwolić na ciche kolacyjki tylko we dwoje. Powinniśmy teraz spędzać więcej czasu razem.

Ostatnia szansa na ciche kolacyjki, spontaniczny seks, zachowywanie się tak jak tuż po ślubie, zanim to wszystko się zaczęło, kiedy nadal byli w pełni sobą.

– Romily mnie teraz potrzebuje. Przykro mi, Claire, ale tak już jest. Poza tym sama chciałaś, żebym jej pilnował, zanim znowu zrobi coś głupiego. – Ben miał cienie pod oczami, chociaż przespał całą noc. – Staram się wszystkich uszczęśliwić i czasami oznacza to, że spóźniam się na kolację.

– Mówię tylko, że powinieneś być zadzwonić – głos Claire już nie brzmiał bez troski.

*Drogie Maleństwo,  
Słuchałam dziś radia, w którym puścili piosenkę All you need is love Beatlesów.  
Co za stek bzdur.*

*Miłość nie jest rozwiązaniem, tylko problemem.*

*Byłoby nam o wiele łatwiej, gdybyśmy działali instynktownie. W naturze przekazanie komuś opieki nad własnym potomstwem nie jest problemem i zdarza się często. U niektórych gatunków jest wręcz uważane za korzystne z punktu widzenia ewolucji.*

*Dlaczego mnie jest tak trudno?*

*Splodzenie dziecka jest rodzajem transakcji. Wymianą genów. Większość gatunków zwierząt nie uznaje związków monogamicznych. A już na pewno nie wiąże się z cudzym partnerem i nie zdręcza się z tego powodu przez długie lata. Nie odrzuca szansy na inny monogamiczny związek, ponieważ nie może być z tym, kogo pragnie. Tak postępują tylko ludzie, z tym ich idiotycznym przywiązaniem do miłości.*

*Moja miłość do Bena – Twojego ojca – od bardzo dawna stanowiła niezmienny element mojego życia. Nie dlatego, że tak wybrałam, wprost przeciwnie. Byłabym znacznie szczęśliwsza, gdybym obudziła się rano i uświadomiła sobie, że już go nie kocham. Poz byłabym się ciągle bólu, tęsknoty i poczucia winy. Byłabym wyleczona.*

*Gdyby nie moja miłość do Bena, kto wie, jak ułożyłoby mi się z Jarvisem? Szczerze mówiąc, wybrałam go, bo wydawał mi się całkowitym przeciwieństwem Twojego ojca. Od samego początku porównywałam ich ze sobą, przez co stałam się ślepa na uczucia Jarvisa. Nie rozumiałam, że odszedł ode mnie, bo mnie kochał.*

*Gdybym ich nie porównywała i zobaczyła Jarvisa takim, jakim naprawdę był, czy mogłabym się w nim zakochać? Czy moglibyśmy być ze sobą i wspólnie wychowywać Posie?*

*Czy kochałabym ją bardziej, zanim przyszła na świat?*

*Można pomyśleć, że miłość do dziecka przychodzi najłatwiej. Ale ja nie kochałam Posie, kiedy nosiłam ją pod sercem. Nie tak, jak kocham Ciebie. Mam mnóstwo wymówek – pisałam wtedy doktorat, martwiłam się o przyszłość, ledwie wiązałam koniec z końcem – lecz w gruncie rzeczy nic nie tłumaczy mojej porażki. Staralam się zignorować fakt, że Posie wkrótce przyjdzie na świat. Nie cierpiałam dla niej tak jak dla Ciebie: nie wymiotowałam, nie krwawiłam, nie musiałam w nocy wstawać co pięć minut do toalety. Ale też nie dziwiłam się temu. Każdy etap ciąży przyjmowałam obojętnie, jako naturalny proces reprodukcji, przez który musiałam przejść. Nawet poród okazał się łatwy i szybki. Poczulałam ból, nadszedł czas, żeby przez to przejść i oto Posie zjawiała się na świecie, z szeroko otwartymi oczami. Już wtedy wyglądała na mądrą.*

*Dopiero wtedy ją pokochałam. Nie wcześniej.*

*Czy gdybym kochała ją jeszcze przed urodzeniem, tak jak kocham Ciebie, byłabym lepszą matką? Wszystkie te nieprzespane noce, popełniane błędy, chaos i dni są podobne do siebie niczym dwie krople wody. Wszyscy twierdzą, że macierzyństwo przychodzi łatwo i instynktownie. Tak jak u kobiety, która pragnie być Twoją matką. Twojej prawdziwej matki.*

*Ze mną było inaczej. Może gdybym bardziej kochała Posie i pozwoliła sobie na miłość do jej ojca, byłoby mi łatwiej.*

*Jesteś dzieckiem zrodzonym ze szczerego pragnienia, w połowie mną i w połowie człowiekiem, którego wbrew zdrowemu rozsądkowi obdarzyłam miłością. Twój ojciec cię chronił, zachwycał się Tobą. Matka marzyła o Twoich narodzinach i znalazła w Tobie ukojenie dla własnego bólu.*

*Nigdy nie będziesz moje, drogie Maleństwo.*



## ZEBRANIE RODZICÓW

Nieważne ile razy powtarzała sobie, że będzie miała dziecko, chociaż urodzone przez inną kobietę, Claire zawsze podupadała na duchu, kiedy zaczynał jej się okres. Nie chodziło tylko o to, że przypominał jej o poronieniu i embrionach, które się nie przyjęły. Cały ten proces wydawał się Claire żalony. Jej ciało rozpaczliwie przechodziło przez kolejne cykle, przygotowywało się na dziecko, które nigdy nie miało się narodzić. Szkoda jej było tego całego zachodu, kolejnego miesiąca z tamowaniem, wycieraniem, myciem i wyrzucaniem, a wszystko dlatego, że ciało Claire nie miało pojęcia o poniesionej przez nią porażce.

Na domiar złego, po południu miało się odbyć zebranie rodziców. Trudno o gorszy moment. Dobrze chociaż, że była przygotowana, jak zawsze.

Z wnętrza kabiny usłyszała, jak ktoś otworzył drzwi toalety dla personelu i wszedł do środka. Były to dwie pogrążone w rozmowie osoby. Staraly się mówić cicho, ale Claire i tak je słyszała.

– Nie wiem, czy potrafiłabym wykorzystać ciało innej kobiety w taki sposób. Myślisz, że jej płacą?

– Na pewno. W przeciwnym razie, kto by się na to zgodził?

Były to Bonnie, która zastępowała Lacey, i Georgette. Claire zaniemówiła. Miała ochotę do nich zawołać, lecz tylko stała i słuchała.

– Jak myślisz, ile?

Rozległ się szum wody oraz odgłosy zdejmowania zatyczki ze szminki i szczotkowania włosów.

– Nie potrafiłabym opanować strachu. Pamiętasz, jak pisali w gazetach o matce zastępczej, która nie chciała oddać dziecka rodzicom adopcyjnym? Jak to się skończyło?

– Nie wiem. Masz rację, też bym się bała.

– Zauważyłaś, że przybrała na wadze? Myślisz, że przechodzi ciężę urojoną? A może to wina stresu?

– Biedna Claire. Będiesz korzystać z toalety, czy najpierw wypijemy filiżankę herbaty?

– Ile nam zostało, pięć minut? Najpierw toaleta. A od herbaty chyba wolałabym szklaneczkę whisky.

Biedna Claire. Biedna Claire, która ukrywa się w toalecie i słucha plotek na swój temat. Biedna Claire, bezpłodna, smutna, zestresowana i przestraszona, zdefiniowana przez swój okres i swoją porażkę. Spuściła wodę i wyszła z kabiny.

Georgette i Bonnie stały przy umywalkach. Bonnie zobaczyła ją w lustrze. Miała w sobie dość przyzwoitości, żeby oblać się rumieńcem.

– Nie płacimy jej – oznajmiła Claire. – W Wielkiej Brytanii jest to nielegalne, ale tak czy inaczej bym tego nie zrobiła. Ta kobieta sama się zaoferowała. I nie boję się, że zatrzyma dziecko dla siebie. Szczerze mówiąc, bardziej martwię się o jego zdrowie. Głównie to spędza mi sen z powiek. Czy interesuje was coś jeszcze?

Obydwie kobiety odwróciły wzrok.

– Przepraszam – powiedziała Bonnie.

– Chętnie odpowiem na wasze pytania lub po prostu z wami porozmawiam. Najlepiej nie w toalecie.

Nic nie powiedziały. Claire umyła ręce i wyszła z łazienki, czując na sobie wzrok koleżanek.

Czy to się nigdy nie skończy? Co się stanie, kiedy dziecko już się urodzi i w sposób niepodważalny – pod względem emocjonalnym i prawnym – będzie należało do niej? Czy, kiedy będzie pchała wózek, będzie za sobą słyszała szepty kobiet zastanawiających się, skąd wzięła to dziecko? Czy będzie musiała milknąć podczas rozmów innych matek, kiedy będą wymieniać doświadczenia z czasu ciąży? Czy nadal będzie czuła, że z życiem jej i Bena jest coś nie tak, skoro nie potoczyło się ono zgodnie z planem?

*Wszystko się ułoży, kiedy dziecko przyjdzie na świat* – pomyślała i wsunęła dłoń do torby, żeby dotknąć koperty z najbardziej aktualnym zdjęciem USG. Samo dotknięcie papieru działało na nią kojąco. Oczywiście, teraz dręczyło ją poczucie winy z powodu sceny w toalecie.

Nie była z niej ambasadorka alternatywnych metod poczęcia. Teraz ludzie będą jej się przyglądać z jeszcze większą podejrzliwością. Nie tylko nie mogła urodzić dziecka, lecz także chowała się w toalecie i podsłuchiwała cudze rozmowy.

Claire drżącymi dłońmi wybrała numer Bena, lecz od razu połączyła się z automatyczną sekretarką. Starła się nie myśleć, że mógł specjalnie wyłączyć telefon, bo nie miał ochoty z nią rozmawiać.

Zebranie z rodzicami miało się odbyć w holu z wysokim sufitem i oknami, który kiedyś pełnił w zakonie funkcję refektarza. W pomieszczeniu rozstawiono stoliki z nazwiskami nauczycieli i trzema krzesłami. Claire odnalazła swój stolik i usiadła. Splotła dłonie i popatrzyła na leżący na biurku grafik. Czekają ją dwanaście spotkań z rodzicami uczniów, rozsądnymi i skrupulatnymi. Takimi, którzy znaleźli czas na spotkanie ze wszystkimi nauczycielami. Na szczęście nie musiała się zbytnio koncentrować – był to dla niej chleb powszedni. Rodzice będą szczęśliwi, dzieci też, i wszyscy wrócą do domu z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Claire żałowała, że nie ma szklanki wody.

Otworzyła teczkę i zaczęła porządkować arkusze ocen i notatki według kolejności spotkań. Czuła na sobie wzrok Georgette i Bonnie, które stały po przeciwnej stronie holu. Starła się zachować spokój.

– Och, jak dobrze, że pani już jest.

Claire popatrzyła na stojącą przed nią parę. Mężczyzna był wysoki i barczysty, ubrany w dobrze skrojony garnitur, pod szyją miał wzorzysty jedwabny krawat. Włosy miał ciemne, lekko siwiejące na skroniach. Kobieta była sporo od niego młodsza, bardzo ładna, z błyszczącymi, falistymi włosami, które wyglądały jak po wizycie u fryzjera. Miała na sobie szpilki i dopasowaną niebieską sukienkę, która podkreślała jej ciężowy brzusek.

– Dzień dobry – powiedziała Claire wstając i wyciągnęła na przywitanie dłoń, która, ku jej niezadowoleniu, wciąż drżała. – Państwo... – Spojrzała na listę. To nie byli Hanleyowie. Claire uczyła ich dzieci od wielu lat, a siostra pani Hanley grała kiedyś pierwsze skrzypce w Filadelfijskiej Orkiestrze Symfonicznej.

– Martin Gore-Thomas – przedstawił się mężczyzna, ściskając rękę Claire i błyskając białymi zębami. – Nie jesteśmy umówieni, ale Maximilian uparł się, żebyśmy z panią porozmawiali. Wiercił nam dziurę w brzuchu. Ernest Doughty powiedział, że i tak pani tu będzie, więc pomyśleliśmy, że zamienimy słówko przed wyjściem.

– Jesteście państwo rodzicami Maxa. – Spojrzała na brzuch pani Gore-Thomas. A więc Max miał rację.

– Mamy tylko kilka minut – zaznaczyła kobieta. – Jesteśmy umówieni na kolację w Londynie.

*Wybieracie się na nią z Maxem?* – pomyślała Claire. – *Czy zostawiliście go w domu, samego z gitarą?*

– Proszę usiąść – powiedziała. – Ja też mam tylko kilka minut. Powinnam się teraz spotkać z państwem Hanley, ale Max jest ponadprzeciętnie uzdolnionym uczniem i cieszę się, że możemy o nim porozmawiać.

– Nie mamy czasu, żeby usiąść. Droga M4 jest koszmarnie zakorkowana o tej porze. Macocha Maxa wyjęła komórkę i zaczęła w niej czegoś szukać.

– No cóż – zaczęła Claire – jak państwo zapewne wiecie, Max nie jest właściwie moim uczniem...

– A czego pani uczy?

– Muzyki.

– Ach, to urocze. Owszem, w wakacje opłaciliśmy Maxowi prywatne lekcje, ale nie ma mowy, żeby uczył się muzyki jako przedmiotu. Bez urazy, ale Max powinien zdobyć porządne wykształcenie, a nie godzinami brzdąkać na gitarze. Wszystkie dzieciaki w jego wieku chcą być gwiazdami popu, prawda? – zapytał Martin Gore-Thomas ze śmiechem.

– Właśnie w tej sprawie pisałam do pana na początku roku. Jesteśmy skłonni dopuścić Maxa do dodatkowego egzaminu GSCE z muzyki, poza przedmiotami, które będzie zdawał. Nie jest jeszcze za późno, mogę mu pomóc w przygotowaniach. W przyszłości Max chciałby się uczyć muzyki w trybie rozszerzonym.

Macocha Maxa prychnęła. Z początku Claire pomyślała, że rozbawił ją ten pomysł, lecz później zobaczyła, że kobieta przeczytała coś w telefonie. Trąciła męża łokciem i pokazała mu wyświetlacz, w odpowiedzi na co pan Gore-Thomas parsknął śmiechem.

– Max jest bardzo utalentowany – kontynuowała Claire – i udowodnił, że nie boi się ciężkiej pracy.

Pan Gore-Thomas popatrzył na nią, jakby zapomniał, o czym rozmawiali. Posłał nauczycielce kolejny szeroki uśmiech.

– To uroczy pomysł, ale jak już powiedziałem, nie do zaakceptowania. Max musi się skoncentrować na poważnych przedmiotach. Żaden z niego geniusz, jak już się pewnie pani zorientowała. Musi ciężko pracować, by osiągnąć przyzwoite wyniki, a gra na gitarze tylko odciągnie go od nauki. Zresztą, to tylko chwilowy kaprys. Chłopcy w jego wieku szybko się nudzą.

– Max udowodnił, że potrafi się skupić, panie Gore-Thomas. Poświęcił mnóstwo wysiłku swoim kompozycjom.

Mężczyzna ponownie się zaśmiał.

– Kompozycjom. To miłe z pani strony, pani...

– Lawrence.

– Lawrence. Proszę posłuchać, rozumiem panią, ale moim zdaniem każdy nauczyciel uważa swój przedmiot za najważniejszy, co z logicznego punktu widzenia nie może być prawdą. Max musi myśleć o egzaminach, jeśli ma do czegoś w życiu dojść. Musi w sobie odnaleźć krzytną ambicję, zamiast fantazjować o szybkiej sławie. Oboje wiemy, że to marzenie nie może się spełnić, prawda?

– Martinie – odezwała się pani Gore-Thomas, spoglądając w stronę wyjścia. – Jest już wpół do...

– Naprawdę? Ależ ten czas pędzi. Dziękuję za rozmowę, było mi bardzo...

– Czy słyszał pan kiedyś, jak Max gra? Poprosił pan go o to?

Powiedziała to dość głośno. Pani Gore-Thomas westchnęła.

– Max jest utalentowanym kompozytorem – nie ustępowała Claire. – Nigdy nie spotkałam równie uzdolnionego chłopca w jego wieku. On nie chce być gwiazdą popu, tylko muzykiem. I nawet gdyby nie miał aż tyle talentu, muzyka go uszczęśliwia, panie Gore-Thomas.

Mężczyzna zdążył się odwrócić półprofilem w stronę drzwi i wyciągnąć rękę na pożegnanie. W tym momencie zamarł i po raz pierwszy uważnie spojrzął na Claire.

– Sugeruje pani, że nie wiem, co jest najlepsze dla mojego syna?

– Mówię, że gdyby poświęcił pan swój cenny czas i posłuchał muzyki Maxa, gdyby pan go wysłuchał...

– Martinie, spóźnimy się.

– Po co w ogóle mieć dzieci, skoro nie zwraca się na nie uwagi?

Słowa same wypłynęły z ust Claire. Pani Gore--Thomas zrobiła wielkie oczy, jej mąż spoważniał. Na twarzach państwa Hanley, którzy za ich plecami grzecznie czekali na swoją kolej, malowało się zdumienie.

Ich widok powinien ją ostudzić, ale tak się nie stało. Claire odezwała się do pani Gore-Thomas:

– A co pani robi, kiedy zamiast modnego brzuszka będzie pani miała niemowlę? Prawdziwą osobę, z realnymi potrzebami? Czy tego dziecka też się pani pozbędzie, oddając je w ręce nianie, opiekunek i nauczycieli w szkole z internatem?

Ojciec Maxa stanął prosto jak struna.

– Myślę, że już czas porozmawiać z panią Greasley – powiedział, obejmując ramieniem oniemiałą żonę i oboje ruszyli w stronę wyjścia.

– Może lepiej porozmawia pan z synem? – zawołała za nimi Claire. – Czy woli pan pojechać prosto na kolację, bez Maxa?

Dywan w gabinecie pani Greasley pokrywał geometryczny wzór krzyżujących się ze sobą linii, które przypominały labirynt w dziecięcej książeczce z łamigłówkami. Taki, po którym można było beztrudno wędrować ołówkiem, póki nie trafiło się w ślepy zaułek.

Claire utkwiała wzrok w dywanie i zaczęła wodzić obcasem po fragmencie ścieżki.

– Państwo Gore-Thomas bardzo się zdenerwowali – powiedziała Veronica. – Zapewnili mnie, że napiszą na Ciebie skargę.

– Zachowałam się całkowicie nieprofesjonalnie – przyznała Claire. – Tak mi przykro! Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło.

– Obawiam się, że będę musiała zastosować wobec Ciebie procedurę dyscyplinarną. Nie lubimy tego robić, ale... – Veronica rozłożyła ręce, jakby nic nie mogła w tej sprawie poradzić.

– Wiem – odparła smutno Claire.

Gniew, który jeszcze pół godziny wcześniej napędził ją do działania, całkiem wyparował. Czowała się pozbawiona energii, przybita i markotna.

– Najpierw jednak chciałabym wysłuchać twojej wersji wydarzeń, Claire.

Veronica powiedziała to życzliwym głosem i Claire uniosła głowę.

– Wiem, że nie powinnam była nic mówić, ale jeśli mam być szczerą, Veronica, sądzę, że miałam rację. Myślę, że rodzice Maxa go nie słuchają. Pewnie wcale nie spędzają z nim czasu. To bardzo nieszczęśliwy chłopiec, a muzyka wydaje się być jego jedyną ucieczką.

– Dlaczego nie podzieliłaś się swoimi obawami z Ernestem Doughty, kierownikiem akademika Maxa? Mamy tu bardzo skuteczną procedurę raportowania.

– Max prosił, żebym tego nie robiła.

Veronica westchnęła z zaniepokojeniem.

– Wiem, wiem – powiedziała Claire. – Ale pomyślałam, że jeśli pozwolimy mu się uczyć muzyki, wzmocnimy jego pewność siebie, to może... pomóc.

– Innymi słowy, Claire, wymyśliłaś, co jest najlepsze dla twojego ucznia, oczywiście bazując na swoim doświadczeniu zawodowym, i co, jak się okazuje, jest sprzeczne z życzeniami jego rodziców...



– Jego wychowawca przyznał mi rację, Max poradziłby sobie z dodatkowymi zajęciami.  
– ...a później zakwestionowałaś ich miłość do syna, kiedy ośmielili się z tobą nie zgodzić.

Głos Veroniki nie brzmiał już życzliwie. Claire ponownie opuściła wzrok na dywan.

– Tak.

– Wielu rodziców jest zabieganych. Nie znaczy to, że mniej kochają swoje dzieci.

W rzeczywistości są z nimi mocno zżyci. Nie możesz obrażać rodziców naszych uczniów, mówiąc, że „pozbywają się kłopotu”, kiedy wysyłają je do szkoły z internatem.

– Wiem o tym, ale nie mówiłam o wszystkich rodzicach, tylko o rodzicach Maxa.

W szkole rzadko kiedy było tak cicho, jak w tamtym momencie, kiedy większość dzieci i personelu rozeszła się do domów.

Veronica westchnęła.

– Wiem, że masz za sobą wyjątkowo ciężki rok, czy nawet kilka lat – powiedziała. –

I chociaż niedawno twoja sytuacja się zmieniła, pewnie musisz do niej emocjonalnie przywyknąć.

– Tak bardzo pragnęłam mieć dziecko – powiedziała Claire, nie podnosząc głowy. – Nie potrafię zrozumieć, jak można je mieć i nie kochać całym sercem. – Łza spłynęła jej na spódnicę. Nie, żadnego płaczu. Usiłowała powstrzymać się od łez.

– Bardzo ci współczuję, Claire. I wiem, że nie możesz odwieść swoich uczuć na kolek po przekroczeniu progu szkoły. Szanujemy cię jako nauczycielkę, lecz niestety to nie był pierwszy raz, kiedy twoja sytuacja osobista miała negatywny wpływ na twoją pracę.

– Wcale nie...

– Chodziłaś na zwolnienia lekarskie, do których rzecz jasna masz prawo. Uczniowie skarżyli się jednak, że bywasz... rozkojarzona. Do tego dochodzą relacje z kolegami. Przykro mi, że muszę o tym wspominać.

– Staralam się nie okazywać...

– Oczywiście.

*Ale nie dostatecznie mocno.*

Veronica podała jej stojące na biurku pudełko chusteczek. Claire wyjęła jedną i wydmuchała nos. Nie zauważyła kosza, więc ścisnęła mokrą chusteczkę w dłoni.

– Państwo Gore-Thomas będą nalegać, żebyśmy coś w tej sprawie zrobili – powtórzyła Veronica. – Co proponujesz?

– Nie wiem.

– Pomyślałam, że to może być dla ciebie szczęście w nieszczęściu.

– Słucham?

– Po Bożym Narodzeniu i tak planowałam urlop macierzyński. Może moglibyśmy go przyspieszyć? Rodzice Maxa zobaczą, że zareagowaliśmy, a ty będziesz się mogła przygotować do narodzin dziecka. To rozsądny kompromis.

– A co z moimi lekcjami? I przygotowaniem do koncertu z okazji dnia świętego Michała?

– Zajmiemy się tym. Powinnaś teraz pomyśleć o sobie.

– Max zamierzał... – nie dokończyła. Było mało prawdopodobne, żeby w najbliższym czasie pozwolono jej pracować z Maxem. Kolejna rzecz, którą zepsuła.

– Rzecz jasna, to nie jedyne rozwiązanie – powiedziała Veronica – ale możliwe, że najprostsze. Może zastanowisz się przez weekend, a w poniedziałek rano wrócimy do tej rozmowy?

– Przygotowuję uczniów do egzaminów.

– Znajdziemy zastępstwo. – Veronica wstała zza biurka. – Z punktu widzenia dyrekcji będzie lepiej, jeśli inicjatywa urlopu wyjdzie z twojej strony. W ten sposób pokażesz, że zdajesz sobie sprawę z powagi swoich czynów. Rodzice uczniów są dla nas bardzo ważni, gdyby nie zapisywali dzieci do naszej szkoły, przestalibyśmy istnieć.

Mimo przyjaznego i zatroskanego tonu, w głosie pani Greasley czaiło się ostrzeżenie. Claire nie chciała sięgać po kolejną chusteczkę, lecz nie mogła się powstrzymać.

– Czy jesteś w stanie prowadzić samochód? – upewniła się Veronica. – Mogę zadzwonić po twojego męża i poprosić, żeby przyjechał.

– Ja... – Claire otarła oczy. Przypomniała sobie, że kiedy wcześniej dzwoniła do Bena, miał wyłączony telefon. – Nie, nie. Poradzę sobie. Zastanowię się nad twoją sugestią.

– Świetnie.

Kiedy Ben wrócił do domu, Claire siedziała w ciemnym pokoju pod dzierganą narzutą i oglądała *Zamianę żon*.

– Co ty, u licha, oglądasz? – zdziwił się, stając w progu salonu.

– Gdzie byłeś? Wyłączyłeś telefon.

– Grałem w *Monopoly* z Romily i Posie. Co jest na kolację?

Claire oparła podbródek na kolanach.

– Wyłączyłeś telefon, żeby grać w *Monopoly*?

Ben westchnął.

– Nie zaczynaj, Claire. Zrobiłem to bezwiednie.

– A gdybym chciała z tobą porozmawiać?

– Miałaś zebranie z rodzicami. Poza tym, zawsze mogłaś zadzwonić do Romily.

– Nie widzisz nic dziwnego w tym, że miałabym dzwonić do Romily, aby porozmawiać z własnym mężem?

– W porządku, przepraszam.

Ben zaczął się wycofywać do kuchni.

– Możliwe, że mnie zwolnią.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Słucham?

– Powiedziałam... coś głupiego.

– Nie rozumiem. Dlaczego mieliby cię zwolnić? Wszyscy w Świętym Dominiku cię uwielbiają.

– Nakrzyczałam na rodziców Maxa.

– Kim jest Max? – Ben nie ruszył się z miejsca, położył tylko dłoń na oparciu kanapy. Bijący z telewizora blask oświetlał mu twarz.

– Opowiadałam ci o Maxie, chłopcu, który tak dobrze gra gitarze. Planowałam mu urządzić recital.

– Dlaczego nakrzyczałaś na jego rodziców?

Claire zaczęła od początku: od tego, jak Max opowiedział jej o swoim ojcu i macosze, o muzyce i tęsknocie za miłością. Liście, który napisała do jego ojca, z pytaniem, czy Max może się uczyć muzyki, recitalu i o wszystkich wspólnie spędzonych przerwach. A także rozmowie, którą podsłuchiwała w toalecie, państwu Gore-Thomas i stylowym ciężowym brzuszku. O tym, jak straciła nad sobą kontrolę i powiedziała to, co czuła.

– Och, Claire – westchnął Ben.

Chciała mu powiedzieć o towarzyszącemu tej sytuacji poczuciu władzy, o tym, jak cudownie było choć przez chwilę wyzwolić się spod reguł bycia miłą. Zamiast tego powiedziała:

– Ale to prawda, Ben. Ci ludzie są kiepskimi rodzicami. Nie zależy im na Maxie. Gdyby

było inaczej, poświęciliby więcej czasu, żeby go poznać.

– To, co mówisz, brzmi okropnie i jest zupełnie nie w twoim stylu.

– Naprawdę tak czułam. – Ben miał jednak rację, Claire nigdy nie postępowała w ten sposób. Na samo wspomnienie rozboleła ją brzuch. – Veronica twierdzi, że nie radzę sobie w pracy. Jej zdaniem pozwoliłam, żeby moje życie prywatne wpłynęło na to, jaka jestem w klasie. To niedorzeczne.

– No cóż, zdziwiłbym się, gdyby to, co nas spotkało nie miało wpływu na twoje nauczanie. Sporo ostatnio przeszliśmy.

– A co z twoją pracą? Też ucierpiała?

– Na pewno. Ostatnio nie dawałem z siebie wszystkiego, szczególnie od wypadku Romily. Nie przejmuj się, Claire. Nie wydarzyło się nic strasznego, a dyrekcja wie, jak cennym jesteś dla nich nabytkiem. Będzie dobrze.

Objął Claire ramieniem i pocałował ją w bok głowy.

– Veronica uważa, że powinnam pójść na urlop macierzyński wcześniej niż planowałam. Najlepiej od razu. Jeśli zejdę Gore-Thomasom z drogi, może przestaną się domagać mojej krwi. Veronica nie wspomniała o tym, że ojciec Maxa jest członkiem zarządu szkoły, ale na pewno o tym pomyślała.

– A wiesz, że to nie jest zły pomysł? Będziesz miała więcej czasu dla siebie.

– Dopiero co skończyły się wakacje. Czasu miałam aż nadto. Z nudów chodziłam po ścianach.

Ben pogłaskał ją po włosach.

– Wszystko będzie dobrze, Claire. Ostatnio żyłaś pod ogromną presją. Odpocznij, przygotuj się do narodzin dziecka, a później wszystko się ułoży. Przestaniesz myśleć o powrocie do szkoły. Będziesz się zastanawiać, dlaczego wydawało ci się to takie ważne. Jeszcze się z tego wszystkiego uśmiejesz, zobaczysz.

– Myślisz, że będę się śmiała z powodu utraty pracy?

– I tak zamierzałaś odejść.

– Ale nie w ten sposób.

– Claire – powiedział z rezygnacją Ben, odsuwając się od niej. – Co chcesz, żebym powiedział? Staram się znaleźć wyjście z tej sytuacji.

– Nie tego od ciebie oczekuję.

– Chcesz, abym przyznał, że popełniłaś straszny błąd?

Claire podniosła się z fotela.

– Chcę tylko, żebyś stanął po mojej stronie.

– Jestem po twojej stronie. Chcę dla ciebie jak najlepiej. Myślę, że ostatnio nie jesteś sobą, przez co mówisz i robisz rzeczy, których wcale nie chcesz. Każdy na twoim miejscu by się tak zachowywał.

Claire schowała twarz w dłoniach.

– Nie jestem każdym – powiedziała donośnym głosem. – Jestem sobą. Chciałam to powiedzieć i chcę, żebyś o mnie walczył. Nie chcę, abyś myślał, że zachowuję się irracjonalnie, że sobie nie radzę i tracę kontrolę.

– Wcale tak nie myślę – odparł Ben, głaszcząc ją po plecach.

*Ale ja tak* – pomyślała.

## I ŚMIESZNIE, I STRASZNIE

We wtorek, kiedy Claire otworzyła drzwi, na progu jej domu stała Romily z parasolką i kartonowym pudełkiem, które oparła sobie o brzuch.

– Słyszałam, co się stało – powiedziała, uśmiechając się przeprasząco. – Wzięłam wolny poranek. Masz ochotę na towarzystwo?

Nie miała, lecz i tak wpuściła Romily do środka. Była oszołomiona tym, że we wtorek w środku semestru nie musiała iść do pracy. Miała na sobie legginsy i stary T-shirt Bena, czyli swój strój roboczy, chociaż właściwie skończyła już urządzenie dziecięcego pokoju.

Romily zapuszczała włosy, ich końcówki były mokre. Podała Claire pudełko i pochyliła się, żeby rozwiązać buty, sapiąc przy tym z wysiłku.

– Ben ci powiedział – odezwała się Claire.

– Owszem, i uważam, że to kompletny idiotyzm – odrzekła Romily. – Jak mogą cię zmuszać do odejścia? Bo powiedziałaś głośno to, co pomyślałaby każda rozsądna osoba? – Wyprostowała się, przykładając dłoń do pleców. – Tamci ludzie powinni ci dziękować na kolanach za to, że zadałaś sobie trud wychowania ich dziecka, skoro im samym się nie chciało.

– Myślisz, że miałam prawo im to powiedzieć?

– Sama staram się od czasu do czasu szepnąć słówko prawdy kolegom w pracy. Lekko namieszać, wzbudzić kontrowersję. Wtedy od razu robi się ciekawiej.

Było to tak różne od zachowania większości ludzi, że Claire wlepiła w Romily zdumiony wzrok.

– Z drugiej strony – kontynuowała Romily – co ja tam wiem? Pracuję sama w pokoju pełnym martwych owadów.

– Nie sądziłam, że kiedyś to powiem, ale zaczynam dostrzegać urok takiej pracy. Napijesz się herbaty? – Weszły do kuchni. Claire nie zdążyła jeszcze pozmywać po śniadaniu. – Nie spodziewałam się gości – wyjaśniła, jakby codziennie rano nie zmywała naczyń, niezależnie od tego, czy spodziewała się gości, czy też nie.

Romily nie zwróciła na to uwagi. Claire zrozumiała, że nawet gdyby było inaczej, i tak by się tym nie przejęła.

Niezależnie od jej irytująco swobodnego zachowania, nieodpowiedzialnych wspinaczek po wydmach, braku dbałości o dietę i porządek, Romily miała jedną cechę, która w tamtym momencie bardzo odpowiadała Claire: nie zamierzała jej oceniać.

*Spędzanie z nią czasu musi być dla Bena bardzo łatwe* – pomyślała i natychmiast spróbowała pozbyć się tej myśli, nastawiając wodę na herbatę.

– Podobno małństwo czuje się dobrze – powiedziała. – Ben praktycznie każdego dnia przekazuje mi bieżące informacje.

Zabrzmiało to jak przytyk. Odkąd mózg Claire pozwolił jej w piątek powiedzieć to, na co miała ochotę, nie była w stanie się powstrzymać, tak jakby ktoś wyłączył jej samokontrolę. Jednak, w przeciwieństwie do piątkowej sytuacji, nie czuła się dzięki temu silna ani wyzwolona, lecz po prostu zmęczona.

Romily nie zwróciła uwagi również na to.

– Małństwo kopie jak najęte. W przyszłości czeka cię mnóstwo meczów piłki nożnej lub pokazów tanecznych. – Poprawiła się na krześle. – Jedna z matek ze szkoły Posie zapisała mnie na początku grudnia do szkoły rodzenia, może miałabyś ochotę dołączyć?

– Jak wiesz, mam teraz dużo wolnego czasu.

– Jak długo nie będziesz pracować?

– Dyrekcja zgodziła się, żebym poszła na urlop macierzyński praktycznie od zaraz.

Najwyraźniej przez weekend udało im się znaleźć za mnie zastępstwo. Przed tym incydentem myślałam, że wrócę do pracy na pół etatu na kilka ostatnich tygodni letniego semestru, a dopiero na jesieni odejdę, ale teraz myślę, że być może będę musiała całkiem zrezygnować.

– Możliwe, że do Wielkanocy sprawa przycichnie.

– Być może, ale szczerze wątpię. Kierownictwo okazało mi... Wczoraj nie czułam się im szczególnie potrzebna.

Nawet Veronica, która w piątek po południu zachowywała się dość życzliwie, z surową miną przyjęła jej wniosek o urlop, różnoznaczny z rezygnacją. Claire przypuszczała, że przez weekend państwo Gore-Thomas kontaktowali się z jej szefową. Dziwne, że znaleźli na to czas pomiędzy proszonymi kolacjami.

– Pewnie wygwizdali cię, gdy tylko weszłaś?

– Nie, byli uprzejmi, ale...

– Ale wręczyli ci wielkie tekturowe pudło, żebyś mogła się spakować?

– Dwa małe. Moja aspidistra się do nich nie zmieściła.

Kobiety popatrzyły na siebie i o dziwo zaczęły się śmiać.

– To wcale nie jest śmieszne – powiedziała Claire – tylko straszne.

– Czasem bywa i śmiesznie, i strasznie. Zajrzyj do pudełka, to się przekonasz.

Claire postawiła je na stole, żeby zrobić herbatę, a teraz otworzyła pudełko i zajrzała do środka. Uderzył ją aromat spalonej czekolady.

– Upiekłam ci babeczki – oznajmiła Romily. – A przynajmniej próbowałam. Trochę mi nie wyszły.

Claire wyjęła z kartonu talerz, na którym leżało dziewięć koślawych brązowo-czarnych bryłek w różowych papilotkach. Na szczycie każdej z babeczek leżała na wpół rozpuszczona pianka.

– Babeczki miały być czekoladowe. W sklepie na rogu nie mieli cukru pudru, spróbowałam włożyć do środka pianki, kiedy ciasto było jeszcze ciepłe. Nic z tego nie wyszło, więc wstawiłam babeczki z powrotem do pieca. To też nie pomogło.

– To bardzo miłe z twojej strony, dziękuję.

– Przystaniesz mi dziękować, kiedy ich spróbujesz. Okropna ze mnie kucharka. – Romily podniosła jedną z babeczek i odłożyła ją z powrotem na talerz. – Chociaż i tak nieźle mi poszło jak na debutantkę.

– Skoro piekłaś babeczki po raz pierwszy, zjemy je na porcelanie mojej babci. – Claire wyjęła z szafki dwa kwieciste talerzyki ze złotym obrąbkiem i na każdym z nich położyła ciastko. Babeczki okazały się dosyć ciężkie.

– Nie musisz ich jeść – powiedziała Romily.

– Na pewno będą pyszne.

Claire zdjęła papierową foremkę i ugryzła kęs ciastka. Z wierzchu było przypalone, a środek okazał się zbitą, mączno-kakaową cegłą.

– Interesujące – powiedziała.

– Świetnie to ujęłaś. Doceniam konstruktywną krytykę. Kto wie, może któregoś dnia znowu spróbuję.

Claire przez długą chwilę żuła i wreszcie przełknęła kęs, a później długo próbowała usunąć językiem resztki gumowatego ciasta z zębów.

– Następnym razem spróbuj ustawić niższą temperaturę w piecyku. Jeśli jest zbyt wysoka, łatwo spalić wierzch i nie dopiec ciasta w środku.

– Zapamiętam.

W kolejnym kęsie Claire natrafiła na składnik, którego nie rozpoznała.

– Dodałaś orzechy?

– To może być kawałek skorupki od jajka – powiedziała Romily, krzywiąc się.

Po raz drugi tego ranka Claire, ku własnemu zaskoczeniu, serdecznie się roześmiała.

Cieszyła się, że Romily ją odwiedziła i uratowała przed długim, bezcelowym dniem, który niewątpliwie ją czekał.

– Całe szczęście, że nie konik polny – odrzekła.

– Na pewno nie, chociaż słyszałam, że są pyszne i mają mnóstwo protein. – Romily ugryzła kawałek swojej babeczki. – Nie smakuje tak źle, jak myślałam. Prawie, ale nie całkiem.

– Są smaczne – zapewniła ją Claire. – Pochlebia mi, że zadałaś sobie tyle trudu z mojego powodu.

– Wiesz, że Hal nadal wspomina babeczki, które nam przyniosłaś?

– Upiekę mu więcej.

– Nie, nie musisz. Na pewno masz lepsze rzeczy do roboty.

– Właściwie nie – odparła smutno Claire. – Latem skończyłam urządzać pokój dziecięcy.

– Naprawdę? – Romily obracała w dłoniach kubek z herbatą. – Przykro mi, że ostatnio tak rzadko się widzimy. Wysłałam ci kilka SMS-ów w sprawie jogi, ale pewnie ich nie dostałaś.

– Dostałam – odparła bez zastanowienia Claire – ale nie odpowiedziałam, bo byłam na ciebie zła.

Dłonie Romily zastygły w bezruchu.

– Dlaczego?

– Uważałam, że bezmyślnie ryzykujesz własnym zdrowiem, a tym samym zdrowiem naszego dziecka.

– Claire, przykro mi z powodu wypadku. Nie chciałam...

– Wiem.

Obie skubały swoje spalone babeczki.

– Byłam zdenerwowana – odezwała się w końcu Romily. – Pokłóciłam się z Jarvisem.

– Och, nie. O Posie?

– O nic ważnego. Nie patrzyłam pod nogi. Uwierz mi, Claire, że to się więcej nie powtórzy. Wiem, ile to dziecko dla was znaczy.

– Oczywiście, że wiesz – powiedziała Claire z pełnym przekonaniem. – Zachowałam się niegrzecznie, ignorując twoje SMS-y. Jak się czujesz?

– Grubo i niezgrabnie.

– Ben uważa, że kiedy dziecko przyjdzie na świat, wszystko się ułoży i o nic nie będziemy się musieli martwić.

Romily uśmiechnęła się.

– Och, Claire, wasze zmartwienia dopiero się zaczynają. Wysypki, kolki, nieprzespane noce, programy dla dzieci, trening czystości, ataki gniewu, wszy, moczenie się, tajemnicze choroby... I przygotuj się na to, że nigdy więcej nie obejrzysz horroru, ponieważ w każdej z ofiar będziesz widziała swoje dziecko.

– Myślę, że warto się pomęczyć.

– Masz rację – przyznała Romily.

– Czy mogę cię o coś zapytać? Jako matkę?

– Jasne.

– Myślisz, że powinnam napisać maila do Maxa? To ten chłopiec, przez którego mam

kłopoty. Jest bardzo samotny i utalentowany. Boję się, że bez mojego wsparcia odpuści sobie muzykę.

– Żartujesz? Oczywiście, że powinnaś. Inaczej czuje się opuszczony.

– Nie wiem, czy to będzie profesjonalne. Jego rodzice nie byliby zachwyceni.

– Cóż, skoro i tak musiałaś zrezygnować z pracy, nie masz nic do stracenia. Uważam, że właśnie tak postąpiłby dobry nauczyciel. Nauczyciel biologii ze szkoły średniej przysyłał mi wiadomości, kiedy już studiowałam. Parę razy nawet się spotkaliśmy. Świetny człowiek.

– Max ma tylko czternaście lat. Nie chcę, żeby ludzie coś sobie pomyśleli.

– Nic sobie nie pomyślą. Przecież chcesz mu pomóc. Dobry nauczyciel, taki jak ty, potrafi odmienić życie dzieciaka. Nie napiszesz nic, co wstydziłabyś się pokazać jego rodzicom.

– Oczywiście, że nie. OK, w takim razie to zrobię. Dzięki za zaufanie, Romily.

– Nie ma sprawy. Miło wiedzieć, że poza kuchnią mogłam się do czegoś przydać.

– Chcesz zobaczyć pokój?

– Jasne.

Odłożyły babeczki na talerz.

– Jak ci się układa z Jarvisem? – zapytała Claire, kiedy wchodziły po schodach.

– To wszystko jest takie... niespodziewane.

– Co masz na myśli? Poza oczywistościami.

– Jarvis jest panem samego siebie, nie tylko wspomnieniem czy zbiorem genów. Ma własne potrzeby i opinie. I wszystko postrzega zupełnie inaczej niż ja.

– Myślisz, że mógłby być dobrym ojcem?

Romily zatrzymała się u szczytu schodów.

– Bardzo się stara. Posie go lubi.

– A ty?

– To bez znaczenia.

– Posie za nim przepada. Jest dość przystojny.

Romily wydała z siebie niezobowiązujące mruknięcie, rozbawiona tym, że Claire próbuje ją wyswatać z ojcem jej własnego dziecka. To nie była sprawa Claire, ale czy nie byłoby dobrze, gdyby tak się skończyło?

– Przepraszam – powiedziała Claire. – Chyba każdy, kto jest w szczęśliwym związku chce, żeby innym też się udało.

– W porządku – odparła niepewnie Romily i Claire natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy Ben się jej zwierzał. Czy Romily wiedziała, że się kłócili?

Nie mogła jednak o to zapytać, a Romily nic więcej nie powiedziała, tylko weszła do pokoju dziecięcego i uważnie się rozejrzała.

Chociaż na dworze padało, pokój był pełen słońca dzięki żółtym ścianom i jaskrawożółtym zasłonom obszytym białą wstążką. Był tam też miękki dywan, pluszowe misie, przewijak, pełna jasnozielonych kocyków kołyska w kolorze miodu, a nad nią karuzela złożona z owieczek i chmurek.

– Jest piękny – powiedziała Romily.

Podniosła poduszkę z bujanego fotela, na którym Claire będzie trzymała dziecko w ramionach i śpiewała mu kołysanki. Przeciągnęła dłonią po nowej, miękkiej bawełnie i ostrożnie odłożyła poduszkę na swoje miejsce. Popatrzyła na elektroniczną niańkę, gotową do pracy, i wiklinowe kosze, w których Claire ułożyła pieluszki i waciki.

– O wszystkim pomyślałaś.

– Nie byłam pewna, czy powinnam. Nie chciałam kusić losu.

Romily pokręciła głową.

– Nie. Wszystko wygląda doskonale. – Dotknęła karuzeli i delikatnie wprawiła ją w ruch. – Posie nie miała żadnej z tych rzeczy. Pamiętasz? Spała ze mną, dopóki nie znalazłyśmy mieszkania z dwiema sypialniami. – Zatrzymała karuzelę. – Ale nawet gdybym miała większy dom i więcej pieniędzy, nie urządziłabym tego pokoju równie pięknie. W przeciwieństwie do ciebie, nie mam do tego talentu.

– Och – Claire wzruszyła ramionami, skrzepowana. – Przynajmniej miałam się czym zająć.

– Dziecko będzie tu bardzo szczęśliwe.

– Mam nadzieję.

Romily chwyciła rękę Claire i przyłożyła ją sobie do brzucha.

– Wszyscy będziecie bardzo szczęśliwi – powiedziała.



## TAJNA MISJA

– OK, musisz pójść ze mną.

Claire zawahała się. Były na stacji benzynowej, gdzie zatrzymały się zaledwie po piętnastu minutach jazdy autostradą M4, a Romily wskazywała na pokój do przewijania. W rękach trzymała wielki plecak, który wyjęła z bagażnika golfa po przyjeździe na stację.

– Chcesz, żebym tam z tobą poszła? – zdziwiła się Claire. – Dlaczego?

– Zaufaj mi – powiedziała Romily. – To część naszej tajnej misji.

Romily zjawiała się tego ranka w domu Claire razem z Posie. Claire nie spodziewała się jej wizyty, lecz po sposobie, w jaki Ben błyskawicznie zabrał Posie na górę, żeby pobawić się z nią nowym zamkiem, domyśliła się, że pomagał przyjaciółce w zrealizowaniu jej tajemniczego planu. Romily powiedziała tylko, że misja jest ściśle tajna, a Claire musi z nią dokądś pojechać. Nie zdradziła gdzie, tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową.

A teraz jeszcze ten pokój do przewijania. Zanim weszła do środka, Claire rozejrzała się, czy w pobliżu nie kręcą się zdesperowani rodzice z torbami pełnymi pieluch. Romily zamknęła za nimi drzwi i położyła torbę na przewijaku.

– A teraz zdejmij bluzkę – powiedziała.

– Słucham?

– Za chwilę zrozumiesz, obiecuję.

Claire rozpięła koszulę i ją zdjęła. Romily błyskawicznie wyjęła z plecaka kilka szalików i poduszkę. Claire rozpoznała w niej poduszkę leżącą na kanapie Romily.

– Co ty robisz? – zapytała po raz dwunasty, zaczynając się śmiać.

– Ciężowy brzusek. Obróć się. – Romily przyłożyła poduszkę do brzucha Claire i przytrzymała ją na swoim miejscu szalikami. Po kilku poprawkach odsunęła się, by ocenić swoje dzieło.

– Moja koszula za nic się nie dopnie – zauważyła Claire.

– Nie martw się. Mam coś jeszcze. – Romily wyciągnęła z plecaka różowy T-shirt i wręczyła go Claire. Wzdłuż piersi widniał nadrukowany napis DZIECKO i skierowana w dół strzałka. – Kupiłam go specjalnie, żeby rozwiać ewentualne wątpliwości.

Claire nigdy w życiu nie kupiłaby podobnej koszulki. A jednak ją założyła.

– Doskonale – oceniła Romily. – Od tej chwili jesteś oficjalnie przy nadziei.

W pomieszczeniu nie było lustra. Claire popatrzyła w dół, na swój brzuch.

– Pewnie wygląda sztucznie.

– Wcale nie. Powinno się udać, pod warunkiem, że nikt nie podciągnie ci koszulki.

Chodźmy. – Otworzyła drzwi.

Claire nadal się wahała.

– Rozumiem, co chcesz zrobić, Romily, i doceniam twój gest, ale nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Tam, dokąd jedziemy, nikt nie będzie cię znał ani zastanawiał się nad twoją ciążą.

– Sama nie wiem.

– Zaufaj mi – powiedziała Romily.

Claire wyszła za nią, potwornie skrępowana. Spodziewała się ciekawskich spojrzeń i pytań, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Wychodząc ze stacji benzynowej, Claire dostrzegła swoje odbicie w szybie. Zatrzymała się i wlepiła w nie wzrok. Odbicie nie było wyraźne jak w lustrze, ale coś jednak było widać.

Claire wyglądała, jakby była w ciąży. Gdyby naprawdę spodziewała się dziecka, byłaby zaokrąglona, rumiana i śliczna. Sprawiała wrażenie szczęśliwej.

– Świetnie wyglądasz – oceniła Romily. – Na pewno ustąpiłabym ci miejsca w autobusie. Gotowa na akt drugi?

– Nawet siadać trzeba inaczej – powiedziała Claire, kiedy dotarły pod adres sprawdzony przez Romily w internecie. – Z lekko rozsuniętymi nogami. Cięża zmienia absolutnie każdy twój ruch!

– Podczas pierwszej ciąży wiecznie się klinowałam – zapomniałam, że nie wszędzie się mieszczę.

Romily wyłączyła silnik. Jak na razie eksperyment okazał się sukcesem. Przez ostatnie pół godziny Claire ekscytowała się swoim wielkim brzuchem. Kiedy się śmiała, sprawiała wrażenie młodszej i bardziej kruchej. Romily zrozumiała, dlaczego Ben tak bardzo lubił ją rozśmieszać.

Sama miłość Bena wystarczyła, żeby wywołać uśmiech na twarzy Claire. Romily działała z zupełnie innych pobudek: próbowała zagłuszyć wyrzuty sumienia.

– Co my tu robimy? Gdzie jesteśmy? W Marlborough? – zdziwiła się Claire, a później wyrzwała przez okno. – Och!

– Ten sklep z artykułami dziecięcymi jest dostatecznie daleko od twojego domu i szkoły, żebyś nie spotkała nikogo znajomego. – Romily wskazała pastelowoniebieskie drzwi sklepu. W oknach wisiały miękkie obłoczki zrobione z kłębków waty. – No dalej. Zrób zakupy dla Maleństwa. A potem, jeśli będziesz chciała, znajdziemy kawiarnię pełną milusich mamusiek i zajmiemy miejsce między nimi.

– Nie uważasz, że kupowanie ubranek nienarodzonemu dziecku przynosi pecha?

– Urządziłaś mu już przecież pokój. No dalej, spraw sobie przyjemność.

Claire otworzyła drzwiczki samochodu i wysiadła. Schyliła się, nie bez trudu, i zapytała Romily:

– A ty nie wchodzisz?

– Nie jestem ci do niczego potrzebna.

– Byłoby mi rażniej.

– Nie, nie, tylko bym cię rozpraszała. To twoja niespodzianka.

– We dwie bawiłybyśmy się lepiej, a ja nie czułabym się tak głupio.

Tym razem to Romily się zawahała. Na tym właśnie polegał szkopuł jej planu. Miała nadzieję, że będzie mogła zostać w samochodzie i nie oglądać tych wszystkich maleńkich ubranek.

– A jeśli któryś z szalików się rozwiąże i będę potrzebowała twojej pomocy? – zapytała Claire. Romily poddała się i wysiadła z samochodu.

– Kupię tylko jedno, najwyżej dwa ubranka – powiedziała Claire. – Może czapeczkę lub sweterek, jeśli będą je mieli w żółtym, zielonym lub białym kolorze.

Sklep był dokładnie taki, jak wyobrażała go sobie Romily. Ze ścianami pomalowanymi na biało, deskami podłogowymi w kolorze złamanej bieli, obwieszony ślicznymi maleńkimi ubrankami. Były tu też pluszowe misie, mięciutkie owieczki i ręcznie robione lalki. Wszystko bezpieczne i miękkie, w kolorach kamieni szlachetnych i natury. Sprzedawczyni, która składała ubranka niedaleko wejścia, przywitała je obie.

– Dzień dobry – odpowiedziała wesoło Claire i zaczęła się rozglądać po sklepie.

W przeciwieństwie do Romily, miała talent do zakupów. Romily zerknęła za zawieszkę z ceną. Aż tyle za ciuszek, który i tak zabrudzi się dziecięcą kupką?

Starła się sprawiać wrażenie niezainteresowanej, podczas gdy Claire oglądała wszystko

po kolei, zachwycając się „ślicznymi” sukienkami i „rozkoszными” spodenkami. Wybrała dziergany zielony sweterek i zastanawiała się nad zakupem pieluszek z organicznej bawełny. Sprzedawczyni podeszła do niej, oceniając, że to właśnie Claire łatwiej będzie namówić do zakupów.

- Na kiedy ma pani termin? – zapytała.
- Szósty stycznia – odparła Claire.
- Świetnie pani wygląda.
- Dziękuję.
- Czy to pani pierwsze dziecko? Jak się pani czuje?

Claire rzuciła Romily ukradkowe spojrzenie, zanim powiedziała:

- Do siedemnastego tygodnia miałam mdłości, ale poza tym czułam się dobrze.
- To okropne. Podczas mojej pierwszej ciąży też dręczyły mnie nudności.
- A teraz zdarza mi się klinować w przejściu! Wydaje mi się, że się zmieszczę, ale nie z tego!

Romily powinna się skoncentrować na szczęściu Claire, któremu sama się przysłużyła, a nie na maleńkich ubrankach, których i tak nie będzie potrzebować. Śpioszka, których nie będzie przeciskać przez pokrytą miękkim meszkiem główkę, rękawkach, których nie będzie naciągać na pulchne ramionka. Potajemnie sięgnęła po kocyk z naszytą kaczuszką i potarła go palcami. Odłożyła kocyk na półkę, obok pary białych bucików.

Niemowlęce buciki, cóż za bezużyteczny przedmiot. Te były haftowane, śliczne, czyściutkie i puste. Mieściły się w dłoni. Romily pomyślała o maleńkich stópkach i paluszkach, które odruchowo się podwijały, kiedy przeciągnęło się palcem po nagiej podeszwie stopy.

- Pani też czegoś szuka? – odezwała się sprzedawczyni i dopiero po chwili Romily zrozumiała, że pytanie było skierowane do niej.
- Nie, jestem tu z przyjaciółką. – Odłożyła buciki na półkę.
- Ty też powinnaś coś wybrać. – Claire dołożyła czapeczkę i białą piżamkę do sterty ciuszków, która zrobiła się dość okazała.
- Obawiam się, że to nie moja półka cenowa – odparła Romily.
- Nie przejmuj się tym. Ja płacę. Myślę, że dziecko powinno mieć coś specjalnego, co sama wybrałaś, nie sądzisz?
- Och nie, nie trzeba.
- Czy te buciki nie są śliczne? – zapytała sprzedawczyni. – Ręcznie robione.

Claire podeszła bliżej i czule podniosła buciki.

– Są cudowne. Wyobraź sobie, jak będą wyglądały na dziecięcych stópkach. – Napotkała wzrok Romily, która przygryzła wnętrze policzka, żeby Claire nic nie zauważyła, i przytaknęła.

Claire wykupiła pół sklepu i wesoło gawędziła ze sprzedawczynią, kiedy ta wszystko pakowała. Zamożna mama, która może i wydała za dużo, ale któż by ją za to potępiał, skoro spodziewała się pierwszego dziecka? Wszyscy wiedzieli, że niczego mu nie będzie brakowało. Claire bez trudu odnalazła się w tej roli i Romily wiedziała, że od dawna ją sobie wyobrażała, ćwiczyła w wyobraźni odpowiednie gesty, słowa, niepewny i szczęśliwy uśmiech przy wręczaniu karty kredytowej kasjerce. Myślała o tym wszystkim, tak jak Romily wyobrażała sobie moment zakładania bucików na stópki swojego synka. Bucików, które nigdy się nie ubrudzą.

- Dziękuję – szepnęła do niej Claire, kiedy wyszły ze sklepu.

Przytuliła Romily. Ich brzuchy – jeden prawdziwy, drugi sztuczny – zetknęły się ze sobą. Tylko Romily wiedziała, że oboje udają kogoś, kim nie są.

*Drogie Małeństwo,  
Gdybyś tylko wiedziało, jak bardzo pragnę Cię zatrzymać.*

## STARA SUKIENKA

*Droga Pani Lawrence,*

*Tak, pracowałem nad tematem Alana. Nagrałem go dla Pani telefonem, załączam. Pani Radcliffe, która Panią zastępuje, pozwala mi korzystać z sali prób, jeśli ją o to poproszę, ale najczęściej udaje mi się znaleźć miejsce, gdzie mogę grać i nikt mi nie przeszkadza (choć w budynku szatni drużyny krykieta jest zimno i pełno tam niedopalków).*

*Przykro mi, że mój tata zachował się jak świnia. Wszyscy mówią, że już Pani do nas nie wróci i że to jego wina. Dziękuję, że napisała Pani do pana Doughty'ego w sprawie mojego recitalu. Zostały już mniej niż cztery tygodnie i nie jestem pewien, czy sobie poradzę. Na samą myśl o występie robi mi się niedobrze. Może uda się Pani przyjechać? Mam nadzieję, że znajdzie Pani nową pracę. Zasluguje Pani na szkołę z miłszymi rodzicami.*

*Pozdrawiam,*

*Max*

*Droga Claire,*

*Dziękuję Ci za niezwykle rzetelne i przemyślane plany zajęć, które nam zostawiłaś. Dobrze wiedzieć, że uczniowie mogą skończyć to, co zaczęli. Piszę jednak, by Cię poinformować, że od semestru wiosennego Helena Radcliffe postanowiła prowadzić zajęcia według własnego pomysłu. Przyjechała do nas z Cape Town, gdzie była dyrektorką wydziału muzycznego w międzynarodowej szkole.*

*Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. Daj znać, kiedy na świat przyjdzie Twoje upragnione dziecko!*

*Szczerze Ci oddana,*

*Dyrektor Veronica Greasley, Szkoła Św. Dominika*

Claire zapisała pliki muzyczne od Maxa, żeby odsłuchać je później, wstała od laptopa i poszła do Bena, który siedział na kanapie w salonie z własnym laptopem na kolanach. W telewizji transmitowano mecz piłki nożnej.

– Znaleźli już za mnie zastępstwo – powiedziała. – Panią Helenę Radcliffe, dyrektorkę wydziału muzycznego z Cape Town.

– To chyba dobrze? – zapytał Ben, nie odrywając wzroku od komputera. – Nie musisz się martwić.

– Ale ja lubię się martwić.

– Zauważyłem. – Sięgnął po teczkę, zerkając na wynik meczu. Claire zastanawiała się, czy nie usiąść na kanapie i nie przyłączyć się do męża. Dawniej zrobiłaby to bez chwili wahania. Miałyby stertę klasówek do ocenienia. Siedzieliby obok siebie, pochłonięci swoją pracą, niby osobno, a jednak razem.

Jednak tym razem nie miała nic do roboty i nie chciała wzbudzać w mężu litości.

– Napiłbyś się... – zaczęła, lecz w tym momencie usłyszała dzwonek swojego telefonu.

– Tak, proszę – odparł w roztargnieniu Ben, który nawet nie zauważył, że Claire poszła w stronę frontowych drzwi, gdzie zostawiła torebkę, zamiast do kuchni. Dzwoniła Romily.

– Chcę cię prosić o przysługę – powiedziała ściszym głosem. – Jest tam Ben?

– Tak, jest – odrzekła niepewnie Claire. – Dać go do telefonu?  
– Nie! Nie, chciałam porozmawiać z tobą. Czy Ben cię słyszy?  
Claire usiadła na schodach i również zniżyła głos.  
– Co się stało?  
– Nic takiego. Jarvis chce się ze mną umówić w przyszły piątek.  
– To świetnie!  
– I porozmawiać o sformalizowaniu jego wizyt u Posie.  
– Ach, tak.  
– Potrzebuję kogoś do opieki nad nią, a pani Spencer gra wtedy w bingo.  
– Zajmę się Posie, żaden problem.  
– Rzecz w tym... Czy mogłabyś do nas przyjechać? Nie chcę, żeby Ben...  
– Rozumiem.  
– Wcześniej czy później i tak będę musiała mu o tym powiedzieć, ale Ben nie cierpi Jarvisa i myślę, że byłoby łatwiej postawić go przed...  
– Decyzja należy do ciebie – przerwała jej Claire. – My też nie oczekujemy, że będziesz nam mówiła, jak mamy wychowywać dziecko, kiedy już...  
– Tak. No więc...  
– Przyjadę do ciebie w piątek o wpół do siódmej, OK?  
– I nic nie powiesz Benowi?  
Claire popatrzyła na zatopionego w pracy męża. Pewnie nie pamiętał już, że zaproponowała mu herbatę, nie wspominając o rozmowie na temat zastępującej ją nauczycielki.  
– Nie – odparła. – Nic mu nie powiem.  
– Dziewczyny powinny się trzymać razem, co? – w głosie Romily słychać było ulgę.  
– Właśnie.  
Inaczej nie dało się tego nazwać: Romily wyglądała jak tłusta krowa, i to w ciąży z cudzym cielęciem.  
Za to sukienka wyglądała całkiem, całkiem. Romily obróciła się, usiłując zobaczyć swoją pupę, ale lustro nie wisiało dostatecznie wysoko. Stanęła na palcach.  
– Niezły fatalasek – powiedziała wchodząca do sypialni Posie i rzuciła się na łóżko.  
– Skąd znasz to słowo?  
Dziewczynka wzruszyła ramionami.  
– Czy Jarvis zabiera cię do drogiej restauracji? To dlatego kupiłaś nową sukienkę?  
– Nie. Mama Sashy dała mi tę sukienkę. Należała do niej, więc nie jest nowa.  
– To nie była mama Sashy, tylko Alexy.  
– Racja, Alexy. Skąd o tym wiesz? Przyjaźnisz się z nią?  
– Nie. – Posie rozłożyła ramiona na łóżku. – Myślisz, że Claire przyniesie *Jezioro łabędzie* na DVD?  
– Nie wiedziałam, że lubisz balet.  
– Myślę, że mogłabym czasem być baleriną, w przerwach między wyprawami badawczymi.  
– To jest myśl.  
Romily przestała obciążać rąbek sukienki i zajęła się dekoltem. Nie była przyzwyczajona do tak głębokich wycięć. Ani do posiadania tak pełnych piersi.  
– Może powinnam po prostu założyć dzinsy i T-shirt.  
– Nie, zostań w sukience. Jest ładna.  
Rozległo się pukanie do drzwi. Posie zerwała się z łóżka i pomknęła do przedpokoju. Romily usłyszała, jak jej córka wita się z Claire.

Dla odmiany zajęła się włosami. Od wieków nie miała ich takich długich. Musiała pożyczyć szczotkę Posie, żeby je uczesać. Nie zgodziłaby się spotkać z Jarvisem, gdyby wiedziała, że będzie taka spięta. Będą sami po raz pierwszy od rozmowy o tym, kogo kochała i dlaczego Jarvis odszedł, a nawet wtedy Posie spała w sąsiednim pokoju. Tym razem mieli być naprawdę sami, pierwszy raz odkąd Jarvis przekroczył próg muzeum, kompletnie zaskoczył Romily i wywołał u niej nudności. Pewnie dlatego przywiązywała teraz tak wielką wagę do swojego wyglądu. Usiłowała się czymś zająć i nie myśleć o czekającym ją wieczorze wypełnionym niezręcznym milczeniem, które nadejdzie, kiedy już się zorientują, że nie łączy ich nic poza dzieckiem. Lub też wieczorze strofowania ją za to, że zaszła w ciążę z żonatym mężczyzną, którego kochała. Albo wieczoru spędzonego na porównywaniu terminarzy i ustalaniu planu opieki nad córką. Żadna z tych wizji nie była szczególnie kusząca. Romily mogła wyglądać co najwyżej jak ładnie ubrana tłusta krowa i poczuć się dzięki temu nieco lepiej.

Zresztą, denerwowała się nie tylko z powodu czekającego ją wieczoru. Sprzątała mieszkanie przez trzy dni, żeby odpowiadało standardom Claire. Oczywiście, nie udało jej się nawet zbliżyć do niedoścignionego ideału ze względu na ilość rzeczy zagracających ich maleńkie mieszkanie. Jeśli Claire otworzy którąś z szafek, spotka ją przykra niespodzianka.

Romily doprowadziła i siebie, i mieszkanie do możliwie najlepszego stanu. Nic więcej nie mogła zrobić.

Jak zawsze.

Kiedy wyszła z sypialni, Claire i Posie siedziały razem na kanapie, pochylone nad książką pełną kolorowych papierowych lalek. Claire popatrzyła na Romily i uśmiechnęła się.

– Ładnie wyglądasz. Czy to nowa sukienka?

– Nie, należy do mamy jednej z koleżanek Posie. Nie wiem czemu, ale ludzie pożyczają ciężarnym kobietom różne rzeczy, nawet jeśli się z nimi nie przyjaźnią.

Mamusi próbowały jej dawać także dziecięce ubranka. Wcześniej czy później będzie im musiała wszystko wyjaśnić.

Rzecz w tym, że do tej pory nie znalazła odpowiedniego momentu.

– Do twarzy ci w niej – orzekła Claire. – Niebieski to twój kolor.

– Romily stroi się dla Jarvisa – wypaliła Posie i wymieniła z Claire nie tak znów potajemny uśmiech.

– Och, na miłość boską, zaraz przebiorę się w dzinsy – powiedziała Romily, odwracając się. Znowu ktoś zapukał do drzwi i Posie zerwała się z kanapy, żeby otworzyć.

Przyszedł Jarvis. Oczywiście zbyt wcześnie. Ucisnął Posie i przywitał się z Claire neutralnym, przyjaznym tonem. Romily chwyciła torebkę.

– Bawcie się dobrze – zawołała za nimi Claire.

Szli razem chodnikiem. Jarvis założył zwykłe spodnie, bez naszytych po bokach przepastnych kieszeni. Koszula nie była w niej co prawda wpuszczona, ale wyglądała na wyprasowaną. Jarvis objął Romily uważnym spojrzeniem.

– Ładnie wyglądasz.

– To nie jest nowa sukienka – odparła.

– Czy mogę dostać jeszcze jedną poduszkę?

Posie miała pod głową już trzy.

– Macie więcej poduszek? – zapytała Claire.

– Romily nie będzie się gniewać, jeśli pożyczymy tę z jej łóżka – uśmiechnęła się czarująco Posie. – Pozwala mi zabierać wszystkie swoje poduszki, kiedy bawię się w księżniczkę na ziarnku grochu.

Claire weszła do sypialni Romily. Łóżko zasłane było pogniecioną kołdrą. Claire wiedziała, że Posie ją urabia, ale lubiła czasem rozpieszczać chrześnicę. Ze swoim dzieckiem zamierzała się bardziej pilnować.

Zauważyła swoje odbicie w lustrze nad komodą. Spójrzcie tylko na nią, zamartwiającą się wychowaniem dziecka, które nawet się jeszcze nie urodziło. Udającą mamusię, podczas gdy Ben myślał, że jego żona bierze udział w książkowym klubie dyskusyjnym. Powinna mieć wyrzuty sumienia, ale tego wieczora jakoś ich nie miała. Czas spędzony z dzieckiem pozwalał jej się zrelaksować, cieszyć się bieżącą chwilą. Przez cały wieczór oglądały z Posie *Jezioro łabędzie*, a później udawały, że tańczą. Claire miała rozwichrzone włosy, zaróżowione policzki i nieco pasty do zębów na bluzce, bo pomagała Posie w wieczornej toalecie.

Uśmiechnęła się do swojego odbicia i zdjęła poduszkę z łóżka, a po chwili sięgnęła po drugą. Pod poduszkami kryły się rozmaite przedmioty: zrolowana koszula nocna, opakowanie kremu do rąk, książka, notes i czarnobiała fotografia.

Zdjęcie USG.

Nie wiedziała, że Romily zachowała dla siebie którekolwiek ze zdjęć. Przyjrzała mu się uważniej i dotarło do niej, że nie jest to żadna z fotografii, które sama miała. Zapamiętała je wszystkie w najdrobniejszych szczegółach i stale nosiła przy sobie.

To musiało być USG Posie, które Romily nadal przechowywała niczym największy skarb, pomimo upływu lat. Claire uśmiechnęła się i podniosła zdjęcie, zastanawiając się, jak wyglądała Posie przed przyjściem na świat. Czy przypominała swojego przyrodniego brata lub siostrę? Czy wszystkie dzieci przed urodzeniem wyglądają tak samo, czy inaczej? To zdjęcie przedstawiało dziecko zwrócone półprofilem i ssące kciuk.

Na dole była wydrukowana data.

– Claire? – zawołała Posie. – Wybrałam już bajkę na dobranoc.

Claire odłożyła zdjęcie tam, gdzie je znalazła, pod notes. Zagryzając wargę, wróciła do pokoju Posie.

– Dziękuję – powiedziała radośnie dziewczynka, moszcząc się na poduszkach. Na łóżku leżała sterta książek.

Skąd u Romily wzięło się zdjęcie USG z datą dwudziestego dziewiątego sierpnia bieżącego roku?

– Zacznijmy od *Piotrusia Pana* – poprosiła Posie, podając Claire książkę. Claire automatycznie ją otworzyła i zaczęła czytać na głos.

Zdjęcie zrobiono w szpitalu, po wypadku. Romily skłamała, że nie poprosiła o wydruk. Dlaczego to zrobiła?

Claire czytała o Nibylandii, lecz nie rozumiała ani słowa. Później przeczytała opowieść o czarownicy, niedźwiedziu i Majach. Odłożyła przedostatnią książkę i spojrzała na Posie, która smacznie spała na stercie poduszek, z dłonią pod brodą.

Ucałowała czoło dziewczynki i pogłaskała ją po włosach. Wyłączyła nocną lampkę i cicho zamknęła za sobą drzwi, po czym wróciła do sypialni Romily.

Nie myszkowała. Znalazła zdjęcie przypadkiem. Poza tym przedstawiało ono dziecko Claire.

Usiadła na łóżku i ponownie uniosła do oczu fotografię.

Romily nigdy dotąd nie interesowała się zdjęciami USG. W przeciwieństwie do Claire i Bena, nie przyklejała się do monitora podczas badań. Claire zawsze odnosiła wrażenie, że Romily zachowuje się tak, jakby wcale jej tam nie było, jakby Ben i Claire byli w pokoju sami. *To twoje dziecko*, powiedziała kilka razy.

Mimo to zachowała zdjęcie zrobione podczas jednego jedyne go razu, kiedy Bena



i Claire z nią nie było.

A później skłamała.

I ukryła przed nimi zdjęcie.

Claire rozejrzała się po pokoju, jakby szukała w nim odpowiedzi na pytanie, dlaczego Romily postąpiła w ten sposób. Romily, która wydawała się Claire jedną z najbardziej prostolinijnych osób, jakie знаła. Mówiła, co myślała i oklaskiwała Claire za to, że zrobiła to samo. Czasem była szczerą do bólu.

I poprosiła Claire, żeby ukryła przed Benem swoje spotkanie z Jarvisem.

Claire niczego więcej nie znalazła. Domyśliła się tylko, że przed jej przyjściem Romily sprzątała. Pewnie upchnęła wszystkie te przedmioty pod poduszkę, by nie leżały na widoku.

A może co noc spała ze zdjęciem pod poduszką? Z dzieckiem Claire uśpionym w jej łonie?

Claire dotknęła notesu, pod którym leżało zdjęcie. Był to zwykły kołonoćnik w miękkiej zielonej oprawie, niepodpisany.

Czy zdjęcie nie leżało przypadkiem w notesie? A może wystawał z niego tylko róg? Czyżby wysunęło się z notesu podczas sprzątania?

Claire usiłowała sobie przypomnieć ułożenie zdjęcia, kiedy pierwszy raz je zobaczyła.

Ponownie rozejrzała się po pokoju. Pokoju tej drugiej kobiety, jej życiu. Podniosła notes

i otworzyła na pierwszej zapisanej stronie.

*Drogi Maleństwo*, przeczytała.

## CO BY BYŁO, GDYBY

Nie było tak najgorzej, pomyślała Romily. Mieli mnóstwo tematów do rozmowy: wspólni znajomi, muzyka, podróże Jarvisa, praca Romily, wykorzystanie wazeliny i sznurka w warunkach polowych. Książki. To, że obojgu brakowało oglądania porządnego filmu na porządnym ekranie i musieli się zadowalać płytami i odtwarzaczami DVD. Protokół z Kioto. Pchły i pluskwy. Rozmawiali przez całą kolację, którą zjedli nie w drogiej restauracji, lecz w nowym pubie nad rzeką, gdzie podawano smaczne jedzenie w wielu wariantach wegetariańskich. Rozmawiali nad kieliszkiem wina Jarvisa i szklanką lemoniady Romily, nad jego stekiem i jej tartą buraczaną, ciągnącym się karmelowym puddingiem dla niej i dwiema filiżankami kawy dla niego. Romily pamiętała, że Jarvis lubił łączyć cukier z kofeiną.

Zapomniała za to o wszystkich ich rozmowach.

Rzecz jasna, rozmawiali także o Posie.

– Jeśli ustalimy konkretne daty, będę mógł dopasować do nich moje plany zawodowe – powiedział Jarvis, mieszając kawę. – Może kilka dni w okolicy Wielkanocy i tydzień latem? Mógłbym ją zabrać na biwak.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że musisz być dyspozycyjny.

– Mogę ustalić kilka terminów w roku, kiedy będę niedostępny. A co z drugim dniem Bożego Narodzenia? – Uśmiechnął się. – Chciałbym z nią spędzić część świąt.

– Nie sądziłam, że będziesz tym zainteresowany.

– W dzieciństwie lubiłem święta. Kiedy dorosłem, magia przysła. Szczególnie że wszyscy krewni poza mną mieli je z kim spędzać.

– Zwykle spędzamy święta tylko we dwie. Przez cały dzień chodzimy w piżamach i opychamy się czekoladą.

– Lubię spędzać Boże Narodzenie z siostrzeńcami, z córką będzie jeszcze fajniej. Może uda mi się zaprosić ich wszystkich.

Oto kolejna rzecz, której brakowało Posie: wielkie rodzinne święta. Jarvis mógł jej zapewnić swojej córce, Romily nie.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Myślę, że Posie się to spodoba.

Jarvis popatrzył na nią znad filiżanki.

– Powierzyłabyś ją mojej opiece? Przez cały weekend? Tydzień na biwaku?

– Zdołałeś utrzymać się przy życiu, udowodniłeś też, że potrafisz dojechać do najbliższego szpitala na ostry dyżur. Myślę, że Posie będzie przy tobie bezpieczna, ale...

– Ale co?

– Och, nic takiego. Tak sobie tylko pomyślałam, że kiedy Posie wyjedzie na dłużej, będę się czuła samotna. – Roześmiała się. – To głupie. Będę mogła spać do późna i nadrobić zaległości.

– Ale i tak będziesz sama.

Romily wzruszyła ramionami i zeskrobała z talerza resztki ciągnącego się karmelu.

– Nie przeszkadza mi samotność – kontynuował Jarvis. – Nawet ja lubię. Kiedyś myślałem, że skoro lubię być sam, nigdy nie będę samotny.

Przez chwilę na siebie patrzyli, wreszcie Romily opuściła wzrok na talerz.

– A więc drugi dzień Bożego Narodzenia i tydzień wakacji – powiedziała szybko. – Niektóre weekendy i wieczory, których terminy ustalimy na bieżąco. W porządku?

– Tak. Myślę, że powinienem więcej pracować tu, na miejscu, wtedy będzie nam łatwiej.

– Nie musisz tego robić. Nasze życie nie jest aż tak skomplikowane. Wystarczy, że dasz mi znać z kilkudniowym wyprzedzeniem, że wybierasz się do Anglii.

– Ale ja chcę zostać – odrzekł Jarvis, wstając. – Gotowa?

Ruszyli ścieżką wzdłuż Tamizy. Światła ulicznych latarni rzucały pomarańczowe refleksy na ciemną taflę wody. Z cienia dobiegło kwakanie kaczki. Romily pamiętała wieczór w Londynie, sprzed wielu lat, nad brzegiem tej samej rzeki, kiedy tak szli razem i Jarvis wziął ją za rękę.

Tym razem miał ręce w kieszeniach, a Romily trzymała w prawej dłoni torebkę. *Nie musisz być sam, żeby czuć się samotnie* – chciała mu powiedzieć. – *W ogóle nie musisz być sam.*

Ale nic nie powiedziała.

Skręcili w jej ulicę. Zasłony w oknie mieszkania były zasunięte. Zatrzymali się przy schodach i kiedy Romily odwróciła się, żeby powiedzieć dobranoc, Jarvis stał znacznie bliżej, niż się spodziewała. Czowała delikatny zapach jego wody po goleniu, słyszała szelest ubrań. Nagle ich spojrzenia się spotkały, serce Romily zabiło mocniej, w głowie miała pustkę. Rozluźniła uścisk dłoni na torebce i przysunęła twarz bliżej jego twarzy. Oddech Jarvisa omiótł jej policzek.

W tym momencie dziecko kopnęło.

– Och – powiedziała Romily, kładąc rękę na brzuchu. – Hm, no cóż, dziękuję.

– To ja dziękuję. Było fajnie, trochę jak za dawnych czasów.

Za dawnych czasów pocałowałby ją na dobranoc. Romily schowała głowę w ramiona.

– Zadzwoń do ciebie w sprawie weekendu.

– Dobrze. Dobranoc, Romily.

Nie ruszył się z miejsca i Romily dopiero po chwili zrozumiała, że Jarvis zwlekał z odejściem, aż ona bezpiecznie wejdzie do domu.

Wystarczyła jej krótka wspinaczka po schodach do frontowych drzwi, żeby wrócić od „co by było, gdyby” i „co mogłoby się stać” do „tu i teraz”. Zanim otworzyła drzwi, obejrzała się za Jarvisem. Poszedł w swoją stronę.

Claire zapaliła w mieszkaniu wszystkie światła i siedziała w ulubionym fotelu Bena. Na jej widok Romily szeroko się uśmiechnęła.

– Dobre wieści – powiedziała. – Nie zachlapałam sukienki...

Claire podniosła wzrok. Jej twarz była kredowobiała. Na kolanach trzymała notatnik Romily.

– Znalazłam... – odezwała się i przełknęła ślinę. – Znalazłam zdjęcie USG.

Romily stała jak wrośnięta w ziemię. Drzwi zatrzasnęły się za jej plecami.

– To mój notatnik. – *O nie. Dobry Boże, tylko nie to.* – Dlaczego go czytasz?

– Zobaczyłam zdjęcie – powtórzyła Claire takim głosem, jakby śniła. – Chciałam pożyczyć poduszkę dla Posie i znalazłam fotografię, a kiedy odkładam ją do notatnika, natrafiłam na listy, które piszesz do mojego dziecka.

– To moje prywatne sprawy. – Romily podeszła do niej i zabrała notes z kolan Claire. Zdjęcie sfrunęło na podłogę. Romily zamknęła notatnik i przycisnęła go do piersi. Przez głowę przeleciały jej wszystkie słowa, które w nim napisała. Wszystkie tajemnice.

– Robiłaś to, o co cię prosiłam – powiedziała Claire. – Pisałaś listy, aby wiedział, że wyczekiwaliśmy jego narodzin. Twierdziłaś, że to głupi pomysł.

– To bzdury, zwykłe przelewanie emocji na papier. Nikt nie miał tego czytać. Zamierzałam to podrzeć.

Claire nie sprawiała wrażenia zagniewanej, lecz osłupiałej. Może nie dotarła zbyt daleko. Może przeczytała zaledwie kilka stron. Początek nie był taki zły, prawda?

I wtedy Romily uświadomiła sobie, co Claire powiedziała. Mówiła o dziecku

w rodzaju męskim, chociaż ona i Ben nie chcieli się dowiedzieć, jakiej będzie płci.

– *Miłość nie jest rozwiązaniem, lecz problemem* – powiedziała Claire. – Od jak dawna jesteś zakochana w moim mężu, Romily?

– Nie jestem – odparła automatycznie. – Nigdy nie byłam. To, co napisałam jest...  
wytworem mojej wyobraźni. *Dawno, dawno temu*, czy nie tak zaczynają się zmyślone historie?

– To nie jest zmyślona historia, tylko prawda.

– Wcale nie. Nie kocham Bena.

– W takim razie dlaczego zapisałaś całą stronę słowami: nie kocham Bena Lawrence'a?

– Ponieważ... – Romily nie mogła oddychać, jakby nagle pokój się skurczył, a ściany próbowały ją zmiażdżyć. – To sprawka hormonów, które popychają mnie do związku z ojcem dziecka, które w sobie noszę. Nic więcej. Przejdź mi, gdy tylko dziecko się urodzi.

– Nie umiesz kłamać.

Claire powiedziała to lodowatym głosem. Wstała z fotela, prosta jak struna.

– Czy zgodziłaś się zajść w ciążę z Benem, bo go kochałaś? Czy wymyśliłaś sobie, że kiedy urodzisz mu dziecko, zakocha się w tobie i będziesz mogła mieć i jego, i dziecko?

– Nie! Nie, wcale tak nie było!

– Ale kochałaś go, kiedy zaproponowałaś, że urodzisz mu dziecko. Dlatego się zaoferowałaś.

– Ja... nie.

– Było ci łatwiej, bo mam niesprawne jajeczka, więc dziecko jest w połowie twoje.

– Claire, proszę.

– Zaufałam ci – powiedziała Claire. – Zaufałam ci w najważniejszej kwestii mojego życia, w kwestii, w której czułam się najsłabsza i byłam przerażona tym, że może się nam nie udać. Wiedziałaś o tym.

– A ja zaufałam tobie – odparła Romily w nagłym przypiływie gniewu, który powitała z radością. Gniew był lepszy niż panika. – Zaufałam ci, że zaopiekujesz się moją córką i nie będziesz buszować po moim życiu. – Claire wskazała na notatnik w dłoniach Romily.

– Tu chodzi o moje życie. O moje dziecko i mojego męża, których chcesz mi odebrać.  
– Po policzku spłynęła jej łza. – Czy przez cały ten czas śmiałaś się ze mnie w duchu?

– Tu nie chodzi o ciebie, Claire. Świat nie kręci się wokół ciebie. Odkąd zaszłam w ciążę, bacznie mnie obserwowałaś, kwestionowałaś moje wybory i mówiłaś mi, co mam robić, co jeść i jak się zachowywać. Nie jestem twoją własnością. Ani moje ciało, ani uczucia nie należą do ciebie. Są tylko moje i nie masz do nich prawa.

– Wszystko, co zrobiłaś, było grą. Chciałaś uspić moją czujność, dając mi złudne poczucie bezpieczeństwa. Powtarzałaś, że dziecko jest moje. Widziałaś jego pokoik. Lubiłam cię. I przez cały ten czas... – Głos uwiązł jej w gardle.

– Do tej pory jakoś cię nie obchodziłam. Lubiłaś mnie, czy może to, co dla was zrobiłam? Usługę, którą wam zaoferowałam?

Claire podbiegła do kanapy i chwyciła leżącą na niej kurtkę i torebkę. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Romily upuściła notes i oparła się o ścianę, przyciskając dłonie do ust. Serce biło jej jak oszalałe.

W salonie zjawiała się rozczochrana Posie, przecierając oczy.

– Co się stało?

– Nic, nic takiego. Claire musiała szybko wyjść, bo zapomniała o czymś ważnym.

Wracaj do łóżka, Posie.

Dziewczynka kiwnęła głową i podreptała z powrotem do swojego pokoju. Romily podniosła z ziemi notes i jak najciszej wyrwała z niego wszystkie strony. Podarła wszystkie

listy na drobne kawałeczki, aż nie dało się z nich nic odczytać.

## NIC WIĘCEJ

Ben rozłożył plany na całym kuchennym stole. Przed nim stała pełna do połowy szklanka mleka i usiany okruszkami talerz. Ledwie spojrzał na żonę, kiedy ta weszła do kuchni.

– Jak się udało spotkanie w klubie książki? Wcześniej wróciłaś.

– Nie poszłam tam.

– Przepraszam, czyżbym coś pomylił? Obiecuję zmyć naczynia, zanim pójde spać.

– Byłam u Romily.

Ben wreszcie na nią spojrzał.

– Nic jej nie jest? – Na twarzy Claire musiały się odmalować emocje, bo odsunął krzesło i wstał. – Co się stało? Z dzieckiem wszystko w porządku? Miałem telefon przy sobie, dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Dziecko jest zdrowe. Opiekowałam się Posie.

– To wszystko? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Sekrecik Romily dotyczący kolacji z Jarvisem nagle wydał się Claire odległy i nieważny w porównaniu z jej innym, wielkim sekretem.

– Kiedy byłam w jej mieszkaniu, przypadkiem znalazłam listy, które pisała do dziecka.

– Sama ją do tego zachęcałaś.

– Opisała w nich wszystkie swoje uczucia.

Ben stał w ich wspólnej kuchni, ubrany w dżinsy i sportową koszulkę, prezent od Claire. Miał włosy zmierzwione od ciągłego ich poprawiania podczas pracy. Nie zdążył nawet zdjąć okularów do czytania. Wyglądał znajomo pod każdym możliwym względem. Tak samo jak świat znany Claire, zanim otworzyła notatnik i odkryła, że nic już nie jest takie jak przedtem.

W drodze do domu, kiedy stała na czerwonym świetle i czekała, aż będzie mogła włączyć się do ruchu, przemyślała każde słowo.

Jakim cudem Romily mogła być zakochana w Benie, skoro on nigdy nie odwzajemnił jej uczuć? Przez te wszystkie lata nie dał jej żadnego znaku? Nie można się kochać w kimś, kto zachowuje się obojętnie i jest tylko przyjacielem. Kimś, kto kocha swoją żonę.

Ben nie mógł wiedzieć. W przeciwnym razie nie pozwoliłby Romily zejść w ciążę. Nie spotykałby się z nią, nie spędziliby tyle czasu sam na sam.

Chyba że przez cały ten czas, kiedy Claire myślała wyłącznie o dziecku i była ślepa na wszystko z wyjątkiem własnej porażki, Romily i Ben mieli romans...

– Coś się jednak stało – powiedział Ben. – Wyglądasz, jakby coś było nie w porządku. Nic nie rozumiem.

– Czy aby na pewno? Nie masz o niczym pojęcia?

Gdyby Ben nie wiedział o uczuciach Romily, Claire jakoś by to wszystko zniosła. Mogliby wspólnie znaleźć rozwiązanie. Poradzić się prawnika, spisać porozumienie, które – jak twierdzili do tej pory Romily i Ben – nie było im potrzebne.

Czyżby celowo z niego zrezygnowali?

– Claire, nie każ mi zgadywać. Jeśli ta sprawa dotyczy Romily i naszego dziecka, dotyczy ona również mnie.

– Romily jest w tobie zakochana.

Claire wstrzymała oddech. Czekala, aż Ben się roześmieje lub oburzy.

– Och – powiedział tylko.

– Słyszałaś, co powiedziałam?

- Napisała to? – zapytał. – W listach do dziecka?
- Napisała, że od dawna się w tobie kocha.
- Och – powtórzył i z powrotem usiadł na krześle.
- Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

Ben przygryzł wargę.

- Nie wiem, co powiedzieć.
- Czy to znaczy, że wiedziałeś?

Ben milczał, zamyślony, jakby porządkował dowody, wspomnienia i emocje.

W przeciwieństwie do niego, Claire była roztrzęsiona. Trzymała się oparcia krzesła, wbijając palce w drewno.

- Nie. Nie wiedziałem. Ale teraz, gdy o tym powiedziałaś, nie jestem zaskoczony.

O mój Boże. Nie jestem zaskoczony...

- A ja tak!

– Nie znasz jej tak dobrze, jak ja. – Ben wpatrywał się w pustą przestrzeń. – Romily od dawna jest sama, a ja w zasadzie byłem jedynym mężczyzną w jej życiu. Obiektywnie rzecz biorąc, to ma sens.

– Obiektywnie? Mówię ci, że inna kobieta jest w tobie zakochana, a ty próbujesz być obiektywny?

– Próbuję ci to wytłumaczyć i sam zrozumieć. – Chwycił się obiema rękami za głowę. – Nie spodziewałem się dzisiaj tej rozmowy.

- Ben, ona cię kocha, a ty jesteś moim mężem.

- Ta sytuacja musiała być dla niej bardzo trudna. I nadal jest, z powodu dziecka.

Mojego dziecka. – Zmarszczył brwi.

- Martwisz się o nią?

- Tak, bo to Romily jest najtrudniej.

Claire wpatrywała się w Bena, człowieka, którego – jak jej się wydawało – znała najlepiej na świecie.

– Czy nie przyszło ci do głowy, że Romily jest w tobie zakochana, kiedy zaproponowała, że urodzi nam dziecko? Wtedy, kiedy zdecydowała się na tak wielkie poświęcenie?

- Nie. Byłem taki podekscytowany i szczęśliwy, że... – Westchnął. – Masz rację.

Postąpiłem okrutnie. Nie chciałem tego. Myślałem, że wszystko się ułoży.

- Jak miałoby się ułożyć?

– Nie wiedziałem, że Romily mnie kocha. Dopiero teraz, kiedy o tym myślę i znam wszystkie fakty, to...

Ben skrzywił się, jego twarz wyrażała teraz smutek i żal. Schował twarz w dłoniach.

- To najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem – powiedział.

Claire miała wrażenie, że jej palce lada moment przebiją się przez drewno i dotkną wnętrza jej dłoni.

– Nie rozumiem – oznajmiła. – Zachowujesz się, jakby chodziło wyłącznie o Romily. Jestem twoją żoną. To również moje dziecko.

- Tak – odparł. – Skrzywdziłem was obie. Przepraszam.

- Co teraz zrobimy?

– Nie wiem – powiedział, nie odrywając dłoni od twarzy. – O Boże. Romily mi zaufała. Ty też mi zaufałaś. Zawiodłem was obie.

Claire chciała, żeby na nią popatrzył. Zobaczył ją. Zrozumiał, jakie to dla niej trudne.

- Miałaś z nią romans? – zapytała.

- Nie – odparł. – Do pewnego stopnia postąpiłbym mniej okrutnie, gdybyśmy

rzeczywiście go mieli.

– Co takiego? Jak mogłeś tak powiedzieć?

Ben podniósł głowę, ale myślami nadal błądził gdzieś daleko.

– Nie chciałem powiedzieć *mniej okrutnie*, tylko bardziej uczciwie.

– Bardziej uczciwie?!

Claire nie mogła dłużej stać. Odsunęła krzesło i ciężko na nim usiadła. Nie potrafiła powstrzymać drżenia rąk.

– Ben – odezwała się, nie siląc się na spokój – czy ty też ją kochasz?

– Bardzo mi na niej zależy. Nie wiem, czy to miłość. Moje uczucia do niej zmieniły się w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Starałem się o nich nie myśleć, ale nie zniknęły. – Przełknął ślinę. – Myślę o niej każdego ranka, tuż po przebudzeniu. Romily jest ze mną w ciąży. Chciałbym ją chronić. Jest mi droga. Zrobiłbym dla niej wszystko.

Popatrzył na Claire.

– Brzmi tak, jakbyś ją kochał.

– Staram się być wobec ciebie uczciwy. Przykro mi, jeśli cię ranię, ale musimy o tym w końcu szczerze porozmawiać, nie sądzisz?

– Tylko ciebie pokochałam.

– Wiem o tym.

– I nadal mnie kochasz?

– Tak. Nigdy nie przestanę.

– Ale ją też kochasz.

Ben odwrócił wzrok.

– Nie wiem.

– Czy dlatego spędzacie razem tak dużo czasu?

– Pewnie tak. Czuję, że cię zawiodłem, Claire. Nie mogę zrobić ani powiedzieć tego, co byś chciała. Z Romily jest łatwiej. Wiem, jak to brzmi... Jestem tchórzem. Ale jestem jej coś winien, nie uważasz?

– Chodzi o nią, czy o to, że spodziewa się waszego dziecka?

– Nie wiem. Czy można to rozdzielić? Nigdy wcześniej się tak nie czułem.

*Bo ja nie mogłam ci urodzić dziecka. A ona może.*

Do tego się to wszystko sprowadza.

– Myślę, że powinieneś odejść – powiedziała Claire.

– W porządku. – Wstał z krzesła. – Prześpię się w drugim pokoju.

– Nie. Chcę, żebyś wyprowadził się z domu i zostawił mnie samą. Nie chcę mieszkać z człowiekiem, który twierdzi, że mnie kocha i zakochuje się w kobiecie, która może mu dać to, czego ja nie jestem w stanie.

Na twarzy Bena odmalował się tak wielki ból, że Claire musiała odwrócić wzrok.

– Skoro tego chcesz – powiedział.

Tak niewiele wystarczyło, by wywrócić do góry nogami całe życie. Claire siedziała przy kuchennym stole i słuchała, jak Ben wchodzi po schodach na górę i się pakuje. Kiedy wrócił do kuchni, żeby zabrać laptopa i papiery, nawet na niego nie spojrzała.

– Claire... Jesteś tego pewna?

– Wszystko, co wspólnie zbudowaliśmy, to kłamstwo.

– Nie kłamstwo – odparł – ale może nie zdawaliśmy sobie sprawy z całej prawdy.

Claire nic nie powiedziała.

– Zadzwoń do ciebie – odezwał się wreszcie Ben i wyszedł.



## PRAWDA

– Przykro mi to mówić, ale wyglądasz koszmarnie.

Romily potarła oczy i zwróciła się w stronę kobiety, która to powiedziała. Była to mamusia z zaniedbanym niemowlakiem, która wcześniej okazała jej życzliwość. Tego dnia miała na szyi kwiecisty szal.

– Kiepsko spałam – odparła Romily. – To wszystko.

Ruszyła w kierunku szkolnej bramy, żeby jak najszybciej stamtąd uciec. Wydawało jej się, że do perfekcji opanowała sztukę odprowadzania Posie do szkoły bez wdawania się w rozmowy, lecz najwyraźniej tak nie było.

– Zgaga?

– Można tak powiedzieć.

– Lepsze to niż złamane serce. Chociaż różnica jest niewielka.

Powiedziała to wesołym głosem, lecz wystarczyło, że użyła słów „złamane serce”.

Szloch, który powstrzymywała przez cały weekend ze względu na Posie, wyrwał się z gardła Romily niczym jęk zranionego zwierzęcia. Przycisnęła dłoń do ust, ale łzy zaczęły jej już spływać po policzkach.

– O cholera – zakląła kobieta. – No nie. Przepraszam. Powiedziałam coś nie tak. Zachowałam się jak idiotka. Tak mi przykro...

– Nie – załkała Romily. – To nie twoja wina, tylko moja. Nic się nie stało.

Zamierzała wytrzeć nos w rękaw, lecz kobieta ubiegła ją, podając Romily muślinową chusteczkę.

– Zawsze muszę strzelić jakąś gafę – powiedziała. – Mam tu gdzieś czekoladę. Proszę – wyciągnęła w stronę Romily paczkę czekoladowych groszków. – Tylko nie pokazuj ich Danielowi, bo będziesz się z nim musiała podzielić.

– W porządku.

– Chyba nie bardzo. Mogę ci jakoś pomóc?

Romily pokręciła głową, ocierając twarz. Chusteczka pachniała balsamem dla niemowląt.

– Daj spokój, robię, co mogę. Jeśli nie chcesz czekolady, powiedz przynajmniej, co się stało.

– Będę musiała oddać dziecko – wypaliła Romily.

– Ach, tak.

– Nie należy do mnie. Jestem matką zastępczą, ale nic nie mówiłam, bo...

– Och, no cóż. To wspaniale, co robisz. Wprost niesamowite.

– Nie chcę go oddawać.

– Och...

– To jeden z powodów, dla których płaczę. Drugiego nie mogę ci zdradzić.

– Myślę, że powinnaś się jednak poczęstować czekoladą. Mam na imię Eleanor.

Wcisnęła jej paczkę groszków w dłoń.

– Pewnie myślisz, że jestem okropna – powiedziała Romily.

– Nie, potrafię zrozumieć, co przeżywasz. Masz złamane serce. Cofam to, co powiedziałam: zgaga jest dużo lepsza. No dalej, wytrzymaj nos. Mam setki takich chusteczek.

Romily spełniła polecenie Eleanor i popatrzyła na nią przez łzy.

– Powiesz im? – zapytała. – Mam na myśli inne matki. Ja chyba nie będę potrafiła.

– OK. Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak. Pora wreszcie powiedzieć prawdę. – Schowała chusteczkę do kieszeni kurtki. – Oddam ci ją po wypraniu.

Spiesząc się do muzeum, Romily rozmyślała o prawdzie. Była naukowcem. Powinna trzymać się faktów, rozpoznawalnych wzorców zachowań, twardych danych. Wiedziała, że prawda jest obiektywna, w oparciu o nią funkcjonował świat. Prawda była taka, że Ben poślubił Claire, a Romily obiecała im oddać dziecko. Znała ją od początku.

Jednak przez cały czas skrzętnie spisywała swoje emocje, swoje nielogiczne i nieznośne uczucia, do których nie miała prawa. Jakby miało jej to pomóc.

Uczucia bolały. Nawet jeśli ich spisywanie dawało chwilową ulgę, nie warto było tego robić, bo kiedy ujawniła swoje emocje, stały się one rzeczywistością, elementem prawdy.

Musiała sobie z nimi jakoś radzić. Poczucie upokorzenia w chwili, gdy druga kobieta odkryła, że Romily pragnęła tego, co do niej nie należało. Wstyd, nienawiść do samej siebie, złość, rozpaczliwe pragnienie ukrycia paskudnego sekretu, chorobliwą, spóźnioną, beznadziejną miłość, którą bez powodu pielęgnowała.

Hal popatrzył na Romily, kiedy mijała jego biurko.

– Jak się dziś miewa królowa pszczół?

– Królowa kontroluje swoją kolonię i jej służy – odrzekła Romily. – Pszczołom zależy wyłącznie na biologicznym przetrwaniu, nie mają wolnej woli, więc twoja metafora nie jest zbyt trafna.

– Czyli nie w humorze.

– W trzydziestym piątym tygodniu ciąży też byłbyś „nie w humorze”.

– Na twoim miejscu wziąłbym urlop macierzyński i leżał na kanapie, oglądając *Łowców okazji*.

– Nie wybieram się na urlop macierzyński. Nie potrzebuję go.

Miałyby mnóstwo wolnego czasu tylko dla siebie. Bez pracy, która by ją rozpraszała.

Jak Claire.

Romily weszła do pokoju z kolekcją owadów i zamknęła za sobą drzwi. Oparła głowę o szafę Amity, w której znajdowały się setki martwych insektów.

Claire wsiadła do pociągu do Londynu. Obiecała sobie, że nie odbierze telefonu. Nie będzie rozmawiała z Benem, jeśli zadzwoni, ani z Romily. Nie zaufa sobie na tyle, by porozmawiać ze swoją matką lub siostrą. Spędzi weekend w Londynie, z dala od pustego domu, w ładnym hotelu. Wybierze się do galerii i na koncerty, naruszy limit na karcie kredytowej, będzie lizać rany, nasyci się cudzą sztuką, muzyką i kuchnią, zyska przestrzeń, dobrą, konstruktywną przestrzeń, w której zastanowi się, czego tak naprawdę chce. Jak mogła nadal żyć z mężem, który kochał inną, i dzieckiem wciąż tkwiącym w łonie tej kobiety?

Koniec końców, telefon zadzwonił tylko dwa razy. Dzwoniła jej siostra. Claire przypomniała sobie z poczuciem winy, że miały się wspólnie zastanowić nad prezentem gwiazdkowym dla rodziców. Nie była jednak w stanie z nią rozmawiać i nie wyjawiać przy tym, co się stało. Nie była nawet pewna, czy zdoła pojechać do rodzinnego domu na święta. Nie potrafiła sobie wyobrazić takiego wyjazdu bez Bena: otoczona zatroskaną rodziną, obnażona i bezbronna. Matka pewnie nie powiedziałaby „a nie mówiłam”, była na to zbyt serdeczna, ale Claire i tak by o tym myślała. Kiedy Claire była dzieckiem, matka nie musiała jej dyscyplinować, tak jak dyscyplinowała Helen i Iana. Claire sama stawiała się do kąta.

*Boże Narodzenie jest dopiero za ponad trzy tygodnie. Do tego czasu wszystko może wrócić do normalności* – odezwał się cichy, pełen nadziei głos w jej głowie, gdy przechadzała się przez muzeum sztuki Tate Britain, niczego nie widząc, i podczas koncertów muzyki Brahmsa i Chopina, puszczając muzykę mimo uszu.

Nie potrafiła sobie tego jednak wyobrazić.

W Londynie było za dużo przestrzeni, która nie należała do niej. Przebywanie z dala od domu nie pozwoliło jej zebrać myśli, rozstroiło ją. Claire dryfowała wśród zbyt wielu rozmów, pomysłów i ulicznego zgiełku. Nie cieszyła się jej samotne posiłki w restauracjach, a w pokoju hotelowym było zbyt cicho, chyba że włączyła telewizor. Napisała do Bena dziesiątki SMS-ów i wszystkie skasowała przed wysłaniem. Chciała do niego zadzwonić, ale się rozmyśliła. Miała nadzieję, że jakimś magicznym sposobem to on do niej zadzwoni. Nie zamierzała odbierać, chciała tylko wiedzieć, że mąż o niej myśli i nie jest z Romily.

Gdzie indziej mógłby pójść?

Londyn okazał się nieznośny, lecz powrót pociągiem do domu także nie poprawił Claire samopoczucia. Odebrała samochód z podziemnego parkingu przy stacji i pojechała do domu. Na podjeździe stało BMW Bena, na widok którego serce Claire podskoczyło w piersi, a później zamarło. Zanim zdążyła wejść do domu, Ben otworzył drzwi od środka. Stali po przeciwnych stronach progu. Claire trzymała w ręku weekendową torbę, a Ben walizkę.

– Cześć – powiedziała.

To był Ben, jej mąż i jedyna miłość. Wyglądał tak jak zwykle. Nie ruszył się, żeby ją pocałować. Wyglądał na zdenerwowanego, jakby przyłapała go na gorącym uczynku.

– Byłam w Londynie – oznajmiła Claire.

– Dobrze się bawiłaś?

– Cóż...

Ben kiwnął głową.

– Przyjechałem po swoje rzeczy.

– Gdzie... gdzie byłeś?

– W George.

Czyli po przeciwnej stronie Brickham niż ta, w której położone jest mieszkanie Romily.

– Widziałeś się z...

– Z nikim się nie widziałem. Przez cały weekend rozmyślałem.

Claire nie mogła uwierzyć, że widzi Bena. Czowała, że gdyby się uśmiechnęła i dotknęła męża, mogliby wrócić do tego, co było. Jednak coś się między nimi bezpowrotnie zmieniło. Ich wieloletnie porozumienie nagle przestało się liczyć, jakby odwykli od bycia małżeństwem i nie potrafili już tego zmienić.

– To takie dziwne – zauważył Ben – i okropne.

Skoro tak powiedział, Claire nie mogła mu przyznać racji, chociaż czuła dokładnie to samo. W końcu to ona wyrzuciła go z domu.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała.

– Nie wiem. Nie mogę zostać w George. Podają tam koszmarnie śniadania.

Ben próbował żartować. Tak łatwo byłoby się uśmiechnąć.

– Mógłbym wrócić do domu – kontynuował – jeśli się zgodzisz. Bez ciebie nic nie jest takie, jakie być powinno. Pozwól mi wrócić, Claire. Kocham cię. To, co łączy mnie z Romily... Nie chciałem powiedzieć tego wszystkiego. Byłem zaskoczony. Nie uważam, że romans byłby uczciwszy. Nie mógłbym cię zdradzić. Przez myśl mi to nie przeszło. To ciebie kocham.

– Ale coś do niej czujesz.

– Przysięgam ci, że tamte uczucia się nie liczą.

– A gdybyś musiał wybrać między mną a Romily i dzieckiem?

– Co masz na myśli?

– To jej dziecko. Romily chce je zatrzymać.

– Naprawdę?

Claire wydawało się, że Ben wygląda tak jak zawsze. Po tych słowach się zmienił, skurczył, jakby jakaś częśćka niego, która podtrzymywała go na duchu, umarła.

– Nie wiedziałem. Mówiła ci, że chce je zatrzymać? Powiedziała to wprost?

– Napisała w listach.

– Ale co dokładnie?

– Pisała, że je kocha i pragnie zatrzymać: dziecko w połowie należące do niej, a w połowie do mężczyzny, którego kocha.

– A kiedy ją o to zapytałaś...

– Nie zaprzeczyła. Jak mogłaby zrezygnować z dziecka, które kocha?

– Skoro mówi, że je nam odda, to tak zrobi – odparł Ben trzęsącym się głosem.

– Jakim cudem? Przecież opisała swoje prawdziwe uczucia w listach.

– To chłopiec, prawda? – zapytał Ben. – Skąd ona to wie?

– Musieli jej powiedzieć podczas badania po wypadku. Nie pokazała nam zdjęcia.

– Mam syna – powiedział cicho Ben.

– Kogo byś wybrał? – powtórzyła swoje pytanie Claire. – Muszę to wiedzieć. Jeśli Romily zatrzyma dziecko, kogo wybierzesz?

– Nie mogę wybierać pomiędzy żoną a synem.

– A więc wybrałbyś związek z nią i dziecko.

– Nie każ mi wybierać – poprosił. – Nie mogę tego zrobić.

Claire czuła się okropnie, patrząc na cierpienie Bena, nie podchodząc do niego i nie dotykając go.

– W takim razie już wybrałaś – powiedziała.

– Romily? Dlaczego nie możemy się spotkać w weekend z Benem i Claire?

– Chyba są zajęci, Pose.

– Ale w zeszłym tygodniu też się nie widzieliśmy, a Claire obiecała ze mną obejrzeć balet. Ćwiczyłam trochę.

– Wiem o tym. Świetnie ci szło. Jestem z ciebie dumna. Teraz ty rozdajesz.

– Znudziła mi się ta gra.

– Możemy iść do parku, jeśli chcesz.

– Z Jarvisem?

– On chyba też jest zajęty.

– Wszyscy mają co robić, poza nami.

– Przykro mi, Pose.

– Wyglądasz na chorą. Znowu wymiotowałaś?

– Nie, to przez dziecko. Kiepsko sypiam. Nic mi nie jest. Nie martw się.

– Czy małeństwo niedługo się urodzi?

– Po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku.

– I wszyscy będziemy z tobą w szpitalu? Czy poród jest obrzydliwy? Czy podczas parcia można niechęć zrobić kupę?

– Rozdajesz, czy idziemy do parku?

– A co będziemy robić w święta?

– Jeszcze nie wiem, Pose. Może zaplanujemy sobie leniwy dzień tylko we dwie, tak jak lubimy?

– A może wybierzemy się wszyscy do domu Bena i Claire? Jarvis mówi, że ma dużo rodzeństwa. Może też by ich zaprosił? Czy Claire umie robić pudding figowy?

– Nie wiem, ale kupię nam pudding w sklepie i odgrzejemy go sobie w mikrofalówce.

– Zadzwoń do Claire i zapytam.

– Nie! Nie rób tego. Może spędzimy trochę czasu tylko we dwie? Czy to mało?

## ERGO

Romily zdarzało się już wyłączać telefon na dosyć długo, zazwyczaj kiedy pochłonięta była pracą, lub, całkiem niedawno, gdy nie chciała rozmawiać z Jarvisem. Teraz jednak osiągnęła zupełnie nowy poziom unikania kontaktów ze światem. Nosiła ze sobą telefon – w tak zaawansowanej ciąży i po tym, co spotkało ją na plaży, byłaby głupia, gdyby postępowała inaczej. W razie konieczności mogła go włączyć i w ciągu kilku sekund połączyć się z oddziałem położniczym. W innej wyjątkowej sytuacji mogła złożyć zamówienie i po dwudziestu minutach mieć w domu gorącą pizzę.

Wiedziała, że Claire powiedziała Benowi o swoim odkryciu. Wiedziała, że będą o tym rozmawiać, przerażeni, usiłując obejść kolejną przeszkodę na drodze do rodzicielstwa. Na samą myśl o tym Romily ogarniała panika i mdłości. Znając Bena i Claire, na pewno obmyślili już szereg strategii.

Wolała nie być częścią żadnej z nich. Chciała, żeby to wszystko się skończyło. Najchętniej wskoczyłaby na statek płynący do Madagaskaru, zniknęła razem z Posie i przeżywała z nią przygody podobne do tych, o których czyta się w magazynach podróżniczych. Takie, które stałyby się udziałem Amity, gdyby miała równie nieustraszone potomstwo.

Tylko że Romily była w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży. Dziecko miało na nią ogromny wpływ. Jej kostki były tak spuchnięte, że nie mogła sobie zawiązać sznurówek Converse'ów. Miała koncentrację kobiety, która... no cóż, kobiety, której większość energii życiowej pochłaniało dziecko rozwijające się w jej łonie. Była bezużyteczna w większości ról, nie licząc roli żywego inkubatora.

Czuła się więźniem całej tej sytuacji, przynajmniej do porodu. A to, co miało się zdarzyć później, było tak trudne do zniesienia, że wolała sobie tego nie wyobrażać.

Najlepiej było się przyzaić. Zawoziła i odbierała Posie ze szkoły ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w chodnik. A dzisiaj dodatkowo założyła czapkę.

Podjeżdżała, że Eleanor zdążyła już powiedzieć pozostałym mamusiom, że Romily nie była jedną z nich i że je okłamała, a właściwie przemilczała prawdę. Pewnie i one wolały zachować dystans. W każdym razie unikała ich spojrzeń i nie wchodziła na dziedziniec. Czekala za bramą szkoły, aż zjawi się Posie. Była pewna, że inne matki się na nią gapią i o niej plotkują.

Przygryzła wargę i rozmyślała o filmie dokumentalnym, który niedawno widziała, poświęconym jaskiniom na Borneo, pełnym nietoperzych odchodów, w których roilo się od prześlicznych karaluchów. Oto stworzenia zdolne przetrwać wszystko. Romily mogła im tylko pozazdrościć.

– Romily. – Ktoś dotknął jej ramienia, więc się odwróciła.

To był Jarvis. Wyglądał na rozzłoszczonego.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Nie odbierasz telefonu. Nagrałem ci się na pocztę.

– Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać.

– Co się stało?

Romily skrzyżowała ramiona.

– Poza tym, że przyszedłeś nieproszony?

– Chciałem się zobaczyć z córką. Powiedziałaś, że mogę się z nią widywać, kiedy

zechcę. Ergo, przyjechałem po nią do szkoły i zamierzam zabrać do parku.

– Ergo – prychnęła Romily.

– Nie rozumiem. Nie odzywasz się do mnie od wielu dni. Co się dzieje?

Romily czuła na sobie spojrzenia innych matek. Rozmawiała z mężczyzną innym niż ten, którego wcześniej widziały z Posie. Nie powinno jej to obchodzić – kim były te kobiety, żeby ją oceniać? – lecz i tak czuła się winna. Nie potrafiła wymienić nawet jednej rzeczy, którą zrobiła jak należy.

– Posie chętnie się z tobą spotka – przyznała niechętnie. – Pytała o ciebie.

– To dlaczego wyłączyłaś telefon?

– Jarvis!

Jego twarz rozjaśniła się na widok córki. Posie rzuciła mu się ze śmiechem w ramiona.

– Pomyślałem, że pójdziemy do parku, motylku – odezwał się Jarvis, chwytając ją za rękę.

– Wyśmienicie.

– Przepraszam, czy to państwo są rodzicami Posie? – odezwała się zza szkolnej bramy młoda kobieta z przepustką dla personelu na szyi.

– Tak – odparł Jarvis.

– Nazywam się Kapoor, jestem nauczycielką Posie. Czy moglibyśmy zamienić słówko?

– Oczywiście. Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć, Posie? – zwróciła się do córki Romily.

Ale ona zdążyła się już schować za Jarvisem tak, że zza niego było widać tylko rąbek jej spódniczki.

– Zabiorę ją do parku – powiedział mężczyzna. – Spotkamy się na miejscu.

Romily poszła za nauczycielką do szkoły, starając się nie zwracać uwagi na ciekawskie spojrzenia matek, a później do klasy, której ściany pokrywały kolorowe dziecięce rysunki.

– Proszę usiąść, pani Summer – powiedziała pani Kapoor.

– Doktor Summer – odparła Romily, dla dodania sobie odwagi.

Nie знаła nawet wychowawczyni swojej córki. Ani razu nie zadała sobie trudu, żeby się z nią spotkać. Kolejna rzecz, którą zrobiła źle. Romily usiadła na dziecięcym plastikowym krześle. Sprawiała teraz wrażenie o kilkanaście centymetrów niższej od nauczycielki, której pewnie o to właśnie chodziło.

– Wiem, że po świętach czeka nas zebranie rodzicielskie, ale uznałam, że sprawa jest na tyle ważna, byśmy ucięły sobie krótką pogawędkę. Niepokoi mnie zachowanie Posie.

– Zawsze była dosyć... nietypowym dzieckiem.

– Jest bardzo bystra. Na początku roku doskonale sobie radziła. Ma niebывałą wyobraźnię.

– Nie musi mi pani tego mówić.

– Wydaje mi się, że spędza dużo czasu w swoim własnym świecie, prawda?

– Owszem.

– I jest bardzo nieśmiała?

– Nieśmiała? No nie wiem.

– Praca w grupie przychodzi jej z trudnością. Kiedy proszę ją, żeby zrobiła coś razem z innym dzieckiem, odmawia. Nie jest niegrzeczna, po prostu zachowuje się tak, jakby tego drugiego dziecka nie było. Czy poza szkołą prowadzi aktywne życie towarzyskie?

– Pyta pani o to, czy ma przyjaciół. – Romily westchnęła. – Staralam się ją do tego zachęcać i kiedyś miała kilka przyjaciółek, ale jakoś się... rozpiechły. Posie woli spędzać czas z dorosłymi lub sama. W jej wieku zachowywałam się podobnie.

– Niektóre dzieci mają naturę samotników, ale przez ostatni tydzień Posie całkiem się wycofała. Nie nawiązuje kontaktu z innymi dziećmi, a kiedy zadaję jej pytanie, udaje, że nie słyszy. Przestała odrabiać prace domowe. Oddaje mi puste kartki.

– Twierdzi, że odrabia lekcje.

– Nie sprawdza ich pani?

Romily zaczęła rozumieć, jak musieli się czuć rodzice tego nastolatka ze szkoły Claire, kiedy usłyszeli od nauczycielki, że są koszmarnymi rodzicami.

– Ostatnio rzeczywiście to zaniedbałam. Poprawię się.

– Praca domowa to i tak najmniejszy problem. Posie prawie się nie odzywa. Czasami dzieje się tak w przypadku dzieci, które są gnębione przez rówieśników. Próbowалаm delikatnie o to podpytać, ale na razie niczego się nie dowiedziałam. Posie się pani nie zwierzała?

– Nie.

Czy w ogóle by ją usłyszała?

– Mają państwo jakieś problemy w domu?

Romily zastanawiała się, ile plotek z dziedzińca przeniknęło do uszu nauczycielki.

Przełknęła ślinę.

– Jeśli już, to niewielkie. Nie sądzę, żeby mogły dotknąć Posie.

– Możliwe, że właśnie to jest przyczyną problemu. Dzieci zwykle wiedzą więcej, niż nam się wydaje, i niepotrzebnie się zamartwiają.

– Porozmawiam z nią.

– Byłoby dobrze dotrzeć do sedna problemu. Posie ma problemy z wieloma przedmiotami.

– Tak mi przykro.

– I sprawia wrażenie bardzo nieszczęśliwej.

*Sprawia wrażenie bardzo nieszczęśliwej.*

Posie siedziała na huśtawce. Dotykała stopami ziemi, kiedy Jarvis popychał huśtawkę. Grzywka, której Romily nie podcinała dłużej niż zwykle, zasłaniała dziewczynce twarz.

– Co się stało? – zapytał Jarvis, kiedy tylko Romily do nich podeszła.

Posie zatrzymała huśtawkę i zaczęła się kręcić wokół własnej osi. Romily chwyciła za łańcuchy i przytrzymała tak, żeby widzieć twarz córki.

– Pani Kapoor twierdzi, że przestałaś się odzywać do wszystkich w klasie – powiedziała.

– Myśli, że masz jakiś problem. Powiesz nam, co się stało, Posie?

Posie kopnęła w ziemię.

– Nie mają nic ciekawego do powiedzenia.

– Myślę, że chodzi o coś więcej – odparła łagodnie Romily. – Martwisz się czymś?

– Rozmyślanie o różnych rzeczach jest fajniejsze. Na przykład dzisiaj zastanawiałam się nad tym, że kiedy słońce odbija się w wodzie, przypomina drabinę albo ścieżkę. Jakby to było nią pójść? Mieniącą się ścieżką światła, która prowadzi do samego słońca?

– Posie. – Romily ujęła jej twarz w dłonie, lecz dziewczynka się odwróciła.

– Po prostu nie mam ochoty rozmawiać. Wszyscy chcą rozmawiać o tym, co jest prawdziwe, a mnie się to wcale nie podoba.

– Co konkretnie? – zapytał Jarvis. Spojrzenia jego i Romily na chwilę się spotkały, zanim oboje popatrzyli na Posie.

– Na przykład... dlaczego ostatni miesiąc w roku nazywa się grudzień? To brzmi trochę jak „gruby dzieciół”, nie uważacie?

– Powiedz nam, Posie. – Oczywiście Romily знаła odpowiedź. Mieszkanie było małe. Posie pewnie obudziła się na długo przed tym, jak przyszła do salonu tamtego wieczoru, gdy



Claire odnalazła pamiętnik. Pewnie usłyszała każde słowo ich kłótni.

– Chodzi o SMS-a od Bena – wymamrotała pod nosem Posie.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się Romily.

– Skorzystałam z twojego telefonu. Wiedziałam, że go wyłączyłaś, ale na chwilę go jednak włączyłam i zapytałam, kiedy się znowu zobaczymy.

– Och! – Romily zmroziło. – Podpisałaś wiadomość, Posie? Czy Ben wiedział, że to od ciebie?

– Romily – odezwał się Jarvis – o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie pamiętam – powiedziała Posie. – Po prostu pożyczyłam twój telefon pewnego wieczoru, kiedy brałaś prysznic, Ben mi odpisał, a ja z powrotem wyłączyłam komórkę.

Romily zaczęła szukać w torebce telefonu.

– I co cię tak zdenerwowało w jego SMS-ie? – zapytał Jarvis.

– Napisał, że wyprowadził się z domu swojego i cioci Claire. Bardzo się pokłócili i Ben uważa, że nie będą już razem. Ma teraz mieszkanie tylko dla siebie. Romily, czy to oznacza, że Ben i Claire nie są już małżeństwem, ani moimi rodzicami chrzestnymi, że sprzedadzą dom i się wyprowadzą?

Posie rozplakała się. Romily przestała szukać telefonu i przytuliła córkę. Posie wtuliła twarz w jej szyję.

– Czy to dlatego, że ciocia Claire opiekowała się mną w tajemnicy przed Benem, kiedy poszłaś na kolację z Jarvisem? – zapytała Posie zduszonym głosem. – Czy to moja wina?

– To na sto procent nie jest twoja wina – odparła Romily. – A nawet na tysiąc.

– Nie ma czegoś takiego jak tysiąc procent – zauważyła Posie.

– W tym przypadku jest. – Romily zacisnęła mocno powieki, żeby się nie rozplakać. Po raz kolejny sprawiła córce ból.

– Chodźmy do domu – zaproponował Jarvis.

– Czy takie sytuacje zdarzały się wcześniej? – Jarvis powiesił ręcznik kuchenny na brzegu zlewu i usiadł na kanapie obok Romily. Przygotował dla wszystkich fasolkę na tostach. Dodał do niej swój sekretny składnik – jak się okazało, keczup – i dwa razy przegrał z Posie w scrabble. To wystarczyło, żeby na jej twarzy pojawił się uśmiech, zanim poszła spać.

– Posie zawsze miała problemy z nawiązywaniem kontaktów z rówieśnikami. To pewnie moja wina. Nigdy nie zabierałam jej do klubików dziecięcych i tym podobnych miejsc. Spędzałyśmy czas razem. Poza tym Posie uwielbia się bawić z Benem i Claire.

– Ale nigdy wcześniej nie odcięła się tak zupełnie od świata.

– To prawda. – Romily przygryzła wargę. – Nauczyła się tego ode mnie.

– A Ben i Claire naprawdę się rozstali?

– O dziwo, także z mojej winy.

Jarvis czekał, aż mu to wyjaśni.

– Napisałam kilka listów. Do dziecka. To był pomysł Claire, aby wiedziało, że od samego początku było wyczekiwane. W przyszłości miało się dzięki temu dowiedzieć, dlaczego zdecydowaliśmy się na to wszystko. Z początku nie byłam przekonana do tego pomysłu, ale później mi się spodobało. Dobrze było przelać uczucia na papier. Dusiałam je w sobie zbyt długo.

– Powiedz mi, że nie napisałaś o swojej miłości do Bena.

– Napisałam. Nie było mi łatwo, Jarvisie. Nie sądziłam, że cokolwiek poczuję do tego dziecka, a jednak tak się stało. Wiem, że nie jest moje, ale... Piszac te listy mogłam przez chwilę poudawać.

– Co za idiotyczny pomysł!

– Wiem, naprawdę to wiem.

- I oczywiście Ben je znalazł.
- Nie, Claire.
- I z tego powodu mieliby się rozstać?
- Nie mam pojęcia.

Romily wstała z kanapy, wyjęła z torebki telefon i go włączyła. Prawie natychmiast aparat zaczął wibrować i rozległ się dźwięk przychodzących wiadomości.

– Claire i Ben strasznie się pokłócili. Ale nie chciałam, żeby się rozstawali. Pisałam to wszystko dla siebie. Udawałam, że piszę listy do dziecka, ale po kilku pierwszych listach już tak nie było. Nie miałam żadnego planu, nic z tych rzeczy.

– Tak naprawdę nigdy nie uważałem, że próbujesz odbić Bena. Ale nadal myślę, że wpakowałaś się w niezłe bagno, Romily.

– Jestem mistrzynią w popelnianiu błędów.

Pośród odebranych wiadomości znalazła tę właściwą. Jarvis przysłał jej kilka SMS-ów, Ben tylko jednego.

*Czekałem na wiadomość od Ciebie. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. Wyprowadziłem się z domu, na razie mieszkam przy London St. Claire jest nieszczęśliwa i rozgniewana, nie chce mnie widzieć. Martwię się, że to koniec. Przykro mi z powodu tego, co się stało.*

*Porozmawiamy, gdy będziesz gotowa. B.*

Nie było powodu, żeby nie pokazywać tej wiadomości Jarvisowi, więc podała mu telefon.

– Nie wiedział, że pisze do Posie. – A po chwili dodał. – Pewnie zatrzymał się w jednym z tych umeblowanych mieszkań na wynajem przy London Street. Sam się nad tym zastanawiałem.

– Naprawdę?

– Bilet okresowy na pociąg jest tańszy. Poza tym pomyślałem, że nie chciałabyś mieszkać tak blisko mnie.

Ben mieszkał niespełna milę od domu Romily. Jeśli wyprowadził się tuż po tym, jak Claire znalazła listy, od kilku dni przebywali – przynajmniej geograficznie – bardzo blisko siebie.

Czy trzymał się z dala od Romily, bo był na nią zły? Możliwe, ale wtedy nie pisałby, że jest mu przykro i że porozmawiają, kiedy ona będzie gotowa.

– Nic z tego nie rozumiem – przyznała. – Dlaczego Claire miałaby wyrzucać Bena z domu, skoro to ja się w nim Kocham? Przecież to nie jego wina.

– Nie będę tego komentował – odparł Jarvis – chociaż mam wielką ochotę. Najważniejsza w tym wszystkim jest Posie. Nie możesz się od niej odsuwać, Romily.

– Wiem o tym.

– Możesz uciekać w świat owadów, ale to nie wyjdzie na dobre naszej małej córeczce.

– Robiłam tak w dzieciństwie. Nie tęskniłam wtedy za mamą.

– Postępowałam w ten sposób przez ostatnie osiem lat.

Te słowa zaskoczyły Romily. Popatrzyła na Jarvisa, jego błękitne oczy, tak bardzo przypominające oczy Posie, usta, które tamtego wieczoru, przez ułamek sekundy, chciała pocałować.

– Mogę ci pomóc – powiedział Jarvis. – Ale musisz mi na to pozwolić.

– OK. W porządku.

## DOM

Sonning pachniało żywopłotami, dymem drzewnym, pyłkiem kwiatów, świeżo skoszoną trawą, deszczem, spalinami, zimnym poszyciem, ciepłymi kamieniami, obornikiem na polach i delikatną wonią pieczonego ciasta. Czegoś jednak brakowało, każdego dnia, przy każdym oddechu. Claire ignorowała ten brakujący element i nie zwracała na niego uwagi, dopóki nie wróciła do Suffolk i znowu go nie poczuła: słony, kręcący w nosie, żyzny aromat.

Jej rodzice mieszkali na przedmieściach, w białym domu w stylu georgiańskim. Morska bryza napływała do ogrodu. Claire wdychała ją jako niemowlę i później, gdy była już starsza, i przynosiła do domu piasek, wodorosty i muszelki.

Zaparkowała samochód w zatoczce na końcu ulicy. Morze lśniło w oddali, widoczne pomiędzy ogołoconych gałęzi drzew. Powinna pewnie zaparkować na podjeździe, ale chciała mieć kilka minut dla siebie, żeby pospacerować i nawdychać się morskiego powietrza. Zmienić zdanie, jeśli tak postanowi. Nie uprzedziła rodziców o swoim przyjeździe. Nie rozmawiali ze sobą od tygodni. Mogło ich nie być w domu, mogli być zajęci i nieszczęśliwie zachwyceni jej wizytą. Nigdy nie powiedzieli swoim dorosłym dzieciom wprost, że powinny zadzwonić, zanim ich odwiedzą, lecz Claire i tak zawsze to robiła. Okazywała im w ten sposób szacunek.

Jednak tego ranka miała dosyć samotności i pustego domu, którego nie mogło rozgrzać nawet centralne ogrzewanie. Chciała poczuć to, czego jej brakowało. Pragnęła wrócić do domu.

Zimowe słońce ogrzewało ramiona i policzki Claire, liście szeleściły jej pod stopami. W końcu ujrzała swój dom. Wszystkie rabatki zostały uprzątnięte, przy jednej ze ścian kwitł zimowy jaśmin. Samochodu nie było, chociaż nie musiało to oznaczać, że oboje wyjechali. Claire zatrzymała się, schowana za żywopłotem tak, że nie można jej było zobaczyć przez okno i zapatrzyła się na swój dom rodzinny.

Był ciepły, jasny i pełen dziecięcego gwaru. Pamiętała, jak leżała w łóżku ze swoją matką, a ojciec śpiewał jej piosenki. Na kuchence pogwizdywał czajnik, w kuchni zawsze gotowało się coś pysznego, w wazonach przez cały rok stały kwiaty. Claire, Helen i Ian zawsze czuli się tam bezpiecznie, zapraszali swoich znajomych, by pokazać jak serdeczna i radosna panuje w nim atmosfera, nie wspominając już o ładzie i porządku. Każde z dzieci specjalizowało się w czymś innym. Helen była dobra w sporcie, Ian w nauce, a Claire w muzyce, choć w gruncie rzeczy brylowała we wszystkim. Robiła co mogła, by uszczęśliwić rodziców, których bardzo kochała. Szczególnie matkę, która zawsze była w centrum.

Nawet teraz, gdy byli już dorośli, wszystko wyglądało tak samo, w każde Boże Narodzenie, weekendy i wakacje. Dom był pełen jedzenia oraz ciepłych i pięknych przedmiotów. Czasami Claire sięgała po kolorowe magazyny wnętrzarskie, które, promując wydawanie i kupowanie, konsumowanie i tworzenie, starały się doścignąć ideał. Ten sam ideał, który matka Claire stworzyła dla swoich dzieci.

Kiedy Claire i Ben kupili dom w Sonning, Claire przyświecał podobny cel. Pragnęła zapewnić dzieciom dobry start, stworzyć dla swojej rodziny bezpieczną przystań, ciepły i kochający dom, jaki sama miała. Miejsce idylliczne i doskonałe. Stałość i niezmiennność, z matką, która odbiera dzieci ze szkoły i je tam zawozi, czeka z mlekiem i domowymi ciasteczkami, całuje i opatruje drobne skaleczenia, opowiada bajki na dobranoc.

Ciężko pracowała, żeby stworzyć to, co jej matka osiągnęła na pozór bez wysiłku. Czasami kładła się do łóżka o wiele później niż Ben. I wszystko to na marne. Miała dom z mnóstwem niepotrzebnych sypialni, bez męża i dziecka.

Przyjechała do swojego rodzinnego domu sama i z pustymi rękami.

Powinna wrócić do Sonning. Rodzice pewnie by tego nie chcieli, ale Claire i tak będzie porównywać ich sukces ze swoją porażką. Będzie się doszukiwać śladów „a nie mówiliśmy” w ich przejawach współczucia. Znacznie bezpieczniej było udawać, że wszystko jest w idealnym porządku.

Z drugiej strony, cóż to by była za ulga, nie musieć wreszcie udawać.

Claire stała częściowo ukryta za żywoplotem. Nie wiedziała, czy powinna wejść do środka, kiedy dostrzegła za oknem czyjąś sylwetkę i mignęły jej czyjeś jasne włosy.

Nie miała już wyjścia. Doskonałość przestała się liczyć. Potrzebowała, żeby ktoś ją pocałował i przytulił, tęskniła za ukojeniem matczynych ramion. Zaczęła biec, ślizgając się na żwirze i trawie, z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Dotarła do drzwi, otworzyła je i wbiegła do salonu, gdzie jej matka stała w podomce i kapciach, nucąc pod nosem jakąś melodię. Na kanapie i krzesłach leżały sterty prania. Wpadające przez okno słoneczne światło mieniło się na jasnosiwych włosach kobiety, nadając im blond odcień.

– Mamo – odezwała się Claire i matka podniosła wzrok, przestraszona.

Na twarzy Louisy zakwitł uśmiech. Nie zaskoczenie, nie wątpliwość, tylko radość. Odłożyła żelazko.

– Kochanie! – zawołała, widząc córkę.

Kiedy ojciec Claire wrócił ze sklepu, matka wysłała go do baru i poprosiła, żeby wrócił za parę godzin z rybą i frytkami. Zostawiły prasowanie i usiadły w kuchni. Wszyscy lubili kuchnię Louisy Hardy, kuchnię z ogromnym zlewem, promieniującą ciepłem kuchenką, świeżymi kwiatami, warzywami i pociętym drewnianym stołem przykrytym jasnym obrusem. Kuchnia Claire wyglądała podobnie, czyli tak jak powinna. Matka wyjęła z zamrażarki ciasto, upiekły z niego herbatniki i wypity kilka dzbanków herbaty, podczas gdy Claire opowiedziała Louisie o wszystkim, co się stało: wypadku Romily, opiekuńczości Bena, o czasie, który spędził w pracy i w towarzystwie przyjaciółki zamiast z żoną. O zdjęciu USG, listach i tym, jak kazała się Benowi wyprowadzić z domu.

Przez cały czas Louisa trzymała Claire za rękę, głaszcząc jej grzbiet swoim miękkim kciukiem. Claire mówiła bez końca, zaskoczona tym, ile miała do powiedzenia, chociaż wydawało jej się, że jest wewnętrznie pusta.

Kiedy Claire wreszcie skończyła, jej matka westchnęła.

– Co zamierzasz zrobić w sprawie dziecka, skarbie?

– Mówiłaś, że to zły pomysł, ale cię nie posłuchałam.

– Nie odczuwam z tego powodu satysfakcji.

Ścisnęła rękę Claire.

– Ja też się martwiłam, ale poznałam Romily lepiej i... polubiłam ją.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Claire. Lubisz innych ludzi.

– To dlaczego nie mam przyjaciół?

– Owszem, masz.

– Wcale nie. Od tak dawna nikomu się nie zwierzałam, mamo. Nie mogę znieść towarzystwa dzieci. Nawet przy Helen jest mi ciężko.

– Och, skarbie, wiem o tym.

– Zajście w ciążę zawsze było dla mnie nieosiągalnym celem. Przez lata nie myślałam o niczym innym. Nie potrafię sobie znaleźć zastępczego tematu.

– Pomyśl o sobie – powiedziała z przekonaniem jej matka. – Dziecko pozostaje nim tylko przez pewien czas. Później dorasta, wyprowadza się z domu i oczywiście chcesz, żeby tak się stało, ale zostajesz wtedy sama ze sobą. Kiedy ty, Ian i Helen wyprowadziliście się

z domu, byłam zagubiona. Nie wiedziałam, kim jestem. Ojciec też za wami tęsknił, ale miał swoje biuro i zainteresowania. Ja nie miałam nic swojego, tylko was i ten dom. Dom opustoszał, a wy mieliście własne życie.

Claire przypatrywała się matce. To było coś nowego, podobnie jak nieuprasowane prześcieradła i prośba o przywiezienie z baru ryby z frytkami.

– Ja... nie miałam pojęcia. Tak mi przykro.

Louise machnęła ręką.

– Teraz jest już lepiej, chociaż nadal przyzwyczajam się do nowej sytuacji. Ale, Claire, kochanie, właśnie to usiłuję ci wytłumaczyć. Dziecko nie jest rozwiązaniem. Ono nie ma cię uszczęśliwić. Będiesz przy nim bardzo zajęta, ale to nie to samo, co szczęśliwa. Powinnaś go pragnąć tak po prostu, a nie z poczucia konieczności czy obowiązku. Widziałam, jak ciężko walczyłaś przez wszystkie te lata, zapominając o dobrych rzeczach, które cię w życiu spotkały.

– A teraz, co dobrego mi zostało?

– Jesteś wspaniałą kobietą, utalentowanym muzykiem i świetną nauczycielką. Jestem z ciebie taka dumna, Claire.

– Musisz tak mówić, jesteś moją matką.

– I dlatego znam cię lepiej niż ktokolwiek. – Uniosła dłoń Claire i ją pocałowała.

– Ale dlaczego ona to zrobiła? – zapytała Claire, jakby jej matka mogła znać odpowiedź.

– Jak Romily mogła zaproponować, że zajdzie w ciążę z Benem, skoro była w nim zakochana? Dlaczego udawała moją przyjaciółkę?

– Myślisz, że zrobiła to celowo, aby Ben odwzajemnił jej uczucia?

– W swoich listach pisała, że nie chce go dłużej kochać. Ale jakoś trudno mi uwierzyć, że miłość do Bena nie była przyczyną, dla której zdecydowała się na dziecko. W przeciwnym razie to nie miałyby sensu. – Claire uderzyła dłonią w stół. – Celowo czy nie, bawiła się nami.

– Jak myślisz, co byłoby najlepsze dla dziecka?

Claire już miała powiedzieć: ja, ale szybko się zreflektowała.

Gdyby odłożyła na bok swoje uczucia i pogodziła się z faktami, musiałyby przyznać, że Romily nie była złą matką. Niekonwencjonalną pewnie tak, ale Posie była szczęśliwa i bezpieczna, a Romily ją kochała. Miała też doświadczenie w wychowaniu dzieci, którego Claire brakowało. Poza tym, szczerze kochała swoje dziecko. Była jego matką. Stanowiło ono część Romily, nie Claire.

Do niedawna Claire powiedziałyby, że dziecko będzie na sto procent szczęśliwsze z dwojgiem kochających rodziców niż z jednym. A co, jeśli ona i Ben nie wrócą do siebie? Czy chciała być samotną matką? Czy w ogóle mogła nią być? Jeśli nawet Romily wywiąże się z umowy, pomimo swoich uczuć, to czy Claire będzie potrafiła przyjąć Bena z powrotem, żeby mogli wspólnie wychować dziecko?

Kochała je. Nie miała pojęcia, jak poradzi sobie sama. Nie potrafiła wymyślić ani jednego dobrego wyjścia z tej sytuacji.

– Jako jedyna z naszej trójki nie mam praw do tego dziecka – powiedziała – więc moja opinia i tak się nie liczy.

Louisa ponownie ujęła dłonie Claire.

– Jeśli wierzysz, że to ty będziesz najlepszą matką dla tego dziecka, a nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej, powinnaś o nie walczyć.

– Powinnaś się spotkać ze swoim adwokatem.

– Oczywiście. Chcesz porozmawiać z panem Fredericksem? Ojciec może cię z nim umówić.

– To kuszące, mamo, ale muszę się przyzwyczaić do załatwiania spraw bez niczyjej

pomocy. Żałuję tylko... żałuję, że nie okazałam jej zrozumienia.

- Chcesz powiedzieć, że ją rozumiesz?
- Oczywiście. Romily chce dokładnie tego samego, co ja.
- Jesteś lepszą osobą niż ja, kochanie. Ja najchętniej rozszarpałabym ją na kawałki.
- Mamo!
- Mówię, co czuję. Jeśli ktoś zagraża twojemu dziecku, zamieniasz się w matkę-lwicę.

Ale ty zawsze działałaś racjonalnie.

- Może nie powinnam – odparła ze smutkiem Claire. – Kocham to dziecko, mamo.

Odchodzę od zmysłów na myśl o tym, że mogłabym je stracić. Marzę o nim, wyobrażam sobie, jak trzymam je w ramionach i planuję jego przyszłość. Obiecano mi to dziecko i pragnę go z całego serca. – Przełknęła ślinę. – Ale nie zależy mi na nim bardziej niż Romily. Kiedy czytałam jej listy, to dziecko było obecne w każdym słowie. Romily zna je dużo lepiej niż ja.

- Poznawania dziecka można się nauczyć, podobnie jak miłości.
- A czy można się nauczyć, jak go nie kochać?
- Nie sądzę – odparła jej matka. – Przykro mi, Claire, ale tego chyba nie.

## PYTANIE

Trzydziesty siódmy tydzień ciąży okazał się dla Romily prawdziwą udęką. Ledwie mieściła się pod prysznicem, nie mogła zakładać wiązanych butów, łapała zadyszkę podczas spaceru i wchodzenia po schodach. Kiedy siadała, bolała ją pupa, a kiedy wstawała, puchły jej kostki. Miała na brzuchu swędzące czerwone rozstępy, na szyi pojawiły się dziwne wypryski, musiała nosić specjalne staniki podtrzymujące biust i nie mogła się powstrzymać od jedzenia pierożków z bakaliami. Chodziła do toalety co pięć minut, plecy bolały ją bez przerwy od dwóch dni. Płakała na reklamach pieluszek – zdarzało jej się to tak często, że całkiem przestała oglądać telewizję.

Płkanie podczas reklam pieluszek niepokoiło ją. W swoim zawodzie miała do czynienia z wieloma obrzydlistwami – niektóre z nich były naprawdę wstrętne – ale jednorazowa pielucha wypełniona po brzegi dziecięcą kupką wydawała się najgorsza ze wszystkich. Mdlilo ją każdego dnia przez okrągłe dwa lata, dopóki Posie nie nauczyła się korzystać z nocnika. Nie powinna mieć sentymentu do pieluszek. Jednak kiedy to dziecko zacznie z nich korzystać, nie będzie już pod opieką Romily.

Jej ciąża była tak zaawansowana, że każde spotkanie z nieznaną osobą wyzwalało pytania o datę porodu, imię i płeć dziecka. Wszyscy starali się być mili, lecz Romily nie potrafiła się dłużej zdobyć na bez troskie: „Jestem matką zastępczą”. Zamiast tego mamrotała coś pod nosem i uciekała gdzie pieprz rośnie.

Romily wiedziała, że tak samo czuła się Claire na widok cudzych dzieci.

Tego wieczoru Jarvis zaoferował się, że popilnuje Posie, aby Romily mogła wyjść na miasto i odpocząć, lecz odmówiła. Po pierwsze, nie miała z kim wyjść. W piątkowe wieczory Hal był zajęty. Nie poprosiła też Jarvisa, żeby został z nią po tym, jak położył Posie spać – jej życie było dostatecznie pogmatwane.

Siedziała na kanapie ze stopami opartymi na poduszce i z laptopem na brzuchu, przy świetle lampek mizernej sztucznej choinki, udając, że szuka nowej pracy. Kiedy małeństwo kopnęło, laptop podskakiwał.

Romily obiecała Jarvisowi, że dla dobra Posie nie będzie się zamykać w sobie i uciekać od rzeczywistości. Problem w tym, że nie miała pomysłu, czym się zająć. Pomagała Posie odrabiać lekcje i spędzała z nią tyle czasu, ile tylko mogła. Jarvis spotykał się z nimi każdego dnia po szkole: tego popołudnia wybrali się na świąteczne zakupy i ubrali choinkę. Romily wyściskała córkę przed snem, leżały razem w jej łóżku i rozmawiały. Romily usiłowała jej wytłumaczyć, że rozstanie Bena i Claire nie miało związku z Posie i pewnie niedługo się zejdą, lecz trudno było to wszystko wyjaśnić siedmiolatce. Byłoby łatwiej, gdyby Posie mogła się spotkać z Claire lub z Benem, ale Romily nie zebrała się jeszcze na odwagę, by odpowiedzieć na jego SMS-a.

Powinna wziąć się w garść i umówić Posie na spotkanie z którąś koleżanką, na przykład z córką Eleanor. Co prawda Posie nigdy nie wspominała, że się z nią przyjaźni, lecz na tym etapie nie miało to chyba większego znaczenia. Jednak Romily i w tym przypadku zabrakło... odwagi.

Skąd ją wziąć, skoro nie miała nawet dość energii, żeby włączyć telewizor?

Nagle ktoś zapukał do drzwi. W charakterystyczny dla Bena sposób.

Romily zalewały kolejno fale radości, paniki, strachu i tęsknoty, gdy ostrożnie odłożyła laptopa na stolik kawowy i dźwignęła się z kanapy, przytrzymując bolący kręgosłup. Nagły

przyływ emocji nie przygotował Romily na widok stojącego na progu jej mieszkania Bena.

Miał na twarzy kilkudniowy zarost, cienie pod oczami i nie założył płaszcza.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała Romily.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Wszedł do środka, roztaczając wokół siebie woń alkoholu.

– Byłem w pubie – wyjaśnił. – Chciałem sobie dodać odwagi.

– Nie ty jeden.

– Przyszedłem ci tylko powiedzieć, że... Gdzie jest Posie? Śpi? – Zanim Romily zdążyła odpowiedzieć, Ben podszedł do drzwi sypialni i zajrzał do środka. Po dłuższej chwili zamknął je z powrotem i wrócił do salonu. – Ależ się za nią stęskniłem. Boże...

– Posie też za tobą tęskni. To ona wysłała ci tamten SMS.

– Tak? Aha... – Zmarszczył brwi, ale nic więcej nie dodał. Romily czekała z bijącym sercem.

Ben wiedział, co do niego czuła. Po raz pierwszy, odkąd się poznali.

Romily powinna być szczęśliwa. To mógł być dla nich początek czegoś nowego, a nie koniec świata.

– Jak dziecko? – zapytał w końcu. – Czy to chłopiec?

– Tak. Czuje się dobrze.

– Jesteś ogromna.

– Dzięki.

Ben usiadł na fotelu, zwiesił głowę i potarł twarz. Romily pamiętała, kiedy poprzednio tak wyglądał, pijany i zrozwyczajony, tamtego wieczoru w pubie, gdy zaproponowała, że urodzi mu dziecko. Wtedy właśnie to wszystko się zaczęło.

Chociaż, jeśli miała być ze sobą szczerą, wszystko zaczęło się wiele lat wcześniej, kiedy uświadomiła sobie, że czuje do Bena coś więcej niż on do niej i, zamiast odejść, została i schowała swoje uczucia najgłębiej jak potrafiła. Kiedy zaczęła oszukiwać.

– Tak mi przykro – powiedziała.

– Tobie jest przykro? Nie, Romily, to moja wina, i to ja przepraszam za to, co ci zrobiłem.

– Czyli za co?

– Widziałem się z Jarvisem.

– O Boże. To naprawdę pogmatwane. – Dziecko, w reakcji na głos ojca lub zdenerwowanie Romily, kopnęło ją w zębra tak mocno, że Romily się skrzywiła. Usiadła na kanapie wyprostowana, żeby dziecko miało więcej miejsca. – Jarvis cię odszukał?

– Wpadłem na niego na stacji kolejowej przed paroma godzinami. Chyba chciał mi spuścić łomot.

– O nie. – Romily objęła głowę dłońmi. – Powiedz mi, że nie urządziliście bójki na stacji Brickham. Jestem w trzydziestym siódmym tygodniu ciąży i mam już dosyć dramatycznych scen.

– Nie. Bardzo dobitnie powiedział mi, co o mnie myśli. Jego zdaniem ograniczałem cię przez wszystkie te lata. Uważa, że gdyby nie ja, byłabyś teraz szczęśliwa.

– Wcale mnie nie ograniczałeś. Nie miałam nadziei na to, że kiedyś... – *mnie pokochasz*. Nie mogła się zmusić do wypowiedzenia tych słów. Wystarczyło, że Ben zdawał sobie sprawę z jej uczuć.

– Znamy się od lat, Rom. Jak mogłem się nie domyślić? Dlaczego tego nie zrobiłem? – Przechesał palcami włosy.

– Nie chciałam, żeby ktokolwiek czytał te listy. Większość z nich napisałam późną nocą,



kiedy nie mogłam zasnąć, kwiecistym, egzaltowanym językiem. Pewnie w wielu miejscach przesadziłam.

– Doprawdy? Nic do mnie nie czujesz, Romily? – Podczas całej ich znajomości ledwie kilka razy patrzył na nią tak jak teraz.

– Nie – odparła, zwieszając głowę.

– Przez wiele lat nie miałem tyle wolnego czasu na przemyślenia – powiedział Ben. – Claire chciała odpuścić. Twierdziła, że możemy być szczęśliwi bez dzieci, a ja nie słuchałem. I wtedy zjawiała się ty. Nie zastanowiłem się nawet, jak ta sytuacja na ciebie wpłynie.

– Posłuchaj, byłam tego świadoma. Wiedziałam, że do niczego między nami nie dojdzie. Pogodziłam się z tym.

– Jarvis myśli co innego. Jego zdaniem, zostałam w Brickham ze względu na mnie.

Uważa, że gdzie indziej miałabyś szansę na lepszą pracę za większe pieniądze.

– Nie mogłabym zostawić kolekcji Amity.

– Jarvis sądzi, że mogłaś znaleźć porządnego ojca dla Posie. Pewnie ma na myśli siebie, ale i tak ma sporo racji, nie uważasz?

Romily nie odrywała wzroku od plamy na dywanie.

– Boże, ale ze mnie palant – powiedział Ben. – A wydawało mi się, że mam wszystko: idealną żonę, dom i pracę. Brakowało mi tylko dziecka, więc zacząłem szukać rozwiązania. Pozwoliłem, żeby moja żona poddała się wszystkim możliwym zabiegom medycznym, a później, gdy nie chciała tego dłużej robić, zacząłem na nią jeszcze bardziej naciskać. Kiedy zaproponowałaś, że zajdziesz dla nas w ciążę, skwapliwie się zgodziłem. Nie przemyślałem tego. Liczyło się tylko to, czego sam pragnąłem.

Romily siedziała prosto, ignorując ból pleców.

– Przestań, jestem dużą dziewczynką. Mogę sama podejmować decyzje, podobnie jak Claire. Nie kazałeś mi się w tobie zakochać. Postąpiłam głupio, bo wiedziałam, że kochasz Claire i nie mam u ciebie szans. Mimo to zostałam.

– To moja wina.

– Bo nie można ci się oprzeć? Daj spokój.

Ben wlepił w nią spojrzenie.

– Dlaczego mnie pokochałaś? Jak długo to trwa?

– Nie będziemy o tym rozmawiać. – Machnęła gwałtownie dłońmi, jakby chciała odpędzić ten temat. – Najważniejsze jest to, co zrobimy teraz. Musisz wrócić do Claire, bo to dziecko potrzebuje rodziców.

– To nie takie proste.

– Oczywiście, że tak. Najważniejsze jest dziecko. Musimy zrobić to, co dla niego najlepsze.

– Claire twierdzi, że chcesz je zatrzymać i że je kochasz.

Romily zacisnęła szczękę.

– To bez znaczenia.

– Dlaczego tylko twoje uczucia miałyby się nie liczyć?

Pokręciła głową.

– To także nasze dziecko – przypomniał jej Ben. – Moje i twoje. Spłodziliśmy je, ponieważ darzyliśmy się zaufaniem i zależało nam na sobie. Nie potrafię o tym zapomnieć. Ludzie wiążą się na całe życie z błahszych powodów. Kiedy cię widzę, w ciąży z naszym dzieckiem... – Wziął głęboki oddech. – Nigdy wcześniej się tak nie czułem. Dlatego kiedy Claire zapytała, czy cię kocham, nie potrafiłem zaprzeczyć.

Romily poczuła, jak z jej płuc uchodzi każdy centymetr szczęśliwego powietrza, gęstego

i ciężkiego.

– Może nie powinienem był nic mówić – kontynuował Ben. – Może należało wszystko zignorować i skoncentrować się na stworzeniu idealnego domu dla dziecka. Ale byłem jej winny prawdę. Jestem ją winien również tobie, Romily. Skoro popełniłem błąd, powinienem go spróbować naprawić. Niezależnie jednak od mojej decyzji, ktoś będzie cierpiał. Czuję się tak, jakbym to ja musiał wskazać tę osobę i nie potrafię tego zrobić.

– Kochasz Claire – szepnęła Romily.

– Tak. Ale pomyśl o tym, co dla mnie zrobiłaś. Kiedy Jarvis uświadomił mi, z ilu rzeczy zrezygnowałaś... Nie mogę tego zignorować. Ani zabrać dziecka i zostawić cię samej. To również twój syn. – Ponownie przeczesał palcami włosy. – Myślę o tym bez przerwy i doprowadza mnie to do szału. Nie wiem, jaka decyzja będzie najlepsza. Nie wiem nawet, czy istnieje dobre wyjście z tej sytuacji.

Na jego twarzy malował się tak wielki ból, że Romily musiała się mocno zaprzeć na kanapie i przycisnąć stopy do podłogi.

– Myślę, że mogłem zniszczyć wszystko, co łączyło mnie z Claire. Nie wiem, czy zdoła mi jeszcze zaufać. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, zachowywała się jak obca osoba. Wyglądała tak, jakby mnie znienawidziła. Nie wolno mi jej za to potępiać. Ale ciebie też nie mogę zawieść, prawda? Skrzywdziłem cię już najmocniej, jak to tylko możliwe.

– Wcale nie.

– Claire poprosiła, żebym dokonał wyboru, ale nie potrafię. Decyzja musi należeć do ciebie, Romily. To ty możesz najwięcej stracić. Masz naszego syna. On należy do ciebie. Chcesz go zatrzymać? – Chwycił się za włosy, jakby zamierzał je wyrwać razem z cebulkami. – A jeśli tak, to czy... mnie też?

## KONCERT

W tylnych rzędach nie było już wolnych miejsc, ale Claire zajęła pojedyncze krzesło pod ścianą na końcu sali, gdy reszta widzów była zajęta rozmową. Salę udekorowano bożonarodzeniowo: z boku sceny mieniła się duża choinka. Zrobione przez siódmoklasistów papierowe łańcuchy zdobiły ściany. Obok krzesła Claire stał długi stół przykryty zielonym obrusem i lametą, zastawiony rzędami szklanek, które wkrótce miały się wypełnić winem i nektarem owocowym. Pieczę nad napojami sprawowały Octavia i Felicity, dawne uczennice Claire. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, dziewczyny szeroko otworzyły oczy ze zdziwienia, ale szybko się opanowały i uśmiechnęły do nauczycielki. Claire zamierzała przed wyjściem zapytać, co u nich, nie dbając o to, że stanie się obiektem uczniowskich plotek.

Brała udział w dziesiątkach, jeśli nie w setkach podobnych koncertów. Zwykle siadała w pierwszym rzędzie, obok innych nauczycieli muzyki, żeby w razie potrzeby mogła pomóc swoim podopiecznym. Ponad głowami gości Claire dostrzegła kobietę z krótkimi siwymi włosami, która siedziała w pierwszym rzędzie obok Lindsay. Miała na sobie granatową marynarkę z poduszkami na ramionach. Claire zamierzała porozmawiać również z nią. Nie chciała, żeby jej zastępczyni, pani Radcliffe uważała, że Claire się jej boi.

Przed wyjściem z domu Claire przebierała się aż trzy razy. Umówiła się na strzyżenie i czesanie w salonie fryzjerskim w centrum handlowym w Brickham, z którego usług nigdy wcześniej nie korzystała. Starannie umalowała paznokcie bezbarwnym lakierem i poświęciła czterdzieści pięć minut na zrobienie makijażu, starając się usunąć z twarzy ślady zmęczenia i zachować naturalny wygląd. Nałożyła barwy wojenne, niezbędną maskę. Kiedy jednak przyjechała na parking przed Świętym Dominikiem, musiała odsiedzieć pięć minut w samochodzie i przypomnieć sobie treść ostatniego e-maila od Maxa: *Bardzo bym chciał, żeby Pani przyszła. Nie zdecydowałbym się, gdyby nie Pani. PS – okropnie się boję.*

Nigdzie nie zauważyła państwa Gore-Thomasów, co było dobre dla niej, lecz smutne dla Maxa. Dostrzegła za to wielu pracowników szkoły, nie tylko z wydziału muzycznego, oraz niepracujących matek, które przychodziły na prawie wszystkie koncerty. Uczniowie, których czekały egzaminy muzyczne, mieli obowiązek uczestniczyć w recitalach, ale Claire zobaczyła znacznie więcej dziewcząt i chłopców w niechlujnych domowych ciuchach, z włosami w artystycznym nieładzie lub niedbale związanymi w kucyk. Zastanawiała się, czy to Max ich zaprosił i czy zaczął spędzać więcej czasu z rówieśnikami. A może przyszli tu z ciekawości, żeby sprawdzić, jak gra na gitarze i o co właściwie poszło w październiku.

Program koncertu wydrukowano na komputerze, na gładkiej kartce formatu A5. Na górze znajdował się nagłówek MAX GORE-THOMAS, a poniżej lista imion i nazwisk: pan Doughty, Angel, Max, Alan, pani Greasley. Większość tematów była Claire znana: Max grał je w szkole albo przesłał mailem. Jej nazwisko widniało na samym dole, za Alanem. *Claire Lawrence*, bez „pani”. O tym utworze Max jej nie powiedział.

Kurtyna zaszeleściła i na scenie pojawił się Max z gitarą. Nie nawiązał kontaktu wzrokowego z publicznością, tylko usiadł na krześle i położył instrument na kolanach. Zwiesił głowę w znajomej pozie i zaczął grać.

Claire uderzyły jasne, czyste i doskonałe tony. Słysząc było, że ćwiczył. Rozwinał się muzycznie i fizycznie. Pliki MP3, które jej przysłał, nie oddawały tego w pełni. Claire przymknęła oczy i wyobraziła sobie postacie. Z zamkniętymi oczami widziała ich wszystkich: kioskarza z agresywnym spojrzeniem, bujającego w obłokach marzyciela, beztroskiego

dzieciaka. Kiedy Max, poważny i skupiony, zagrał temat pani Greasley, z sali dobiegły śmiechy, ale Claire się nie roześmiała. Słuchała. Właśnie tego Max od niej potrzebował, żeby wysłuchała go całym sercem i umysłem.

Pomiędzy kolejnymi utworami zapadała cisza. Claire wsłuchiwała się także w nią. Publiczność była urzeczona tym, co działo się na scenie. Claire słuchała tego, co ona, nauczycielka, zrobiła dla Maxa, i to wcale nie poprzez nauczanie muzyki czy narażanie się dla niego. Wystarczyło, że dała mu nieco własnej przestrzeni, pozwoliła mu odnaleźć własną drogę.

Kiedy zaczął grać temat matki, natychmiast go rozpoznała: muzyka brzmiała wolno i łagodnie, ciepło i słodko, przepełniała ją nadzieją i tęsknotą, zapach dziecięcej główki, dotyk policzka przyciśniętego do twarzy Claire, muśnięcie rzęs. Cienka jak pergamin skóra dłoni jej matki, które kiedyś były najpiękniejszymi dłońmi, jakie знаła.

Łza skapnęła jej na kolano.

Utwór dobiegł końca, Claire uniosła wzrok i spojrzała na siedzącego na scenie Maxa, który patrzył prosto na nią.

I wtedy do niej dotarło: to była ostatnia piosenka. Max nazwał temat matki jej imieniem.

Claire wstała z krzesła i uśmiechnęła się do niego. Razem z resztą sali oklaskiwała utalentowanego, zdeterminowanego, samotnego chłopca. Jej samotnego chłopca. Otarła oczy wierzchem dłoni, a publiczność wciąż biła brawo. Max wstał, lekko się uklonił i schował się za kurtyną.

Oklaski rozbrzmiewały jeszcze długo po tym, jak Claire zorientowała się, że Max nie pojawi się na scenie, żeby złożyć kolejny ukłon. Miała ochotę pobiec za kulisy i mu pogratulować, lecz wiedziała, że będzie tam panował tłok, a Max miał już dość wrażeń. Postanowiła wypić letnie białe wino i na niego zaczekać. Pamiętała, jak było na jej koncertach: po wszystkim miała ochotę porozmawiać z przyjaciółmi i nacieszyć się całym tym szumem, ale lubiła też, kiedy czekała na nią matka.

Claire siedziała najbliżej stołu, więc jako jedna z pierwszych chwyciła szklankę. Zdążyła zamienić tylko kilka entuzjastycznych słów z Felicity, zanim publiczność rzuciła się na darmowe napoje. Claire wycofała się do kąta, który okazał się dobrym punktem obserwacyjnym. Sączyła wino i przysłuchiwała się temu, co ludzie mówili o koncercie.

*Max grał niesamowicie. Jest taki utalentowany! Widziałam minę pani Greasley, kiedy grał. Uważałam go za odludka, ale teraz wreszcie zrozumiałam.*

– Nie miałem pojęcia – odezwał się wysoki mężczyzna z ciemnymi włosami, który stał plecami do Claire. Rozpoznała jego głos i siwiejące skronie. Wycofała się głębiej do kąta, na wypadek, gdyby pan Gore-Thomas się odwrócił. Rozmawiał właśnie z Ernestem Doughty, kierownikiem akademika, w którym mieszkał Max. – Za cholerę nie wiedziałem, że Max potrafi tak grać. Nie znam się na muzyce, ale potrafię poznać, kiedy ktoś ma talent. Niewiarygodne, wprost niewiarygodne.

– Cieszę się, że pan przyszedł – odezwał się Ernest. – Wiem, że o tej porze roku jest pan bardzo zajęty.

– To nic takiego. Musiałem tu być.

Ernest popatrzył na Claire ponad ramieniem pana Gore-Thomasa. Skinął głową, a nawet – jak wydawało się Claire – puścił do niej oczko.

– Tata?

Głos Maxa przebił się przez szmer rozmów. Chłopiec nadal trzymał w ręku gitarę i wpatrywał się w ojca. Pan Gore-Thomas przecisnął się przez tłum i objął Maxa ramieniem.

– Jestem z ciebie dumny – powiedział, a chłopiec oblał się rumieńcem.

Claire cicho odstawiła szklankę na stół i ruszyła w kierunku wyjścia.

Veronica szła korytarzem w przeciwnym kierunku, niosąc dwie kolejne butelki wina.

- Claire! – zawołała. – Koncert był wspaniały, nie sądzisz?
- Owszem, był.
- Tak się cieszę, że przyszedłaś. Ostatecznie wszystko się ułożyło. Będziemy musiały niedługo porozmawiać o twoim powrocie – zakończyła z szerokim uśmiechem.
- Właściwie nie sądzę, żebym chciała wrócić do Świętego Dominika – odparła Claire.
- Nie wracasz do pracy?
- Wprost przeciwnie. Poszukam innej posady. Będę ci wdzięczna za referencje.

Veronica zmarszczyła brwi.

- Kiedy podjęłaś tę decyzję?
- Przed sekundą. Miłego wieczoru. – Claire skinęła serdecznie głową i wyszła ze szkoły.

W drodze powrotnej do Sonning czuła dziwny spokój, po raz pierwszy od wielu tygodni, miesięcy, a może nawet lat. Kiedy weszła do domu, włączyła Bacha tak głośno jak lubiła, otworzyła kuchenną szufladę, wyjęła z niej śrubokręt i klucz sześciokątny. Poszła schodami na górę. Muzyka przenikała przez deski podłogowe, wypełniając ściany starego domu stłumionymi, łagodnymi dźwiękami.

Max jej potrzebował i było w tym coś wspaniałego: cud dawania i słuchania. Myślał o niej, przynajmniej przez krótką chwilę, jak o matce. Ale teraz musiał sobie poradzić sam. Ojciec nareszcie go usłyszał. Max już jej nie potrzebował. Claire zamierzała pozostać jego przyjaciółką i była nauczycielką, ale temat matki tak naprawdę nie należał do niej. Tylko go pożyczyła.

Nie było w tym nic złego. Na tym polega naturalna kolej rzeczy. Claire mogła się jeszcze przydać wielu osobom. Mogła pokierować swoim losem w dowolny sposób.

Pracowała prawie do trzeciej w nocy: zdemontowała kołyskę, komodę i przewijak, zdjęła zasłony i karuzelę, poskładała kocyki i ubranka, zwinęła dywan. W ciemności, z rozświetlonym gankiem i sączącymi się z głośników *Koncertami brandenburskimi*, spakowała wszystkie rzeczy do samochodu. Chociaż zajmowały każdy skrawek przestrzeni poza siedzeniem kierowcy, nie miała wrażenia, że jest ich dużo.

Później położyła się do łóżka i czekała, aż wstanie nowy dzień.

## ODPOWIEDŹ

Ben zapytał Romily, czy chce go przy sobie zatrzymać, a później popatrzył jej prosto w oczy.

Kiedy wyobrażała sobie tę scenę, to nigdy w jej ciasnym mieszkanku, w towarzystwie sztucznej choinki. Częściej na polu albo na szczycie góry i zawsze w alternatywnej rzeczywistości, w której Claire nie istniała albo nigdy nie poznała Bena. W świecie, w którym kumpłowali się aż do dnia, w którym – na polu, na szczycie góry lub nawet w świetlicy studenckiej – Ben spoglądał na Romily w ten szczególny sposób.

Czuła smak jego pocałunków, przeżywanych miliony razy w wyobraźni, zawsze w poczuciu winy. Wiedziała, jakby to było wziąć jego silne ciało w ramiona. Znała Bena jako dobrego ojca, lojalnego przyjaciela, marzyciela i optymistę, mężczyznę, który swoim uśmiechem i siłą woli potrafił przenosić góry. Mężczyznę, którego jej córka chętnie widziałaby w roli swojego ojca.

Kochała go przez jedenaście lat. Jedenaście lat tęsknoty i straconych okazji, które musiały do czegoś prowadzić. I oto Ben zapytał, czy by go zechciała.

A teraz wstrzymywał oddech w oczekiwaniu na jej odpowiedź. Chciał się dowiedzieć, co czuła.

*Dlaczego tylko twoje uczucia miałyby się nie liczyć, Rom?* – zapytał.

W marzeniach Romily Ben zawsze wybierał ją.

– Nie – powiedziała.

Ben odetchnął z ulgą. Romily była pewna, że tego sobie nie wyobraziła.

## TU I TERAZ

Skoro już Claire podjęła decyzję, chciała mieć to jak najszybciej z głowy. Romily mieszkała jednak w centrum miasta, tuż obok największego centrum handlowego w Berkshire, a to był ostatni weekend przed Bożym Narodzeniem. Claire zamierzała wstać skoro świt, lecz zasnęła. Teraz korki zaczynały się na przedmieściach i ciągnęły się przez wszystkie drogi w kierunku parkingów. Claire siedziała w zagraconym samochodzie i bębniła palcami w kierownicę. Ulica była jednokierunkowa, więc nie mogła nawet zmienić zdania i zawrócić. Padał szary deszcz ze śniegiem i chociaż każdy budynek zawieszony był bożonarodzeniowymi lampkami, miasto wyglądało przygnębiająco.

W ślimaczym tempie minęła budynek, w którym pomieszkiwał Ben. Miała dość czasu, żeby przyjrzeć się wszystkim oknom i zastanowić się, które z nich były jego. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak składa mu wizytę, ale wcześniej czy później będą się przecież musieli spotkać. Najlepiej na neutralnym gruncie.

Czy coś takiego w ogóle istniało? W umyśle Claire każdy skrawek przestrzeni jawił się jako miejsce, w którym kiedyś była z Benem, zanim się rozstali, albo sama, już po jego wyprowadzce. Przez tak wiele lat myślała o sobie jako o ukochanej Bena, jego drugiej połówce, że będzie musiało upłynąć dużo czasu, zanim odnajdzie własną tożsamość. O ile w ogóle to nastąpi.

Potrzebowała aż czterdziestu pięciu minut, żeby przejechać pięć kilometrów. Zanim wjechała w ulicę, przy której mieszkała Romily, ranek zamienił się w przedpołudnie. Claire zorientowała się, że burczy jej w brzuchu. Nie zjadła śniadania, a wieczorem przed koncertem pozwoliła sobie tylko na lekką kolację. Zabawne, że chociaż nie wiedziała, kim jest – żoną pozbawioną męża, nauczycielką bez uczniów i matką bez dziecka – jej ciało nadal funkcjonowało, domagając się tego samego, co zwykle. Może definiowało ją właśnie ciało, ułomne ciało, które potrafiło grać na pianinie, piec ciasta, montować i demontować meble w dziecięcym pokoju, ale nie było zdolne przekazać życia.

Szczęśliwym trafem na parkingu przed domem Romily właśnie zwolniło się miejsce. Claire niewiele widziała przez zastawione pudłami tylne i boczne okna, ale jakoś udało jej się zaparkować. Dopiero kiedy zatrzymała samochód, dotarło do niej, że Romily jest w trzydziestym siódmym tygodniu ciąży i nie zdoła wnieść tego wszystkiego do mieszkania.

Trudno, Claire będzie musiała to zrobić sama. Otworzyła tylne drzwi i wyjęła pierwszą rzecz, jaka nawinęła jej się pod rękę, czyli wiklinowy kosz pełen dziecięcych ubranek. Oparła go na biodrze, weszła po śliskich schodach prowadzących do mieszkania Romily i zastukała do drzwi.

Otworzyła dopiero po kilku minutach. Miała na sobie wielki podkoszulek i dresy, jej włosy były w nieładzie. Wyglądała niewyraźnie, jakby dopiero co się obudziła z niezbyt udanej drzemki.

– Claire? – zdziwiła się.

Claire zauważyła malujące się na jej twarzy poczucie winy.

– Powinnaś wysypać schody piaskiem – zauważyła Claire. – To cud, że się jeszcze nie przewróciłyście.

– Co ty tu... To znaczy, miło cię widzieć, wejdz. – Zrobiła krok w tył, skrzywiła się i rozmasowała sobie kręgosłup.

– Co ci jest?

– Plecy bolą mnie bardziej niż wczoraj. Mam okropnie niewygodny materac.

Salon sprawiał wrażenie jeszcze ciasniejszego niż zwykle, przez sztuczną choinkę, która stała w kącie, lekko przekrzywiona. Claire zobaczyła leżące na podłodze buty Posie. Zupełnie o niej zapomniała. Dziewczynka musiała być skołowana: jednego wieczoru świetnie bawiła się z Claire, a później całkiem straciła z nią kontakt.

Z drugiej strony, na pewno widziała się od tamtego czasu z Benem, który musiał jej jakoś wytłumaczyć sytuację. Serce Claire ścisnęło się na tę myśl.

– Posie nie ma w domu – wyjaśniła Romily. – Jarvis zabrał ją na spotkanie ze swoim bratem i jego dziećmi. Uznał, że będzie dobrze, jeśli Posie spędzi trochę czasu z rówieśnikami. A ja potrzebowałam odpoczynku. – Ponownie się skrzywiła. – Auć!

– Przywiozłam trochę rzeczy – powiedziała Claire. – Nie będę ci przeszkadzać. Zostawię je tylko i sobie pójdę.

Romily popatrzyła na koszyk i zmarszczyła brwi.

– To są dziecięce ubranka.

– Tak. – Claire odstawiła koszyk na kanapę. – Pójdę po resztę.

– Po co mi dziecięce ubranka? – zapytała Romily, idąc za Claire w stronę schodów.

– Ostrożnie, są śliskie. Nie przewróć się.

Romily położyła dłoń na barierce.

– Dlaczego przywiozłaś dziecięce ubranka?

– Kupiłam kilka nowych, których nie widziałas, głównie w białym kolorze. Mam też pieluszki. – Podeszła do samochodu i wyciągnęła z niego brezentową torbę na zakupy, pełną butelek i sprzętu do sterylizacji. Kiedy się odwróciła, Romily stała na chodniku, podpierając plecy, i przyglądała jej się w coraz większym zdumieniu.

– Dlaczego przywiozłaś te wszystkie meble?

– To są mebelki z pokoju dziecięcego.

Claire minęła Romily i weszła do mieszkania. Postawiła torbę na kanapie, obok koszyka, i ponownie wróciła do samochodu.

– Claire – odezwała się Romily – nie potrzebuję tego wszystkiego.

– Będziesz gdzieś musiała położyć dziecko, prawda? I je ubrać? Chyba że sama kupiłaś potrzebne rzeczy.

– Oczywiście, że nie. Dziecko nie zostanie ze mną. Jest twoje.

Claire wyjęła z samochodu boki kołyski. Nie dała rady wziąć jednocześnie więcej niż dwóch.

– Wcale nie – odparła. – Dziecko należy do ciebie. To twoje jajeczko. Twoje ciało. Ty stworzyłaś to dziecko i je kochasz.

– Oszalałaś?

– Spotkałam się z adwokatem. Pewnie już o tym wiesz, ale nie mam żadnych praw do tego dziecka, chyba że dobrowolnie się ich zrzekniesz na moją korzyść. Chociaż formalnie jestem żoną jego ojca, przynajmniej na razie, nic mnie z tym dzieckiem nie łączy. Nie musisz go oddawać, Romily. Nikt cię do tego nie zmusza. Jeśli je kochasz, jest twoje.

Ponownie minęła Romily i weszła do mieszkania. Usłyszała za sobą jej ciężkie kroki. Romily miała lekką zadyszkę.

– Wyjaśnijmy coś sobie – powiedziała. – Chcesz mi oddać to dziecko?

– Nie musisz ci go oddawać. Ono już jest twoje. Gdzie mam to położyć? W sypialni twojej czy Posie?

– W żadnej nie ma miejsca.

– Będziesz się musiała tym zająć. – Oparła boki kołyski o kuchenne szafki i znowu



ruszyła do drzwi. Romily zastąpiła jej drogę.

– Przestań – powiedziała. – Nie chcę tych wszystkich rzeczy.

– Mnie się nie przydadzą i nie chcę na nie dłużej patrzeć.

– Claire, urodzę to dziecko dla ciebie.

– Nieprawda! – krzyknęła Claire. – Urodzisz je dla Bena, bo go kochasz! A on kocha i dziecko, i ciebie. Daję ci to, czego chcesz, Romily. To, czego zawsze pragnęłaś. Nie rozumiesz?

Romily otworzyła szeroko oczy. Krew odpłynęła z jej twarzy.

– O cholera – powiedziała.

Claire nie miała pojęcia, jak Romily zachowa się w tej sytuacji, ale takiej reakcji na pewno się nie spodziewała.

– Romily?

– Chyba odeszły mi wody.

– Dziecko powinno się urodzić dopiero za trzy tygodnie!

– Jemu to powiedz. Jestem pewna, że coś zaczyna się dziać. – Ruszyła w kierunku toalety. Na progu zatrzymała się i przytrzymała futryny.

– Dobrze się czujesz? – Na spodniach Romily widać było ciemną plamę. Claire pobiegła za ciężarną i położyła jej dłoń na ramieniu. Romily miała zamknięte oczy i wyglądała na mocno skoncentrowaną.

– To skurcz – wysapała.

– Jesteś pewna?

– Trudno to z czymkolwiek pomylić.

– Może powinniśmy zadzwonić do szpitala? Czy skurcze są regularne?

– Na razie miałam tylko jeden, chociaż zaczynam się zastanawiać nad tym bólem pleców.

– Romily wyprostowała się i weszła do toalety. Claire została za drzwiami.

– Wszystko w porządku? – zawołała.

– Nie panikuj – odkrzyknęła Romily – ale naprawdę odeszły mi wody. O rany...

– Musimy zmierzyć czas pomiędzy skurczami. W ten sposób dowiemy się, czy czas już jechać do szpitala. – Claire popatrzyła na nadgarstek, ale nie miała zegarka. Weszła do sypialni, łóżko było nieposłane, koszula nocna leżała na ziemi, i sięgnęła po budzik Romily. Kiedy był ostatni skurcz? Pół minuty temu? A może dwie?

– Zaczniemy mierzyć czas od kolejnego skurczu! – zawołała. Romily nie odpowiedziała.

– Romily? Romily? – Claire zaczęła walić do drzwi.

Romily wreszcie je otworzyła. Miała na sobie spodnie od piżamy, które wyglądały na wyciągnięte z dna kosza na brudną bieliznę. Uśmiechnęła się do Claire i chwyciła ją za dłoń. Miała bardzo ciepłą rękę.

– Dziecku spieszy się na świat.

– Jak to, już? – głos Claire zamienił się w pisk.

– Nie. Ale dziecko wkrótce się urodzi. To naprawdę niesamowite.

Claire głęboko zaczerpnęła powietrza.

– OK, w porządku. To świetnie. Zachowajmy spokój, sprawdźmy, jak częste są skurcze, a kiedy będą się pojawiać co pięć minut...

Romily mocno zacisnęła rękę na dłoni Claire. Tym razem jej oczy były szeroko otwarte, a twarz zastygła w grymasie bólu.

– Oddychaj – poradziła jej Claire. – Oddychaj głęboko, Romily.

Romily głośno wypuściła powietrze przez usta i wzięła wdech nosem.

– Świetnie. Dzielna dziewczyna. – Po długiej chwili, która ciągnęła się jak wieczność,

uścisk Romily się rozluźnił. – Od poprzedniego skurczu nie minęło pięć minut.

– Posie urodziła się dość szybko. Może zamiast dzwonić do szpitala, powinniśmy tam od razu pojechać.

– Dobry pomysł. Będę prowadzić. Masz torbę z niezbędnymi rzeczami?

– Nie, ale to nic. Myślę, że nie zostanę zbyt długo w szpitalu.

Claire zdjęła z klamki drzwi do sypialni Posie sznurkową torbę z jej strojem na WF i wyrzuciła zawartość na podłogę.

– Spakuję trochę ubranek dla dziecka, coś na przebranie dla ciebie, a do tego szczoteczkę do zębów i szczotkę do włosów. Usiądź, za minutę tu wrócę.

– Nie tego się spodziewałaś, co? – Romily weszła do salonu, podczas gdy Claire buszowała w szufladach komody w sypialni w poszukiwaniu ubrań. Kiedy po kilku minutach wróciła, zastała Romily klęczącą na podłodze i podpartą na łokciach, z głową pod stolikiem kawowym.

– Romily!

Kobieta uniosła głowę.

– Nic mi nie jest. Szukam kluczyków. Chociaż muszę przyznać, że w tej pozycji jest mi całkiem wygodnie. – Wyciągnęła rękę. – Znalazłam. Telefon też.

– Możemy zadzwonić do szpitala, gdy już będziemy w drodze – powiedziała Claire i ruszyła w stronę otwartych na oścież frontowych drzwi.

– I do Bena.

– Do Bena też. – Claire przełknęła ślinę. – I Posie – dodała weselszym głosem. – Ucieszy się, że maleństwo jest już w drodze, prawda?

Romily wolno podniosła się z podłogi.

– Claire, musimy porozmawiać.

– Później. Teraz musimy cię bezpiecznie zawieźć do szpitala. Chodźmy. – Wyszła frontowymi drzwiami i wyciągnęła rękę, żeby pomóc Romily wejść po schodach.

Romily nie poszła za nią.

– Potrzebuję pomocy przy włożeniu butów. – Miała na nogach skarpetki.

– Oczywiście – odparła Claire i wróciła do środka. Romily wskazała parę leżących obok kanapy adidasów, a Claire pomogła jej je założyć.

– Nie chciałam cię zranić – powiedziała Romily, gdy już wstała.

– Chodźmy.

Kiedy jednak dotarły do samochodu i Claire otworzyła drzwiczki od strony pasażera, przypomniała sobie, że w środku nadal jest pełno mebli. W samochodzie ledwie starczyło miejsca na sznurkową torbę, nie wspominając o kobiecie w trzydziestym siódmym tygodniu ciąży, która właśnie zaczęła rodzić.

– Możemy pojechać moim samochodem – zaproponowała Romily i chwyciła się dachu, pokonując kolejny skurcz. Krople deszczu przyklejały jej się do włosów. – O ile silnik zapali. Przy takiej wilgoci bywa kapryśny.

– Korki – przypomniała sobie Claire. – Ulice są prawie nieprzejezdne, bo wszyscy próbują się dostać do centrum handlowego. Jazda samochodem nie jest najlepszym pomysłem.

– Szpital jest mniej niż półtora kilometra stąd.

– Myślę, że zamiast ryzykować poród w samochodzie, powinniśmy pójść piechotą.

– To też nie jest dobry pomysł. Wolałabym nie rodzić na chodniku.

– W porządku. Wejdźmy do mieszkania, tam przynajmniej jest ciepło i sucho, i zadzwonimy do szpitala. Może przysła karetkę.

W mieszkaniu Claire pomogła Romily zdjąć buty, a ta wróciła do pozycji na

czworakach. Kiedy Romily dzwoniła do szpitala, Claire nastawiła wodę w czajniku. Nie wiedziała, czy picie herbaty pomoże w tej sytuacji, ale brakowało jej innych pomysłów. Poza tym, w czasie domowych porodów należało mieć pod ręką wrzątek, prawda?

W którejś z książek, które podarowała Romily, musiał się znajdować poświęcony temu rozdział. Claire przejrzała półki, przysłuchując się telefonicznej rozmowie Romily ze szpitalem.

– Co pięć minut, a nawet częściej. Tak, to mój drugi poród. Za pierwszym razem poszło bardzo szybko. Bez komplikacji. Pojechałybyśmy, ale są takie korki, że... OK, świetnie. Tak. Jestem z... przyjaciółką. W porządku, tak. – Podała swój adres i odłożyła słuchawkę. – Powiedzieli, że mogą przysłać karetkę, ale skoro to mój drugi poród i na dodatek nie obarczony ryzykiem, będzie szybciej, jeśli położna sama do nas przyjdzie.

Ostatnie słowo wypowiedziała jako „przyyyjdzie”. Nadszedł kolejny skurcz.

– Oddychaj – powiedziała Claire. Przestała szukać książki, położyła dłoń na plecach Romily i zaczęła ją delikatnie masować.

– Zadzwoń do Bena – wysapała Romily. – Powinien wiedzieć, że rodzę.

Claire była tego doskonale świadoma. Wybrała numer Bena w swoim telefonie, czego nie robiła od bardzo dawna. W słuchawce rozległa się seria sygnałów.

– Nie odbiera – powiedziała. – Wiesz, gdzie może być?

Romily pokręciła głową. Claire nagrała krótką wiadomość. Kiedy Romily dzwoniła do Jarvisa, Claire parzyła herbatę. Starła się nie podsłuchiwać, zauważyła jednak, że Romily rozmawia z Jarvisem skrótami, jakby bardzo dobrze się znali. Claire czasem komunikowała się w podobny sposób z Benem, kiedy wspólnie pracowali w domu. W pewnym momencie do telefonu podeszła Posie. Głos Romily stał się lekki i radosny. Szybko jednak zakończyła rozmowę, żeby zdążyć przed kolejnym skurczem.

– Posie uważa, że poród we własnym salonie to bardzo fajna sprawa – powiedziała Romily, kiedy udało jej się złapać oddech. – Spytała, czy mogę zaczekać, aż wrócą z Jarvisem z Londynu.

– Czy sądzisz – odezwała się Claire, przesuwając kubek z herbatą w stronę Romily – że mogłabyś zaczekać jeszcze chwilę, dopóki nie przyjdzie położna?

Skurcze były coraz częstsze i mocniejsze. Claire nie miała pojęcia, czy właśnie tak powinno być. Wszystko działo się niewiarygodnie szybko.

– Nie wiem.

– Nie jestem pewna, co powinnam zrobić – przyznała Claire. – Może przygotuję łóżko?

– Chyba wołałabym rodzić na podłodze. Materac jest taki nierówny. Przez ostatnie miesiące przeklinałam go miliony razy. Pewnie brakuje mu dobrej energii.

– W porządku, zostań tutaj. Rób co chcesz, byle było ci wygodnie. – Claire odsunęła stolik kawowy pod ścianę, robiąc miejsce pośrodku salonu. Choinki też trzeba było się pozbyć. Wkopała pod kanapę wszystkie leżące na podłodze przedmioty – buty Posie, torebkę Romily, kilka książek, bluzę i Jemimę, pluszowego tygrysa – po czym poszła do sypialni i wróciła z naręczem pościeli i ręczników.

– Masz ceratę?

Romily, z twarzą wykrzywioną bólem, skinęła głową w stronę kuchennej szafki. Claire znalazła na półce skórzaną torbę, a w środku starannie złożony, ciężki i mocny koc piknikowy, z jednej strony pokryty ceratą.

– Mój tata łowił na nim ryby – wysapała Romily. – Na pewno by się nie pogniewał.

Claire rozłożyła koc na dywanie i przykryła kilkoma warstwami prześcieradeł, kołder i ręczników.

– W porządku – powiedziała niepewnie. – To powinno wystarczyć.

– Dziękuję, Claire. Wiem, że nie zasługuję na twoją pomoc, ale cieszę się, że tu jesteś.  
– Ja też się cieszę! – Odparła Claire, chociaż wcale się tak nie czuła. – Samej byłoby ci okropnie. Czy wiesz gdzie... widziałaś się z Benem?  
– Wpadł do mnie na chwilę wczoraj wieczorem. – Romily dźwignęła się do góry, przytrzymując jedną ręką brzuch, a drugą plecy. – Nie powiedział mi, gdzie dzisiaj będzie.  
– Cóż, mam nadzieję, że nie jedzie samochodem, bo wtedy na pewno nie dotrze tu na czas  
– odparła szorstko Claire. Objęła Romily ramieniem i zaprowadziła ją na przygotowane wcześniej legowisko. – Jak mogę ci pomóc? Masz ochotę na masaż ramion lub pleców? A może włączyłabym twoją ulubioną muzykę? Gdzie znajdę twój plan porodu?  
– Nie zdążyłam go przygotować.  
Romily zgięła się wpół i krzyknęła. Claire objęła ją mocniej.  
– Świetnie sobie radzisz – wymamrotała. – Pamiętaj o oddychaniu, oddychaj...  
Romily popatrzyła na nią, sapiąc. Włosy opadały jej na poczerwieniałą z wysiłku twarz.  
– Pewnie i tak by się nie przydał.  
Zaczęła ściągać spodnie od piżamy.  
– Co robisz?  
– Zdejmuję spodnie, bo naprawdę muszę już przeć.  
– Nie możesz, dopóki nie przyjdzie położona!  
– Wytlumacz to dziecku. Pomożesz mi?  
Claire przykucnęła i zdjęła Romily spodnie.  
– Ale wiesz co masz robić, prawda? Przeżyłaś już poród i chodziłaś do szkoły rodzenia.  
– Nie chciałam tam chodzić sama.  
– Ale ja nie wiem, co robić!  
– Wszystko będzie dobrze. Pomożesz mi zdjąć majtki?  
– W jednej z książek, które ci dałam, jest rozdział poświęcony domowym porodom! –  
Claire próbowała wstać, ale Romily chwyciła ją mocno za rękę.  
– Dasz sobie radę, Claire. Będziesz wiedziała, co robić. – Złapała Claire za drugą rękę i popatrzyła jej prosto w oczy. – Nie wyobrażam sobie nikogo, kto potrafiłby mi pomóc lepiej niż ty.  
– Ale ja nie...  
– Ufam ci – nie pozwoliła jej dokończyć. – Ufam ci najbardziej ze wszystkich osób, jakie znam.  
Nie spuszczała wzroku z twarzy Claire. Słysząc było powolne i głośne tykanie zegara. W każdej chwili mógł nastąpić kolejny skurcz, lecz jak na razie panował spokój. Dziecko czekało.  
Romily też.  
– W porządku – powiedziała Claire. – Spróbuję.  
Romily się uśmiechnęła. Miała spoconą twarz.  
– Świetnie. A teraz pomóż mi zdjąć majtki.  
– Nic ci nie będzie – powiedziała Claire i pomogła Romily. Bielizna okazała się wilgotna, pachniała potem i czymś kwaskowatym, ale nie był to przykry zapach.  
– To płyn owodniowy – wyjaśniła Romily – a nie mocz. Przynajmniej taką mam nadzieję. Tam na dole sporo się dzieje, więc nie mam pewności. Auuu!  
Claire odkładała ubrania na bok, ale słysząc jęk Romily, rzuciła je na podłogę i ponownie objęła kobietę, przypominając jej o oddychaniu. Mimo bólu Romily była spokojna. Żadna z nich nie mogła powstrzymać porodu. Każdy ich ruch był nieunikniony i konieczny. Lada chwila mogła się zjawić położna, Ben, Jarvis lub listonosz. Claire nie miała na to wpływu.

Musiała pozostać na swoim miejscu.

Chociaż przez sześć lat chodziła na jogę – ani razu nie opuściła śródowych zajęć – po raz pierwszy udało jej się skoncentrować na bieżącej chwili.

Kiedy skurcz dobiegł końca, Romily uklękła na podłodze i podparła się łokciami.

– Ustaw się za mną – wysapała.

– OK.

Claire spełniła jej polecenie i przyjęła pozycję, jakby chciała złapać piłkę. Bacznie obserwowała ciało Romily, nie bardzo wiedząc, na co patrzy.

– Romily, chyba... chyba widzę czubek główki.

– Łysej?

– Nie.

– To dobra wiadomość.

Claire nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Romily, spoglądając przez ramię, również się roześmiała, dopóki nie poczuła kolejnego skurczu.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

– Halo? – zawołał kobiecy głos.

Claire przeniosła wzrok z Romily, która parla z opuszczoną głową, na dziecięcą główkę, a później na drzwi, za którymi majaczyła sylwetka położnej.

– Czy ktoś mnie wzywał?

Claire zerwała się z podłogi i pobiegła do drzwi. Na progu stała młoda blondynka w szpitalnym fartuchu i płaszczu przeciwdeszczowym. Miała lekarską torbę i zaczesane do tyłu włosy.

– Dziecko właśnie się rodzi – powiedziała Claire.

Położna omiotła wzrokiem pokój: koce, odsunięte meble, a na samym środku rodzącą na czworakach Romily.

– Rzeczywiście – powiedziała położna i, zdejmując płaszcz, podeszła do zlewu, żeby umyć ręce. Wyjęła z torby parę rękawiczek. – Jak masz na imię, skarbie?

– Romily – odparła Claire. – Ma na imię Romily i właśnie rodzi chłopczyka.

– To cudownie. Świetnie sobie radzisz, Romily. Widzę już dziecko. Miło jest rodzic w domu.

Romily głośno wypuściła powietrze.

– Claire – jęknęła, wyciągając rękę.

– Obie doskonale sobie radzicie – zauważyła położna. – Romily, mam na imię Harriet i jestem tu po to, żeby ci pomóc. Chociaż prawdę mówiąc, wcale mnie nie potrzebujesz.

– Musisz tu zostać – zwróciła się do położnej Claire i chwyciła Romily za rękę.

Przykucnęła i odgarnęła jej włosy z twarzy.

– Ty też – powiedziała Romily. – Jesteś mi potrzebna.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Kiedy Posie się rodziła, byłam sama jak palec, Claire. Nie wiedziałam, czy sobie poradzę. Nie wiedziałam, co to znaczy być matką. Nie byłam pewna, czy można się tego nauczyć.

– Wszystko się ułoży.

– Tak, na pewno. I wszyscy będą szczęśliwi. Przysięgam, Claire. Tylko mnie nie zostawiaj.

– Kiedy zaczniesz się skurcz, przyj, Romily, najmocniej jak tylko potrafisz – odezwała się Harriet. – To wszystko. A teraz chwilę odpocznij. Wspaniale sobie radzisz.

– Nie planowałam się w nim zakochać – kontynuowała Romily. – Nie chciałam tego.

Nigdy byś się o tym nie dowiedziała, gdybyś nie znalazła listów. Nic bym nie powiedziała.

– W porządku – powiedziała Claire, masując jej plecy.

– Nic nie jest w porządku. Bardzo cię lubię. Dawniej trochę się ciebie bałam, jeśli mam być szczerą. Byłaś taka poukładana i piękna.

Zacisnęła oczy, z jej gardła wyrwał się głęboki, nieskrępowany pomruk. Ścisnęła dłoń Claire tak mocno, że aż ją zabolalo.

– Świetna robota, Romily, mamy główkę. Śliczny chłopczyk. Jeszcze tylko ramionka i najtrudniejsze będzie za tobą. Większość pracy zrobiłaś za mnie.

Romily zwiesiła głowę, ciężko sapiąc. Po chwili wzięła głęboki oddech i popatrzyła na Claire.

– Nie to będzie najtrudniejsze – powiedziała. – Wcale nie to. Ale świetnie sobie poradzisz, sama się przekonasz.

– Zaczekaj na skurcz, Romily, już prawie po wszystkim.

– Sama się przekonasz – powtórzyła Romily.

– Romily, oddychaj – powiedziała Claire ze łzami w oczach. – Uspokój się i oddychaj. Tak dobrze ci idzie.

Niemowlę prawie przyszło na świat. Dziecko, które już raz wszystko zmieniło, za chwilę miało to zrobić ponownie.

Kolejny skurcz. Romily zaczęła przec. Claire mocno ją objęła.

– To chłopiec! – powiedziała położna.

Romily opadła na łokcie i kolana, Claire nadal była przy niej. Za ich plecami rozległo się niewiarygodnie ciche czknięcie, a po chwili płacz

Claire spojrzała przez ramię. Położna trzymała niemowlę. Miało czerwone nóżki, szeroko rozłożone rączki, ciemne włosy i rozdziawioną buzię. Claire jeszcze nigdy nie słyszała równie mocnego dźwięku.

– Urodziłaś ślicznego i zdrowego chłopczyka – powiedziała położna. – Wygląda bardzo dobrze. Pomogę ci się położyć na plecach, mamusiu, żebyś mogła go przytulić, kiedy skończę.

Romily pokręciła głową. Miała zamknięte oczy.

– Daj go Claire – powiedziała.

– Och, a więc obydwie jesteście mamusiami? – zapytała wesoło położna. Sięgnęła po jeden z ręczników rozłożonych przez Claire i owinęła nim niemowlę. Chłopiec miał przymknięte oczy i maleńki nosek. Wyglądał jak Ben w niektóre poranki, tuż po przebudzeniu.

– Nie – powiedziała Claire, nie mogąc otrzeć łez. – Jest tylko jedna mamusia. To dziecko Romily.

– Jestem matką zastępczą – wyjaśniła Romily. – Nie chcę przytulać dziecka. Daj je Claire.

– Nie mogę – odparła Claire.

Wyobraziła sobie w swoich ramionach tego płaczącego, wiercącego się, ślicznego chłopczyka, który dopiero co przyszedł na świat. Tak silnego i pełnego życia. Gdyby tuliła go choć przez chwilę, uwierzyłaby, że należy do niej. Wystarczyło dotknąć jego ciepłej, gładkiej, nadal nieco pomarszczonej skóry, wilgotnych włosów, drobnych kończyn, cieniutkich jak pergamin paznokci.

– Proszę – odezwała się Romily. Na rękę Claire wylądowało coś gorącego i mokrego. Łza. Romily nie otworzyła oczu ani nie podniosła głowy. Claire nadal ją podtrzymywała.

– No cóż, ktoś musi wziąć ode mnie dziecko – powiedziała położna. – Zostało jeszcze łóżysko.

– Nie mogę – powiedziała Claire, chociaż pragnęła tego każdą komórką swojego ciała.

– Jeśli go wezmę, będę go chciała zatrzymać – odparła Romily. – Nie zmuszaj mnie.

– To twój syn.

– Nie.

Za ich plecami dziecko płakało za matką. Był to jednocześnie najcudowniejszy i najokropniejszy odgłos, jaki można sobie wyobrazić. Kilka pierwszych minut życia dziecka mogło zdecydować o całej reszcie. Claire o tym wiedziała. Czytała książki. To dziecko zostało brutalnie wrzucone w zimny, niezrozumiały świat, a pragnęło tylko spokoju, ciepła i osoby, która najbardziej je kochała.

– Romily – odezwała się błagalnie Claire.

Ktoś trzykrotnie zapukał do drzwi. Romily uniosła głowę.

– Przyjechał Ben – powiedziała. – Dzięki Bogu.

Claire zerwała się z podłogi i pobiegła mu otworzyć. Wyglądał na spanikowanego, był nieogolony i miał na sobie strój do biegania. Chwycił żonę za ramiona.

– Dopiero co odsłuchałem wiadomość. Co się dzieje? Nic im nie jest?

– Wszystko dobrze, ale musisz wziąć dziecko.

Wciągnęła go do pokoju. Usłyszała, jak Ben wzdycha na widok swojego syna, zawiniętego w biały ręcznik, trzymanego przez położną.

– A więc to jest tatuś? – zapytała. Po raz pierwszy w głosie położnej zabrzmiało zniecierpliwienie.

– To jest tatuś – potwierdziła Romily, ponownie zamykając oczy. – On weźmie dziecko.

Ben wyciągnął rękę.

– Czy to... Czy on... Och!

Claire patrzyła, jak położna przekazuje mu dziecko. Widziała malujący się na jego twarzy zachwyt i czułość, z jaką przytulił dziecko do piersi.

– Och – powtórzył. Pogłaskał policzek niemowlęcia, które przestało płakać i instynktownie odwróciło głowę w kierunku dłoni. Claire wyobraziła sobie dotyk miękkiej dziecięcej skóry i włosów. Wycofała się, przywierając plecami do drzwi. – Cześć, malutki – szepnął Ben, a mimo to jego głos okazał się najgłośniejszym dźwiękiem w pokoju. – Witaj, synku.

Położna znów zajęła się Romily; zamieniły cicho kilka słów, Harriet pomogła jej wstać i przejść do sypialni. Najważniejsze jednak było to, co działo się między mężem Claire i jego dzieckiem. Niemowlę patrzyło na twarz Bena. Claire zauważyła, że ich oczy wyglądają dokładnie tam samo.

Dziecięce ubranka nadal leżały na kanapie razem z torbą pełną butelek. Położna pomagała Romily w sypialni. Wszyscy byli bezpieczni i szczęśliwi. Nikt jej nie potrzebował.

– Och, Claire – odezwał się Ben. – Spójrz na niego, skarbie.

Ale nie oderwał wzroku od niemowlęcia, które było dla niego całym światem.

Claire otworzyła drzwi i wymknęła się z mieszkania. Padający wcześniej deszcz zamienił się w śnieg.

## MLEKO

Romily była sama. Siedziała na łóżku oparta o poduszki i przykryta do pasa kołdrą. Płynąca z odtwarzacza muzyka The Jam miała zagłuszyć ciszę i świszczący odgłos wydawany przez odciągacz pokarmu.

Czuła się dobrze, była tylko nieco obolała i zmęczona, ale położna dokładnie ją zbadała i stwierdziła, że nic jej nie dolega. Leżała na łóżku, słuchając głosu położnej, która zapewniała Bena, że dziecko jest zdrowe i śliczne i wyjaśniała mu, jak powinien dbać o pępowinę i kiedy karmić niemowlę. Romily pewnie wysłuchiwała tych samych rad kilka chwil po przyjściu Posie na świat, ale nie była ich w stanie zapamiętać, oszołomiona nagłym przyływem macierzyńskiej miłości. Usłyszała odgłos drzwi zamykających się za położoną i na progu sypialni zjawił się Ben z dzieckiem w ramionach.

Romily zeskoczyła z łóżka i zamknęła mu drzwi przed nosem.

– Jest idealny, Romily.

– Ale nie mój.

– Claire wyszła. Chyba nie chce mnie widzieć.

Romily oparła czoło o drzwi.

– Musisz go zabrać, Ben. Proszę.

Zapadła cisza. Przez cienkie drewniane drzwi Romily słyszała szelest ubranek i cichutki pomruk. Przyłożyła dłoń do drzwi, jakby mogła przez nie dotknąć ich obu.

Ben odszedł. Słyszała, jak zbiera rzeczy w salonie, przemawiając łagodnym głosem do dziecka. Wyobraziła sobie, jak ubiera go ciepło w ubranka zostawione przez Claire. A później frontowe drzwi zamknęły się za nimi i w mieszkaniu zrobiło się cicho.

Przez ostatnie trzydzieści siedem tygodni Romily ani przez chwilę nie była sama. Nawet wcześniej, jeszcze zanim urodziła się Posie, Romily wyobrażała sobie, że jest z nią Ben. Nosila w sercu fikcyjną wersję swojego najlepszego przyjaciela, który w pewien sposób mógł należeć do niej. Raniła i siebie, i ludzi, którym na niej zależało.

Nie mogła dłużej nosić Bena w sercu, nawet w wersji, która nigdy nie istniała. Po porodzie straciła za jednym zamachem i jego, i syna.

Romily usiadła na łóżku i znów zaczęła odciągać pokarm. Bolała ją już ręka, lecz jak na razie mleko nie popłynęło. Ssaki były biologicznie przystosowane do tego, by wykarmić potomstwo własnym ciałem. Różniły się tym od innych gatunków. Każda klacz, antylopa i mysz miała tę zdolność. Poród wyzwala w organizmie kobiety hormon zwany prolaktyną, stymulujący produkcję mleka. Jeszcze bardziej wzmagало ją ssanie niemowlęcia, które ta gumowo-plastikowa pompka miała naśladować.

Bez większego skutku.

Kiedy Posie była niemowlęciem, wystarczyło, że zapłakała, by z piersi Romily ciekł pokarm. Przód jej koszuli ciemniał od plam z mleka. Co tam płacz – wystarczyło pociągnięcie nosem albo odwrócenie główki, kiedy Romily pogłaskała ją po policzku, lub to, że otworzyła usta, kiedy poczuła zapach mleka. Wystarczył najmniejszy ruch czy dźwięk, a już Romily tuliła niemowlę do piersi, skóra przy skórze, i zaczynała je karmić.

Zamknęła oczy. Miała wrażenie, że prawie wcale ich dzisiaj nie otwierała. Wyobraziła sobie ciche dźwięki zza drzwi. Pomyślała o małej główce porośniętej ciemnymi włoskami – nie musiała na nie patrzeć, by wiedzieć, że były ciemne – ułożonej w zgięciu łokcia jego ojca. Uchylonych usteczkach, zaczerwienionych policzkach, bezzębnych dziąsłach. Zapachu



niemowlęcej skóry tuż po opuszczeniu łona. Dłonie bolały ją od pompowania, ramiona od tego, że nie mogła objąć nimi swojego synka. Swojego drogiego maleństwa.

Nadal nie było pokarmu. Romily poczuła na ustach słony smak. Butelka była zabezpieczona i sterylna, ale Romily i tak odwróciła głowę, żeby mleko – kiedy wreszcie poleci – nie miało smaku jej łez.

Płyta dawno się skończyła. W butelce znalazło się tylko kilka kropli mleka, które położna nazywała siarą, ale dobre i to. Romily wstawiła butelkę do lodówki, obok słoika z dżemem truskawkowym. Położna była tak miła, że uprała zużyte ręczniki, więc Romily mogła je rozwiesić. Wrzuciła do pralki koc ojca. Parapet pokrywała centymetrowa warstwa śniegu. Na zewnątrz panowała cisza. Zapowiadały się białe święta.

Gdyby zaczęła myśleć o śniegu, przypomniałyby sobie długi sznur samochodów, które uniemożliwiły jej dotarcie do szpitala. Tkwiących w korku klientów centrum handlowego, Claire odjeżdżającą w przeciwnym kierunku, Jarvisa i Posie siedzących w opóźnionym pociągu i Bena, osłaniającego dziecięcą twarzyczkę przed płatkami śniegu. Przypomniałyby sobie, że jest samotna, pozbawiona energii i pusta.

Nie będzie myśleć o śniegu. Włączyła światelka na choince i wróciła do łóżka.

Kiedy naciągnęła na siebie kołdrę, usłyszała dźwięk przekręcanej w zamku klucza.

– Romily? – zawołał Jarvis.

Posie się nie odezwała, lecz Romily знаła na pamięć jej kroki i ruchy, wyczuła ją głęboką, instynktowną częścią swojego ciała, tą samą, która wytwarzała mleko i nie potrzebowała słów. Tą, w której pulsowała miłość.

– Mamo?

Twarz jej córki była zarumieniona. We włosach miała płatki śniegu. Nie zdążyła zdjąć kaloszy i płaszcza. Romily wyciągnęła ramiona, Posie podbiegła do niej i wtuliła się w nie. Romily ogrzewała jej chłodną skórę, czuła jej dziecięcy zapach i bicie serca.

– Kocham cię – powiedziała. – Jestem twoją matką i cię kocham.

– Dobrze się czujesz? Urodziłaś dziecko?

– Nic mi nie jest. Ben zabrał dziecko. Niedługo będziesz je mogła zobaczyć.

– Pociąg był opóźniony. Biegliśmy ze stacji. Tak się bałam, mamusiu.

Romily nie wypuściła córki z objęć. Kołysała ją i wdychała jej zapach. Kiedyś Posie była taka maleńka, a teraz była wysoka, mądra i wrażliwa. Romily pocałowała ją w czoło.

Czuła na sobie wzrok stojącego w progu Jarvisa. Wyciągnęła do niego rękę, a on bez słowa wdrapał się na łóżko i przytulił je obydwie.

## ELEMENT UKŁADANKI

Kiedy zadzwonił dzwonek, Claire prawie go zignorowała. Była zajęta. Małym pędzelkiem malowała krawędzie i kąty pokoju, który znów zamienił się w zapasową sypialnię, wykorzystując do tego celu pół puszki farby znalezionej w szopie – pozostałość po remoncie łazienki na dole. Farba miała odcień niebieskawej szarości o nazwie „niebiańska przystań”. Claire zdecydowała się na nią, ponieważ była pod ręką i nie miała nic wspólnego ze słoneczną żółcią. Poza tym nie mogła dłużej siedzieć beczynn timer. Ciągle wracała do tego pokoju, ogołoczonego z mebli i nadziei.

Z malowaniem było tak, że kiedy skończyło się malować pierwszą krawędź, nie można było nie pomalować następnej i tak dalej. Krawędzie wokół okien i włączników światła wyszły Claire wyjątkowo ładnie i właśnie kończyła malować ostatnią listwę nad podłogą, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi.

Nie miała pojęcia, kto to mógł być. Odkąd wyszła z mieszkania Romily, nikt do niej nie zadzwonił ani nie wysłał SMS-a. Spojrzała na zegarek, który zapomniała zdjąć: była dziewiąta rano. Nie wiadomo kiedy nastął kolejny dzień. Kiedy nie spotykała się z innymi ludźmi, czas jednocześnie się włókł i pędził jak szalony.

Dzwonek odezwał się ponownie. To mógł być listonosz. Nie, przecież była niedziela. Może to matka, która jakimś cudem wyczuła, że Claire jej potrzebowała i postanowiła przyjechać. Ta myśl obudziła w niej nadzieję. Claire wstała, założyła włosy za uszy i zeszła na dół, nie odkładając pędzla.

To nie była jej matka, tylko nieznaną kobietą z włosami szesany z czoła i zaplecionymi w warkocz, z ustami rozciągniętymi w uśmiechu i z wielkim wazonem kwiatów w rękach.

– Ależ macie tu drogi! Kwiaty dla pani Claire Lawrence.

Claire wzięła je, przytrzymując bukiet nadgarstkiem, ponieważ dłoń nadal miała zajęta pędzlem. Przysłali jej kwiaty? Czy to pomysł Bena? Nagroda pocieszenia za to, że nie została matką?

– Szkoda, że mnie nikt takich nie przysyła – powiedziała radośnie kurierka, ale mina jej zrzędała, kiedy Claire nie zareagowała. – Miłego dnia.

Nie zwracając sobie głowy zamykaniem drzwi, Claire położyła bukiet na stoliku w korytarzu i otworzyła dołączoną do niego małą kopertę.

*Dziękuję, że była Pani przy mnie. Sam bym sobie nie poradził. Mam nadzieję, że podobała się Pani piosenka. Max.*

Claire uśmiechnęła się w zdumieniu. A więc ją zauważył. Pamiętał. Może i spóźnił się dwa dni, ale był przecież nastolatkiem. Chociaż ojciec wreszcie okazał mu zainteresowanie i akceptację, Max pomyślał także o niej.

Była dla kogoś ważna.

Z liścikiem w dłoni wyszła z domu, nie zakładając nawet płaszcza. Powietrze było rześkie i chłodne. Ogród przykrywała kołderka śniegu, naruszona jedynie śladami stóp kurierki. Gałęzie drzew oblepiały miękki puch.

W tym momencie Claire nie była ani żoną, ani matką. Była człowiekiem, elementem układanki.

Pamiętała dłoń Romily, boleśnie zaciśniętą na jej dłoni. Pamiętała, jak oddychały jednym rytmem, kiedy otwierała drzwi położnej. Widziała wyłaniającą się z ciała Romily małą

główkę. Pamiętała dziecko, idealne i piękne, uspokajające się w ramionach swojego ojca.

Nie była jego matką, a jednak w pewnym sensie to ona sprowadziła je na świat. Chłopiec został poczęty, ponieważ Claire tego pragnęła. Pomogła mu się narodzić. Przekazała go osobie, która będzie go kochała i dbała o jego bezpieczeństwo. Jej porażki doprowadziły ostatecznie do narodzin maleństwa. Czyż nie stworzyła w ten sposób nowego życia?

Chłopiec gdzieś tam był, cały i zdrowy, rozwijał się w ciszy i spokoju. Nowa, kompletna osoba. Taki sam cud natury, jak ten śnieg.

Nie należał do niej, ale istniał.

Claire ścisnęła w dłoni bilecik, podniosła głowę i uśmiechnęła się w kierunku nieba.

Poobijany zielony golf zahamował i podskoczył na podjeździe. Tyłne drzwi otworzyły się, jeszcze zanim samochód na dobre się zatrzymał, a ze środka wyskoczyła Posie i pobiegła śnieżnym kobiercem w stronę Claire.

– Jest śliczny! – Zawołała, wpadając na nią i obejmując w pasie. – Musisz go zobaczyć, ciociu Claire! Coś niesamowitego!

Claire ujęła twarz dziewczynki w dłonie.

– Pewnie jesteś bardzo podekscytowana.

– Złapał mnie za palec i ma takie śmieszne palce u nóg, zupełnie jak ja!

Na dźwięk oczywistej uwagi, że niemowlę ma palce u stóp, uśmiech zniknął z twarzy Claire, ale szybko go odzyskała.

– Jesteś wspaniałą starszą siostrą, wiesz o tym?

– Wiem! Będziemy wszystko robili razem. Nauczę go czytać.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i z samochodu wysiadła Romily. Claire musiała spojrzeć, czy to przypadkiem nie Ben siedzi za kierowcą i czy na tylnym siedzeniu nie leży niemowlę. Zamiast tego zobaczyła blond czuprynę Jarvisa.

– Jak sobie radzisz? – zapytała Romily. Nawet w granatowym puchowym płaszczu była znacznie szczuplejsza niż ostatnim razem, kiedy Claire ją widziała.

– Czy to, aby nie ja powinnam cię o to zapytać?

Romily wzruszyła ramionami.

– Jak wiesz, poród nie należał do najcięższych.

– Jak się czuje dziecko?

– Ben twierdzi, że świetnie. Spało już trochę i piło mleko.

– Nie widziałas się z nimi?

– Romily nie chce tam jechać – odezwała się Posie. – Moim zdaniem to głupie. Wczoraj wieczorem Jarvis zawiózł mnie do mieszkania Bena.

Claire mocniej zabiło serce.

– Dziecko mieszka z Benem? Nie jesteście razem?

Romily pokręciła głową.

– On... Nie odzywał się do mnie – powiedziała Claire.

Romily podała jej brezentową torbę na zakupy.

– Pewnie dlatego, że zostawiłaś u mnie telefon. Dzwonił bez przerwy. Nie odbierasz telefonu stacjonarnego?

– Ja...

Claire nie pamiętała, czy telefon w jej domu w ogóle dzwonił. A gdyby nawet, to nie była pewna, czy usłyszałyby go w pokoju na górze. Nadal nie mogła uwierzyć, że Ben nie mieszkał razem z Romily i dzieckiem.

Popatrzyła na torbę.

– W środku jest nie tylko mój telefon.

– Nie, także torebka termiczna z odciągniętym pokarmem.  
– Romily używa tej okropnej pompki – oznajmiła Posie. – Wygląda jak megafon z doczepioną butelką. Jarvis mówi, że podobnych urządzeń używa się na krowich farmach. Romily nie ma zbyt dużo pokarmu, ale to podobno normalne, bo dziecko najadło się w brzuchu na zapas. Za to później będzie miała mnóstwo mleka.

– Posie – odezwała się Romily – spróbuj ulepić śnieżkę tak, żeby Jarvis nie widział, a później namów go, żeby opuścił szybę i rzuć w niego.

– Taaak! – zawołała Posie i pobiegła w kierunku samochodu.

– Dziecko nie mieszka z tobą – odezwała się Claire. – Nie karmisz go piersią.

– Nie, zbudowałam intymną relację z plastikowym odciągaczem.

– Dłaczego... Dłaczego nie jesteście z Benem?

– On mnie nie kocha. Kocha ciebie.

– Ale przecież powiedział...

– Nie wiem, co powiedział, ale każdy głupi, nie wyłączając mnie, widzi, że ty i Ben jesteście dla siebie stworzeni.

Claire utkwiała wzrok w Romily. Policzki miała zaczerwienione od zimna i chyba wcześniej płakała.

– Ben zostałby z tobą – powiedziała Claire. – Nie zostawiłby cię. Nie po tym, jak urodziłaś mu dziecko.

– On mnie nie kocha.

Claire zawahała się, nie mogąc w to uwierzyć.

– Byłam dostatecznie głupia, by zakochać się w twoim mężu – kontynuowała Romily. – I oszukałam cię, Claire, co do swoich uczuć. Przykro mi z tego powodu. Nigdy nie chciałam, żebyście się rozstali z mojego powodu. Nie chciałam, by ktokolwiek się dowiedział.

Rozległ się krzyk, po którym Jarvis wyskoczył z samochodu. Chwyił garść śniegu i obrzucił Posie gradem śnieżek. Dziewczynka pisnęła i zrewanżowała mu się tym samym.

– Chodzi o to – ciągnęła Romily – że chociaż miałaś dobry powód, by mnie znienawidzić, pomogłaś mi. Byłaś niesamowita, Claire. Bez ciebie nie dałabym rady.

– Myślę, że doskonale poradziłabyś sobie sama.

– Ale przy tobie się nie bałam, ani przez chwilę. Wiedziałam, że jesteś przy mnie i przeżywasz ten poród równie mocno. Wiedziałam, że kochasz to dziecko tak samo jak ja. – Głos Romily załamał się, ale szybko się opanowała. – Wiem również, że jako jedyna osoba na świecie czujesz teraz dokładnie to, co ja.

Tym razem nie odwróciła wzroku. Claire dostrzegła w jej oczach ból, pustkę i stratę, które tak dobrze знаła.

Usłyszała w oddali plaśnięcie śnieżki, która dosięgła celu, i triumfalny śmiech Posie.

– Świetny rzut, panno Mariposo – zawołał Jarvis.

– Masz rodzinę – zwróciła się do Romily Claire.

– Ty też. Czekają na ciebie. – Romily wyciągnęła w jej stronę torbę.

– Nie mogę przyjąć od ciebie męża i dziecka jak prezentu – oburzyła się Claire. – To tak nie działa.

– Oni już są twoi. Musisz tylko do nich pójść. – Romily wzruszyła ramionami. – Albo i nie. Decyzja należy do ciebie. Ale na moje oko masz samochód pełen dziecięcych mebelków, podczas gdy w Brickham mieszka dziecko, które nie ma kołyski.

– To tylko rzeczy.

– Oczywiście, Ben może kupić inną kołyskę, ale pewnie wolałby tę.

Nad ich głowami poszybowała śnieżka.

– Posłuchaj – odezwała się Romily. – Ktoś musi im zawieźć mleko i tym kimś na pewno nie będę ja. Po bitwie na śnieżki Jarvis i Posie będą kompletnie przemoczeni, przyda im się gorąca kąpiel i nieco odpoczynku. Jesteś najlepszą kandydatką.

– Romily...

– Po prostu spróbuj. Sprawdź, co się stanie. Wszystkie książki, które mi dałaś, zalecają, by przez pierwszych kilka dni życia podawać dziecku mleko z piersi, tak zwaną siarę. Wzmacnia ono odporność niemowlęcia, a według niektórych badań wpływa także na rozwój mózgu. To najlepszy pokarm dla dziecka, szczególnie że przez całą ciążę jadłam organiczne warzywa. Oczywiście, możesz zostawić to mleko na zmarnowanie i pozwolić, żeby dziecko jadło sztuczne sproszkowane badziewie. Mnóstwo maluchów się nim żywi i jakoś żyje.

– Próbujesz mną manipulować.

– Robię wszystko, co w mojej mocy, żebyś była szczęśliwa. – Romily postawiła torbę na śniegu. – Wszystko w twoich rękach. A teraz muszę powstrzymać córkę przed zabiciem własnego ojca.

Odwróciła się i odeszła. Posie podbiegła do Claire i szybko ją uścisnęła, a Jarvis pomachał. Później całą trójką wsiedli do samochodu i odjechali. Claire usłyszała pisk opon na wilgotnej drodze.

Leżący w torbie telefon zapiszczał. Pewnie Romily wysłała Claire wiadomość, żeby zmusić ją do sięgnięcia po komórkę. Trzeba przyznać, że bardzo się starała.

Claire spojrzała na wyświetlacz. SMS był od Bena.

*Tęsknimy za Tobą.*

## URODZONY TATUŚ

Drzwi mieszkania numer cztery wyglądały dokładnie tak samo jak pozostałe – bukowe drewno, złoty numerek i niewielki zamek marki Yale. Claire zapukała.

Ben od razu jej otworzył. Był nieogolony i bardziej wymiętoszony niż poprzedniego dnia, tak jakby od tamtej pory nie udało mu się zmrużyć oka ani wziąć prysznic.

Mimo to sprawiał wrażenie niewiarygodnie szczęśliwego i spokojnego, tak jak podczas ich miesiąca miodowego, kiedy polecili do Wenecji i siedzieli do późna, oglądając światła na kanałach, a przez resztę nocy się kochali.

– Claire – powiedział i na jego twarzy pojawił się znużony uśmiech. – Tak się cieszę, że przyszłaś.

– Odebrałam wszystkie twoje wiadomości. – Zajął jej to aż pół godziny. Odkąd maleństwo przyszło na świat, Ben wysyłał jej SMS-a co godzinę.

– To dobrze. Wejdz. – Odsunął się i dopiero wtedy Claire zobaczyła, że miał do połowy rozpiętą koszulę, pod którą, przytulone do jego piersi, leżało niemowlę. Koszula tworzyła coś w rodzaju sakiewki. Maleństwo miało zamknięte oczy i trzymało zaciśnięte w piąstki dłonie blisko twarzy.

– Niemowlę powinno być w bliskim kontakcie z drugim człowiekiem – wyjaśnił Ben. – Położna mi powiedziała.

– Wiem – odparła Claire. – Czytałam o tym.

– Nie mogę przestać myśleć, że moje włosy na piersi będą go łaskotać i zacnie kichać. Ale najwyraźniej nie ma nic przeciwko, a nawet to lubi. Chce, żeby go przytulać.

– Czy ty w ogóle spałeś?

– Przez chwilę. Może godzinę. Wiem, że później będę tego żałował, ale jestem taki podekscytowany. – Roześmiał się i potarł czoło. – Nie chcę niczego przegapić. To głupie, bo i tak przez większość czasu śpi. Nie mogę oderwać od niego oczu.

Niemowlę głęboko zaczerpnęło powietrza i głośno je wypuściło. Miało zaciśnięte oczka, brwi wyglądały jak naszkicowane ołówkiem. Claire doskonale rozumiała, dlaczego Ben godzinami obserwował je we śnie. Opisał to w jednej ze swoich wiadomości, którą nagrał ściszym głosem, jakby to doświadczenie było tak cudowne, że nie mógł się nim z nią nie podzielić.

– Pewnie napiłbyś się kawy – powiedziała.

– Dobry Boże, tak. Nie miałem do tego głowy.

– Założę się, że nic nie jadłeś.

Zadanie, które musiała natychmiast wykonać, pozwoliło jej oderwać wzrok od dziecka. Zorientowała się, że nadal stoją w maleńkim korytarzu, łączącym drzwi z salonem. Weszła głębiej do mieszkania i nastawiła wodę w czajniku. Ben poszedł za nią.

– Romily dała mi trochę odciągniętego pokarmu – oznajmiła.

– Nie wiem, czy powinienem go obudzić, czy pozwolić mu spać. – Ben przerosił spojrzenie z dziecka na Claire i z powrotem. – Jak sądzisz?

– Też nie wiem.

– Boże. – Ben ciężko usiadł na krześle. – Co za odpowiedzialność! Trzeba samemu podejmować decyzje, które będą miały wpływ na tę maleńką osobkę. Do tej pory nie miałem pojęcia, jakie to brzemię.

– Jak... Jak ma na imię? – Claire starała się to powiedzieć neutralnym, pogodnym

głosem. Podobne pytania zadawało się nawet nieznanym osobom.

– Nie wiem. Oto i kolejna odpowiedzialność.

Claire wróciła myślami do wszystkich ich dyskusji na temat dziecięcych imion. Wałkowali je bez końca, jakby chodziło o zwykłe słowa, a nie czyjaś tożsamość.

Claire wyjęła kubki. Ben przechowywał kawę w tym samym miejscu, co w ich wspólnym domu, w szafce po lewej stronie od kuchenki. Wsypała dobrą, mocną kawę do ekspresu.

Ben obserwował każdy jej ruch.

– A więc odebrałaś moje wiadomości? – zapytał. – Nie oddzwoniłaś.

– Zostawiłam telefon u Romily. Myślałam, że się u niej zatrzymałaś.

– Nie, nie chcę się wiązać z Romily. Chcę być z tobą. Byłem tak oszołomiony miłością do dziecka, że nie wiedziałem, co myśleć. Miałem też wyrzuty sumienia wobec Romily. Jednak po wyprowadzce uświadomiłem sobie jedno: pragnąłem dziecka tak mocno, że zapomniałem, z kim chcę je mieć. Przepraszam, Claire.

Dziecko się poruszyło. Ben ułożył je wygodniej pod koszulą.

Pamiętała, jak chodził po domu z Posie, kiedy była niemowlęciem. Układał ją sobie wzdłuż ramienia, gdyż w tej pozycji mniej dokuczaly jej kolki. Serce Claire topniało wtedy i myślała, że pewnego dnia tak samo będzie się opiekował własnym dzieckiem.

– Obudził się – powiedział Ben. – Chcesz go potrzymać?

Claire cofnęła się.

– Nie mogę, Ben. Jeszcze nie.

– Ale niedługo?

– Nie wiem. – Podeszła do drzwi i położyła dłoń na klamce. – W każdym razie masz mleko, gdybyś go potrzebował.

– Przyjdź później – poprosił Ben. – Albo jutro.

Małeństwo ponownie wychyliło głowę spod koszuli. Patrzyło na swojego ojca.

– Dobrze – zgodziła się Claire.

Romily uklękła na podłodze i, marudząc pod nosem, wyciągnęła spod kanapy plecak Posie, do którego przyczepiły się klaczkę kurzu. Romily wysypała całą jego zawartość: teczkę z pracą domową, książkę i wymiętą kopertę.

– Pose? – zawołała. – Nie mówiłaś mi o żadnym liście. – Już wcześniej o tym rozmawiały.

– Co? – Głos Posie był zduszony, jakby i ona szukała czegoś pod łóżkiem. Romily otworzyła kopertę.

Było to zaproszenie na przyjęcie świąteczne do Emily i Daniela, właśnie na ten dzień. Na dole znajdował się odręczny dopisek: *Droga Posie, koniecznie przyprawdź mamę. Będzie czekolada. Buziaki, Eleanor.*

Romily aż podskoczyła. Ostatnimi czasy rzadko jej się to zdarzało i było całkiem miłe. Odzyskiwała siły.

– Posie! – Zawołała. – Pospiesz się! Musimy zdążyć na przyjęcie. – Zerknęła na zegarek. – Już!

Posie wyszła z pokoju. Miała na sobie princeskę i wełnianą czapkę.

– Jakie przyjęcie? – zapytała.

– Emily urządza przyjęcie świąteczne. Znalazłam zaproszenie w twojej torbie.

– Aaaa, to. Ale ja właściwie nie znam Emily.

– Nic nie szkodzi. Potrzebujesz przyjaciół, Posie. Prawdziwych przyjaciół. Powinnaś spędzać czas z rówieśnikami.

- Nie mam ochoty.
  - Masz wybór: możesz pójść na przyjęcie albo posprzątać przy mnie sypialnię.
- Posie pokręciła palcem stopy, wciskając go w dywan.
- Niech ci będzie.

Dom znajdował się tylko dziesięć minut piechotą od ich mieszkania. Były to dwa segmenty w zabudowie szeregowej, z identycznymi świątecznymi dekoracjami. Kiedy Romily zapukała do niebieskich drzwi z numerem 14, otworzyły się czerwone drzwi z numerem 16. Eleanor zaprosiła je do środka z szerokim uśmiechem.

– Tak się cieszę, że przyszyście! – powiedziała, biorąc od nich płaszcze i butelkę soku pomarańczowego, którą przyniosła Romily. – Zamierzałam do was zajrzeć i upewnić się, że dostałyście zaproszenie, ale nie byłam pewna adresu. Posie, dzieci przygotowują świąteczne dekoracje w sąsiednim pokoju, a ciebie, Romily, zapraszam do kuchni.

Segmenty tworzyły w środku jeden dom i kuchnia była niezwykle przestronna. Stół uginał się pod ciężarem ciast, tłum gości z kieliszkami w ręku wesoło gawędził. W powietrzu unosił się zapach cynamonu i grzanego wina. W tle krążył wysoki mężczyzna z butelką wina w jednej ręce i talerzem w drugiej.

– Napijesz się wina? – Eleanor zawahała się nad kadzią z grzonym winem i drugą, pełną gorącej czekolady. Romily pokręciła głową i nalala sobie kubek czekolady.

– Urodziłaś dziecko! – Jedna z mamus podeszła do Romily. – To cudownie! Jak... Czy orientujesz się, jak sobie radzą rodzice?

– Całkiem nieźle – odparła Romily.

– Naszym zdaniem jesteś bardzo dzielna – wtrąciła inna mamusia. Eleanor podała Romily jej kubek i mrugnęła.

– Nie taka dzielna – odparła Romily. – Raczej głupia. Zapomniałam, jak wyczerpująca jest ciąża.

– Słyszałam, że pracujesz w muzeum?

Eleanor zręcznie włączyła się do rozmowy.

– Uwielbiamy to miejsce. Daniel co tydzień musi pogłaskać wypchanego borsuka.

W kuchni rozległ się chór zachwytów nad wypchanym zwierzątkiem.

– Ma na imię Borsuk Gavin – powiedziała Romily, dotykając porozumiewawczo nosa. – Nie każdy o tym wie.

Jakiś czas później, kiedy Posie nie przyszła, żeby zapytać, kiedy wreszcie wrócą do domu, Romily postanowiła jej poszukać. Dziewczynka siedziała obok Emily na schodach. Obie miały zasłonięte oczy i odliczały.

– Bawicie się w chowanego? – zapytała Romily.

– Jesteśmy zajęte.

Na schodach rozległ się dziewczęcy chichot.

– Trzy, dwa, jeden, szukam! – Zawołała Emily, obie z Posie opuściły dłonie i wstały jak na komendę.

Romily nie mogła się powstrzymać. Chwyliła córkę w ramiona i przytuliła.

– Jestem twoją matką i kocham cię – powiedziała, wtulając twarz w jej włosy.

– Wiem, ciągle to powtarzasz. Wracaj do rodziców, tam, gdzie twoje miejsce.

Ale Romily tuliła ją jeszcze przez chwilę. Tymczasem Emily pobiegła w górę schodów.

– Przyjaźnicie się teraz z Emily? – szepnęła.

– Nie wiem. Emily jest w porządku. Wiesz, że ma dwóch tatusiów? Jednego prawdziwego i drugiego, z którym mieszka. Opowiedziałam jej o małości. Chciałaby je kiedyś odwiedzić.



– To super.

Posie dała jej szybkiego buziaka i pobiegła za przyjaciółką.

*Rodzisz dzieci po to, by pewnego dnia mogły cię zostawić samą – pomyślała Romily – i ułożyć sobie własne życie. To naturalne. Ból z tego powodu też jest naturalny.*

## ŚWIATELKO W TUNELU

W Wigilię rano część śniegu w ogrodzie Claire stopniała, a w Brickham już wcale go nie było. Kiedy dotarła do drzwi mieszkania Bena, zastała na wycieracze stertę pięknie zapakowanych prezentów. Rozpoznała na bilecikach charakter pisma Posie.

Zza drzwi dobiegał płacz niemowlęcia.

Ben dał jej klucz. Claire otworzyła drzwi i weszła do środka. Mieszkanie wyglądało jak po wybuchu bomby. Wszystkie światła były włączone, z telewizji płynęły kolędy. Pośród całego tego pobjowiska Ben spacerował z maleństwem na ramieniu, klepiąc je po plecach i łagodnie kołyszając.

– Płakał przez całą noc – wyjaśnił Ben. – Nie wiem, co robić. Prawie zadzwoniłem na pogotowie. A jeśli jest chory?

Dziecko miało czerwoną, gniewnie wykrzywioną twarz i szeroko otwarte bezzębne usta.

Claire wypakowała z toreb niewielkiego indyka oraz ziemniaki i inne warzywa. Uważała, że Ben zasługuje na świąteczną kolację. Nie zdecydowała jeszcze, czy mu ją ugotuje, czy pojedzie do domu rodziców.

– Ma gorączkę?

– Chyba nie. Wczoraj była u nas pielęgniarka środowiskowa i powiedziała, że nic mu nie jest. Zaczął płakać około drugiej w nocy i do tej pory nie przestał. – Ben spacerował w kółko po mieszkaniu, kołyszając dziecko i omijał leżące na podłodze pieluszki i pluszowe zabawki. Z telewizora płynęły dźwięki *Cichej nocy*.

W mieszkaniu czuć było zapach stęchłej kawy i gorącego mleka. Centralne ogrzewanie pracowało na pełnych obrotach. Ben miał na sobie to samo ubranie co wczoraj i, jeśli się nad tym zastanowić, także dzień wcześniej.

– Kiedy ostatnio wychodziłeś? – zapytała Claire.

– Z domu?

– Chodźmy na spacer. Posie zawsze to uspokajało.

– Nie jest za zimno?

Claire przejrzała nieuporządkowaną stertę ubrań i odnalazła skarpetki, czapkę, śpioszki, zielony sweterek i maleńkie białe buciki, które kupiła z Romily.

– Proszę – powiedziała. – Ubierz go. Ja spakuję torbę.

Zauważyła, że Ben nabrał już wprawy w przewijaniu, jednak ubranie wrzeszczącego i wyrywającego się maleństwa zajęło mu sporo czasu. Zanim skończył, Claire odszukała nosidełko i teraz rozplątywała jego długie paski.

– Założę ci nosidełko.

– Pamiętasz jak?

– Przecież zostało zaprojektowane z myślą o świeżo upieczonych rodzicach. To nie może być trudne!

Owinęła mu paski wokół ramion i skrzyżowała na piersi, tworząc coś w rodzaju kieszeni. Po zapięciu pasków maleństwo, z nogami zwisającymi jak u żaby, przytuliło się do piersi Bena i popłakiwało w przód jego koszuli. Ben opatulił płaszczem dziecko, wspólnie wyszli z mieszkania, zeszli po schodach i opuścili budynek.

Niemowlę poczuło świeże powietrze i na chwilę zamilkło, lecz później znów zaczęło płakać.

– Myślisz, że coś go boli? – zapytał Ben.

Claire rozumiała jego udrękę. Każdy pisk rozdzierał ją od środka i popychał do tego, żeby ukoła i ochroniła niemowlę.

– Przejdźmy się kawałek i sprawdźmy, czy się uspokoi. Jeśli nie, możemy zadzwonić do pielęgniarki środowiskowej albo pojechać do szpitala.

Bez dalszych dyskusji ruszyli w kierunku centrum miasta. W Brickham roilo się od ludzi ściskających siatki z zakupami i paczki. Kolorowe światła zdobiły okoliczne budynki.

– Zapomniałem o świątecznych przygotowaniach... To wszystko działo się obok nas – odezwał się Ben.

Minęła ich para z dziecięcym wózkiem. Matka, słysząc płacz i widząc Bena z nosidełkiem, uśmiechnęła się najpierw do niego, a później do Claire. Był to ten uśmiech pełen sympatii i zrozumienia, jakim obdarzały się matki.

Kobieta wzięła Bena i Claire za normalnych rodziców z dzieckiem. Normalną rodzinę.

Było to takie proste i jednocześnie skomplikowane, zwyczajne i niecodzienne.

Znaleźli się w głównym pasażu handlowym w Brickham. Witryny mieniły się sztucznym śniegiem i błyszczały towarami. Claire poczuła zapach kawy i świeżego chleba.

– Nie kupiłem ci prezentu – powiedział Ben. – Przepraszam.

– Myślę, że jeśli mamy być rodziną, powinieneś przestać mnie ciągle przepraszać.

Ben zatrzymał się i popatrzył na nią ponad niemowlęcą główką.

– Claire – odezwał się, wyciągając do niej rękę. Kwilenie dziecka zamieniło się w krzyk, później pomruk, aż wreszcie całkiem ucichło.

Oboje pochylili się nad nim, zaalarmowani. Policzki chłopca nie były już czerwone, lecz różowe. Maleństwo spokojnie na nich patrzyło, jakby zastanawiało się, o co to całe zamieszanie.

– Co się... – Zaczęła Claire, lecz w tym momencie uderzył ich charakterystyczny zapach.

– Fuj, niezła torpeda – odezwał się Ben. – Nic dziwnego, że tak krzyczałeś, chłopie. – Roześmiał się. – Wyobraź sobie, co by było, gdybym pojechał z nim na pogotowie.

– Powinniśmy go przewinąć. – Claire wskazała kawiarenkę na rogu. Ben jak zawsze otworzył i przytrzymał dla niej drzwi.

Claire wyjęła z torby pieluszkę, chusteczki i ubranko na zmianę i podała je Benowi, który ruszył w kierunku pomieszczenia z przewijakiem. Kupiła im obojgu po kawie i kawałku ciasta i zajęła ostatni wolny stolik pod oknem, wciśnięty pomiędzy grupę rozrabiających dzieciaków oraz cztery emerytki z torbami na kółkach. Z głośników sączyła się piosenka zespołu Slade o Bożym Narodzeniu i patrzeniu w przyszłość. Claire starła ze stołu cukier i kawę, a kiedy dostrzegła nadchodzącego Bena, podniosła rękę, żeby łatwiej ją zauważył.

Musiła na chwilę wstrzymać oddech.

Mężczyzna, z którym dzieliła życie szedł do niej przez zatłoczoną kawiarnię.

W ramionach trzymał niemowlę z jego włosami i oczami, ich spełnione marzenie.

Czy naprawdę bała się, że Ben pokocha kogoś bardziej niż ją? To, na co właśnie patrzyła, było cudem.

Troskliwie przytrzymując dziecko, Ben nachylił się w stronę Claire i pocałował ją w usta. Ten pocałunek był dla niej niczym powiew słodczy.

– Wesołych świąt, kochanie – powiedział. Równie szybko jak ją pocałował, umieścił niemowlę w ramionach Claire.

Jej ciało instynktownie przybrało odpowiednią pozycję. Nóżki dziecka przypominały nuty, ciało okazało się bardziej solidne, niż to sobie wyobrażała. Kiedy dotknęła jego mięciutkiego policzka, chłopiec odwrócił główkę. Patrzył ciemnymi oczkami prosto na nią i ułożył się na jej piersi, jakby tylko czekał na ten moment. Widziała jego kręcone włosy

i wydęte usta.

– Jest taki piękny – powiedziała.

– Potrzebuje matki. Oboje jej potrzebujemy.

Maleńka, nowo narodzona istota. Choć był to najbardziej pracowity czas w roku, Claire nie miała nic innego do roboty, jak tylko tulić do siebie niemowlę. Nie musiała się nigdzie spieszyć. Chłopiec patrzył na nią, jakby znali się od zawsze.

Była zakochana, jednocześnie tym zachwycona i przerażona.

– Matthew – powiedziała. – Ma na imię Matthew.

Jarvis niósł Posie na barana, więc to Romily ciągnęła za sobą walizkę. Pociąg do Londynu na pewno będzie zatłoczony, ale nigdzie się nie spieszyli. Posie śpiewała wymyśloną przez siebie piosenkę o reniferze i motocyklach, która szczerze rozbawiła Jarvisa. Żadne nie zauważyło Claire, Bena i niemowlęcia za szybą kawiarni. Tylko Romily ich dostrzegła.

Claire trzymała niemowlę i czule gładziła jego policzek. Ben siedział tuż obok. Jego świat skurczył się do żony i dziecka. Szklana tafla dzieląca go od Romily mieniła się plejadą bożonarodzeniowych lampek.

Claire coś powiedziała, a Ben skinął głową. Żadne nie podniosło wzroku na Romily stojącą za szybą, nie dalej niż pół metra od nich.

Romily popatrzyła na nich, ale się nie zatrzymała. Zamiast tego dogoniła Posie i Jarvisa, wsunęła wolną rękę do ciepłej kieszeni jego płaszcza, a Jarvis szybko dołączył do niej swoją dłoń.

*Drogi Matthew,*

*Romily mówi, że powinnam pisać do Ciebie listy, chociaż nie umiesz jeszcze czytać. Moim zdaniem to trochę głupie, bo nigdy mnie nie zapomnisz, nawet jeśli wyjadę na całe lato. Z drugiej strony, będziesz je mógł przeczytać, kiedy będziesz starszy i dzięki temu dowiesz się o rzeczach, które wydarzyły się, gdy byłeś niemowlęciem, za małym, żeby cokolwiek porządnie zapamiętać.*

*Dzisiaj urządziliśmy w ogrodzie na tyłach naszego domu piknik „bon voyage”. „Bon voyage” znaczy po francusku „miej podróży”. Takie życzenia składa się ludziom, którzy wyjeżdżają gdzieś daleko. Siedziałeś na niebieskim kocu, uplotłam ci łańcuch ze stokrotek i powiesiłam na szyi, a ty się śmiałeś. Pamiętasz to? Wylałeś sobie kubek wody na głowę i wujek Ben musiał cię przebrać. Później pozwoliłam ci spróbować ciasta upieczonego specjalnie dla Ciebie przez ciocię Claire. Cały się nim umazałeś. Claire udawała, że się gniewa, ale wcale tak nie było.*

*Dorośli mówią, że tylko dzieci udają, ale sami ciągle to robią, nawet jeśli wiedzą, że nikt im nie wierzy. Pani Kapoor twierdzi, że powinniśmy zawsze dawać przykład, kiedy chcemy coś udowodnić. Mój przykład jest taki: tego ranka Jarvis udawał, że przyjechał do naszego mieszkania bardzo wcześnie rano, a każdy głupi domyśliłby się, że spędził u nas noc. Policzyłam: zrobił tak aż cztery razy. Mnie to nie przeszkadza, a właściwie się cieszę. Romily też, bo często się uśmiecha.*

*Musimy się przyzwyczaić do swojego towarzystwa, bo wybieramy się razem na prawdziwą, pełną przygód wyprawę. Przez cały ostatni tydzień zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, jak to będzie, kiedy dotrzemy do Brazylii i czy warto było brać tyle zastrzyków. Jarvis obiecał, że nauczy mnie korzystać ze swojego aparatu fotograficznego, gdy nie będzie pracował, a Romily obiecała, że nie spędzimy zbyt dużo czasu na oglądaniu żuków.*

*Kiedy wyjadę, będziesz się musiał opiekować Benem i Claire. Wiem, że nie będziesz miał nic przeciwko, bo to twoja mamusia i Twój tatuś. Kiedyś udawałam, że są moimi rodzicami, ale wtedy ciągle się z nimi spotykałam, dużo częściej niż teraz. Mówiłam też, że nazywam się Prunella Ferrari i mam czarnaście kotów. Nikomu się do tego nie przyznałam. Chociaż udawałam, to jednak odrobinę wierzyłam, że to prawda i chyba na tym polega różnica między udawaniem przez dorosłych i przez dzieci, ale mogą się mylić.*

*Kiedy znów się zobaczymy jesienią, będziesz starszy i może będziesz już raczkował. Pokażę ci zdjęcia, nauczę kilku nowych francuskich słówek, o ile sama jakieś poznam, i opowiem ci o wszystkich moich przygodach.*

*Kocham cię.*

*Twoja chrzestna siostra,*

*Mariposa Jane Summer.*

## O AUTORCE

Julie Cohen wychowała się w Maine i studiowała anglistykę na uniwersytetach Brown i Cambridge. Przeprowadziła się do Wielkiej Brytanii, gdzie poświęciła się badaniom motywu wróżek w wiktoriańskiej literaturze dziecięcej na uniwersytecie Reading, by później rozpocząć karierę nauczycielki angielskiego w szkole średniej. Obecnie jest pełnoetatową pisarką i popularną wykładowniczą kreatywnego pisania. Mieszka z mężem i synem w Berkshire.

## Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

\* \* \*

MAŁY SEKRET

GORZKA SŁODYCZ

ROZWIĄZANIE

GRUSZA

KAC

SPOTKANIE

ZNAJOMA

KLOCKI

UŚMIECHNIĘTA BUŻKA

KOŚCI ZOSTAŁY RZUCONE

TESTY

CZEGO SIĘ SPODZIEWAĆ

RUPERT CZY GUINEVERE

KOŁYSANKA

BURZA HORMONÓW

ODKRYCIE

CHCIANE I KOCHANE

WSPÓLNY FRONT

SŁUSZNA DECYZJA

WEWNĘTRZNY SPOKÓJ

RODZINA

B-DUR

PRZYSPIESZENIE

AMITY

OKNO

RUCHOME PIASKI

NIE ODCHODŹ

ODDZIAŁ POŁOŻNICZY

TYSIĄC RAZY

NOWY SEMESTR

ZEBRANIE RODZICÓW

I ŚMIESZNIE, I STRASZNIE

TAJNA MISJA

STARA SUKIENKA

CO BY BYŁO, GDYBY

NIC WIĘCEJ

PRAWDA

ERGO

DOM

PYTANIE

KONCERT



ODPOWIEDŹ

TU I TERAZ

MLEKO

ELEMENT UKŁADANKI

URODZONY TATUŚ

ŚWIATEŁKO W TUNELU

O AUTORCE

